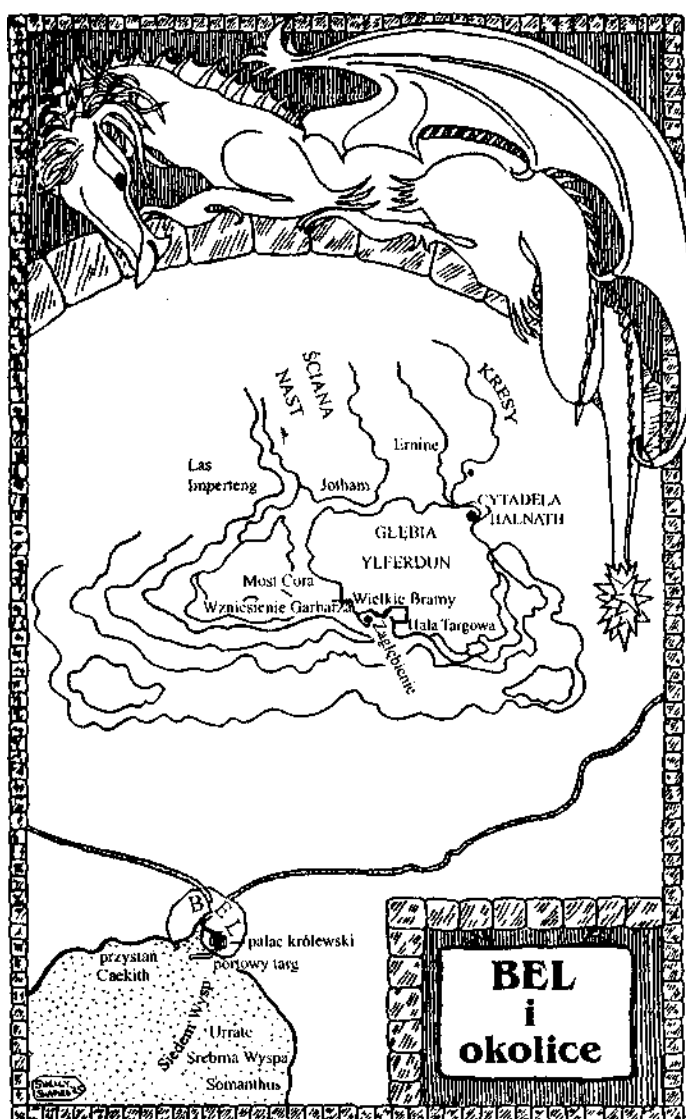


BARBARA HAMBLY

## SMOCZY CENÍ



### KSIĘGA PIERWSZA ŚWIETLISTE OSTROWY

#### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nazywali go Zgubą Smoków.

Zabójcą smoków.

A przynajmniej jednego smoka. Przy tym, jak się później okazało, nieszczerólnie dużego.

Lord John Aversin, Ten Zimowych Krain, oparł się wygodnie o wielokrotnie naprawiane dębowe krzesło stanowiące ozdobę biblioteki, podczas gdy tupot stóp posłańca cichł w dole schodów, i spojrzał na Jenny Waynest, skuloną na okiennym parapecie z kotem śpiącym na kolanach.

—Psiakrew — powiedział.

Pierwszy zauważalny podmuch nocnego wiatru — ciepły i lepki, jak to bywało latem w Zimowych Krainach — przyniósł ze sobą gryzącą woń płonącego drewna i zachwiał płomieniami świec wśród stert książek.

—Długi na sto stóp — mruknęła Jenny.

John potrząsnął głową.

—Kurde, z dołu każdy smok wygląda na sto stóp. — Poprawił tkwiące na długim nosie okrągłe okulary. — Jak i oglądany z miejsc, w którym w najbliższej przyszłości należy się spodziewać jego wizyty. Wątpię, żeby przekraczał pięćdziesiątkę. Ten, którego zabiliśmy w Okręgu Dalekiego Zachodu, nie miał nawet trzydziestu... — Skinął głową w stronę martwego kominka i wiszącej

**7**

nad nim czarnej, zjeżonej kolcami główicy ogona złotego smoka. — A Morkeleb Czarny mierzył czterdzieści dwie stopy, chociaż myślałem, że zdzieli mnie po głowie, kiedy spytałem, czy mogę dokonać pomiaru... — Wspomnienie wywołało uśmiech na jego twarzy, lecz pod okularami Jenny dostrzegła lęk w jego oczach. Niemalże od niechcenia dorzucił:

—Będziemy musieli na niego zapolować.

Jenny pogłaskała kota.

- Owszem —jej głos był ledwie słyszalny. Kot zamruczał i przeciągnął się przymilnie na jej kolanach.
- Swoją drogą to zabawne. — John podniósł się i przeciągnął, czując sztywność karku. — Zebrałem wszystkie dawne opowieści o zgubach smoków, jakie tylko wpadły mi w ręce — stare ballady i legendy — i dopasowałem je w miarę możliwości do list królów. — Wskazał na pobożowisko pokrywające biurko, podłogę i wszystkie półki nisko sklepionego gabinetu: opracione razem pliki notatek, pergaminy skopiowane z zawilgoconych ksiąg odnalezionych w ruinach na południe od Wrynde. *Czyny dawnych bohaterów Curillusa, Stwory i dziwy Gorgonmira*. Nowa kopia fragmentu starożytnej *Liever Draiken* przysłana przez regenta Bel, miłośnika zarówno dawnych manuskryptów, jak i opowieści o zgubach smoków. Jeszcze nie przepisane notatki — sporządzone w pośpiechu przed dwoma laty — z pieśnią o zabijaniu smoków śpiewaną przez żołnierza z garnizonu w Cair Corflyn, przemieszane z woskowymi tabliczkami, świecami, kałamarzami, skrobaczkami, igłami, pumeksem, nożycami do przycinania knotów i rozebranymi zegarami. Przez czternaście lat wspólnego życia Jenny niemal co rok słyszała, jak John solennie obiecuje zaprowadzenie porządku w tym bałaganie, i wiedziała, że podobnych przyrzeczeń nie należy brać zbyt dosłownie.

Wykradzione okruchy dawnej mądrości zgromadzone przez człowieka, którego ciekawość była jak studnia bez dna; namuły użytecznej, interesującej, a niekiedy jedynie zabawnej wiedzy, po-

liczności i kapryswi szalonego Władcy Czasu.

- Niektórzy spośród Zgub Smoków zabili tylko jednego i koniec, to wystarczyło na balladę — rozmyślał głośno John. — Inni mają na koncie dwa albo trzy, a dwóch z nich, na tyle, na ile jestem w stanie to uporządkować, od następnego oddziela nie więcej niż dziesięć lat. Potem zdarzają się całe dekady, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat, kiedy smoki zajmują się swoimi sprawami, cokolwiek by to mogło być, i nikt nikogo nie zabija. W moim przypadku to już trzeci. Dlaczego ten zaszczyt przypadł w udziale właśnie mi?
- Osadnicy powracają na północ. — Jenny odłożyła Chu-dzielca na bok i stanęła za Johnem, obejmując go ramionami w pasie. Pod kubrakiem z grubej, czerwonej wełny i wielokrotnie łątaną lnianą koszulą wyczuła żebra okryte twardym pancerzem mięśni, ciepło jego ciała. — Smok zaatakował stado należące do garnizonu w Skep Dhu. Pewnie odkąd królowie odeszli na południe, nigdy nie było tu tak wiele bydła. To mogło go przywabić.
- Kurde — powtórzył, kładąc dłoń na jej mocno splecionych palcach. Dziwnie wprawną dłoń jak na wojownika, poplamioną atramentem i w dwóch miejscach pokrytą pęcherzami — pamiątką po eksperymencie chemicznym, który skończył się niezupełnie zgodnie z planem — lecz dużą, podobnie jak ramię, sękatą wyrobionymi w ustawicznym boju mięśniami. Z profilu wyglądał na naukowca. W jego rudawych włosach, opadających luźno na ramiona, blask świec wyławiał pierwsze pasemka siwizny.

Miał dwadzieścia cztery lata, gdy wyruszał na Złocistego Smoka Wyr,

połamane żebra wciąż jeszcze odzywały się przenikliwym bólem w boku przy każdej zmianie pogody. Jenny zmacała palcami wybrzuszenie największej blizny, pozostałości po starciu z Morkelebem Czarnym w spopielonej Głębi pod Ścianą Nast. „Życie jest takie kruche”, pomyślała. „Bezcenne i krótkie zarazem”.

9

- Ile smoków udało się zabić najlepszym ze smokobójców? — zapytała, a John odwrócił lekko głowę, by uśmiechnąć się do niej przez ramię.
- Trzy. To był Alkmar Pomazaniec Boży. Trzeci smok zabił jego.

W ciągu godziny oddzielającej ich od wschodu księżyca John i Jenny zebrali wszystko, czego potrzebowali do zabicia smoka ze Skep Dhu, a co zgromadzone było w Hołd. Zbroję Johna, równie zniszczoną i lichą jak skórzany, nabijany żelazem kaftan, w którym patrolował swe ziemie. Dwa topory, jeden krótki, jednoręczny, dobry do walki konnej, drugi dłuższy i cięższy, dwuręczną broń do dobijania śmiertelnie rażonego stworzenia na ziemi. Osiem ciężkich harpunów przypominających ościenie na grubego zwierza, tylko dłuższych, o zębatych ostrzach pokrytych zaklęciami niosącymi zgubę i śmierć.

Przybrany brat Johna, Muffle, sierżant miejscowej milicji i kowal wioski Alyn, wykuł pośpiesznie dwa z nich, kiedy smok z Wyr spadł na stada Wielkiego Kufla przed czternastu laty, pozostałe zaś wykonano kilka tygodni później. Jenny pokryła je wszystkie zaklęciami śmierci. W owym czasie jej magia, przekazana przez starego Caerdinna, niegdysiejszego nauczyciela z Alyn Hołd, była słaba, dobra dla wioskowej czarownicy. O

smokach nie wiedziała wtedy nic poza szczątkowymi informacjami zawartymi w książkach Johna. Zabicie złotego smoka wiele ją nauczyło o naturze tych gadów, tak więc gdy księżę Gareth z Magloshaldon, późniejszy regent Belmarie, przybył do Johna z błagalną prośbą o pomoc w walce ze smokiem ze Ściany Nast, mogła utkać skuteczniejsze czary. Jej moc wciąż jeszcze była wtedy niewielka.

Teraz zasiadła na drewnianej podstawie teleskopu, który John i Muffle zbudowali na szczycie wieży. Osiem harpunów rozłożyła przed sobą na deskach. Z dołu dobiegały głosy Johna i Muffle'a,

## 10

mozolących się z kotłami i drewnem, odległe niczym śpiew ptaków, lecz znacznie mniej uduchowione. Słyszała też głos, wesoły dyszkant, Adrica —jej młodszego syna, krępego, rudego ośmio-latka, w każdym calu nieodrodnego potomka potężnego, niedź-wiedziowatego ojca, Johna. „Powinien już być w łóżku!” Nie miała cienia wątpliwości, że trzyletnia Mag, milcząca niczym bagienna zjawa, nie odstępowała go na krok.

Przez moment czuła złość na kuzynkę Johna, Dilly, która miała opiekować się dziećmi, lecz zaraz wypuściła to uczucie razem z oddechem. „Nie zostaniesz magiem”, powiedział jej kiedyś Caerdinn, Jeśli twoje myśli krążyć będą ustawicznie wokół kolacji, dziecka, niepewności, czy starczy ci powietrza na kolejny oddech, gdy ten obecny uleci już z twych płuc. Kluczem do magii jest magia. Musisz zawsze o tym pamiętać”.

I chociaż odkryła, że kluczem do magii jest coś zupełnie innego, pod wieloma względami staruszek miał rację. Jej myśl zatoczyła koło, na wzór kręgu mocy, jaki narysowała wokół siebie i harpunów, i tak jak moc

spływająca ku niej srebrnymi nićmi z gwiazd, jej myśl przybrała materialną formę.

Okrucieństwo. Bezdusznosc. Pozbawienie życia. Znużone powitanie ostatecznej ciemności.

Zaklęcia śmierci. A pod nimi złocisty, palący ogień smoczej magii.

Już od czterech lat smoczy blask płonął w jej żyłach.

„Morkeleb”, pomyślała, „wybacz mi.

A może wybaczenie nie było sprawą smoków?”

Morkeleb Czarny. Smok ze Ściany Nast.

Przywoływała magię z gwiazd, z powietrza, z samego jądra ognia, jaki zrodził się do życia, gdy mocą Morkeleba przemieniona została w smoka. Choć odzyskała ludzką postać, odrzucając nieśmiertelność gwiazdnych gadów, część jej natury, najgłębsze jądro jej serca, pozostało smocze, i teraz pojmowała moc na smoczy sposób. Jako że refleksja i troska nie były sprawą smoków,

11

splatając zaklęcia śmierci, nie traciła czasu na rozmyślanie o Mor-kelebie, który ją kochał.

Kochał ją tak bardzo, że przywrócił jej ludzką postać.

Kochał ją tak bardzo, że zwrócił ją Johnowi.

Lecz gdy zaklęcia śmierci zostały już stworzone i wplecione w harpuny, usiadła na chwiejnej platformie nad Hołd, oplatając ramionami kolana, i wsłuchiwała się w odległe głosy męża i syna, wspominając smukły, ciemny kształt w mroku, srebrzyste, nieod-gadnione oczy.

„Morkeleb”.

—Matko?

W otworze wśród dachówek stropu zamigotało światło gwiazd, lecz nie zdołało rozproszyć zalegających w dole ciemności. Mając żyły wypełnione magią, Jenny bez trudu dostrzegła swojego starszego syna, lana, chudego dwunastolatka, który odziedziczył po niej kruczoczarne włosy i błękitne oczy, osadzone w ptasiej twarzy Johna. Chłopiec wyszedł na opadający stromo dach i odwrócił się w stronę schodów, więc powiedziała szybko:

—Nie, zaczekaj tam. — Znużenie wywołane formowaniem zaklęć śmierci wsączało się jej w kości. — Tylko je pozbieram i odeślę, skąd przyszły.

Wiedziała, że lan ją zrozumie. Jego moc zaczęła się objawiać dopiero w tym roku; jeszcze niewielka, jak przystało na nastolatka — umiejętność przywoływania ognia i odnajdywania zgubionych przedmiotów, niekiedy dostrzegania odległych miejsc wśród płomieni, lan przysiadł na krawędzi świetlika i przyglądał się zafascynowany, jak jego matka wyciąga migotanie z kręgów, zbierając je w dłonie niczym chłodną pajęczynę. Wszelka magia zasadzała się na Ograniczeniach, tak nauczał ją Caerdinn. Zanim jeszcze zaczęła układać kręgi mocy, nie wspominając nawet o zaklęciach śmierci, oczyściła platformę deszczówką i hizopem, na każdej grubo heblowanej desce położyła Słowa uniemożliwiające mrocznym czarom zagnieżdzenie się w tym miejscu.

## 12

Aby ograniczyć zasięg niegodziwej wściekłości, jaką wyzwalała w tym zamkniętym miejscu, również potrzebne były czary, tak by nie ogarnęła okolicy, nie przyniosła zniszczenia i zguby wszystkim mieszkańcom Hołd, wioski, zagród przytulonych do murów. Jak skąpiec zbierający w dwa



palce okruchy złota wielkości główki od szpilki, Jenny zgarniała w dłonie wszystkie echa i odgłosy zaklęć śmierci, nazywała je, neutralizowała i odsyłała w gwiazdny blask.

- Mogę pomóc?
- Nie, nie tym razem. Ale widzisz, co robię? — Pokiwał głową. Kiedy tak pracowała, poczuła, jak budzi się w niej — jak zwykle w najmniej odpowiednich chwilach — irytująca fala gorąca, przypominająca, że nadchodzi najważniejsza zmiana w życiu każdej kobiety. Cierpliwie, ze znużeniem przywołała kolejne czary, drobne, srebrzyste zaklęcia krwi i czasu, by ją zdusić. — Przy klątwach musisz być dokładny do najdrobniejszych szczegółów, całkowicie czysty, zwłaszcza jeśli pracujesz na dużej wysokości.

Spojrzenie lana powędrowało w stronę teleskopu Johna, zamocowanego po drugiej stronie platformy; wyraźnie domyślił się, co chciała przez to powiedzieć. Oboje wiedzieli, że nie trzeba było wiele, by balustrada się załamała, by John się potknął. Odprysk klątwy, zabłąkany cień złej woli wystarczyłyby, aby John, lan czy ktoś inny zapomniał zamknąć klapę, aby zasuwą nie domknęła się do końca, tak by Adric, Mag czy jedno z coraz liczniejszego potomstwa kuzynki Rowanberry mogli wejść na górę...

A mimo to platforma była najbezpieczniejszym miejscem w całym Hołd do podobnych praktyk.

Znosząc wraz z lanem harpuni krętymi schodami, Jenny wspominała, na czym polegało bycie smokiem. Istotą o diamentowym sercu i bezgranicznej mocy. Istotą, która magii nie uprawiała — lepiej lub gorzej — lecz magią była: wolą i magią, krwią i kością, połączonymi w jedno.

Nie martwiącą się o takie drobiazgi, jak spadające z platformy dziecko.

W blasku wschodzącego księżyca John, Jenny i Ian wyjechali z Alyn Hołd do kamiennego domu na Oszronionym Wzgórzu, gdzie Jenny przez wfele lat mieszkała samotnie. Dawniej był to dom Caerdinna, a Jenny od trzynastego roku życia, kiedy rozwijać się zaczęły pąki jej dziecięcej mocy, była jego uczennicą. W domu tym był pojedynczy, olbrzymi pokój ze strychem, szafki na książki, stół z bejcowanej sosny, potężne palenisko i wielkie łóżce. Do tego domu przybył dwudziestodwuletni John, prosząc o pomoc w walce zjedną z band, które nękały Zimowe Krainy, zanim jeszcze król znów przysłał swoje armie, by ich broniły. Jenny pamiętała, że jeden z przywódców bandy wyzwiał go na pojedynek — może nawet był to zabójca jego ojca — a John usłyszał gdzieś, że żadne żelazo nie ima się człowieka, który spędził noc z czarownicą.

Ale pamiętała go jeszcze z dzieciństwa. Jego matka była pierwszą nauczycielką Jenny w sprawach mocy, branką, lodową wiedźmą. W swoim czasie skandal wywołany jej zaślubinami z lordem Averem był najgłośniej komentowaną nowiną w całych Zimowych Krainach. Gdy jej syn miał cztery lata, a Jenny siedem, Ka-hiera Krucze Skrzydło zniknęła, wróciła do Lodowych Jeźdźców, pozostawiając Jenny w rękach Caerdinna, nienawidzącego wszystkich Lodowych Jeźdźców, a zwłaszcza Kahiery. Odtąd aż do chwili jego przybycia na Oszronione Wzgórze widziała syna Kahiery może kilkanaście razy.

Jadąc teraz w góry, ujrzała w wyobraźni tamtego Johna — pewnego siebie, dziwacznie się zachowującego, agresywnego, postrach dziewczic z pięciu wiosek... I gniewnego. Najlepiej pamiętała właśnie ten gniew i przelotną słodycz jego uśmiechu.

— Trzeba naprawić strzechę — zauważył, podnosząc się w strzemionach Młota Bojowego, by wyciągnąć źdźbło słomy z nawisu. — Według *Katalogów* Dotysa wieśniacy ze Srebrnych

## 14

Wysp splatali słomę w sztywne dachówki, które przybijali potem kołkami do krokwi; musiały być dosyć ciężkie. Cowan — główny stajenny Hołd — twierdzi, że to niemożliwe, ale zamierzam spróbować latem, jeśli uda mi się dojść do tego, jak splatali tę słomę. Oczywiście o ile w sianokosy wciąż jeszcze będziemy wśród żywych. — Pogryzając źdźbło, zeskoczył z konia, obwiązał lejce wokół bramy i wszedł do wnętrza w ślad za Jenny i łanem. — Cholera — dodał, pociągając nosem. — Jak to jest, Jen, że mimo wszystkich czarów, jakie nakładasz na to miejsce, by wędrowcy go nie widzieli, myszy nie mają najmniejszych problemów z dostaniem się do środka?

Jenny posłała mu szybkie spojrzenie w ciepłym, niebieskim blasku przywołanego przez siebie magicznego światła i pochyliła się, by wyciągnąć spod łóżka skrzynkę z ziołami, ciemiernikiem, żółtym jaśminem i jaskrawoczerwonymi kapeluszami muchomorów, starannie zapakowanymi w zapieczętowanych woskiem słojach. Słoje i skrzynka, podobnie jak ściany budynku, opisane były zaklęciami, mającymi zniechęcić ewentualnych intruzów, lecz i tak pod łóżkiem leżały dwie martwe myszy.

Jenny przesunęła brązowymi czubkami palców po skrzynce, unieszkodliwiając założone tam czary strażnicze. Tykwy kalabasy z południa kryły w swym wnętrzu głowy żmij wodnych i zasuszone meduzy. Spod stropu zwisały nieznane liście nanizane na zaczarowaną nić,

a zamknięte woskiem pergaminowe pakiety mieściły zabójcze sole i piaski, łan rzucił się na kilka ksiąg stojących na półkach po drugiej stronie pomieszczenia; John chwycił Jenny w pól, podstawił jej nogę i pchnął na stary, zdeformowany materac, uśmiechając się łobuzersko, podczas gdy ona rzuciła szybki czar, mający ukryć przed łanem niestosowne zachowanie jego rodziców...

- Zachowuj się! — Wyślizgnęła się z uchwytu Johna, chichocząc niczym wieśniaczka.
- Zbyt długo tu nie przychodziliśmy. — Pozwolił jej wstać,

15

ale nadal zamykał ją w ramionach, zaciskając dłonie na chropowatym słupku za jej plecami. Choć sam był średniego wzrostu, przewyższał ją o ponad stopę; magiczne światło migotało srebrzyście w szkle jego okularów i w jego spojrzeniu.

- A czyja to wina? — zapytała cicho, choć łan wciąż zaprzątnięty był swoimi poszukiwaniami. — To nie ja przez całą wiosnę produkowałam te wszystkie smrody, odpadki i eksplozje towarzyszące badaniom nad samozapalającą się podpałką. To nie ja próbowałam zbudować latającą maszynę na wzór ilustracji znalezionej w jakiejś starej księdze...
- U Heronaxa z Ernine — sprostował John. — Przeleciał w niej z Ernine na Srebrne Wyspy — gdziekolwiek było to Ernine — i już prawie rozgryzłem jej konstrukcję. Sama zobaczysz.

Zgarnął w dłonie jej włosy, dwie pełne garści oceanicznego mroku, i pochylił się, by pocałować jej wargi. Przycisnął ją do wysokiego, gładkiego

słupka, jej dłoń badała skórę jego kamizelki, szorstką wełnę przerzuconej przez ramię szarej opończy, twarde mięsień pod lnianym rękawem, łan najwyraźniej przypominał sobie o jakimś składniku ukrytym niewytłumaczalnym sposobem w ogrodzie, gdyż wyslizgnął się na zewnątrz, nieświadom niczego; zapachy starego domu, pleśniącej strzechy, myszy, owinęły się wokół nich wraz z dzikim szeptem letnich nocy Zimowych Krain.

Gorąco jej ulegającego przemianie ciała przemówiło do niej, a ona odpowiedziała mu: „Odejdź”. Nie tylko zakłęcia, węzłki osłon i przemian odpędzały wszelkie migreny, humory, ataki złości. Równie skuteczna była ta świadomość, ten mężczyzna, jego usta szukające jej warg, ciepło jego ciała. Radość dziewczyny, która kiedyś była brzydka, którą wyśmiewano i przeganiano kamieniami na wiejskich uliczkach, której powtarzano: „Jesteś wiedźmą i zestarzejesz się w samotności”.

Świadomość nieprawdziwości tych słów.

Później wyszeptała:

—I maszynę do zabijania smoków.

16

— Ano, tak. — Wyprostował się, zaprzestając poszukiwań jej szpilek do włosów, a dawna twardość na powrót ściągnęła kąciki jego ust. — Też jest na ukończeniu. Tym większa szkoda, że spędziłem zimę, ucząc się latać.

Wczesnym rankiem Jenny rozpałała ogień pod kotłami rozstawionymi przez sierżanta Muffle'a na dziedzińcu starych koszar Hołd. Przyniosła wodę ze studni i cały dzień spędziła, warząc trucizny, którymi zamierzała

pokryć ostrza zaklętych harpunów. Teraz skorzystała z pomocy lana i Johna, pozostawiając ciotkom Johna pilnowanie Adrica i Mag, by nie zakradli się na dziedziniec i nie zatruli, usiłując pomóc. Gdy nadszedł późny, letni zmierzch, zanurzali już harpuny w gęstniejącą czarną maź, a posłaniec ze Skep Dhu dołączył do nich na podwórzu.

— To stado stanowi podstawę egzystencji nie tylko samego garnizonu — powiedział młody mężczyzna, niepewnie wodząc wzrokiem między Zgubą Smoków, skromnym okularnikiem w brudnej koszuli, skórzanych spodniach i butach, a wiedźmą z Oszronionego Wzgórza. Miał na imię Borin i był porucznikiem garnizonowej jazdy; jak większość południowców musiał się bardzo starać, by w obecności Jenny nie przygryzać kciuka dla odczytania złego uroku. — Majątki, które regent stara się założyć dla utrzymania nowych garnizonów, także zależą od tego stada jako centrum hodowli i odbudowy pogłowia. Straciliśmy sześć do ośmiu byków, tyle samo jałówek... wszystkie obdarte ze skóry i wybebeszone, całe pastwisko zaś spalone.

John zerknął na Jenny, która bez trudu odczytała jego myśli. Piętnaście sztuk bydła to cały majątek.

— Dobrze mu się przyjrzelście?

—Widziałem, jak odlatywał na drugą stronę Kobiałkowych Wzgórz. — Borin pokiwał głową. — Był zielony, tak jak powie działem wczoraj. Kolce i rogi na grzbiecie oraz hak na ogonie były purpurowe jak krew.

postawił dwa harpuny pod długą szopą służącą Johnowi za warsztat; sierżant Muffle oparł się o przypominający kształtem ul gliniany piec na środku placu i otarł pot z twarzy.

- Zielony z purpurowymi rogami — powtórzył cicho John, a Jenny domyśliła się, co oznacza ta krótka, pionowa zmarszczka między jego brwiami. Przetrzęsał pamięć w poszukiwaniu imienia gwiazdowego gada tej barwy, wymienionego w starych spisach smoków. „Teltrevir — heiiotrop”, tak zaczynał się ten spis, przekazywany ustnie z pokolenia na pokolenie, sporządzony przez nie wiadomo kogo. „Centhwevir to błękit przetykany złotem”.
- Ta lista zawiera kilkanaście nazw — odezwała się cicho Jenny. — Muszą istnieć dziesiątki, setki innych.
- Pewno tak. — Przeważnie niespokojnie dwa harpuny, unikając jej wzroku. — Nie wiemy nawet, ile ich jest ani gdzie mieszkają— ani nawet czym się żywią, skoro już o tym mowa, kiedy nie używają sobie na naszych stadach — mówił głębokim głosem, przywodzącym na myśl wytarty, brązowy aksamit. Jenny czuła, jak spręża się w sobie, przygotowuje do walki. — *Encyklopedia rzeczy wszystkich materialnego świata* Ganteringa Pellusa podaje, że żyją w zwieńczonych lodem wulkanach, ale ten sam Gantering Pellus utrzymuje, że niedźwiedzie rodzą się bezkształtne niczym ciasto chlebowe i dopiero ich ojcowie lizaniem nadają im odpowiednią postać. Kiedy miałem piętnaście lat, niemalże zginąłem, dowiadując się, jak mało wiem o niedźwiedziach. Według *Liever Draiken* smoki przybywają z północy...
- Będziesz potrzebował eskorty, panie? — zapytał Borin. Choć w Hołd

był od niedawna, zdążył się już nauczyć, że gdy Ten Zimowych Krain zaczynał mówić o starożytnych tekstach, najlepiej było mu po prostu przerwać, jeśli jakaś sprawa wymagała szybkiego załatwienia. — Pani Rocklys powiedziała, że może wysłać ci ją na spotkanie do Skep Dhu. John zawahał się, po czym odpowiedział:

18

- Lepiej nie. A przynajmniej niech się nie przekraczają brodu Wormwood. Nie bez przyczyny dawni bohaterowie zawsze podkradali się do smoczego legowiska w pojedynkę, synu. Smoki nasłuchują nawet przez sen. Trzech, czterech ludzi usłyszą z wielu mil i uciekają, zanim ci się zjawią. Jeśli smok zdąży poderwać się w powietrze, polujący na niego człowiek jest już martwy. Trzeba dopaść go na ziemi.
- Ach. — Borin bardzo się starał, by nie pokazać po sobie, jakie wrażenie wywarła na nim ta informacja. — Rozumiem.
- Zgaduję — dodał zamyślonym głosem John — że zaszył się wśród wąwozów na północno-zachodnich stokach Kobiałko-wych Wzgórz, niedaleko waszych pastwisk. Tylko parę z nich jest wystarczająco dużych, by pomieścić smoka. Ich odnalezienie nie powinno być szczególnie skomplikowane. A wtedy — powiedział ponuro — zobaczymy, kto kogo zabije.

## ROZDZIAŁ DRUGI

By dotrzeć do Kobiałkowych Wzgórz, trzeba było jechać dwa dni na



wschód. John i Jenny zabrali ze sobą, oprócz Borina i towarzyszących mu dwóch żołnierzy z Południa — całkiem rozsądne posunięcie w realiach Zimowych Krain — Skaffa Gradely'ego, pełniącego funkcję kapitana milicji na ziemiach wokół Alyn Hołd, oraz dwóch kuzynów Jenny z Darrow Bottoms, którzy na wyjazd ze swoich farm przed sianokosami zapatrywali się równie niechętnie, jak na ewentualność odwiedzin smoka ze wschodu. Dowodzenie w Hołd przejął sierżant Muffle.

— To niepotrzebne — upierał się Borin, któremu najwyraźniej udało się nakłonić służbę z Hołd do wyprania i odprasowania czerwonej wojskowej kurtki i wypolerowania butów. — Przez

19

całą wiosnę nie mieliśmy żadnych wieści o bandytach. Pani Rock-lys przywróciła rządy prawa na tych terenach, więc noszenie broni nie jest już koniecznością. — W ostatniej chwili powstrzymał się przed posłaniem znaczącego spojrzenia w kierunku Gradely'ego i chłopaków z Darrow, którzy zwyczajem ludzi urodzonych i wychowanych w Zimowych Krainach obwieszani byli nożami, pałkami, toporami i długimi, smukłymi, groźnymi północnymi łukami. Jenny wiedziała, że na południowych ziemiach królestwa rolnicy nie nosili nawet mieczy — większość kolonistów przybyłych tu w ślad za wojskiem stanowili chłopci pańszczyźniani przeniesieni na Północ królewskim edyktem, a posiadanie broni było im po prostu zabronione.

- Jeśli bandyta jest dobry w swoim fachu, z reguły nie zostawia żadnych śladów. — John kolejny raz zatrzymał małą kawalkadę i zeskoczył z konia, by się rozejrzeć po okolicy, choć z rozkazu komendanta Zimowych Krain pobocza dróg w tej części kraju

oczyszczone zostały na odległość strzału z łuku od traktu. Zdaniem Jenny, ktokolwiek się tym zajmował, nie miał pojęcia o zasięgu północnego łuku.

- Doprawdy! — powiedział Borin, gdy John zniknął wśród drzew, a jego zielono-brązowa opończa zlała się z barwami gęsto splątanych krzewów. — Każdy taki postój to strata czasu, a...

Jenny uniesieniem ręki nakazała mu milczenie, nasłuchując odgłosów spośród drzew przed nimi, dookoła nich. Rozpościerając swe zmysły na modłę czarodziei. Węsząc za wonią koni. Nasłuchując ptaków i królików, ucichłych nagle w bliskości człowieka. Muskając powietrze tak, jak bogata dama z Południa muskałaby jedwab białymi, czułymi palcami, poszukując skazy, zgrubienia...

Robiąc użytek z umiejętności, które przez całe jej życie, przez całe życie jej rodziców i dziadów stanowiły w Zimowych Krainach różnicę między życiem a śmiercią.

Po chwili powiedziała cicho:

## 20

—Przykro mi, jeśli podważa to wiarygodność opieki, jaką komendant Rocklys roztacza nad tą częścią królestwa, poruczniku. Ale Skep Dhu jest pogranicznym garnizonem, a dalej nadal mogą się czaić bandyci. Wielkie bandy, Balgodorusa Czarnego Noża czy Gorgaxa Czerwonego, liczą setki głów. O ile ich znam, czekali przez całą wiosnę na zamieszanie takie jak napad smoka, by najeść nowe majątki, korzystając z tego, że uwaga twojej pani komendant zwrócona jest gdzie indziej.

Porucznik wyglądał tak, jakby chciał się sprzeciwić, lecz tylko odwrócił

wzrok. Jenny nie wiedziała, czy było to spowodowane tym, że z tyłu siodła Księżycowego Konia wiozła własną halabardę i łuk — kobiety z Południa zazwyczaj chodziły nie uzbrojone, aczkolwiek zdarzały się znaczące wyjątki — czy też faktem, że była czarodziejką, a może powód był zupełnie inny. Wielu żołnierzy z południowych garnizonów było gorliwymi wyznawcami Dwunastu Bogów, uważając Zimowe Krainy za bagno herezji. Tak czy owak, przesycone dezaprobatą milczenie towarzyszyło im przez jakieś pół godziny — Gradely i chłopaki z Darrow na swoich karłowatych wierzchowcach trzymali się kilkanaście kroków w tyle, drapiąc się pod ubraniem i dłubiąc w nosie — aż do powrotu Johna.

Na noc zatrzymali się w ruinach niewielkiej osady, a może dużego majątku sprzed trzech stuleci, kiedy w Zimowych Krainach wciąż jeszcze były ku temu odpowiednie warunki. Tam czekał na nich posłaniec z wiadomością, że smok rzeczywiście zagrzebał się w największym wąwozie na wschód od Kobiałkowych Wzgórz — „W tym z dąbrową na szczycie u jego wylotu, panie” — i że komendant Rocklys osobiście wiodła pięćdziesięcioosobowy oddział, chcąc spotkać się przy brodzie Wormwood.

—Kurde, to kogo zostawiła na straży w Cair Corflyn, na wypadek gdyby im się oberwało? — zapytał przerażony John. — Wracaj w te pędy, synu, i powiedz im, żeby nigdzie się stamtąd nie

21

ruszali. Czy oni myślą, że to jakaś cholerna nagonka na lisa? To cholerstwo usłyszy ich z dziesięciu mil!

Drugiej nocy rozbili obozowisko wcześniej, gdy słońce wciąż jeszcze

było wysoko, w żlebie na zachód od Kobiałkowych Wzgórz. W oddali gęstniało północne odgałęzienie Lasu Wyr, ziemia sękatych drzew i mrocznych, powolnych strumieni spływających z Gór Szarych, dokąd nigdy nie sięgnęła władza królewska. Leżąc przy Johnie pod rozłożonymi opończami, Jenny po jego oddechu poznała, że nie śpi.

— Nienawidzę tego — wyszeptał. — Miałem nadzieję, po spotkaniu z Morkelebem — kiedy z nim porozmawiałem, do tknąłem ... usłyszałem w umyśle jego głos — miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał wyruszać w pole przeciw smokowi.

Jenny przypomniała sobie Smoka ze Ściany Nast.

— Nie.

John usiadł, splatając ramiona wokół kolan, i spojrzał na nią, wiedząc, jak głęboko dotknął ją jej osobisty kontakt ze smoczym rodem.

— Nie znienawidź mnie za to, Jen.

Potrząsnęła głową, wiedząc, z jaką łatwością by jej to przyszło. Gdyby tylko nie znała Zimowych Krain i nie rozumiała, co oznacza bycie Tenem.

— Nie.

John kochał również wilki, zbadał wszystkie legendy i opowieści myśliwych. Zbudował ambonę, by móc obserwować je godzinami podczas łowów i nawoływać. Kiedy napastowały bydło, wołał przeganiać je, niżli zabijać. Ale kiedy był do tego zmuszony, zabijał je bez zmrużenia oka.

Był Tenem Zimowych Krain, podobnie jak jego ojciec. Nie mógł uciec przed walką ze smokiem, podobnie jak nie mógł odwrócić się obojętnie, gdyby jakiś wódz bandytów, przystojny i mądry niczym bogowie w opowieściach kapłanów, zaczął napadać na farmy.

Jenny podejrzewała, że gdyby jakieś bóstwo objawiło się i zaczęło mordować bydło i palić pola, wystawiając ludzi na niebezpieczeństwa tych okrutnych ziem, John przeczytałby wszystkie dostępne teksty najego temat, uzbroiłby się w najodpowiedniejszą broń i stawiłby mu czoło.

Jego prywatne chęci nie miały tu nic do rzeczy.

Godzinę po północy wstał na dobre, zjadł parę zimnych pszennych placków — nikt z nich nie był na tyle bezrozumny, by zaproponować rozpalenie ognia parę mil od smoczego legowiska — i przywdział swój bitewny kaftan, ciasno dopasowany hełm i pokryte żelazną łuską rękawice. Jenny wiedziała, że smoki nie prowadzą ani wyłącznie dziennego, ani tylko nocnego trybu życia, lecz budzą się i zasypiają jak koty. Mimo to wiedziała też, że przed świtem większość smoków zwykle spała na ziemi. Zawiesiła nisko nad trawą niewielki węzełek magicznego światła, tak by konie widziały szlak pod kopytami, i poprowadziła ich ku ostrym garbom Kobiałkowych Wzgórz i okolonemu dąbrową wąwozowi.

Mgła owijała się koniom wokół nóg, unosząc się wśród wrzosów niczym skrawki jedwabiu. Borina pozostawili na skraju wrzosowiska, by obserwował walkę z oddali. Rozpościerając zmysły, Jenny wszędzie wyczuwała drzenie i powiew magii. Może to smok wezwał tę nietypową mgłę, by go chroniła? Czy wyczuje ją, wyczuje ich, kiedy przywoła przeciwczar, by ją rozpędzić?

Gwiezdny smok jednolitej barwy musiał być albo bardzo młody, albo bardzo stary, a jeśli bardzo stary, jego zmysły wypełniałyby całą okolicę niczym nieruchoma tafla wody, gotowa ponieść najdrobniejszą zmarszczkę w jego sny. Ale niczego podobnego nie czuła. Kiedy wraz z

Johnem jechała do bitwy z czarnym smokiem w cieniu Głębi Ylferdun, wyczuła świadomość Morkele-ba... Czerwone rogi, kolce i ogon wskazywałyby raczej najego młody wiek, ale czy taki smarkacz mógłby zostać wzięty za stworzenie długie na sto stóp?

## 23

Dotknęła nadgarstka Johna i choć bliskość wylotu wąwozu nakazywała absolutne milczenie, szepnęła do niego:

—John, zaczekaj. Coś jest nie w porządku.

Przed nimi wąwóz stanowił plamę szarej mgły. W cieniu hełmu okulary Johna lśniły niczym ślepia olbrzymiej ćmy. Myśliwskim szeptem zapytał:

- Usłyszał nas? Wyczuł?
- Nie wiem. Ale... zupełnie go nie czuję. Nic anie. John w zamyśleniu przechylił głowę.
- Nie wiem. Bądź gotów do szarży albo ucieczki.

Potem skierowała przed siebie swój umysł, swoją wolę, smocze serce i smoczą magię, rozdzierając mgłę pojedynczym, gwałtownym podmuchem lodowatego wiatru.

Błyszczący promień porannego światła zamigotał na metalu wśród dębów powyżej wąwozu, a sekundę później spoza wzgórza coś wynurzyło się z rykiem: zielone, z czerwonymi rogami, nieto-perzymi skrzydłami, węzową głową i ogonem zakończonym gigantycznym purpurowym grotem, absolutnie nie przypominające smoka, chyba że z ilustracji w starych księgach Johna. John powiedział: „Cholera jasna!”, a Jenny krzyknęła:

—John, uważaj, to iluzja...!

Niepotrzebnie, bo John już zawracał, z obnażonym mieczem gnając ku najbliższemu schronieniu. Jenny popędziła za nim, rzucając za siebie płomień i garść ognistych czarów, wytryskujących spomiędzy wrzosów między nimi a jeźdźcami, wypadającymi galopem z lasu.

Bandyci. Fałszywy smok rozpłynął się w powietrzu, skoro tylko stało się jasne, że ani John, ani Jenny nie zwracają na niego uwagi, a brodaci napastnicy w prymitywnych zbrojach z myśliwskich kurtek i skradzionych kolczug skierowali się ku stromemu nawisowi nad brzegiem strumienia, jedynej znośnej pozycji obronnej w zasięgu wzroku.

W ślad za ognistymi zaklęciami Jenny posłała zamaszyste

## 24

Słowo Kiepskiego Celu i ku swemu przerażeniu poczuła, jak wokół niej wirują przeciwczary, wyciągając swoje lepkie macki. U jej boku John zaklął i zachwiał się, gdy grot strzały przejechał mu po udzie. W powietrzu wokół siebie poczuła czary ognia, więc wyszeptwała własne formuły przeciwczarów i słowa Ograniczeń, koncentrując się na defensywie. Za zasłoną magii wyczuła umysł czarodzieja: wrażenie nieszkolonej potęgi, nieuformowanego talentu pozbawionego korzyści płynących z nauki, olbrzymiej mocy. Ogłuszyło ją to, jak gdyby wpadła po omacku na kamienny mur.

John zaklął ponownie i nałożył na łuk pierwszą ze strzał, które zabrał ze sobą, zsiadając z konia; Jenny skierowała swe zmysły w górę strumienia, który banici musieli przekroczyć, by się do nich dostać; teraz przynajmniej mogli zaatakować ich jedynie z dwóch stron. Spróbowała przywołać z powrotem mgłę, posłużyć się nią tak, jak uczynili to wcześniej bandyci, lecz razjeszcze przeciwczary wrogiego czarodzieja wijąc się, wgryzły się

w jej umysł. Ogień wśród wrzosów, a jednocześnie walka z ognistymi czarami wypełniającymi dymem zagłębienie poniżej skarpy; zaklęcia niszczycielskie wymierzone w cięciwy i strzały...

I wtedy bandyci dopadli ich. Złudzenia, iluzje — Jenny wywoływała je z niebytu, śląc je przeciwko brudnym, pokrytym bliznami, rozwścieczonym mężczyznom brodzącym przez wzbierający strumień. Miecze, piki, nie ustający deszcz kamieni z proc, z których część zbaczała pod wpływem jej ochronnych czarów, lecz pozostałe przebijały się przez nie, jakby były powietrzem. Czasami któryś z napastników zatrzymywał się i rozglądał zdezorientowany i przerażony — efekt działania zaklęć Jenny, wytwarzających wokół nich oślepiające światło i zastępy zbrojnych — wtedy miecz Johna albo halabarda Jenny wbijały się w jego ciało. Lecz równie często zaatakowany odskakiwał w tył z głośnym okrzykiem, nie dając się omamić, a wówczas Jenny czuła w swym umyśle lodowaty uścisk przeciwczarów wrogiego maga. Wokół

25

nich także rodziły się iluzje, gdyż część bandytów po prostu rozpływała się w powietrzu, tak jak wprzód smok...

A przez cały czas Jenny myślała: „Bandyci mają własnego maga! Bandyci mają wśród siebie maga!”

Jak by powiedział John: „Kurde, kurde, kurde!” Jenny nie miała pojęcia, jak długo ich powstrzymywali. Na pewno nie dłużej, niż zajęłoby ugotowanie jajka na twardo, aczkolwiek zdawało się to trwać całe wieki. Niemniej jednak słońce ledwie co weszło nad Kobiałkowymi Wzgórzami, gdy zauważyli bandytów, a gdy przez zgiełk przebił się złocisty dźwięk trąbek i ze wzgórz nierównym szeregiem zjechała



komendant Rocklys ze swymi ludźmi, cienie nie skurczyły się bardziej niż o stopę. Jenny poczuła, jak czary jej przeciwnika zwracają się w stronę purpurowych kawalerzystów, i użyła całej swojej mocy, by je przechwycić, rozprasząc wszelkie iluzje, jakie mogłyby ukazać się oczom ich wybawców, by ich omamić. Rocklys, stając w strzemionach, ściągnęła wodze i strzeliła w gęstwą bandyckiej hordy; Jenny ujrzała, jak jeden z ich przywódców pada martwy. Wtedy rozległ się donośny głos: „W nogi, ludzie!” i nieopodal wylotu wąwozu na głaz wskoczył wysoki mężczyzna, masywny i czarnobrody, przypominający wielkiego umorusanego niedźwiedzia.

- Niech to szlag! — powiedział John, Rocklys zaś, napinając cięciwę swego krótkiego, czarnego, południowego łuku, posłała kolejną strzałę w jego stronę. Lecz strzała zboczyła z toru — Jenny poczuła Słowo, które w nią trafiło — a potem wokół nich się zakotłowało, mgła i dym uniosły się z ziemi niczym kurz z trzepanego dywanu. Zakłęcie, jakie rzuciła na strumień, zadziałało wreszcie i woda spiętrzyła się gwałtownym przyborem, przewracając ludzi, obmywając lodowatymi bryzgami buty Johna i mocząc rąbek spódnicy Jenny. Wtedy bandyci rzucili się do ucieczki, a Rocklys i jej ludzie pognali za nimi.
- Niech to szlag — powtórzył John. — Balgodorus Czarny Nóż, oby mu flaki wygniły, a teraz mieli ze sobą czarodzieja, zga-

26

dza się, kochanie? — Oparł się o gliniastą skarpe, dysząc ciężko. Jenny przycisnęła dłoń do jego uda, tam gdzie trafiła pierwsza strzała, ale nie wyczuła w ranie trucizny.

- Kogoś, kto na tyle zna się na zabijaniu smoków, by wiedzieć, że będziemy musieli zaatakować go samotnie, we dwoje.
- Niech to robaki zeżrą... au! — dodał, gdy Jenny obwiązała ranę szorstkim bandażem. — To akurat wiedziałby każdy, kto zamieniłby ze mną kilka zdań albo porozmawiał z kimś, kto miał ku temu sposobność. Niemniej jednak nie chodziło im o mnie, kochanie ... — Wyciągnął dłoń i musnął jej twarz. — Tylko o ciebie.

Podniosła głowę, brudna od potu i sadzy, z czarnymi włosami w kompletnym nieładzie; szczupła, niewysoka, śniada czterdziestopięcioletnia kobieta, zaczerwieniona — jak spostrzegła z irytacją — pod wpływem kolejnej fali wewnętrznego gorąca. Przegnała ją, rozgoryczona nieodpowiednością tej sytuacji i świadomością swego wieku.

- O mnie? — Podniosła się z kolan. Strumień opadał równie gwałtownie, jak przedtem wezbrał. Bandyty zgładzeni mieczem Johna, jej halabardą i strzałami ludzi Rocklys leżeli tam, gdzie pozostawiła ich woda.
- Jesteś jedyną czarodziejką Zimowych Krain. — John wetknął mokre pasmo jej włosów w na wpół rozpleciony warkocz, oderwał gałązkę z najbliższego krzaka wawrzynu i użył jej jako szpilki, by je umocować. — W całym królestwie, o ile mi wiadomo. Gar — regent — opowiadał mi, jak próbował znaleźć magów w Bel i Greenhythe, w całym Królestwie, ale bez powodzenia, z wyjątkiem paru gnomów. A więc skoro bandyta pokroju Balgo-dorusa Czarnego Noża skombinował sobie czarodzieja, a my nie mielibyśmy żadnego...
- Czekająby nas nie lada kłopoty — dokończyła cicho Jenny

— gdyby ta zasadzka się powiodła.

— A było to całkiem możliwe — rozmyślał na głos John —  
gdyby ich chłopak...

**27**

- Dziewczyna.
- He?
- Ich czarodziej jest kobietą. Jestem o tym niemal przekonana.
- Niech będzie dziewczyna — prychnął. — Gdyby ta ich dziewczyna wiedziała cokolwiek o gwiazdnych gadach oprócz tego, że mają skrzydła i długie ogony, być może nie połapalibyśmy się wystarczająco wcześnie, by wymknąć się z paści. Co jedynie dowodzi zalet klasycznego wykształcenia...

Z hukiem końskich kopyt powróciła komendant Rocklys, z Bo-rinem u boku.

- Nic wam nie jest? — Zeskoczyła ze swego wielkiego bojowego kasztana, energiczna, szczupła kobieta koło trzydziestki, w wytłaczanych złotem butach, zbryzganych błotem i posoką. — Byliśmy już w siodłach, gotowi wyjechać wam na pomoc w walce ze smokiem, gdy do obozu wpadł Borin z wieścią o zasadzce.
- Smok stanowił podstęp — odparł zwięźle John. Starł krople krwi z policzka i wyczyścił stalowe rękawice skrawkiem opończy. — Prawdziwy smok byłby lepszy od tego, z czym mamy do czynienia.

Rocklys z Galyon ze splecionymi ramionami słuchała jego sprawozdania. Mało która kobieta potrafiła poprowadzić ludzi w bój; większość żołnierzy z kobietami stykała się wyłącznie podczas

plądrowania zagród i miast, poznawała je za pośrednictwem obozowych dziwek. Niektórzy, jak John, byli otwarci na inne nauki. Pozostałych trzeba było mozolnie szkolić. Choć kobiety wojowniczkę, jakiej Jenny zdarzyło się spotkać — na ogół bandytki — zwykły dla obrony gromadzić się razem w obozowiskach, kobieta dowódca z zasady musiała być wystarczająco duża i silna, by móc stawić czoło i pokonać wystarczająco wielu swoich podkomendnych.

Rocklys z domu Uwane była taką kobietą. Słuszny wzrost był jedną z cech charakterystycznych królewskiego rodu z Bel, więc

## 28

i ona mierzyła więcej niż Johnowe sześć stóp bez kawałka, miała potężne ramiona i szerokie barki, jakie uzyskać było można jedynie dzięki mozolnym ćwiczeniom fizycznym. Jenny domyślała się, że jako kuzynka monarchy w każdej chwili mogła zostać kapitanem królewskiej gwardii bądź też jego zastępcą, lecz linia jej kwadratowej szczęki wskazywała wyraźnie, że nie jest zainteresowana fikcyjnymi zaszczytami.

Do tego miała jasne włosy, podobnie jak jej kuzyn, regent Gareth — choć gdy Jenny widziała go ostatnio, przed dwoma laty, Gareth wciąż jeszcze ulegał fircykowatej modzie farbowania części włosów na niebiesko czy różowo, zależnie od tego, jaki kolor był danego roku w modzie. Jej oczy, jak Garetha, były chłodne i jasnoszare. Wysłuchiwała beznamiętnie opowieści Johna, nie przerywając mu ani razu, stała nieruchomo, a lekkie podmuchy wiatru poruszały złotymi frędzlami u jej pasa i przy zarękawkach z czerwonej wełny, przykrywających płócienną koszulę. Kiedy zakończył przemowę, skwitowała ją zwięzłym: „Cholera jasna”, wypowiedzianym ochryple i warkliwie, i Jenny domyśliła się, że

od wczesnej młodości starała się obniżyć tonację swego głosu.

- Gdybym wiedziała, że mają ze sobą maga, nie wycofałabym moich ludzi tak szybko. Jesteś pewien?
- Ja jestem. — Jenny stanęła obok Johna. — Nie wspominając o samym zielonym smoku, który był złudzeniem najczystszej wody — stworzonym tylko po to, by nas tu przywabić. Wyczuwałam umysł tej czarodziejki, jej moc, przy każdej próbie rzucenia zaklęcia. Balgodus ma w swojej bandzie maga, i to potężnego.
- Cholera jasna. — Twarz Rocklys stwardniała i przez moment Jenny dostrzegła w jej spojrzeniu autentyczną wściekłość. Potem Rocklys przesunęła wzrokiem uważnie i w zamyśleniu po dwojgu stojących przed nią ludzi: zakrwawionym i potarganym zabójcy smoków oraz wiedźmie z Oszronionego Wzgórza. Jenny знаła to spojrzenie, widziała je wielokrotnie u Johna. Spojrzenie

29

dowódcy, rozważającego stojące przed nim zadanie i narzędzia, jakie ma do dyspozycji.

- Pani Jenny — powiedziała. — Lordzie Johnie.
- Teraz dopiero mamy kłopoty. — John zaprzestał czyszczenia okularów o koszulę i podniósł wzrok. — Za każdym razem, gdy ktoś przychodzi do mnie i mówi... — zmienił ton głosu, naśladowując burmistrza Okręgu Dalekiego Zachodu, a może któregoś z radnych Wrynde, kiedy ci dostojnicy przybywali do niego z prośbą o rozprawienie się z wilkami lub bandytami —.. .lordzie Johnie albo — co jeszcze gorsze — wasza lordowska mość...

Komendant Rocklys, wyraźnie pozbawiona poczucia humoru, zmarszczyła czoło.

- Ale przecież mamy kłopoty — powiedziała. — A czekają nas kłopoty niepomiarne poważniejsze, jeśli Balgodorus Czarny Nóż dalej będzie się wałęsać po okolicy z wiedźmą u boku... — Zawahała się — użyła południowego określenia na kobiety obdarzone magicznymi zdolnościami, wywołującego pejoratywne skojarzenia ze złem i podstępnością — i uprzejmie poprawiła się szybko: — Z czarodziejką u boku. Chyba się ze mną zgodzicie.
- I chcesz, żeby nasza Jen ruszyła ich śladem.

Rocklys spojrzała na niego odrobinę zaskoczona tym, że logikę jej rozumowania tak łatwo można było prześledzić. „Jak gdyby konieczność wyruszenia w pościg za tą renegatką nie była dla wszystkich oczywista”, pomyślała Jenny.

— Musisz się zgodzić, dla dobra Zimowych Krain.

John zerknął na Jenny, a ta skinęła lekko głową. Westchnął i odparł:

— Ano. — Dobro Zimowych Krain kierowało jego życiem od dwudziestu dwóch lat, od dnia śmierci jego ojca. A nawet jeszcze wcześniej, gdy jako jedyne syna jego ojca oderwano go od książek, muzyki i manipulowania przy blokach i parze, i wciśnięto mu w dłoń miecz.

Cztery lata temu to dobro Zimowych Krain zaprowadziło go na

### 30

Południe, by zaryzykować ciało i kości w walce z Morkelebem Czarnym, tak by król w rewanżu przysłał wojska, żeby strzegły tych utraconych ziem i zaprowadziły w nich na powrót rządy prawa.

- Ano, kochanie, lepiej pojedź. Bóg jeden wie, że jeśli tego nie zrobisz, to się może skończyć oblężeniem Hołd.
- W porządku. — Rocklys kiwnęła głową, choć wciąż jeszcze wyglądała na zdenerwowaną. — Posłałam już jednego z moich ludzi do Skep Dhu, by ładowano juczne konie do drogi, pani Jenny; pojedziesz z dwudziestoma pięcioma moimi ludźmi.
- Dwudziestoma pięcioma? — zapytał John. — W bandzie, która nas zaatakowała, było co najmniej dwudziestu, a wieść niesie, że Balgodus ma teraz pod swoimi rozkazami setki ludzi.

Rocklys potrząsnęła głową.

- Moi zwiadowcy donoszą o nie więcej niż czterdziestu. Do tego to nie wyszkoleni ludzie, hołota i banici, nie mają szans w starciu z regularnym wojskiem.
- Jeśli to będzie możliwe — ciągnęła dalej — sprowadź tę kobietę żywą. Królestwo potrzebuje magów, pani Jenny. Wiesz o tym, rozmawialiśmy już o tym wcześniej. To najokropniejsze przesady sprawiły, że magia nie cieszy się teraz dobrą sławą, że Linie wiedzy wygasły albo zeszyły do podziemia. Powiedziano mi, że wśród gnomów można spotkać magów. To jedno powinno było przekonać mojego wuja i jego poprzedników do popierania raczej niż zakazywania badań nad tą sztuką. A tymczasem co oni uczynili? Sami siebie okulawili, tak że gdy cztery lata temu zły mag pokroju pani Zyerne wystąpił przeciwko nim, nikt nie był przygotowany, by się jej przeciwstawić. Ta sytuacja nie może się powtórzyć. Tak, Geryon?

Odwróciła się, by wysłuchać raportu ordynansa. John położył dłonie na ramionach Jenny.

- Dasz sobie radę? — zapytała go, a on pochylił się, by pocałować ją w usta. Poczula smak krwi, potu i kurzu — on musiał posmakować dokładnie to samo.
- Kto, ja? Mając do pomocy Muffle'a, lana i moje ciotki,

31

gdyby Hołd zostało zaatakowane? Nic się nie bój. — Z udaną śmiertelną powagą poprawił okulary na nosie. — Mam posłać za tobą gońca z porządnyimi butami i paroma jedwabnymi sukniami, na wypadek gdybyś chciała mieć zmianę odzieży?

— Wystarczy mi to, co mam — odparła ponuro Jenny. — Borin miał rację, wiesz? — dodała. — Garnizony bywają irytujące, farmerzy mogą sobie narzekać na wzrastające podatki, ale odkąd się tu zjawily, nie było ani jednego poważniejszego rajdu. Każdej nocy będę obserwować ciebie i Hołd w moim kryształ — szkoda, że moc lana nie wzrosła na tyle, by mógł rozmawiać ze mną przez kryształ lub ogień. Ale w sztuce uzdrawiania jest już całkiem niezły. Jeśli stanie się coś złego... — Uniosła dłoń, dotknęła jego długich włosów, sztywnych od potu, zachodzących mu na twarz.

— Wpleć sobie czerwoną wstążkę we włosy. Zobacze ją, kiedy przywołam twój obraz. Jeśli będę mogła, powrócę do ciebie.

John pochwycił jej dłoń, gdy chciała ją opuścić, i ucałował jej brudne palce, a ona w odpowiedzi pociągnęła jego dłoń w dół, przycisnęła wargi do sztywnej skóry, poobijanej stali rękawicy. Skaff Gradely i chłopaki z Darrow zdążyli już do nich dołączyć, sprzecząc się przez całą drogę z gońcami Borina, prowadząc ze sobą luzaki i bagaże, więc nie było już na co czekać.



—Borin pojedzie z tobą— powiedziała komendant Rocklys

— razem ze swoimi ludźmi. Poślij jednego z nich do mnie, kiedy napotkacie bandytów i ich czarodziejkę. Powiadom mnie, gdzie jesteście i czy potrzebujecie pomocy. Wyślę tylu ludzi, ilu będę mogła, tak szybko, jak tylko będę w stanie. I sprowadź tę kobietę żywą, bez względu na cenę. Złożenie przysięgi wierności koronie sowiec się jej opłaci.

—Niech i tak będzie. — Jenny odwróciła się do Księżycowego Konia i przymocowała do siodła halabardę i łuk. Ciekawe, jaką zapłatę ona sama uznałaby za „opłacalną”, jaką cenę wyznałyby za zdradzenie Johna, zwrócenie się przeciw niemu, przyłączenie się do jego wrogów...

## 32

„Albo”, pomyślała, podczas gdy doborowy oddział pościgowy uformował się wokół niej, „za pozostawienie jego, naszych dzieci i wszystkich mieszkańców Alyn Hołd bez opieki, wiedząc, że w kraju grasuje bandyta?”

Być może dobro Zimowych Krain.

Dobro królestwa, które John uważał za swój pierwszy i największy obowiązek.

Uniosła ku niemu dłoń, odjeżdżając. Trochę dalej, gdy wspięli się na wzniesienie górujące nad wąwozem i zbliżyli się do dąbrowy, w której skryli się bandyci, obejrzała się na komendant Rock-lys gromadzącą swoje wojsko przed marszem do Cair Corflyn, garnizonu na brzegu Czarnej Rzeki, centralnego punktu dowodzenia dla całej sieci nowych majątków i fortów. Te garnizony to dzieło Johna, pomyślała. Opieka okupiona krwią

przelaną w walce ze smokiem przed czterema laty. Jego nagroda.

Tak jak smocza magia w jej żyłach stanowiła jej nagrodę.

Sam John stał na wzgórku nad strumieniem, mała, niewyraźna, czarna postać, odprowadzając ją wzrokiem. Raz jeszcze uniosła rękę, a jego okulary błysnęły niczym lusterka, gdy machał jej na pożegnanie. Malejący księżyc wciąż wisiał nad wrzosowiskami Zachodu, blady sierp przypominający plaster sera.

Niecałe trzy tygodnie później, zanim księżyc zdążył osiągnąć pełnię, prawdziwy smok zaatakował farmy w pobliżu Alyn Hołd.

### ROZDZIAŁ TRZECI

— Sto stóp, panie, ani chybi. — Dekę Brown z Samotnej Sadyby, człowiek znany Johnowi od urodzenia, zaplótł dłonie na kolanach i w blasku świecy pochylił się w bibliotecznym fotelu. Jego twarz pokrywały sińce, a czoło przecinała oparzelina, jaką pozo-

**33**

stawia kropla płonącego kwasu miotanego przez smoki. — Niebieski, ale jakby ukwiecony na złoto, miał złote skrzydła, a rogi całe w czarno-białe pasy, i grzywę jak lew. Zabił trzy krowy, a ja ledwie co zdążyłem zabrać April i dzieciśka do domu, do piwnicy.

Wśród zapadłej nagle ciszy John wyraźnie słyszał ochrypy oddech mężczyzny i łomotanie swojego serca.

Tym razem to nie złudzenie. A jeśli tak, to cholernie dobre.

„Jenny, gdziekolwiek jesteś, potrzebuję twojej pomocy. Sam sobie nie

poradzę".

- Słyszałem we wiosce, że Ned Wooley z Wielkiego Kufla był wczoraj w okolicy — powiedział niepewnym tonem Brown, starając się tak dobierać słowa, by nie zabrzmiały oskarżycielsko. — Gadają, że zabił mu konia i muła na drodze do Dolnych Zagród, i o mały włos nie dopadł jego samego.
- Ano — odparł John. Przełknął ślinę, czując, jak lód skuwa mu wnętrzności. — Przez cały dzień warzymy trucizny i szykujemy się do drogi. Nie widziałeś przypadkiem, w którą stronę odleciał?
- Nie widziałem, panie. Te krowy mnie przybiły. Tylko je mieliśmy. Ale April mówi, że poszedł na północny zachód. Kazała ci powiedzieć, że widziała, jak krążył nad Cair Dhu.
- Ucałuj April ode mnie. — Dobrze znał ruiny starożytnej strażnicy, każdy rów, skarpe i stertę pokruszonych kamieni; bawił się tam w dzieciństwie, ryzykując życie i duszę, jako że demony krwi nawiedzały to miejsce w pewnych porach roku. Polował tam na króliki i ukrywał się przed ojcem. „Przynajmniej będę z nim walczył na znajomym terenie”. — Niech kuzynka Dilly przyniesie ci coś z kuchni, wyglądasz na skonanego. Wyruszę o świcie.

Wziął głęboki oddech, starając się przegnać myśli o smoku.

— Postaramy się znaleźć dla ciebie nową krowę. Jedna z czerwonych kosmatek jest ciężarna; chyba będę mógł oddać ci obie. Clivy pisze, że czerwone krowy dają zdrowsze mleko, zawierające

więcej masła, ale nigdy tego nie mierzyłem — tylko tyle mogę zrobić.

Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę.

„Jeśli wrócę”.

Brown zniknął w dole schodów.

„Jenny, potrzebuję twojej pomocy”.

Za jego plecami zegar wybił pełną godzinę, budząc do życia paradę mechanicznych lwów, słoni, trębaczy i łabędzi w locie. Księżyc zmienił fazę, a alegoryczne przedstawienie Dobra miarowo okładało Zło po głowie złotym młoteczką. John obejrzał to przedstawienie ze zwykłym, poważnym zachwytem, potem wstał i zerknął na wodny zegar bulgoczący cicho w kącie gabinetu.

Różnica jak stąd do nieba.

Kręcąc z żalem głową zszedł z wieży.

Minął kuchnię, gdzie Dilly, Rowan i Jane obstały Deke'a Browna, lamentując nad jego siniakami i wprowadzając go na bieżąco w losy Neda Wooleya — „Miał całe sto stóp i miotał zielone płomienie...”

Iana znalazł na dziedzińcu przed starymi koszarami; ogień pod kotłami odbijał się na jego spoconych, nagich ramionach. Brązowe płomienie lizaly czarne i czerwone słoje z trucizną Jenny, starannie zatkanie i ustawione pod ścianą by nikt na nie nie wpadł ani nie rozbił. Opary piekły Johna w oczy. Powtórka sceny sprzed trzech tygodni.

Miał cholerną nadzieję, że to świństwo zadziała.

- Ojciec. — Chłopak odłożył mieszadło i przebiegł do niego po zachwaszczonym, popękany bruku. Muffle i Adric położyli dźwigane przez siebie naręcza drewna i ruszyli za nim, jak łan rozebrani do samych spodni, butów i dzianych koszul, jak łan pokryci potem. — Ten goniec to...?

- Dekę Brown. Napadł na jego farmę.
- Niech to szlag — powiedział Muffle. Podciągnął pas na potężnym, umięśnionym brzuchu. — A April i dzieci...?

35

- Nic im się nie stało. April widziała, jak wylądował w Cair Dhu.
- To dobrze. — Przybrany brat Johna przyglądał mu się przez chwilę, starając się odczytać jego myśli. Jego nalana, pokryta rdzawą szczecina twarz w dziwny sposób przypominała ich ojca. — Nadal żadnych wieści od Jenny?

John pokręcił głową, a jego twarz nie zdradzała nękającej go niepewności. Zawdzięczał to dorastaniu u boku ojca i jego opiniom na temat tego, co mężczyzna i Lord Alyn Hołd może czuć, a czego nie powinien. Jemu nigdy nie przyszło do głowy, by zbić Adrica za okazywanie lęku — chociaż Adric i tak nie wiedział, co to strach. A łan...

Obdarzone magicznymi zdolnościami dzieci miawały zupełnie inne lęki.

- Gdziekolwiek teraz jest, nie może tu przybyć. — Krwawe światło przyciemniło czerwoną wstążkę, którą wplótł wczoraj w swoje włosy. „Każdej nocy będę obserwować ciebie i Hołd w moim kryształach...” — A już na pewno nie zdąży wrócić na czas.
- Mógłbym pojechać do domu na Oszronionym Wzgórzu. — łan otarł twarz wierzchem dłoni. — Księgi mamy... stary Caer-dinn musiał gdzieś zapisać, jak się rzuca... — zawahał się — zaklęcia śmierci.
- Nie. — John już to sobie przemyślał poprzedniego dnia.
- Nie wydaje mi się, by te trucizny zadziałały na smoka, jeśli przy ich

warzeniu nie użyje się zaklęć śmierci. — Po powrocie z zakończonej wpadnięciem w zasadzkę wyprawy John oczyścił harpuny ogniem i wodą, tak jak nauczyła go Jenny. Był to niezbędny środek ostrożności, zważywszy na niesamowite zdolności małej Mag do otwierania zamków i zasuw, w dostawaniu się w miejsca, które teoretycznie były przed nią zamknięte. Wiedział, że Jenny zawsze skrupulatnie pamiętała o zabezpieczeniu swoich zaklęć Ograniczeniami. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że tak szybko będą znów potrzebne. — Musimy też zaczarować harpuny.

36

- Nie. — Nad tym John także się już zastanawiał. — Nie chcę, żebyś zajmował się tymi sprawami.
  - Ale my nie chcemy, żebyś zginął! — zaprotestował rzeczowo Adric. Muffle uniósł brwi i odwrócił głowę, a wyraz jego twarzy mówił: „Chłopak ma słuszność”.
  - Mama je stosuje.
  - Masz dwanaście lat, łan. — John przełknął ślinę, prosząc bogów, by pomogli mu ukryć strach. — Nie wspominając o tym, że pewne zaklęcia mogą być zbyt potężne dla niedoświadczonego maga...
  - Nie jestem niedoświadczony.
  - ...nie nauczyłeś się jeszcze wszystkiego, co trzeba wiedzieć o Ograniczeniach, a ja nie mam ochoty zejść na trąd w środku walki tylko dlatego, że przekreśliłeś jakieś słowo.
- łan roześmiał się odruchowo, lecz zaraz odwrócił wzrok, zaciskając wargi, by zdusić rozbawienie. Jak wielu chłopców w jego wieku, uważał,

że człowiek stojący w obliczu śmierci nie powinien reagować śmiechem, a już zwłaszcza jego własny ojciec, i nie krył swojej dezaprobaty. John od dłuższego czasu podejrzewał, że jego synowie uważają go za lekkomyślnego.

— Wracaj do mieszania — polecił. — Gęstnieje tak jak powinno? Adric, skoro już tu jesteś, mógłbyś pomóc z drugim kotłem, ale, na miłość boską, włóż rękawice... Przed nami długa noc.

Zrzucił stary czerwony kubrak i koszulę, po czym powiesił oba na kołkach na ścianie warsztatu. Woń siana nadpływająca z pól za Hołd wypełniała noc. Choć do północy brakowało zaledwie paru godzin, wciąż jeszcze było jasno. Zakładając rękawice, John przyglądał się pracującym na oświetlonym ogniem dziedzińcu: swoim synom, bratu, swoim ciotkom, Jane, Rowe i Hol, kuzynce Dilly, donoszącym piwo imbirowe i usiłującym przekonać Adrica, że już czas iść do łóżka. Oglądał ich takimi, jakimi widziałyby ich Jenny w swoim kryształ. Rowe z długimi, przetykanymi siwizną rudy-

## 37

mi warkoczami, Dilly mrużąc krótkowzroczne oczy skierowane na Muffle'a, rozgadani niczym gniazdo srok — prawdziwi władcy Alyn Hołd, bądźmy szczerzy.

„Musi się domyślić, co to oznacza”. Zamknął oczy, rozpaczliwie pragnąc, by Jenny już była w drodze. „Przepraszam. Czekałem tak długo, jak tylko się dało”.

„Teltrevir, heliotrop...” W jego głowie rozbrzmiewały echa starożytnego spisu smoków. „Centhwevir to błękit przetykany złotem. Nymr niebieski, w fioletowej koronie, Glammring Złotorogi, szma-fagdowo lśniący...”

Strzępy informacji i dawnej wiedzy:

*Robaki z mięsa, szkodniki ze zboża, Smoki z gwiazd w  
pustych przestworzach*

Oraz „ocal smoka, zniewól smoka”.

Przekazywane z ust do ust opowieści, w większości zawarte w rozsypujących się tomiskach; streszczenia legend i dziecięcych rymowanek; zniekształcone ballady zgromadzone i podesłane przez Garetha. Wszystkie szczątki wiedzy ocalały w Zimowych Krainach, kiedy królewskie armie porzuciły je na pastwę bandytów, Lodowych Jeźdźców, zimna i epidemii. Zbierał je w ruinach, zestawiał w rzadkich chwilach przerwy w walce o własne życie i życie tych, którzy byli od niego zależni... Wtórne przekazy i spekulacje mędrców, którzy nigdy nie widzieli smoka, a co najwyżej oglądali miejsca dawnych bojów, nerwowo i pospiesznie badali zrytą, skrwawioną i spaloną kwasem ziemię.

Coś z tego być może mogłoby uratować mu życie, ale nie wiedział co.

Antara Pani Wojny podobno podkrađła się do Smoka Weviru zawinięta w świeżo zdartą świńską skórę, według najstarszej, pochodzącej z Jałowej Marchii wersji opowieści o jej czynach. Grimonious Posępne Ostrze miał wystawiać jako przynętę żywe jagnięta.

## 38

**Alkmar Pomazaniec Boży został zabity przez trzeciego smoka, z którym walczył.**

*Selkythar złotowłosa, płomienny miecz jak słońce Szukając miodu  
sławy, gdzie smoka szpony tnące, Zakrzyknął: „Podły gadzie,*



*utoczą twej krwi gorącej".*

John potrząsnął głową. Przez całe życie nie poszukiwał miodu sławy, a gdyby kiedyś przyszło mu to do głowy, nie zacząłby od wjeżdżania na wysokie wzgórze w świetle dnia, tak jak podobno uczynił to Selkythar, i to uzbrojony jedynie w miecz — no dobrze, także i tarczę, jak gdyby tarcza była jakąkolwiek osłoną przed trzydziestostopowym kłębem wirujących kolców, bryzgającym na wszystkie strony kwasem.

—Chłopak może mieć słuszość. — Głos Muffle'a wyrwał go ze wspomnień o Smoku Wyr, czarnych szponach Morkeleba sięgających ku niemu z ciemności...

John zanurzył harpun w kotle i ujrzał, jak ciecz skapuje z ostrza, rzadka jak woda.

- Nie gęstnieje — westchnął. — Może powinienem zawołać cioteczkę .lane. Jej sosy zawsze się ścinają.
- Nie żartuj, synu. — Muffle złapał go za ramię.
- Czemu nie? — John zahaczył harpun o krawędź kotła i zakaszał od dymu. — Jutro o tej porze mogę już być martwy.
- Możliwe — odparł cicho kowal i spojrzał na oświetlonego bursztynowym blaskiem lana. — I co wtedy? Przed czterema laty wytargowałeś od króla przysłanie wojska. *Cóż*, nie powiem, przydało się, ale dobrze wiesz, że to ma swoją cenę. Jeśli zginiesz, jak myślisz, pozwolą twoim chłopakom odziedziczyć po tobie tytuł i ziemię? Prawa południowców zabraniają czarodziejom posiadania majątków ziemskich i piastowania jakichkolwiek godności, a Adric ma dopiero osiem lat. Myślisz, że królewska rada dopuści do tego, by regentką Wyr została wiedźma? Zwłaszcza jeśli przyj-

dzie im do głowy, że bezpośrednie rządy zapewnią szerszy strumień pieniędzy z podatków wpływający do królewskiej kiesy?

- Jestem poddanym króla. — John odstąpił od kotła, palącego piekielnym ogniem jego nagie ramiona. — Sługą króla i przyjacielem regenta. Czego ode mnie chcesz? Żeby nie walczył z tym smokiem?
- Chcę, żebyś pozwolił łanowi zrobić to, o co cię prosi.
- Nie.

Muffle zacisnął wargi, w zadziwiający sposób przypominając teraz ich ojca. Tyle tylko, pomyślał John, że ojciec nie poprzestałby na zaciśnięciu ust ani też nie zareagowałby tym nieskomplikowanym grymasem na odmowną odpowiedź. Kiedy John ostatni raz powiedział otwarcie „nie” Lordowi Averowi, a miał wtedy dwanaście lat, swojemu szczęściu zawdzięczał, że obojczyk zrół się prosto.

- W wiosce powiadają, że chłopak zna się na rzeczy. Ślęczy nad magicznymi księgami w twojej bibliotece tak jak ty nad swoimi tomami o parze, dymach i starych machinach. Wie dosyć...
- Nie — powiedział John. I wtedy, dostrzegając zwątpienie i troskę w małych brązowych oczach pulchnego mężczyzny, dodał: — Są sprawy, o których chłopak w jego wieku nie powinien wiedzieć. Nie tak wcześnie.
- I jesteś gotów zaryzykować życie — życie twoich ludzi — by mu tego oszczędzić?

John zamyślił się, wspominając opowieści Jenny o tym, co kryją kruche karty ksiąg starego Caerdinna. Rzeczy wyczytane w księgach stanowiących część transakcji z księciem Garethem w zamian za to, że

rzucił wyzwanie Smokowi ze Ściany Nast. Rzeczy wyczytane z milczenia Jenny, kiedy zaskoczył ją w jej prywatnym gabinecie, pogrążoną w lekturze w środku nocy.

— Ano — powiedział, dostrzegając zmianę wyrazu oczu Muffle'a. — Tutejsi ludzie znają magię, której używa na ich prośbę Jenny. — Podniósł harpun i obrócił go w dłoni. — A wcześniej

## 40

stary Caerdinn. Magię pomagającą przy porodzie, odpędzającą myszy od spichlerzy po kiepskich zbiorach, odsuwającą o godzinę burzę w czas żniw. Ci, którzy pamiętali moją matkę, w większości nie żyją... — Zerknął na Muffle'a znad okularów. — A i tak z opowieści cioteczek wnioskuję, że matka bardzo się hamowała.

„Z jednym czy dwoma wyjątkami”, pomyślał i zaraz przegnał te niejasne wspomnienia w odległy zakątek umysłu.

— Tutejsi ludzie nie mają pojęcia, czym jest magia — ciągnął dalej John. — Nie poznali jej mocy i nie widzieli, co może zrobić z tymi, którzy jej używają. Zawsze trzeba za nią zapłacić, a czasami inni ludzie też dokładają się do tej zapłaty. Rety — dodał, odwracając się z powrotem do kotła i raz jeszcze zanurzając w nim harpun. — To jest cieńsze niż herbata kuzynki Rowanberry. Dorzucimy trochę mąki, przekonamy się, czy można to zagęścić na tyle, by się do czegoś przydało.

Serce lana biło szybko, gdy ponaglał piętami swego karłowatego kuca do galopu pod Melonowe Wzgórze.

Zaklęcia śmierci.

I smok.

Od zawsze nienawidził harpunów, którymi ojciec zabił smoka z Wyr, dwa lata przed jego urodzeniem. Odruchowo omijał szafkę w zagraconej pracowni ojca, w której były zamknięte. Kiedy dotykał drewna, czuł je, zanim jeszcze zrozumiał, że nosi w swym wnętrzu magię. Czasami śnił o nich, o każdym ohydny zębata i rozwidlonym ostrzu z osobna, szepeczącym w ciemności o bólu, zimnie i rezygnacji.

Matka знаła się na swoim fachu.

Łan zadygotał.

Przez pierwsze osiem lat życia widywał ją sporadycznie, ponieważ mieszkała ze swoimi kotami na Wzgórzu, przyjeżdżając jedynie na parę dni do ojca do Hołd. Potem powiedziała mu — gdy jego własna moc przekroczyła granicę między sennymi marzenia-

41

mi a rzeczywistością— że w tamtym czasie jej moc była nieznaczna. Trzymała się na uboczu, by czytać i medytować, rozwijać swoje ograniczone zdolności. Innym mogła poświęcić niewiele ze swojego czasu.

Wtedy zjawił się Smok ze Ściany Nast.

Rodzice odjechali na Południe, by z nim walczyć, razem z posłańcem, chuderlawym okularnikiem, który po nich przyjechał. Tamten chłopak okazał się księciem Garethem, późniejszym regentem zastępującym niedomagającego króla Uriensa z Belmarie. Wtedy Łan przyjmował jako oczywisty fakt, że jego ojciec potrafi zabić smoka, i szczególnie się tym nie martwił. By jeszcze utwierdzić go w tym przekonaniu, rodzice powrócili bez większego uszczerbku na zdrowiu, i dopiero znacznie później dowiedział się, jak mało brakowało, by nie wrócili wcale.

Od tamtego czasu Jenny zamieszkała w Hołd. Lecz czasami nadal wymykała się na medytacje do kamiennego domu na Oszronionym Wzgórzu i tam właśnie zaczęła uczyć łana, jako że jego myśli nie zaprzątały codzienne sprawy Hołd. W tym cichym domu nie musiał być bratem, kuzynem ani pierworodnym synem swego ojca.

Nawet gdyby łan nie urodził się z magią w sercu, co pozwalało mu widzieć w przejrzystej, niebieskiej ciemności, i tak nie zboczyłby ze szlaku wiodącego z wiejskich pól przez Melonowe Wzgórze. Przeciwny stok usłany był ruinami, śladami po jednym z wymarłych miast, świadczących o dawnej świetności Zimowych Krain i ich późniejszym losie. Pokruszone mury, wypełnione wodą zagłębienia w miejscu dawnych studni, a wszystko spowite mgłą wstającą nad żurawinowymi błotami.

Na szczycie wzgórza odwrócił się i ujrzał, jak jego ojciec i wuj rozmawiają z Peg Stróżką przy bramie wioski. Brama była niska i solidna, zbudowana z gruzu wydobytego z martwego miasta. Nad nią płonęły latarnie, lecz łan nie potrzebował tych ciemnożółtych plam, by dostrzec, jak ojciec odwraca się w siodle Młota Bojowe-

## 42

go, przepatrując pofalowaną linię wzniesień, gestykulując w rytm wypowiedzianych słów.

„Wie, że zniknąłem”, łan poczuł ukłucie winy. Rzucił na Peg urok, zmuszając ją do wstania z łóżka na wieży i opuszczenia dla niego mostu. Tej sztuczki nie nauczyła go matka, poznał ją z jednej z ksiąg Caerdinna i opanował dzięki eksperymentom, głównie na nie podejrzewającym niczego Adricu. Dobrze wiedział, że takie czary stanowiły akt zdrady i gwałtu, i gryzł się ze wstydu za każdym razem, lecz, będąc czarodziejem,

odczuwał potrzebę nauki.

Teraz cieszył się, że to robił.

Wciąż jeszcze było zbyt ciemno, by dostrzec ślady kopyt kuca w błocie. Tak czy owak, domyślał się, że ojciec nie ma czasu na poszukiwania. Tak jak i jemu, nie wolno było mu się ociągać. Otulił się ciasniej starą kurtką i poderwał kuca do szybkiego truchtu przez wyszczerbione mury, gdzie otoczyły ich macki bagiennej mgły.

Zaklęcia śmierci. Na samą myśl o nich zwilgotniały mu dłonie. W głębi serca doskonale rozumiał, że może mu zabraknąć mocy, by zapanować nad nimi, a już na pewno nad przerażającą siłą, jaką przy każdym dotknięciu wyczuwał w harpunach. Ale nie przychodził mu do głowy żaden inny pomysł, jak mógłby pomóc. Odkąd wczoraj nadeszły pierwsze wieści o smoku, desperacko próbował nawiązać kontakt z matką, tak jak — zgodnie z jej opowieściami — robili czarodzieje, spoglądając w ogień czy wodę albo w okruchy zaczarowanego kryształu lub szkła. Lecz jego oczom ukazywały się jedynie niezrozumiałe obrazy drzew, a raz dostrzegł omszały, pionowy głaz i wodę migoczącą w blednym świetle księżyca.

„Pamiętaj o Ograniczeniach”, powtórzył w duchu, przypominając sobie matczyne instrukcje. „A gdy będzie po wszystkim, zbierz kręgi mocy i rozprosz je. Nie pracuj w zamkniętym pomieszczeniu. Nie pracuj w bliskości wody...”

W domu na Oszronionym Wzgórzu musiało być coś, co mogłoby uratować ojcu życie.

Oszronione Wzgórze, twardy granitowy czerep wznoszący się na prawie dwieście stóp ponad podmokłymi nadrzecznymi rozlewiskami, wolny był

od komarów, zamieniających lato w Zimowych Krainach w istny koszmar. Wiosną kwitły tam olbrzymie maki, jesienią żółte stokrotki. Większość wzgórz była jałowa albo porośnięta samym wrzosem i janowcem, lecz Oszronione Wzgórze mogło pochwalić się skromną warstwą żyznej gleby na swym szczycie, gdzie przed setkami lat jakiś wytrwały rolnik uprawiał owies. Teraz był tam ogród matki, otoczony podobnie jak dom blokadami i liniami zabezpieczeń, łan przebiegł je w myślach, mając nadzieję, że uda mu się przejść przez bramę, otworzyć drzwi. „Trójkąt, trójkąt, run Oka...” Podczas jego dwóch poprzednich wizyt pozwoliła mu to zrobić, więc istniała szansa...

W domu paliło się światło.

„Wróciła!” Uczucie radości i obezwładniającej ulgi. Błady poblask świecy, niczym plama na granatowej bryle ciemności. Czerwonawe migotanie kominka rozświetlało uchylone drzwi. Pospiesznie przywiązał wodze kuca do bramy i pobiegł ścieżką. „Wróciła, będzie mogła pomóc!”

Dopiero gdy postawił nogę na pierwszym stopniu, pomyślał: „Gdyby to była matka, pojechałaby prosto do Hołd”.

I wtedy dostrzegł na schodach coś lśniącego.

Zatrzymał się i przykląkł, by się temu przyjrzeć. Jakby odrobiona w szkle muszla, cienka jak bańka mydlana, ukraszona z jednego końca. Troszkę dalej leżała jakby kropla rtęci, błyszcząc na wilgotnym kamieniu w odbitym świetle świecy.

— Nie bój się. — Z wnętrza domu dobiegł niski, przyjazny głos. — Możesz tego dotknąć. Jest całkowicie bezpieczne.

Podnosząc głowę, łan ujrzał mężczyznę siedzącego przy palenisku, mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widział. Masywny, barczysty i o

sympatycznym obliczu, ubrany był podobnie jak południowcy, przybywający z królewskiego dworu, w krótki obcisły płaszcz z podbitego fioletowego jedwabiu wykończonego

#### 44

futrem oraz w jedwabną, otoczoną futrem czapkę z wyhaftowanymi na niej fiołkami. Na nogach miał kosztowne buty, na jego kolanie leżały rękawice ze skóry jelonka, a w palcach obracał jakiś klejnot, szafir mroczny niby morze, łan wiedział, że to czarodziej, bo zdołał wejść do domu, ale i tak zapytał:

- Jesteś czarodziejem, panie?
- Owszem. — Mężczyzna ponownie się uśmiechnął i wskazał palcem na szklaną muszlę i kroplę rtęci na stopniu. — I jestem tu, by ci pomóc, łan. Zechcesz mi to podać, chłopcze?

łan wyciągnął rękę, ale zawahał się, gdyż wydało mu się, że rtęć nieznacznie poruszyła się na stopniu. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że w jej głębi kryją się oczy, zwrócone na niego. Błyszczące oczka jaszczurki albo kraba. Że kropla ma własne imię i, co więcej, że zna jego. Ale w następnej chwili pomyślał: „To wina oświetlenia”. Ostrożnie zebrał to coś w dłoń.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Alkmar Pomazaniec Boży, największy spośród starożytnych bohaterów — tak przynajmniej powiadano — w służbie króla Er-nine zabił dwa smoki, choć według księcia Garetha, w późniejszej wersji jego legendy



wywodzącej się z Impertengu, mówiło się o czterech. Użył do tego lasa wykonanego z łańcucha oraz rozżarzonej do czerwoności żelaznej włóczni, którą miotał każdemu smokowi prosto w pysk. „Musiała być na linii”, pomyślał John, choć wiedział, że Alkmar mierzył siedem i pół stopy wysokości, był potężny jak wół i zapewne miał dużo czasu na ćwiczenia z włócznią.

Ktoś mierzący niecałe sześć stóp i umięśniony jak trzydzie-stoośmioletni mężczyzna, który większość życia spędził w siodle,

45

objeżdżając pogranicze bez względu na pogodę, zapewne będzie musiał uciec się do alternatywnych strategii.

John Aversin przygarbił ramiona i nadstawił uszu, mając wielką nadzieję, że sierżant Muffle i rezerwowe konie zachowują absolutną ciszę w bazie wypadowej przy Głębokim Potoku. Trzy i pół mili powinno chyba wystarczyć?

Ciekawe, że największy bohater starożytności miałby ciskać czymś w smoka, zamiast szlachetnie odrąbać mu głowę jednym ciosem miecza, i niech szlag trafi Selkythara, Antarę Panią Wojny i Grimoniouosa Posępne Ostrze, uprzejmie dziękuję.

Młot Bojowy prychnął i nastawił uszu. Choć wiatr wiał z północy, od ruin Cair Dhu, jeśli rumak potrafił stąd wywęszyć smoka, to może smok mógł zwęszyć i ich?

Albo usłyszeć, zważywszy na całkowity brak radosnego, porannego świergotu ptaków?

Zguba Smoków. To on powinien znać odpowiedzi na te pytania.

John napiął mięśnie ramion. Zbocza parowu wciąż jeszcze go osłaniały,

a szmer strumienia powinien zagłuszać stukot kopyt Młota Bojowego. Ze smokami był ten problem, że zazwyczaj nikt nie miał pojęcia, jakie podejście jest najskuteczniejsze.

Zsunął się z siodła, skontrolował pasy i harpuny w pochwach. Podniósł po kolei każdą z nóg rumaka, by sprawdzić, czy w kopytach nie utkwily jakieś kamienie. „Tylko tego by mi brakowało”. Jednocześnie przed oczyma miał układ ruin. Spenetrował je przed kilkoma miesiącami, niewiele mogło się zmienić od tego czasu. Smok na pewno zrobił sobie legowisko w krypcie.

Będzie musiał go tam dopaść, zanim gad wzbije się w powietrze.

„Schody, hol, drzwi, drzwi...” Jak szybko porusza się zaalarmowany smok? Morkeleb wyślizgnął się z mroku wielkiej hali targowej Głębi Ylferdun niczym atakujący wąż. Pokruszone mury, pochyłe zbocze, cały teren pokryty płataniną wrzosu i odłamków kamienia. Przecinały go niewidoczne, zarośnięte chwasy-

46

tami rowy... „Świetne miejsce na galop”. Przynajmniej okolica nie była mu obca.

Wcisnął głębiej na głowę żelazny hełm, czerwona wstążka nadal trzepotała w jego włosach. „Jen, jestem w opałach, potrzebuję cię, wracaj natychmiast...”

Choć podejrzewał, że gdyby w tej chwili przywołała jego obraz, niepotrzebna byłaby żadna czerwona wstążka, by ją zaalarmować.

Raz jeszcze poprawił okulary, opuścił rękę, by dotknąć jednego ze spoczywających w olstrach harpunów, i wziął głęboki oddech.

„Podły gadzie, utoczę twej krwi gorącej”, pomyślał i uderzył konia ostrogami po bokach.

Z odległości pięciuset jardów wiedziały już, że nadjeżdżasz, z wiatrem, pod wiatr, w ciemności czy burzy. Wszystkie ballady były w tej kwestii zgodne. Może trochę wcześniej. Może znacznie wcześniej.

Młot Bojowy wypadł galopem na otwartą przestrzeń, mury ruszyły mu na spotkanie: popękane kamienie, lica zewnętrznych murów, karłowate sosny i wierzby rosnące wokół. Teraz wszystko było zniszczone i spalone smoczym ogniem i jadem jego oddechu. Widział go w wyobraźni, sunącego w górę po zrujnowanych schodach. Sto stóp... „Boże Ziemi, w tym jednym mogliby się pomylić...”

Pojawił się w strzaskanej bramie. „Centhwevir to błękit przetykany złotem”. Pięćdziesiąt stóp przed nim, wznosząc się na długich tylnych nogach, odwracając ptasią głową. Błękitny jak goryczka, jak lazuryt i powój, opalizującym błękitem letniego morza, upstrzonym, popretykanym i splamionym żółcią jaskrów, o oczach jak bliźniacze płynne opale, złote jak starożytne szkło. Jego piękno zaparło mu dech w piersi, gdy sięgał dłonią za siebie, by zacisnąć ją wokół rękojeści najbliższego harpuna, wiedząc, że jest za daleko na celny rzut, i myśląc: „Sześćdziesiąt stóp co do cała...”

**47**

„Centhwevir to błękit przetykany złotem”.

Stworzenie wślizgnęło się pod bramę, rozpościerając skrzydła, a John cisnął harpunem, wkładając w to całą siłę ramienia, barków, ud, wszystkich mięśni w swoim ciele. Harpun uderzył w różowe zagłębienie

pod prawym skrzydłem, gdzie skóra była delikatna jak aksamit, ale on już ściągał wodze Młota Bojowego, zawracając go, oddalając się od smoka, chwytając następną broń, biorąc zamach do uderzenia w pysk.

„Alkmar, jeśli zasiadasz teraz wśród bogów, przydałaby mi się twoja pomoc...”

Tym razem chybił, gdyż węzowa szyja zaatakowała, wielka, wąska głowa smoka otoczona była ochronną kryzą czerni i bieli, pierwiosnka i cyjanu. Młot Bojowy zakwiczał, wywrócił się i przetoczył, zbity z nóg podstępny ciosem smoczego ogona. John wyrwał stopy ze strzemion i odskoczył wiedziony instynktem. Żółtozielony kwas zbryzgał wrzosa u jego stóp, sztywne rośliny z miejsca zajęły się ogniem.

„Młot Bojowy”. Usłyszał, jak koń ponownie kwiczy boleśnie, lecz nie odważył się spojrzeć w jego kierunku, zgarnął jedynie z ziemi cztery harpuny — tyle tylko udało mu się chwycić — i pobiegł w stronę smoka.

„Nie pozwól mu wyjść z bramy. Nie pozwól mu wyjść z bramy. Jeśli utrzymasz go na ziemi, masz jeszcze szansę”.

Gwiezdny smok zaatakował ponownie, łbem i ogonem, plując kwasem, który zapalał się w zetknięciu z powietrzem. John rzucił się pod osłonę wyszczerbionego muru, potem odtoczył się w bok i doskoczył szybko, uderzając w falującą ścianę niebieskich i złotych kolców. Wokół nich wrzosa płonęły jaskrawym płomieniem, dym gryzł go w oczy. Smok atakował, chlastał ogonem, zepchnął go w tył, wyslizgując się spomiędzy ograniczających mu swobodę ruchu murów. John uderzył harpunem, usiłując go zatrzymać, złociste sztylety pazurów zahaczyły o jego nogę, wytrącając z równowagi. Dźgnął ponownie harpunem, gdy łeb smoka opadł w jego

stronę, sięgając go wilgotnymi dłutami zębów, wytaczając z niego parzące rozbryzgi krwi.

Ciął na oślepie, ogarnięty falą gorąca, próbując się uwolnić. Raz upadł i stoczył się do starej fosy na sekundę przed tym, jak kolczasta gałka na końcu smoczego ogona zaryła się w ziemię. Czuł, że jest ranny i krwawi obficie, ale nie wiedział, kiedy i jak to się stało. Był świadom wyłącznie bólu i trudności z oddychaniem. Wbił drugi harpun, potem trzeci, aż nagle rozległ się ogłuszający, przeraźliwy szelest skórzastych skrzydeł i ujrzał, jak słońce przesłaniają złociste błony, lśniące purpurowe żyły — smok wzbił się w powietrze, nieważki niczym gnany wiatrem liść. John rozpaczliwie odskoczył pod osłonę pochylonej ściany i ku swemu zdumieniu stwierdził, że nie może ustać na nogach.

„Cholera jasna”.

Skrył się pod murem na moment przed tym, jak fala kwaśnego ognia spłynęła z nieba; dym, opary, jad. Umysł zasnęła mu mgła, z wysiłkiem wcisnął się głębiej w szczelinę, pospiesznie zastanawiając się, co dalej, jak wydostać się stąd i zaczekać, by trucizna zaczęła działać. Może mąka, której użył do zagęszczenia, osłabiła jej działanie? Ból łydki i uda, męcące myśli osłabienie powiedziały mu jasno, gdzie został trafiony. Niezgrabnymi palcami wygrzebał z kieszeni jedwabną chustę Jenny, obwiązał nią nogę, a potem ogień, kwas i jad ponownie zalały osłaniający go głąz. Dym. Żar.

„Zerwie kamienie z wierzchu...”

Wyciągnął zza pasa topór, uderzył nim po żłobiących kamień i rwących korzenie pazurach. Wielka, pięciopalczasta łapa, o średnicy osiemnastu

cali. Rąbnął ją ze wszystkich sił, a tryskająca z rany krew sparzyła mu twarz. W górze, ponad chroniącym go kamieniem, usłyszał ryk Centhwevira i osłona zaczęła się zapadać na niego, uderzona monstrualnym ogonem.

„Cholera, masz w sobie tyle trucizny, że mógłbyś przynajmniej poczuć się podle!”

49

Mur nad jego głową się zawalił. Ciemność, ból, ogień palący jego skrwawione ciało.

Bezruch.

Powoli zaczął tracić świadomość, jak gdyby kurczowo trzymał się skalnego występu nad otchłanią. Wiedział, co kryje się w jej głębi, i nie chciał patrzeć w dół.

Twarcz łana, przesłonięta dymem i trującymi oparami, błyszcząca od łez. Sam nie umiałby uronić łzy nad swoim ojcem, nie jako dwunastolatek, nie jako szesnastolatek, kiedy ten wrzeszczący, wiecznie rozzłoszczony i zaczerwieniony człowiek zginął, w ogóle nigdy. Przed jego oczami pojawił się nowy obraz, dym piekący go w oczy unosił się teraz z pergaminu zwijającego się i czerniejącego na palenisku w Alyn Hołd. Ból płynął z połamanych żeber, gdy patrzył na tę wielką, niedźwiedziowatą postać, czarną na tle kominka, w którym płonęły jego księgi: stara kopia Polybiusa wyblągana od jakiegoś kupca, dwa tomy sztuk Dary-gambe'a, po które jechał przez tydzień do Eldsbouch...

Wrzaskliwy głos ojca:

„Mieszkańcy Hołd nie potrzebują nauczyciela. Nie chcą jakiegoś dupka, który będzie im opowiadał, jak to para potrafi obracać koło i jakie

kamienie mogą znaleźć na dnie zafajdanego morza! Co im z tego przyjdzie, kiedy z północy nadciągną Lodowi Jeźdźcy albo czarne wilki zaatakują ich zagrody w środku zimy? Żyjemy w Zimowych Krainach, durniu! Potrzebują kogoś, kto będzie ich bronił, własną krwią i potem! Kto odda w ich obronie życie!"

Za jego plecami rozmyta ściana ognia — w tym światłocieniu czerwonego blasku i przy słabym wzroku wszystko było rozmyte — pożerała księgi Johna.

W ogniu dostrzegał jeszcze inne rzeczy.

Odległą wizję wysokiej, szczupłej kobiety, czarnowłosej, sza-rookiej, stojącej na murach Hołd z siwym wilkiem u boku. Wiatr szarpał futro jej kołnierza, a jej wzrok przebiegał wrzosowiska

50

i strumienie kamiennego, ponurego pustkowia, które stanowiło kiedyś pogranicze królestwa. Matka, choć nie pamiętał jej głosu ani dotyku, niczego, co się z nią wiązało, oprócz towarzyszącego mu przez lata pragnienia, by ją odszukać, pragnienia, które nigdy się nie ziściło. Jedną z wioskowych dziewczyn była jej uczennicą, chuda, drobna, o wąskiej śniadej twarzy na wpół przykrytej morską czernią włosów i o dziwnym, kanciastym uśmiechu.

Wydało mu się, że słyszy teraz jej głos.

— Trucizna nie będzie długo działać — zdawała się mówić. — Musimy go wykończyć.

Nie mówiła o niebiesko-złotym smoku, tylko o tamtym pierwszym, złotym smoku, pięknym stworzeniu utkanym ze słonecznego blasku i lśniących niczym szlachetne kamienie purpurowych, czerwonych i

czarnych wzorów.

I miała rację. W tamtym boju także został ranny, w wąwozie po drugiej stronie Wielkiego Kufla. Jej słowa przywróciły mu jasność umysłu. Nie można było sprawdzić, czy trucizna zabije smoka czy tylko oszołomi go na jakiś czas. Nadal tego nie wiedział. Tak jak wtedy, trzeba było zakończyć sprawę toporem.

Potrzebował całej siły woli, by otrząsnąć się z oszołomienia. Zaprawa wiążąca osłaniający go mur wykruszyła się z upływem czasu. Kwaśna maź przesączała się przez szczeliny, plamiąc granitowe głązy. Kępy chwastów i krzaki tliły się kapryśnie. Bolało go tak, jakby miał połamane wszystkie kości, był słaby i półprzytomny, lecz rozumiał, że lepiej zabrać się do roboty, w przeciwnym razie będzie musiał przechodzić przez to wszystko jeszcze raz.

„Krew i pot”, powiedział ojciec. „Krew i pot”.

„Zafajdany skurwysyn”.

Uniósł dłoń, gmerając niezdarnie przy okularach. Kamienna płyta, która go ogłuszyła, wbiła stalowe oprawki w ciało, ale szkła były całe. Czar, jakim zabezpieczyła je Jenny, jak na razie nie zawodził. Wziął ostrożny oddech i lodowaty kolec cierpienia przeszył go od stóp do głów, nie omijając brzucha i podbrzusza.

51

Na zewnątrz panowała cisza. Nagle zakłóciło ją przeciągłe, chrapliwe sapnięcie, przytłumiony zgrzyt metalu po skale.

Smok jeszcze się ruszał. Ale był unieszkodliwiony.

„Za mało czasu. Za mało czasu”.

Odsunięcie kamienia wymagało wytężenia wszystkich sił. Kwas palił



mu dłonie, przenikając przez zwęglone rękawice. Skalne okruchy i grudy ziemi zasypały mu oczy. Wysunął ramię ponad granitowe fundamenty i przeciskał się na zewnątrz cal po calu, jak gdyby wydłubywał sobie kości z ciała, kawałek po kawałku.

„Topór”, pomyślał, walcząc z mdłościami, walcząc z pulsującą szarością czającą się pod powiekami. „Topór. Jenny, nie dam sobie bez ciebie rady”.

Słońce wdarło mu się do mózgu niczym dwa rozżarzone kolce wbite w oczodoły. Musiał odczekać chwilę, by przestało mu się kręcić w głowie.

Centhwevir leżał przed nim, rozciągnięty wśród ruin, fantastyczna szachownica błękitu i złota. Jego pasiaste motyle skrzydła były rozpostarte szeroko, spod jednego sączyła się czarna posoka. Przecudne czarno-białe futro pokrywało jego ptasią głowę: długie łuski niby złota blacha, rogi pręgowane wzdłuż i wszerz, czułki zakończone lśnącymi niczym klejnoty gałkami. Kolce, szpile i ostre jak brzytwa łuski biegły wzdłuż kręgosłupa, migotały w stawach szczupłych, śmiertelnie groźnych przednich łap, na potężnym, wąskim zadzie, na całej długości morderczego ogona. John oceniał go na jakieś sześćdziesiąt pięć stóp, o rozpiętości skrzydeł dwukrotnie większej. Największy gwiazdny smok, jakiego w życiu widział.

Przez mgłę wyczerpania i dym przebiła się muzyka. Subtelne frazy i urywki melodii wygrywane przez Jenny na harfie, strzępy zapomnianych pieśni kryjące prawdziwe imiona smoków. A wraz z nimi wspomnienia starożytnych spisów Jenny: „Teltrevir— he-liotrop; Centhwevir to błękit przetykany złotem”.

Starożytne stworzenia, wiekiem przekraczające ludzkie zdol-

ności pojmwania, będące tematem tysiąca dziwnych legend i okruchów pieśni.

„Najpierw skrzydła”. Zmusił się, by przezwyciężyć przerażenie i obrzydzenie, odrazę, jaką czuł do siebie za to, że zniszczyć musi coś tak pięknego. Pojedynczy smok potrafił w kilka tygodni zniszczyć gospodarkę Zimowych Krain, a nie można było po prostu przepędzić go tak jak bandytów czy wilki. Jenny miała rację. Smoki będą próbowały żerować na garnizonowych stadach. Bandyci i Lodowi Jeźdźcy będą przyglądać się uważnie rozwojowi wypadków, czekając na pierwsze oznaki ich słabości. By przegnać ludzi króla i jego prawo, by móc ponownie bezkarnie łupić tę ziemię.

Jak we śnie odnalazł topór, uwolnił go z wysiłkiem spomiędzy głazów, które zapewniły mu schronienie. Smród spalonej ziemi i kwasu otępił mu zmysły. Dłonie i stopy przeszywał lodowaty chłód, pierwszy znak nadchodzącego szoku. „Nie teraz”, pomyślał. „Cholera, nie teraz!”

Centhwevir poruszył głową, spojrział na niego swymi płynnie złocistymi ślepiami.

John poczuł napływającą falę słabości, jego świadomość zaczynała rozsypywać się niczym tratwa na wzburzonym morzu.

Zgrzytnął kamień. Szelest osypujących się okruchów po drugiej stronie starego muru obronnego.

„Muffle!” Serce Johna zabiło mocniej. „Nie posłuchałeś mnie, przyszedłeś po mnie! Wyczałowałbym cię za to, ty wielki świński ryju!”

Ale to nie kowal pojawił się chwilę później na murze, w bladym porannym blasku.

John nie znał tego człowieka, był obcy w Zimowych Krainach. Miał

dobrze po pięćdziesiątce, był masywny i barczysty, spokojny uśmiech rozjaśniał mu twarz. Między nadpływającymi w miarowych odstępach falami purpurowej boleści John zdążył pomyśleć, że mężczyzna wygląda na zamożnego; choć nie poruszał się wy-

53

studiowanym krokiem dworzanina, jego ruchy nie wskazywały też na to, by nażycie zarabiał pracą fizyczną czy walką. Fioletowy jedwab jego płaszcza mógł powstać jedynie w pracowni farbiarskiej na Południu. Haftowana czapka przykrywała siwe włosy, w dłoni trzymał laskę o głowicy wyrzeźbionej na podobieństwo głowy go-blina, w którego pysku płonął biały księżycowy kamień.

John pomyślał z dziwnym rozbawieniem, walcząc o każdy oddech z rozprzestrzeniającym się przez jego omdlewające ciało zimnem, że jeśli to złudzenie, to jest cholernie szczegółowe. Spadł z nieba czy co? A może uwiązał swojego wierzchowca w jakiejś kryjówce? W każdym razie niósł ze sobą juki, brązowe klamry szczękały cicho przy każdym jego kroku w dół stromizny. W połowie drogi przez rumowisko zatrzymał się i odwrócił głowę w stronę Johna. Nie wyglądał na zaskoczonego, ani widokiem zdychającego smoka, ani okaleczonego człowieka.

Choć dzieliło ich kilkanaście jardów, John z postawy przybysza, jego przygarbionych ramion i pochylenia starannie wypielęgnowanej głowy, wyczytał, że ten postawił już na nim krzyżyk. Bez znaczenia. Umiera, można o nim zapomnieć.

Mężczyzna przeszedł obok niego i skierował się ku smokowi.

Centhwevir zawinął słabo ogonem i uniósł z sykiem głowę. Obcy cofnął się o parę kroków. Potem ostrożnie obszedł go z drugiej strony. „Właśnie”,

pomyślał John, zirytowany mimo gasnącej świadomości. „Ta kolczasta kula na końcu ogona służy nie tylko do imponowania smoczycom, jełopie”. A może to wszystko tylko mu się zwidywało?

Nie miał pewności. Ból przybrał na sile, by zaraz osłabnąć, a w kłębach dymu powstawały i rozpadały się coraz to nowe obrazy. Ponownie ujrzał ojca, okładającego go ciężkim drewnianym mieczem i ryczącego; „Użyj tarczy! Tarczy, do jasnej cholery!” Tarczy, której dziecko nie było w stanie udźwignąć... Zapewne złudzenie. Takiej pewności nie miał natomiast co do widoku eleganckiego osobnika w fioletowym jedwabnym płaszczu, wyciągającego z ju-

## 54

ków kolec, unoszącego go pod słońce. Nie, to nie był kolec, a raczej soplel o jądrze z rtęci... Ciekawe, skąd wziął soplel w czerwcu?

Umysł Johna powędrował śladem opisu produkcji lodu z soli — który przeczytał kiedyś u Honoribusa Epullisa usiłując zlokalizować źródło tej wzmianki, i przez jakiś czas błąkał się wśród mglistych halucynacji pełnych naczyń, siana i chłodu. Wielkiego chłodu. Muzyka harfy Jenny raz jeszcze przywróciła go do przytomności i stwierdził, że nie mogło to trwać dłużej niż parę sekund, gdyż mężczyzna w fioletach stał na smoczym karku, dokładnie nad kręgosłupem stworzenia. Białe bagniste słońce zamigotało na oszronionym soplu, gdy obcy wbił go u nasady smoczkiej czaszki.

Centhwevir rozwarł pysk i ponownie zasyczał. „Nie trafiłeś w rdzeń, stary durniu”. John chciał podejść do nieznajomego, zabrać mu broń i zrobić to, jak należy. „Masz go pod samym nosem. Mam nadzieję, że ten soplel nie był ostatni”.

Ale mężczyzna odstał od smoka, wsunął łaskę pod pachę i wyciągnął z torby znajome Johnowi przedmioty: krwiste i srebrzyste fiołki, laseczki złota i ametystu. Rekwizyty magii. „Jen mówiła, że jesteś kobietą”. Magii leczniczej. Centhwevir leżał nieruchomo, lecz jego długi kolczasty ogon poruszał się mimowolnie, jak u kota. „Cholera, ta trucizna by zadziałała!”. Mężczyzna rozłożył na ziemi zieloną jedwabną płachtę i zaczął tworzyć na niej krąg mocy. Czując, jak wypływa z niego życie, John z rozpaczą patrzył, jak przybysz przywołuje moce sprowadzające życie na powrót z rubieży mroku.

„Nie!” John spróbował się poruszyć, zebrać siły, by się podnieść, zanim dotarło do niego, jak głupi to był pomysł. „Cholera, nie!” I tak nie było sensu się szarpać, skoro miał w sobie za mało energii, by choćby kiwnąć palcem. Z rozpaczyci chciało mu się płakać. „Będę musiał zaczynać wszystko od nowa!”

A może trafił do piekła? Ojciec Anmos, kapłan z Cair Corflyn, na pewno by tak powiedział. Jakaś diabelska kara za grzechy, po-

55

legająca na nie kończącej się walce z tym smokiem? Może osobnik w fioletowym płaszczu uleczy i jego, włoży mu do ręki topór i parę harpunów, po czym powie: „Przykro mi, stary, bierz się do roboty”? Czy Młota Bojowego też wskrzesi? Co takiego zrobił biedny Młot Bojowy, by przez całą wieczność ginąć w tym samym boju z tym samym smokiem?

Ta beznadziejna perspektywa przez jakiś czas zaprzętała jego myśli, poruszając się w rytm splecionych złociście nut tamtej zapamiętanej melodii — a może to ten czarodziej na wrzosowisku wygrywał ją na flecie? — i wizji ciemności, gwiazd nie migoczących, lecz płonących

odległym, stałym blaskiem.

Wtedy jakby z wielkiej oddali ujrzął łana, stojącego na szczycie wyszczerbionego muru, tam gdzie wcześniej pojawił się nieznany czarodziej.

„To nie może być złudzenie”, pomyślał John. „Ma na sobie swoją starą kurtkę”. Jej rękaw poplamiony był warzonymi w nocy truciznami.

U boku smoka czarodziej wyciągnął rękę.

Łan zeskoczył lekko z muru, przeszedł przez spaloną dymiącą ziemię bez cienia wahania, bez zmrużenia oka, brudna opończa trzepotała na wietrze. Smok podniósł głowę, mag uśmiechnął się, a John pomyślał nagle: „Łan, uciekaj!” Spanikował bez przyczyny, jakby nagle zrozumiał, że mężczyzna w haftowanej czapce jest zły, że ratując smoka, nie miał dobrych zamiarów.

Smok przysiadł na zadnich nogach jak pies, składając swoje świetliste, skrwawione skrzydła. Zranioną nogę trzymał w powietrzu. John spostrzegł, że rozcięcie zostało starannie zszyte. Czarodziej, który uratował mu życie, odłożył flet z kości słoniowej.

Powiadano, że ocalony smok zamieniał się w niewolnika. Prawdą było to, że gdy Jenny uratowała życie Morkelebowi Czarnemu, Smokowi ze Ściany Nast, dokonała tego za pomocą smoczego imienia. Muzyka, okrucieństwo uratowany z otchłani czasu, dodał jej mocy. „Ocal smoka, zniewól smoka...”

56

„Łan, wracaj!”

Chciał to wykrzyczeć, ale zabrakło mu tchu.

„Łan, nie!”

John uniósł się na łokciach, potem wsparł na dłoniach. Czuł się tak, jakby wszystkie mięśnie miał pozrywane, „łan!...”

Chłopak zatrzymał się, jak gdyby usłyszał jego głos. Odwrócił się, podszedł do Johna i spojrzał na niego z góry. Jego lśniące szafirowe oczy nie miały teraz w sobie nic z niego, nic z Jenny. Nic ludzkiego.

Z niemalże przyjaznym uśmiechem na twarzy łan kopnął Johna w bok, jakby kopał zdychającego psa, który go pokąsał.

Potem odszedł.

Gdy mgła przesłaniająca Johnowi wzrok przerzedziła się nieco, ujrzał, jak smok Centhwevir pochyła się ku ziemi, jak obcy czarodziej usadawia się wśród kolczastych grzebieni na jego grzbiecie. Wyciągnął rękę i pomógł łanowi usiąść za sobą. Niczym chabry i żonkile rodem z sennych marzeń, niczym lazuryt i złocista muzyka, gwiazdny smok rozłożył skrzydła.

— łan... — Miał wrażenie, że upadł na brzoś, ale i tak próbował pełznąć, jak gdyby był w stanie ich sięgnąć, porwać syna.

Księżycowy kamień w lasce czarodzieja zaśnił oślepiająco. Smok oderwał się od ziemi niczym uniesiony wiatrem latawiec. Nieważki i nieskazitelnie piękny uniósł się w powietrze. John bezskutecznie spróbował zawołać syna po imieniu, choć nie miał pojęcia, co mógłby w ten sposób osiągnąć.

Wiedział tylko jedno — smok zabierał mu syna.

„Halucynacja”, pomyślał, raz jeszcze widząc twarz łana i piekielny ogień ukryty w jego błękitnych oczach. „To musi być halucynacja”.

Pochłonęła go ciemność.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

— Niech cię szlag trafi, John. — Jenny Waynest opadła na siennik i przykryła usta dłonią. Była roztrzęsiona. — Niech cię szlag. — Jeszcze przez chwilę obrazy żarzyły się w samym jądrze płomieni: błękitno-złoty smok konający we własnej krwi, ludzka postać w zniszczonym kubraku z czarnej skóry i żelaznej zbroi. Potem zgasły.

„łan”, pomyślała. „To na pewno łan”. Mag nie jest w stanie wypatrzeć drugiego maga w ogniu, wodzie czy kamieniu bez przyzwolenia obserwującego. „Pani Ziemi, spraw, by przybycie łana zakłóciło tę wizję”.

łan był już wystarczająco dobrym uzdrawiaczem, by przy odrobinie szczęścia uratować ludzkie życie. A przynajmniej powstrzymać krwawienie, podtrzymać oddech. Zatrzymać zimno szoku, zanim dotrze do serca. John zabroniłby mu pójścia za nim, ale znając łana, istniało duże prawdopodobieństwo, że tak właśnie uczynił.

Zamknęła oczy, starając się uregulować oddech, powstrzymać drżenie przebiegające przez jej ciało. „Boże Ziemi, pomóż mu...”

Przez okno za jej plecami dobiegały głosy. Żołnierze na dziedzińcu.

- Bogowie, w nocy myślałem, że już nas ma.
- Nie ma mowy. — Akcent z Południa; jeden z kilkunastu, którzy pozostali z dwudziestki piątki, jaka wyjechała z nią z Ko-białkowych Wzgórz. — Koniec końców to tylko bandyta.

Ale to nie była prawda. A dokładniej, ktoś w jego oddziale nie był tylko zwykłym rabusiem. Było też aż nader widoczne, że informacje Johna



dotyczące liczebności bandy — i jej potencjału — były znacznie dokładniejsze niż dane Rocklys. Cóż, w końcu nawet południowcy się nauczą — jeśli pożyją wystarczająco długo.

## 58

Dym palenisk, przy których przygotowywano śniadanie, podrażnił powonienie Jenny, przypominając jej o głodzie. Znajdowali się w Palmorgin, największym z nowych ufortyfikowanych majątków w głębi lasu Wyr, kiedy Balgodorus zawrócił i zaatakował. Na szczęście w spiżarniach były pokaźne zapasy zboża. Zapewne wpłynęło to również na wybór obiektu ataku, choć tego Jenny nie była pewna. Musieli wiedzieć, że za nimi jedzie, i najwyraźniej ich celem było wyeliminowanie jej; pozbawienie Johna — i Rocklys — magicznego oręża. Ponadto dobra stal południowych mieczy, strzał i włócznie zmagazynowanych w Palmorgin byłaby dla bandytów cenną zdobyczą. Początek lata — przed rozpoczęciem żniw — stanowił trudny okres zarówno dla bandytów, jak i dla zwykłych ludzi. Rodziny z okolicznych farm zdołały zwieźć do fortu resztki zeszłorocznego owsa i jęczmienia, niektórzy uratowali też trochę świń, krów i kur, ale pan na Palmorginie, Pellamor, i tak skonfiskował wszystko i zmagazynował pod strażą. Po tygodniu oblężenia, bez widoków na rychłą odsiecz, Jenny była zadowolona z tego, że stary baron tak się zabezpieczył.

Ich położenie było ciężkie nawet bez widma głodu stukającego do okien.

Umysłem opuściła skład, w którym spała, przeszła korytarzem obok strażnika i wyslizgnęła się na parapet biegnący wzdłuż zewnętrznego muru majątku. Przysłuchiwała się i rozglądała, sprawdzając wszystkie

ostrzegawcze i ochronne zaklęcia, jakimi obłożyła to miejsce, by sprawdzić, czy podczas jej kilkugodzinnego snu po odparciu nocnego ataku nie użyto przeciwczarów. O świcie będzie musiała niezwłocznie odbyć ten obchód osobiście, ale to wstępne badanie wielokrotnie zwróciło już jej uwagę na słabe punkty, do których normalnie nie dotarłaby prędzej niż po godzinie: pożary rozpalające się w stajniach czy w dachu nad kuchnią, uroki nieuwagi i snu szepczące strażnikom do uszu.

Wiedźma Balgodorusa знаła się na swojej robocie.

Podczas sondowania Jenny słyszała w tle inne głosy. Kobiety

59

pracujące w kuchni plotkowały o bzdurach i obgadywały nieobecnych:

- Łazi za Eamonem jak zwykła dziwka...
- A jak myślisz, kim była jej matka? A żona Eamona jest w ciąży!

Żadna nie miała odwagi mówić o dręczących wszystkich obawach: „Co się stanie, gdy Balgodorus przedrze się przez bramę?”

W wioskach na wschodzie spotykała kobiety, które doświadczyły najazdów Balgodorusa, które nosiły na twarzach maski, nie zdejmując ich aż do śmierci. Uznano je za niewystarczająco urodziwe albo silne, by mogły trafić na odległy targ niewolników na południowym wschodzie.

Gdzieś rozbrzmiał śmiech dziecka, mała dziewczynka cierpliwie wyjaśniała towarzyszowi zasady gry w dwa ognie. Wiele band z zasady zabijało dzieci, jako że ich wykaimienie było zbyt kosztowne. Wataha Balgodorusa była jedną z nich.

„łan...”

Jenny zmusiła się do koncentracji.

Mury, kuchnia, koszary.

— Trzy lata harówy na tym dzikim zadupiu, wznoszenia tego muru, czyszczenia pól, picia krowich szczyn, które tutejsi nazywają winem. — Męski głos, niewątpliwie jeden z osadników przysłanych na północ z królewskich ziem w Greenhythe czy Belmarie. — I po co? Gdyby ci ludzie mieli tyle rozsądku, ile Siostra Illis ofiarowała kozom, wynieśliby się stąd sto lat temu...

Jenny westchnęła. Siostra Illis to południowe imię Bogini o Wielu Barwach. Co do wyrażanych przez mężczyznę uczuć, podzielała je większość pańszczyźnianych chłopów przesiedlonych tu siłą ze swoich wiosek. Nie wszystko obejmowało sztampowe zakończenie „i żyli długo i szczęśliwie”; jedną z tych rzeczy był fakt, że za wszystko trzeba było zapłacić.

— Któryś z nich musi się przedrzeć — usłyszała wyraźnie zgrzytliwy głos barona Pellanora. Jednocześnie ujrzała go oczami

60

wyobraźni — wysokiego, żylastego, siwiejącego mężczyznę w jej wieku, odzianego w mocną zbroję i płaszcz z czerwonej wełny, w barwach Domu Uwane.

Tak musiał wyglądać Wielki Lord Alyn, pomyślała, dawno, dawno temu. Dziesięć pokoleń temu ówczesny król wysłał go, by chronił podwładnych mieszkających między Górą Szarymi a lodowatą rzeką Eld. W tamtych dniach była to kwitnąca kraina. Caerdinn opowiadał jej o bujnych łąkach jęczmienia i owsa, o owcach i włochatym bydle; o elokwentnych mędracach; o dziwacznych herezjach rodzących się wśród górników z kopalń srebra w Górach Szarych i na Kobiałkowych

Wzgórzach; o pomysłowych tkaczach, bardach i mistrzach pracujących ze srebrem i stalą. Ów starożytny król powiedział Wielkiemu Lordowi Alynowi: „Panuj nad tą krainą, broń prawa, ochraniaj moich poddanych za cenę własnego życia”.

Natomiast król Uriens — a raczej księżę Gareth, sprawujący władzę z powodu niedowładu umysłowego ojca — pieczę nad ziemiami południowo-wschodniego lasu Wyr oddał Pellanorowi, niższemu kadetowi Lordów Grampyn, po dwudziestu siedmiu latach służby w wojsku.

— Nie jestem pewien, panie — powiedział jeden ze zbrojnych. — Las roi się od bandytów. Dopadli Kannida i Borina...

Jenny ujrzała, jak Pellanor unosi rękę i odwraca twarz. Borin wysłany został po pomoc cztery dni temu. Wczoraj jego wychudzone i spalone ciało porzucono na otwartym terenie sześćdziesiąt stóp od bramy. Nie był to łatwy strzał, lecz po kilkunastu próbach jeden z żołnierzy w końcu zdołał go dobić.

- A ta czarownica nie mogłaby przesłać wiadomości pani komendant w Corflyn? — zapytał inny żołnierz. — Przez gadającego ptaka, jak w legendach.
- Cóż, Ront — westchnął baron — jestem pewien, że gdyby pani Jenny była w stanie zrobić coś takiego, uczyniłaby to wiele dni temu. Czarodzieje potrafią rozmawiać na odległość między

61

sobą, ale, o ile mi wiadomo, w Corflyn nie ma teraz żadnego innego czarodzieja.

„W całych Zimowych Krainach nie ma żadnego innego czarodzieja”, pomyślała z rezygnacją Jenny. „Nie było ich tu od wielu lat”. Tylko ona

jedna. I łan, jeszcze za mało wprawny, by porozumiewać się przez kryształ czy ogień.

No i ta kobieta z bandy Balgodorusa.

Pora wstać.

Otworzyła oczy. Ogień przygasł w koksowniku, migotliwa kupka rozżarzonych węgli i popiołu. Jego ciepło wydało się jej nagle nieznośne — szeptem przegnała je, rozpędziła Słowem naśladowującym echa młodości.

„John”, pomyślała, wpatrując się na powrót w błękitne jądro płomienia. „John”.

Raz jeszcze przed jej oczami uformowały się zrujnowane mury Cair Dhu, wyraźne i maleńkie niczym odbicie w ścianie brylantu. Dymy tłące się wrzosowiska przesłaniały jej widok. John leżał pod stertą spalonych kwasem kamieni, pozostałości po fortecznym murze. Jego rumak, Młot Bojowy, stał nad nim z okrwawionymi bokami i pachwinami, pochylając głowę, przy każdym poruszeniu oszczędzając tylną prawą nogę.

Smok zniknął. Żadnej wskazówki, co się mogło z nim stać, brak kości czy śladów wleczenia. „Ale przecież John go zranił”, pomyślała zdezorientowana. „Zranił śmiertelnie”.

A jednak jakimś cudem smok zatriumfował. Zwyciężył.

Wtedy dostrzegła, jak Młot Bojowy unosi głowę, a spomiędzy spowitych dymem ruin wyłania się sierżant Muffle, rozglądając się czujnie dookoła, z toporem za pasem i potężnym młotem w dłoni, prowadząc za uzdę swojego wierzchowca i jucznego konia.

Cztery lata temu Cair Corflyn było jedynie kręgiem zrujnowanych murów, schronieniem dla każdej bandy rabusiów wystarczająco silnej, by

je obsadzić. W ciągu dwudziestu dwóch lat spr-

62

wowania funkcji Tena Zimowych Krain John Aversin szturmował je trzykrotnie, tam też zginął jego ojciec.

Bywalcy tawern, burdeli, sklepów i straganów o pokrytych strzechą dachach, ciasno okalających nowo wzniesioną bramę Corflyn nie zwrócili szczególnej uwagi na Johna i Muffle'a. Pozostawiwszy Młota Bojowego w Alyn Hołd, by się wykurował („To ty powinieneś się kurować”, zauważył zgryźliwie Muffle), dosiadał teraz swego drugiego bojowego wierzchowca, Zakutego Łba, zwierzaka niezastąpionego w boju czy zasadzce, lecz o włochatych kopytach, kościstego niczym łozinowy płot, o maści mało popularnej wśród autorów ballad. Podarty i naprędcie naprawiony kubrak Johna, tu i ówdzie pokryty żelazną płytą, o stawach osłoniętych fragmentami kolczugi, był poplamiony, a przykrywająca go opończa poszarpana i postrzępiona. Natomiast sierżant Muffle wyglądał na tego, kim był: kowala z prowincji.

A jednak strażnicy u bramy rozpoznali ich.

- Zrobiłeś to, panie, prawda? — zapytał chłopak o twardym wejrzeniu, niewiele starszy od lana. John słyszał, że werbowano ich już w wieku szesnastu lat w dokach i tawernach Claekith, wygarniano pijanych z zaułków. — Zabiłeś smoka, który poszczerbił wartownię w Beck? Sam jeden? Tak ludzie mówią.
- Kłamią. — John, krzywiąc się z bólu, zsunął się z grzbietu Zakutego Łba i przez chwilę przytrzymał się kurczowo łąku, dopóki szara mgła nie zniknęła mu przed oczu. — Bóg jeden wie, gdzie się podział.

Komendant Rocklys czekała na niego; zaprowadzono go wprost do niej.

- Grom w niebiesiech, człowieku, powinieneś być teraz w łóżku! — Odwróciła się od okna i chwyciła mocną dłonią za jego ramię, by podprowadzić go do krzesła-. — Powiadają, że zabiłeś smoka z Cair Dhu...
- Wszyscy mi to powtarzają. — Opadł na rzeźbione siedzisko, zirytowany tym, że trzęsą mu się nogi, a usztywnione gip-

63

sem żebra przypominają o sobie nawet przy najmniejszym ruchu głowy. W obawie przed bólem oddychał płytko. — Ale to wierutne kłamstwo. Nie wiem, dokąd odleciał ani czy kiedykolwiek powróci.

Szambelan w średnim wieku przyniósł im w emaliowanych kubkach chrzczone wino z Południa. Rocklys stała na tle okna wychodzącego na obozowy plac ćwiczeń, więc trudno było odczytać wyraz jej twarzy, ale kiedy John skończył swoją relację, powiedziała:

- Czarodziej. Psiakrew. Jeszcze jeden czarodziej. Mężczyzna. .. Jesteś pewien?
- Nie — odparł John. — Nie jestem. Solidnie oberwałem, ziemia wokół mnie dymiała na potęgę, część z tego, co widziałem, na pewno była halucynacją. Bo jeśli nie, mój ojciec wystrychnął nas wszystkich na dudków na swoim pogrzebie. — Rocklys zmarszczyła brwi. Podobnie jak jego synowie, podchodziła z dezaprobatą do żartów w obliczu zagrożenia. — Ale Muffle twierdzi, że gdy godzinę później zjawił się na miejscu, nie widział żadnego smoka, a ja byłem bardziej sztywny niż marynarz po imprezie.

- A twój syn? John zacisnął szczęki.
- Cóż — powiedział i zamilkł.

Komendant odepchnęła się od ściany i podeszła do szafki, wyciągnęła z niej srebrną manierkę i naląła mu do pustego kubka miarkę brandy. John napił się i przez chwilę siedział ze wzrokiem utkwionym w dwóch żołnierzy w błękitnych płaszczach oddziałów pomocniczych, sprzecząc się na placu ćwiczeń. Ojciec Amnos i świątynny flecista wyłonili się z przybytku Pana Wojny. Ich głowy skryte były pod obszernymi szkarłatnymi kapturami, mającymi ochronić ich przed wszelkimi dźwiękami i widokami mogącymi zakłócić oddawanie czci ich bogu. Wychowany w heretyckiej wierze w Starego Boga, John zastanowił się przez chwilę, czy smoki mają swoje bóstwo i czy modlitwa o powrót syna na co-

64

kolwiek by się zdała. Czuł się tak, jakby zębaty grot przeszył mu wnętrzności.

—Muffle nic nie wie. Ja również nic nie wiem. łan...

Wziął głęboki oddech i podniósł głowę, spoglądając jej w oczy.

— Adric — mój drugi chłopak — mówi, że łan zaraz po północy pojechał do domu Jenny po zaklęcia śmierci, których mógłby użyć przeciwko smokowi, czego mu otwarcie zabroniłem. — Wiele wysiłku kosztował go ten rzeczowy ton. — Sądząc po śladach — tak twierdzi kuzyn Jen, Gniffy, a jest w końcu myśliwym — ktoś był w domu, człowiek w nowych butach, robota miastowego



szewca. Człowiek ten odszedł razem z łanem. Gniffy zgubił ich trop na wrzosowisku, ale dobrze wiemy, dokąd prowadził.

Zacisnął zęby i zatopił wzrok w kubku, starając się wyrzucić z pamięci wyraz oczu lana.

- Moc lana nie jest zbyt wielka. Tak przynajmniej twierdzi Jen. Jeśli o mnie chodzi, każdy, kto potrafi zapalić świecę, spoglądając na knot, jest cudem nie z tej ziemi, i chciałbym umieć coś takiego. Jen utrzymuje, że łan nigdy nie zostanie wielkim magiem, takim, co to potrafi patrzeć przez wiatr, zmieniać postać czy przywoływać magię z gwiazd. Co nie przeszkadza, jak mówi, by wyrósł na porządnego czarodzieja o przeciętnych umiejętnościach.
- Oczywiście, że nie. — Rocklys odstawiła manierkę. — I, na Dwunastu, świat miałby więcej pożytku z dobrze wyszkolonego i kompetentnego przeciętniaka niż z połowy legionu genialnych idiotów. I dlatego — dodała łagodnie — szkoda, że go tu nie zostawiłeś.
- Co się stało, to się nie odstanie — westchnął John. — Nawet gdyby tu został, na pierwszą wieść o smoku wykradłby konia i pojechał do domu, więc na jedno by wyszło. — Przeczesał palcami włosy. Wciąż wplatał w nie czerwoną wstążkę, teraz spłowieła i poplamioną krwią. — Ale kim on był, czy jest w zмовie z Balgo-dorusem... Zakładam, że nie otrzymałaś żadnych wiadomości od Jen?

65

Komendant pokręciła głową. W jej spojrzeniu, utkwionym w twarzy Johna, krył się niepokój. Najwyraźniej wyglądał gorzej, niż sądził.

- Ostatni raz słyszałam o nich dwa tygodnie temu. Balgodo-rus prawdopodobnie kierował się w góry. Ma tam gdzieś swoją kryjówkę. Posłałam zwiadowców w tamtą stronę, ale niczego nie znaleźli, a, prawdę powiedziawszy, żeby coś znaleźć w lesie Wyr, trzeba wiedzieć, czego się szuka. Znasz ten las. Gęstwiny pamiętające czasy sprzed założenia królestwa, porośnięte drzewami pasma wzgórz, o których nawet nie słyszeliśmy. To niesforna hałastra, ale znają ten kraj, są buntowniczy, podstępni, gotowi na wszystko... — Jej twarz zastygła nagle, w oczach zapłonął posepny gniew. — A część południowych możnowładców nie jest od nich wiele lepsza. Mogą nazywać siebie baronami, szlachetnie urodzonymi — wilki, szarpiące tkaninę królestwa dla własnej korzyści. Cóż — potrząsnęła głową — typy pokroju Balgodo-rusa przynajmniej nie udają wierności i nie spiskują za plecami regenta.
- Dwa tygodnie. — John wbił wzrok w bursztynową kroplę na dnie kubka. Dwa dni po ich wyjeździe z Alyn, dwa dni nieustannego zrządzenia Muffle'a. Pięć dni po zniknięciu lana.

Znów wspomniał starego Caerdinna, jak to miał ostatnio w zwyczaju, od spotkania z obcym magiem. John pamiętał go jako podłego starucha, sprośnego i natrętnego. Był nauczycielem Johna i jedna czwarta ksiąg zebranych w Alyn Hołd została wykopana z ruin przez tego mamroczącego, brodatego łachmaniarza albo wytargowana od każdego, kto miał w swym posiadaniu choćby pojedynczą, czarną od brudu kartkę pergaminu. On — i matka — byli jedynymi czarodziejami na północ od Wildspae, o których John kiedykolwiek słyszał, a oni nienawidzili się serdecznie.

Czyżby Caerdinn miał innych uczniów? Uczniów o mocy większej od mocy Jenny, większej być może nawet od ludzkiej magii Jenny stopionej z obcą, smoczą wiedzą? Kobietę na usłu-

66

gach Balgodorusa albo jej nauczyciela? Człowieka z laską wprawionym w głowicę księżycowym kamieniem?

Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie tego eleganta w purpurowym płaszczu pobierającego nauki u bezzębnego, zaślinionego żebraka czy też bez słowa zbierającego cięgi, jak to było z Jenny.

Ale istniały jeszcze inne Linie magii. Inne szkoły, kontynuowane na Południu, w Belmarie czy na Siedmiu Wyspach. I, jak słusznie zauważyła Rocklys, choć ich magia odmienna była od ludzkiej, czarodzieje trafiali się też wśród gnomów.

Westchnął ponownie i uniósł głowę, napotykać niespokojne spojrzenie Rocklys.

- Zmuszony jestem wierzyć, że część z tego, co widziałem, działa się naprawdę — powiedział bez ogródek. — Przez trzy dni po walce nie wstawałem z łóżka, a przez cały ten czas padał deszcz. Gniffy rozejrzał się po okolicy, ale ślady były tak niewyraźne, że niczego nie był pewny. Ale Centhwevir zniknął. Podobnie jak Ian.
- O tym Centhwevirze nie słyszałam. — Rocklys podeszła do niszy w ścianie, gdzie za dawnych lat komendanci ustawiali zamknięte ołtarzyki swoich bóstw. Trzymała tam ołtarzyk Boga Wojny, i drugi, Boga Prawa, ale tam, gdzie na Południu John widywał niewielkie kupki szerniałego kadzidła oraz plamy ofiarnego wina i krwi, tu bielił się wyszorowany do czysta marmur. Resztę wnęki wypełniały

książki — odruchowo przebiegł wzrokiem po ich grzbietach: *Teoria praw* Tenantiusa, *Eseje* Gurgustusa, *Lie-ver regulae* i *Monarcha sprawiedliwy* Caeciliusa. Na stojącym przed nimi stoliku ujrzał szkatułkę wypełnioną srebrnymi monetami, a obok niego skrzyneczkę z garścią klejnotów. Przypomniawszy sobie skargi napływające do niego od burmistrzów Okręgu Dalekiego Zachodu i Wielkiego Kufla, jak to królewscy poborcy żądali na utrzymanie garnizonów większych sum niż nawet najbardziej chciwi tenowie z przeszłości.

- Co do tego nowego czarodzieja... — Pokręciła głową. —

67

Może Jenny jednak się myliła? A może mężczyzna, którego widziałeś, był tylko... iluzją, tak jak pierwszy smok?

- I w rzeczywistości był tą kobietą? — John potrząsnął przecząco głową. — Ale po co? Dlaczego miałaby zadawać sobie tyle trudu, by mnie zwieść?
- Jedno jest pewne — powiedziała komendant — to wszystko przekonuje mnie aż za bardzo — już wcześniej tak uważałam — że musimy stworzyć tę szkołę, akademię czarodziei, tu, w Cor-flyn. Mam nadzieję, że gdy Jenny wróci, zgodzi się tu przyjechać i nauczać. Tak dłużej być nie może.
- Nie.

„Ocal smoka, zniewól smoka...” Stara dziecięca rymowanka chodziła mu po głowie, podobnie jak widok ciał znalezionych w ostatniej wiosce napadniętej przez Balgodorusa.

Gdy znów usłyszał te słowa, ujrzał czarodzieja w fioletowym płaszczu i

haftowanej czapce wsiadającego na Centhwevira, podającego rękę łanowi.

Żebra bolały go w miejscu, gdzie uderzył szpic buta chłopaka.

Komendant odwróciła się od zaniedbanych ołtarzyków i ksiąg legalistów, a na jej twarzy malował się szczery niepokój.

—Czarodzieje renegaci nie są jedynym zagrożeniem. Dobrze o tym wiesz. Popatrz na gnomy, żyjące we właściwie niezależnych państwach w samym sercu królestwa. Handlujące niewolnikami wbrew królewskiemu prawu, bez względu na to, co twierdzą i przysięgają! Mają własnych czarodziei i kto wie, czego i kogo na uczają. Popatrz na panów takich jak mistrz Halnath, księżę Greenhythe czy kupieccy książęta z Siedmiu Wysp! Popatrz na Tinana z Impertengu, utrzymującego, że jego starożytne prawa do krain u stóp gór są równie ważne co królewskie!

John poprawił okulary na nosie.

- Cóż, według *Historii* Dotysa to prawda.
- Też mi argument! — wybuchnęła Rocklys. — Bunt księcia Wyr sprzed czterystu lat rozdarł królestwo na dwie części! Nie

68

wolno było do tego dopuścić. A księżę Gareth — choć żywie doń wielki szacunek jako naukowca i administratora — pozwala, by to się powtórzyło.

— Nasz Gar wcale tak źle się nie spisuje — zauważył cicho John. — Jak na kogoś bez odpowiedniego wykształcenia i nowego w tej grze, idzie mu całkiem dobrze.

Uśmiechnął się nieznacznie na wspomnienie niezgrabnego chłopaka z modnymi pasemkami zieleni we włosach, w potłuczonych okularach na

czubku długiego nosa, wygłaszającego orator-skie przesłanie od króla przed omdleniem w chlewiku w Alyn Hołd. Może i było to komiczne. Ale trzeba prawdziwej odwagi, by popłynąć na północ do nieznanego kraju, prawdziwej odwagi, by przejechać z przystani w Eldsbough do Alyn Hołd. Chłopak miał szczęście, że nikt mu po drodze nie poderznął gardła dla jego butów.

Może jeszcze więcej szczęścia, że w podróż wyruszył właśnie wtedy, gdy wiedźma Zyerne umacniała swoją władzę nad umysłem i duszą starego króla, wysysając z niego energię i rozglądając się za nową ofiarą.

— Do tego właśnie zmierzam! — Rocklys z twardąminą uderzyła pięścią w otwartą dłoń. — Jego Wysokość książę jest nieprzyuczony do rządzenia. I niedoświadczony. Popęlnia błędy, które będą drogo kosztować królestwo. Trzeba będzie lat — dzie sięcioleci — by je naprawić, o ile będzie to w ogóle możliwe. Jego... — Opanowała się z widocznym wysiłkiem. — Przepraszam — powiedziała. — Jest twoim przyjacielem i moim kuzynem. Chyba nie potrafię zapomnieć, jak biegał ze swoimi kolegami w tych durnych szarfach, które były wtedy takie modne, i w butach tak długich, że ich czubki trzeba było przymocowywać łańcuszkami do podwiązek. Nie ruszysz na poszukiwanie Jenny? — Podeszła do niego i położyła mu ciężką dłoń na ramieniu. John uświadomił sobie, że jest tak bardzo zmęczony, iż podniesienie się z krzesła wymagać będzie olbrzymiego nakładu sił, a zaciśnięte

wokół emaliowanej krawędzi kubka dłonie stają się coraz zimniejsze.

- Pojadę z powrotem do Hołd — powiedział. — Jenny wie, że łan

przepadł i dzieje się coś bardzo złego. Sama wróci do Hołd tak szybko, jak tylko będzie mogła.

- Myślałam, że magowie nie mogą podpatrywać innych magów.
- Zgadza się. Więc zorientuje się, że od pięciu dni nie było przy mnie lana i że zwlokłem się z łóżka i przyjechałem tutaj, zanim jeszcze moje rany zdążyły się zasklepić. I bardzo dobrze — dodał, odstawiając kubek i wstając ostrożnie z krzesła. — Po prawdzie, im wcześniej wróci, tym lepiej.
- A jeśli nie wróci? — zapytała Rocklys. — Jeśli ten bandyta i jego mag na uwięzi znaleźli sposób na pojmanie jej albo zabicie?
- No cóż. — John podrapał się po długim nosie. — Wtedy zostaniemy tylko my, żeby stawić czoło dwóm czarodziejom i smokowi, i całej reszcie... Powiedziałbym, że jesteśmy w poważnych opałach. — Postąpił trzy kroki w stronę drzwi i stracił przytomność, jak gdyby ktoś zdzielił go drągiem w potylicę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Zaczekaj na mnie, idioto!”, pomyślała z wściekłością Jenny i przegnała obrazy z ognia. „Zaczekaj na mnie!” Nie mogła pojąć, dlaczego Bogini Kobiet uznała za właściwe sprawić, by zakochała się w tępaku.

Przez okno wpadał blask księżyca, w którym widniał dym odległych ognisk. Gdzieś na zewnątrz zakwilił lelek kozodój. Jenny zarzuciła opończę na ramiona, pragnąc ze wszystkich sił prze-

ślizgnąć się przez palisadę, przywołać z lasu pasącego się cierpliwie Księżycowego Konia i pogalopować do Alyn Hołd.

A gdyby to nie było możliwe — a nie było, chyba że zostawiłaby trzystu ludzi na pewną śmierć — pragnęła przynajmniej zrozumieć, co się dzieje.

Cisza przykryła majątek Palmorgin niewidzialną dłonią. Nawet strażnicy nie mieli nic do powiedzenia, walcząc z wyczerpaniem i obserwując otwartą przestrzeń po drugiej stronie fosy. Balgodus uwielbiał atakować w najpodlejszągodzinę nocy. Komary bzyczały w ciemności, lecz choć była śmiertelnie zmęczona, wyczuwała ocierające się o nią zaklęcia nakazujące im poszukanie innej ofiary, drażniące niczym kamyk w bucie po dziesięciomilo-wym marszu.

Ani śladu Centhwevira. Nawet w sprzyjających warunkach wypatrzenie smoka nie zawsze było możliwe, gdyż ich ciało, ich jestestwo utkane było z magii. Jednakże przez ostatni tydzień przepatrzyła osady na pograniczu wzgórz, miasta Wielkiego Kufla i Okręgu Dalekiego Zachodu, nawet samo Alyn.

Nigdzie nie znalazła spalonej ziemi, zwęglonych i obdartych z ciała kości.

A w Hołd nikt nie nosił żałobnych szat. Mimo to ciotka Jane, ciotka Rowan i kuzynka Dilly wciąż płakały, a Adric przesiadywał na murach, spoglądając na południe. John zaś po krótkiej rozmowie z Rocklys odmówił pozostania w łóżku, zaraz następnego ranka wgramolił się na konia i skierował w stronę domu, ciągnąc za sobą nieustannie gderającego Muffle'a.

łan.



łanowi coś się stało.

„Poczekaj na mnie, John. To nie potrwa długo”.

Wymknęła się z pokoju.

W korytarzu spały kobiety i dzieci, zawinięte w koce. Prześlizgnęła się między nimi, zadzierając spódnicę. Bładoniebieskie światło biło z klamek drzwi do pomieszczeń magazynowych,

71

zniechęcając do wejścia budzącymi lęk czarami. Chroniąc przed zaklęciami przywołującymi szczury, pleśń i owady, zacieki i ogień — wszystko, co tylko potrafiła sobie wyobrazić.

W prowadzącym na palisadę przejściu pozdrowiła strażnika skinieniem głowy, a nocny wietrzyk odgarnął z twarzy jej czarne włosy. Oswojony mag Balgodorusa nie ograniczał się do iluzji. Mijając dachy okalających dziedziniec budynków, Jenny sprawdzała żarzące się blado nici zabezpieczeń, osłon i przeciwczarów. W kilku miejscach wciąż jeszcze snuły się zaklęcia ognia, rozgrzewając drewno i glinę pod jej palcami. Pospiesznie kreśliła tam dodatkowe znaki, a w innym miejscu rozwiązała jeden z przytroczonych do pasa mieszków i zanurzyła palec w zaczarowanej mieszance sproszkowanego srebra i wysuszonej lisiej krwi, by wzmocnić zabezpieczenie. Nie podobało się jej dzikie wariactwo tych nieokrzesanych czarów, pozbawionych Ograniczeń uniemożliwiających im rozszerzenie się na obszary nie uwzględnione przez ich twórcę.

Oprócz ognia trafiały się jeszcze inne czary. Przywołujące całymi rojami pszczoły z uli i szerszenie z gniazd, choć pora roku nie była po temu odpowiednia. Wywołujące choroby, ściągające pchły, powodujące nieuzasadnioną panikę i wściekłość. Byle tylko rozproszyć uwagę

obrońców. Palisada i blokhauzy pokryte były płataniną przeciwczarów i amuletów; w smrodliwym powietrzu było gęsto od magii.

Jak ktoś urodzony ze szczerym złotem magii w sercu mógł używać go w służbie potwora pokroju Balgodorusa: handlarza niewolników, mordercy, gwałciciela i złodzieja?

— Pani Waynest? — Lord Pellanor pojawił się u szczytu drabiny prowadzącej z podwórca na palisadę. Hełm trzymał pod pachą, złota intarsja będąca jego jedyną ozdobą odbiła blask ognia wesołym, świetlistym zawijaszem. Jego goła, łysiejąca głowa z krótko przystrzyżonymi włosami wyglądała śmiesznie i mizernie ponad naszyjnikiem zbroi i kołnierzem. — Wszystko w porządku?

## 72

- Od zachodu słońca. Zaraz zrobię następny obchód.
- Może zajrzeć do środka? — zapytał baron. — No, użyć lustra, kryształu czy ognia, tak jak ty, by zobaczyć, gdzie posłać swoje zaklęcia?
- Nie sądzę. — Jenny zaplotła ramiona pod opończą. — Być może potrafi zajrzeć do pomieszczenia, w którym akurat mnie nie ma, nawet mimo zabezpieczeń, jakie ustawiłam we wszystkich możliwych miejscach. Jest wystarczająco silna, by uniemożliwić mi spenetrowanie ich obozu. Rzuca czary po omacku, tak jak ja: choroba na człowieka czy konia, ogień na siano czy drewno, zanieczyszczenie na wodę. I podobnie jak ja nie wie, jaki efekt osiąga.

Baron sapnął, poruszając wąsami.

— Gdzie też mogła się tego nauczyć? — Chciał ugryźć się

w kciuk dla odczynienia uroku, lecz zerknął na Jenny i jedynie po drapał się po podbródku. —Ja... eee... czy możliwe, by twój nauczyciel nadal był aktywny?

Jenny pokręciła przecząco głową.

- Jesteś pewna? Uciekła wzrokiem w bok.
- Pochowałam go ćwierć wieku temu.
- Och.

—Byłam jego ostatnim uczniem. — Spojrzała na bezkształt ną połąć otwartej przestrzeni. Codziennie staczali tam zacięty bój, i co dzień, co noc, ci obdarci, brudni, nieokrziesani ludzie powracali z drabinami i toporami, z drewnem, by podpalić bramę, albo taranem, by wyrwać ją z zawiasów. Było ich dwukrotnie więcej niż zdolnych do walki obrońców. Atakowali na zmianę.

Nawet teraz widziała migotanie ognisk w ich obozie i czuła na wietrze dochodzący stamtąd smród. Jedli, pili, odpoczywali przed kolejnym atakiem. Wszystkie kości bolały ją ze zmęczenia.

—Był bardzo stary — ciągnęła dalej — i bardzo zgorzkniały, choć pewnie nie z własnej winy. — Pamiętała świst przecinającej powietrze laski i ukłucie skórzanego pasa na plecach. Żeby lepiej

**73**

zapamiętała to, czego się uczy, jak twierdził. Ale wyczuwała, że wymierzanie kary sprawiało mu przyjemność, pomagając wyładować zżerającą go frustrację. Po jego samotnej śmierci przepłakała wiele dni. Wciąż nie wiedziała dlaczego. — Pamiętał, jak ostatnie oddziały wojska odmaszerowały na Południe. Zapewne z garnizonu w Wielkim Kuflu, bo

pozostałe zostały opuszczone wieki wcześniej. Powiedział, że jego nauczyciel odszedł razem z nimi, i odtąd mógł się uczyć jedynie z pozostawionych przez niego ksiąg. Na Północy nie pozostał nikt, kto umiałby porządnie uczyć — leczenia, magii, muzyki. Niczego. Caerdinn twierdził, że był za młody, by podążyć za legionami. Wtedy zjawili się Lodowi Jeźdźcy i wszystko się zmieniło.

Pellanor odchrząknął przepraszająco, jak gdyby jego obowiązkiem było bronić decyzji człowieka, którego historia zapamiętała jako Króla Wiesiołka.

— Cóż, Hudibras II był w bardzo kłopotliwym położeniu podczas wojen rodowych. A epidemia najbardziej dotknęła właśnie armię. Twój nauczyciel zdołał jednak zgromadzić dosyć wiedzy, by wyszkolić cię należycie.

Jenny pomyślała o wszystkim, czego nauczyła się na Południu, a o czym Caerdinn nie miał pojęcia, o lukach w jego wiedzy, z czym męczyła się przez całe życie. O zaklęciach, które mogłyby uratować niejedno życie, gdyby tylko je znała. Pellanor jednak nie wyrządził jej żadnej krzywdy i nie rozumiał jej położenia, więc odpowiedziała tylko:

— Najwyraźniej.

Czy gniew starca wypływał właśnie z owego starożytnego aktu porzucenia? Zastanawiając się nad tym, podeszła do narożnej wieży. Pod jej dotykiem grubo ciosane kamienne mury, pokryte solidną warstwą gliny belki sprawiały wrażenie nietkniętych — nie zagnieździły się w nich żadne nowe zaklęcia. A może to jej brak talentu był powodem jego wściekłości, to, że urodziła się obdarzo-

na mizerną mocą, podczas gdy on uważał się za godnego nauczania najpotężniejszych?

Czy mistrzowie starożytnych Linii rzeczywiście znali sposoby budzenia wielkiej mocy w adeptach pozbawionych szczególnego talentu, takich jak ona — lub on? A może tylko to sobie ubzduriała?

Co nie zmieniało faktu, że jej prawdziwa moc pojawiła się po spotkaniu ze Smokiem ze Ściany Nast. Smocza magia, którą rozpościerała teraz niczym zasłonę, przepływająca błękitną błyskawicą przez kamień i drewno, strzechę i dachówkę, nasłuchująca na smoczą modłę, obwąchująca i smakująca każdy zakamarek w poszukiwaniu czarów przeciwnika.

Jest. Przywołanie szczurów i pcheł — dobry Boże, czy ta utalentowana idiotka nie słyszała o epidemiach? Kolejny ognisty urok... nie, dwa. Jeden w belkach stropowych głównej sali. Drugi w powietrzu na dziedzińcu, lepki i czekający na przechodzącego obok człowieka. Zbadała je, zatopiła w bursztynie Ograniczeń, zgmiotła i unieszkodliwiła.

Nieodpowiedzialna. Głupia, szalona. Bandycka magia. Jak sam Balgodus, nie dbająca o to, ile zła wyrządzi, byle tylko osiągnąć to, czego pragnie.

Jenny odnowiła zaklęcia na wieżyczce i pospiesznie udała się w miejsce, gdzie przyczepiły się przywołania, bezszelestnie przemykając po nie heblowanych, brudnych deskach w swoich miękkich butach z baraniej skóry.

Były licho sklecone, dryfujące płachtami po stajni niczym nasiona, przez kuchenny korytarz, gdzie ulokowano ludzi Rocklys, i w

prowizorycznej sypialni urządzonej w przejściu pod centralną wieżą. Mnóstwo czasu i wysiłku kosztowało ją wytropienie ich, zneutralizowanie gruzelków i haczyków głodu i przypadku, które przyciągnęłyby roje szkodników. Nie były wystarczająco mocne, by w zwykłych okolicznościach wyrządzić poważną szkodę, jed-

75

nak zbyt mocne, by je zlekceważyć. Odrażający, zalatujący moczem smród gryzoni w majątku był w każdym razie znacznie silniejszy, niż by się jej podobało. Smród tym groźniejszy, że na niewielkiej przestrzeni stłoczonych było wielu ludzi.

Czyżby Balgodus sądził, że jest nietykalny? Że nie ułożone zdolności jego maga wystarczą, by zwalczyć ewentualną epidemię?

Kreśląc bez końca runy, kręgi i przywołania na murach, podłogach i meblach, przywołując moc gwiazd, ziemi, wody, przyływów i powietrza, tworząc magię z własnej krwi, kości i koncentracji, Jenny pragnęła zdzielić tę niedouczoną, samolubną, arogancką wiedźmę bandytów tak, żeby jej w uszach zadzwoniło. Jakiegokolwiek były grzechy starego Caerdinna, to swoje nauki zaczął od Ograniczeń. Opowieści starca ukazywały pełnych najlepszych chęci adeptów, których czary mające przynieść bogactwo zasługującym na to ludziom powodowały śmierć majątnych, choć Bogu ducha winnych krewniaków, i których zaklęcia zbijające gorączkę powodowały zgony pacjentów z wyziębienia.

Krótką letnią noc dobiegała kresu, kiedy Jenny wreszcie skończyła. Wojownicy pilnujący ognia na dziedzińcu udali się na spoczynek. Gdzieś w sypialni dziecko zapłakało przez sen i Jenny usłyszała szept innego

dziecka, rozpoczynającego opowieść o księciu na wygnaniu, by utulić siostrę do snu. Wąski sierp księżyca wisiał wysoko nad wałami, Szary Bóg, Bóg Czystej Wiary magów. Jenny oparła głowę o kamienny łuk i spojrzała na białawy półokrąg, świecący tak jaskrawo, że widać było wąski promień blasku wokół reszty aksamitnego dysku.

Nasłuchując po smoczemu, wyczuła dusze z obozu Balgodoru-sa, rozłożonego o milę od nich, na skalistej polanie nad Potokiem Gana. Duchy odpychające niczym brudna bielizna, kleiste i śliskie, oblepione smrodem życia wypełnionego przemocą, gwałtem i chciwością. Czowała w nosie zapach krwi obozowych koni i psów.

A więc gwiazdny smok zwęszył krew Johna, gdy ten jechał mu na spotkanie.

76

Czy łan pojechał za Johnem?

Na pewno. Obserwowała Johna i Muffle'a, dopóki bandyci nie przypuścili kolejnego ataku na majątek, i musiała porzucić obraz tamtej bitwy na rzecz walki toczącej się tuż obok niej. Zataczając się z wyczerpania, wróciła na czas, by ujrzeć mętną wizję ognia i krwi, będącą właściwym pojedynkiem. Gdyby łan był z nimi, niczego by nie zobaczyła. Ale czy pojechał za nimi? Dziw nad dziwy, że Adric nie znalazł sposobu, by również wpakować się w jakieś opaty.

Więc co się stało?

Zaniepokojona, powróciła myślami do wizji Johna sprzed paru godzin. John w połatanym czerwonym szlafroku z przetartego aksamitu, który zawsze wkładał po kąpieli, siedział w swoim gabinecie, otoczony wszystkimi księgami o smokach i zabijaniu smoków, jakie posiadał, a jego

zwariowane zegary dzwoniły i wirowały bezdźwięcznie w ciemności za jego plecami. Czytał w napięciu i skupieniu, jak miał w zwyczaju, kiedy poszukiwał źródła jakiejś niedokładnie zapamiętanej wskazówki, która wypłynęła na powierzchnię sroczego skarbcza jego pamięci.

Starając się coś znaleźć, zanim będzie za późno.

I w końcu, kiedy wizja zaczęła zanikać, zdjął okulary i usiadł z pochyloną głową, a na jego twarzy malowało się znużenie, rozpacz i przerażająca pewność.

Znalazł to, czego szukał, cokolwiek by to było.

„Zaczekaj na mnie”.

Otworzyła oczy. Ból pulsował jej pod czaszką, ale miała jeszcze coś do zrobienia.

Słyszała oddechy ludzi Balgodorusa Czarnego Noża, niewidocznych pod mglistym sklepieniem lasu. Niczym smok, czuła woń ich krwi. Lecz tuż przed świtem można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że bandycki mag, kimkolwiek jest, śpi.

Jenny przerzuciła opończę przez ramię i wbiegła z powrotem po schodach na blanki.

**77**

Pellamor wracał z obchodu, jego sękatą twarz żłobiło zmęczenie. Jenny nie miała pojęcia, kiedy ostatni raz spał. Pomógł jej przynieść linę i obwiązał ją wokół słupa, podczas gdy ona kreśliła znaki mocy w powietrzu i na kamieniach, zaplatała wokół siebie i liny zaklęcia odwracające uwagę ewentualnego obserwatora. Nawet inny czarodziej mógłby ją teraz przeoczyć. Wciąż tkając w myślach wokół siebie srebrzystą pajęczynę, podkasała spłó-wiałe niebieskie spódnice i powoli



zeszła z murów.

Uzbrojona była w dwa sztylety, długi i krótki, na plecach niosła halabardę, a obok niewielką harfę pożyczoną od Pellanora, objającą się o broń przy każdym kroku.

— Bądź ostrożna — wyszeptał w ślad za nią Pellanor, lecz wiedziała, że w rzeczywistości pragnął powiedzieć: „Wróć szybko”. Pod jej nieobecność wszystko mogło się zdarzyć.

Ale trzeba było to zrobić.

Przejsie przez fosę było najłatwiejsze. Bandyci od tygodni zasypywali ją skałami i ziemią, pniami drzew i belkami, by mieć o co oprzeć drabiny. Gdy weszła między pierwsze drzewa podchodzącego z tej strony blisko majątku lasu, prześlizgnęła się między dwójką strażników, mężczyzną i kobietą, wrednymi, gruboskórnymi typami, którzy przykucnęli niczym zająca przy wodopoju wilki. Nawet gdyby nie była czarodziejką, zwęszyłaby ich w ciemności. Którejś nocy podkrađła się na sam skraj obozu Bal-godorusa, milę czy półtorej w dół nierównego terenu. Dostrzegła migotanie otaczających go strażniczych pieczęci i elfich świateł, chroniących go tak, jak jej własne zaklęcia chroniły mury Palmorginu.

Polana, której szukała, znajdowała się pół mili od obozu; bywała tam wielokrotnie. Rósł na niej jesion, pochylony pod ciężarem swego wieku, jedyny świadek pożaru sprzed wielu lat. Mogło się wydawać, że skała, nad którą się wznosił, trafiła tam w naturalny sposób, dopóki nie spojrzano się na nią pod określo-

nym kątem, a wtedy stawało się jasne, że wyrzeźbiono ją na kształt siedzącej świni. We wgłębieniu na jej szczycie zbierała się rosa. Jenny palcem zatoczyła wokół niej krąg, przymykając oczy.

Zebrała w swym sercu moc księżyca, bliższego o jeden dzień śmierci niż dzisiaj. Obracające się gwiazdy, białe, zimne i prastare. Tkała palcami blask księżyca, śliski i chłodny niczym ciężki jedwab, wyciągniętą z kieszeni kryształową łyżeczką inkrustowaną srebrem zbierała rosę ze źdźbeł trawy. W zaklęcia wmieszała pajęczynę i dmuchawiec i rączką łyżeczki posłałaje w powietrze: szept przesycony tęsknotą i cierpieniem. Cieniem swoich włosów namalowała w ciemności runy, sporządziła pieczęcie bladego światła z szarzejącego blasku gwiazd.

Oparła kolano o skałę i wyciągnęła harfę z pudła. Położyła ją na ramieniu, tak jak przed laty kładła swoje dzieci, kiedy były jeszcze małe. Miała niewiele strun, ledwie starczało ich dla wszystkich palców. Tych czarów nauczyła się od Smoka ze Ściany Nast i nie bardzo wiedziała, jakie uczucia wplatała w jutrzejszy blask księżyca, jutrzejsze gwiazdy, tak jak wczoraj wplatała je w pasma dzisiejszych mlecznych cieni.

Głód za rzeczami utraconymi na zawsze. Rozdzierającą serce słodycz gorejącą w jądrze gorzkiego owocu. Dłoń zamkniętą wokół złudzenia płomienia czy klejnotu; księgi od lat zagrzebane w ziemi.

Przychodziła tu od dwóch tygodni, podczas gdy srebrna moneta księżyca powiększała się z każdą nocą, a potem zaczęła się kurczyć kawałek po kawałku. Ludzie powiadali, że to Szary Bóg zasłania rękawem biały papier, na którym pisze, by ludzie nie mogli odczytać, co przyniesie im zgubę. Przez dwa tygodnie komponowała tę pieśń snów o smutku. Potem w ciszy, jaka zapadała po ukończeniu pieśni, czekała.

Daleko po prawej stronie jeden z obserwatorów zabił komara i zaklął pod nosem.

Gwiazdy sunęły po nieboskłonie. Księżyc wznosił się wysoko,

79

wyśpiewując swój triumf. Ból przenikał ciało i kości. Ponadto smutek zawarty w zaklęciu, jak to bywa z zaklęciami bez słów, był jej smutkiem. Rzadka mgła sięgająca do kolan poruszyła się wśród drzew, a po jakimś czasie zmiana woni leśnego powietrza podpowiedziała Jenny, że zbliża się świt.

Owinęła mgłę wokół siebie, przykrywając ją niestałym sennym złudzeniem. Niczym utoczony ze szkła jeleń przemykała między krzakami i wilgotnymi od rosy paprociami, przez dolinkę, gdzie widmowe ogniki tańczyły wokół muchomorów i ustawionych w kręgi kamieni. Skuleni strażnicy, przypatrujący się spod zmrużonych powiek świeżo wzniesionym murom, zasypanej śmieciami fosie i wyburzonym zewnętrznym zabudowaniom, nie dostrzegli jej, gdy zatrzymała się między nimi, by spojrzeć na twierdzę Pellanora.

Nierówny kwadrat kamiennych murów o boku długości prawie sześćdziesięciu jardów, przesłonięty przesuwającą się z wolna mgłą. Wieża na każdym rogu i budynek pod zachodnią ścianą. Brama i wartownia. Stajnie i spichrze. Trzystu pięćdziesięciu ludzi — mężczyzn, kobiet i dzieci...

W oczach Balgodorusa skarb składający się z solidnego południowego uzbrojenia i stali, niewolników na sprzedaż i ziarna, którym mógł wykarmić swoich ludzi. 1 Jenny, magiczna broń w dłoni Prawa.

Tak jak ta dziewczyna, kimkolwiek ona była, stanowiła broń w dłoni

Czarnego Noża.

Potem ujrzała wypalone ruiny Cair Dhu; Adrica skulonego samotnie wśród baranic wielkiego łoża z baldachimem, które zwykle dzielił z bratem. Johna w swojej pracowni z okularami w dłoni, z uporem czytającego w blasku świecy ten sam tekst, raz, drugi, trzeci, by powoli oprzeć czoło o dłoń.

Zamknęła oczy. Wystarczyłoby gwizdem przywołać Księżycowego Konia i odjechać.

80

Ta plamka światła na murach to z pewnością Pellamor, czekający na jej znak, by spuścić linę.

Świt splukał z murów ciemność najbledszą szarzyną.

Jenny westchnęła i otuliła się płaszczem niewidzialności. Niczym strzęp mgły przeszła przez ruiny wioski, obok bandyckich strażników, wracając do oblężonej twierdzy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Robaki z mięsa, szkodniki ze zboża, Smoki z gwiazd w pustych przestworzach*

John Aversin siedział przez długą chwilę nad drugim tomem *Encyklopedii rzeczy wszystkich materialnego świata*.

„Smoki przybywają z północy, powstając w sercach gorejących wśród lodu wulkanów. Ta kombinacja gorąca i zimna, jak i podziemnych oparów, rodzi jaja, z nich zaś wykluwają się same smoki. Nie będąc zrodzonymi z

ciała, odporne sana wszelkie pokusy cielesne..."

Wśród zielonych zawijasów, złotolistnych kwiatów i karminowych jagód marginaliów można było znaleźć dające do myślenia iluminacje przedstawiające idealnie stożkowate góry wypływające ze swego wnętrza pomarańczowe smocze jaja niczym pestki melonów, a także rysunki wyszczerzonych szeroko i przypominających krokodyle smoków.

„Teltrevir — heliotrop", wyszeptał mu do ucha głos Jenny, a w tle rozbrzmiał muzyczny ścieg jej harfy, melodie powiązane z tymi imionami. „Centhwevir to błękit przetykany złotem. Nymr niebieski, w fioletowej koronie; Gwedthion zielony niczym ocean, Glammring Złotorogi, szmaragdowo lśniący..."

81

Każda melodia, każda nuta były inne, jednakowo natarczywe i obce. John zamknął oczy, wyczerpanie paliło go żywym ogniem, i przypomniał sobie taniec, który widział jako dziecko. Jego muzyka powstała na podstawie dwunastego z tych utworów bez nazwy. Dwunastym imieniem na liście Jenny był Sandroving, złoty i purpurowy. Dziewczyny nazywały ten taniec „krwistym wężem". Nadal jeszcze potrafił zagwizdać jego melodię.

Dotys miał więcej do powiedzenia na ich temat. „Gwiezdne gady, albo smoki, bo i tak się je nazywa, mieszkały niegdyś na archipelagach skał i lodowych gór ciągnących się przez północne morza na zachód od przylądka Tralchet, nazywanych przez gnomy Świetlistymi Ostrowami. Te wysepki czy skaliste rafy są całkowicie jałowe, tak że smoki muszą napadać na ziemie zamieszkane przez ludzi, gdyż cechuje je żarłoczny apetyt, są też wcieleniami chciwości i żądz, jak też i wszelakiego uporu".

„A ciekawe, czym żywią się między napadami?”, pomyślał John.

W rogu biurka Chudzielec obudził się na chwilę, by podrapać się po uchu i umyć, po czym na powrót zapadł w sen, z łapą na pyszczku. Wśród węgielnej ciemności za oknem zapał kogut.

Dotknął pliku arkuszy przysłanych przez młodego regenta. Stare ballady skopiowane zostały pięknym charakterem pisma przez dworskiego skrybę. Niewiarygodne, co władza może zrobić z obsesją, którą wcześniej pogardzali dyktatorzy mody.

*Bo oto, rzekła, smoki śpiewają Piękniej niżli ptaki* Kto przy zdrowych zmysłach wymyśliłby podobny szczegół, i po co?

*Lecą na południe płomieniste cienie*

*Z wysp lodu i skały pod księżycem białym*

## 82

Świeca okapywała, kopcąc obficie. John podniósł zdziwiony wzrok i po omacku odszukał nożyczki, by przyciąć knot. Niebo w kamiennej framudze zmieniło barwę z czarnej na perłową.

Czuł ból w całym ciele, jak gdyby obito go łańcuchem. Nawet taki wysiłek, jakiego wymagało utrzymywanie przez kilka godzin pozycji siedzącej, wywołał znużenie. Większość świec zdążyła się wypalić, ich brudny blask poruszał się niepewnie w eksperymentalnej plątaniu bloków i takielunku, podwieszanej pod stropem. Wkrótce będzie pora ruszać w drogę.

*...Z wysp lodu i skały...*

Drugi tom także leżał przed nim, fragment tekstu Juronala znaleziony w

gnieździe guli, nieopodal Grobowców Ghrai. Przeczytał go po powrocie, dwie noce temu, gdy poszukiwał niedokładnie zapamiętanej informacji, która wyjaśniła mu, co stało się z Ianem i dlaczego nie wolno mu było ociągać się z wyruszeniem na poszukiwanie syna.

„Na północ”, pomyślał. Zdjął okulary i podparł czoło dłonią. „Sam. Oby Bóg miał mnie w opiece”.

„Kluczem do magii jest magia!” Jenny umknęła przed twardymi, sękatymi dłońmi, zadającymi jej bolesne ciosy, podczas gdy bezzębne wargi miały obelgi. Brudny, przesycony dymem smród domu na Oszronionym Wzgórzu powrócił do niej w sennym oszołomieniu. Koty Caerdinna przyglądały się jej z parapetów i progów, nie przejmując się aż zbyt znajomą sceną. „Kluczem do magii jest magia!” Przytrzymując ją w żelaznym uścisku, starzec odciągnął ją za włosy od paleniska, wyrwał jej z rąk starą harfę i rzucił na stół uginający się od ksiąg, których czarne litery były ledwie widoczne na pożółkłych stronach.

„Im więcej zrobisz, tym więcej będziesz w stanie zrobić! To lenistwo, lenistwo, lenistwo czyni cię małą!”

„To nieprawda!” Chciała wykrzyknąć mu to w twarz, przez dzielącą ich otchłań czasu. „Nieprawda”.

**83**

Ale mając czternaście lat, nie mogła o tym wiedzieć. Nawet kiedy skończyła trzydzieści dziewięć lat, nadal tego nie wiedziała.

We śnie ujrzała letni zmierzch, piękno nocy, podczas których niebo przesycone było światłem aż do północy, by budzić swym oddechem świt zaledwie trzy godziny później. We śnie usłyszała smutne melodie, jakie

wygrywała na harfie swojego mistrza, utwory, które nie miały nic wspólnego ze starożytnymi muzycznymi zaklęciami przekazywanymi przez Linie Herne. Podobnie jak cała reszta wiedzy Caerdinna, te zaklęcia, urywki zapamiętanych bez rozumienia fraz, były irytująco niejasne.

We śnie wydało się jej, że widzi czarną, kościstą sylwetkę smoka na tle letniego księżyca w pełni.

Kluczem do magii nie była magia.

W ciemnościach zapłonęły dwie kryształowo srebrne lampy. Gwiazdy spijające duszę i oplatające umysł labiryntem jeszcze głębszego snu. Bielejące jądro słów formujących się w przepastnej ciemności.

„Czym jest prawda, kobieto czarowniku? Prawda, jaką postrzegają smoki, nie jest przyjemna dla ludzkiego oka, jakkolwiek niepokojąco zrozumiała byłaby dla serca. Wiesz o tym”.

Pętle wielobarwnej muzyki, składające się na jego prawdziwe imię.

Kalejdoskop wspomnień, poruszony przez nią dotknięciem jego umysłu.

Złoty ogień magii przepływający w jej żyły.

Rzucając się w smoczej postaci na wiatr...

„Pani Waynest...!”

„Miłość, o jakiej mówisz, jest mi obca. Nie jest sprawą smoków...”

„Pani, zbudź się!”

— Zbudź się!

Dyszac ciężko, wyrwała się z uchwytu bezdźwięcznego szeptu skrytego wśród cieni. Gryzący dym podrażnił jej gardło; powie-

trze przepelniał zgiełk ludzkich krzyków, szalonych ryków bydła i cierpiących koni.



- Co się dzieje? — Usiadła gwałtownie, bolała ją głowa, powieki nie chciały się rozkleić. Obok jej wąskiego łóżka stał Nemus, jeden z kawalerzystów Rocklys.

- Balgodus...

Jak gdyby istniało jakieś inne wyjaśnienie. Jenny sięgnęła po halabardę i kamienie do procy — ostatnio kładła się spać w ubraniu i butach — starając się przepędzić ołowiane znużenie z kości. ' Jej umysł automatycznie rejestrował szczegóły: poranek, hałas ze wszystkich stron, jednoczesny atak... — ...ogniste strzały — mówił mężczyzna. — Podpalili dach blokhauzu, a w jednym z magazynów wybuchł pożar...

„Zaklęcia ognia”.

—.. jak gdyby szął wstąpił w zwierzęta...

„Przekleństwo”, pomyślała. „Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo...”

Stajnie także stały w ogniu. Nie miała pojęcia, jaki czar rzucono na zwierzęta, ale konie, muły i bydło miały się szaleńczo po dziedzińcu, zderzając się ze sobą, wierzgając po ścianach, rzucając się na drzwi. Rycząc, kwicząc, z obłędem w oczach. Dym przesłaniający tę scenę robił wrażenie przesyconego magią, jak gdyby coś ohydneho płonęło i rozprzestrzeniało się wraz z płomieniami.

„Niech ją piekło pochłonie”, pomyślała. „Kto nauczył tę sukę takich czarów?”

Drabiny podrygiwały i przesuwały się nad fryzem kolców palisady. Strzały wypełniały powietrze. Na północnym murze napastnicy już byli rąbani i dźgani przez obrońców. Kamienie tłukły po murach, jakaś strzała

uderzyła nieopodal jej głowy. Ktoś wykrzykiwał rozkazy gromkim głosem. Przelotnie ujrzała Pellanora w stalowej zbroi, wymieniającego ciosy z bandytą w brudnym skórzanym stroju, i zaraz zbiegła po schodach na dziedziniec.

85

—Uważaj, pani! — krzyknął jakiś żołnierz biegnący pomostem. — Koniom odbiło!

„Przekleństwo”, pomyślała Jenny, usiłując przezwyciężyć wyczerpanie i znajomą, oślepiającą migrenę, by się skoncentrować, wyekstrahować z powietrza naturę i formę zaklęcia. Wyczuwała też czary wywołujące panikę, całą ich falę...

Załomotała w okiennice magazynów, gdzie podczas szturmów chowały się dzieci.

—To ja, Jenny Waynest! — zawołała. — Niech ktoś otworzy, wszystko jedno kto...

Okiennice rozwarły się odrobinę, w szczelinie zamajaczyła dziewczęca twarz.

—Imiona krów — powiedziała Jenny. Musiała zrobić to brutalnie, Ograniczeniami, nie przeciwcarami. — Szybko.

Dziewczynka, dzięki Bogu, nie zapytała, czy Jenny postradała zmysły ani czy mówi serio.

- Eem... Florrie. Bogini. Ruda. Mam ci pokazać, która jest która? Biegają bardzo szybko.
- Imiona wystarczą. — Jenny знаła już imiona koni. — Daj mi minutę. Zaraz wrócę. Myśl o następnych.

Przebiegła przez podwórze, dwie krowy i muł zawróciły i ruszyły w jej

kierunku. Ledwie zdążyła dopaść schodów na wschodnią wieżę przed nimi, wskoczyła na nie i wgramoliła się na górę, gdzie nie mogły jej sięgnąć, zaraz stawiając czar strażniczy na kamieniach. Dym kłębił się niczym wezbrana rzeka pod kalenicami warsztatów między wschodnią a północną wieżą, lecz pozostanie tutaj było lepszym rozwiązaniem od ponownego biegu przez chaos na dziedzińcu. Jenny podciągnęła się w górę i przebiegła przez dach, w biegu formułując przeciwczary chroniące przed ogniem i dziękując Dwunastu, że dach pod jej stopami wykonany był z dachówki. Z góry spadł martwy mężczyzna, krew bryzgnęła na boki.

„Zlokalizuj zagrożenie”, myślała Jenny. „Czary szaleństwa, czary ognia, tymi zajmij się w pierwszej kolejności. A potem, na

86

białego pieska Księżycowego Skryby, policzymy się z tobą, moja niedouczona koleżanko”.

Ograniczenia uspokoiły oszalałe zwierzęta, wyłączając je jedno po drugim spod działania czaru. Skupianie się wśród tego zamieszania, smród dymu i obawa, że bandyci Balgodorusa przedrą się przez mur, przyprawiły ją o ból głowy.

Ze szczytu zachodniego muru Jenny wypatrzyła samego Balgodorusa, wysokiego mężczyznę, siłą przewyższającego wszystkich swoich podwładnych, ciemnowłosego, o twarzy okolonej zjeżoną brodą. Ludzie gromadzili się wokół niego, gotowi do kolejnego ataku. Naciągnęli kusze, skłębili się i zaczęli pokrzykiwać, podjudzając się wzajemnie. Balgodorus przemawiał do nich, wskazując w stronę murów...

—Pewnie opowiada im o zapasach i skarbach, jakie tu przechowujemy — mruknął spod hełmu Pellanor dźwięczącym głucho

głosem, stając u boku Jenny. Oddychał ciężko, śmierdzał potem i krwią ściekającą po stali.

Balgodorus skinął na stojącą obok niego kobietę.

- To ona — powiedziała cicho Jenny.
- Co takiego?
- Wiedzma. Jest w spódnicy i nie ma broni. Kobiety bandytów noszą się po męsku. Bo inaczej po co brałyby udział w bitwie? Potrzebuję liny. — Jenny przeszła szybko wzdłuż palisady, ciemne włosy ciągnęły się za nią dziwną chmurą, a Pellamor pospiesznie poszedł jej śladem. — Nie sądzę, żebyście oszczędzili gdzieś drabinę, co?

Na całej długości murów obrońcy dyszeli ciężko, opierając włócznie i miecze o palisadę, ocierając z oczu pot i krew. Dzieci przebiegały pomosty, roznosząc wodę, ostry męski głos rozkazał im wracać do budynku i zaryglować się od środka. W dole, na dziedzińcu, konie wierzgały nerwowo, rozdrażnione wonią dymu i krwi, zewsząd dobiegał dziki pisk myszy, kotów i szczurów, wciąż jeszcze pozostających pod wpływem czaru szaleństwa.

87

—Wielkie nieba, nie!

Zmacała procę i kamienie, wsunęła ramię w rzemienie halabardy.

—Wracaj. Oni szykują się do kolejnego szturmu.

Przestąpiła martwego bandytę, podkasując spódnice.

— Chyba nie myślisz poważnie o wyjściu w środku ataku!  
Zabijacie!

Jenny nigdy nie stosowała czarów iluzyjnych tak blisko twierdzy, bojąc

się, że mogłyby zadziałać na strażników na murach albo na przeciwczary chroniące przez złudzeniami, którymi tak starannie otoczyła fortecę. Ostatniej nocy odświeżyła je wszystkie, gdy zwiadowca poinformował ją o niecodziennym zamieszaniu w obozie bandytów. Zdążyła jedynie pospiesznie przywołać obraz Johna i to, co ujrzała, zaniepokoiło ją. Zamiast leżeć w łóżku, ładował zapasy do latającego okropieństwa, które zbudował na wiosnę. Towarzyszył mu Muffle. „Muffle, na miłość Bogini, wbij mu do tego tępego łba trochę rozsądku!”

— Jedynie podczas ataku jej uwaga skupiona będzie na czymś innym.

Jenny znalazła zwój sznura, po którym spuściła się z murów dwie noce temu, schowany starannie za drzwiami północnej wieży. Przepatrzyła teren w dole, jak i zrujnowane, wydeptane pola na wschód od twierdzy. Żadnych bandytów z tej strony. Strzały zaścielały ziemię, pływały w fosie niczym źdźbła słomy. Samotne ciało, pamiątka po ataku sprzed trzech dni, kołysało się obscenicznie wśród na wpół zatopionych belek i gałęzi.

— Róbcie, co chcecie, musicie ich jeszcze raz powstrzymać  
— powiedziała. — To nie potrwa długo.

- A jeśli użyje kolejnych zaklęć? — zapytał z niepokojem w głosie. — Skoro nie będziesz mogła ich zneutralizować...
- Liczę na to, że tak właśnie zrobi — odpowiedziała Jenny.

— Będę miała większą szansę ją dopaść. Trzymajcie się i nie panikujcie. Nie wrócę przed odparciem ataku, ale to nie zajmie dużo

88

czasu. — Prześlizgnęła się między wilgotnymi, okopconymi kolcami palisady, chwytając się liny. — Będę was obserwować.

— W takim razie niech bogowie wojny i magii okażą ci swoją przychylność. — Pellanor zasalutował i opuścił przyłbicę. — Cholera — dodał, gdy po przeciwnej stronie fortecy znów podniósł się zgiełk. — Oto i oni.

Jenny opuściła się w dół, szybko przepuszczając sznur między dłońmi, zadowolona, że nadal ćwiczyła jeszcze z Johnem fechtunek halabardą i mieczem. Niemniej jednak miała czterdzieści jeden lat i czuła to w kościach. Brak snu ostatniej nocy, zaledwie krótka drzemka poprzedniej, a kiedy już zasnęła, ujrzała we śnie Johna krzątającego się przy zbudowanym przez siebie okropieństwie...

Przegnała z umysłu te obrazy, szaleńczy lęk i pragnienie połamania ukochanemu nóg, by zatrzymać go w łóżku do jej powrotu, zmusiła się do skupienia uwagi na czarach zabezpieczających i maskujących i pobiegła przez pole. Stratowane uprawy do pewnego stopnia osłaniały ją przed ludźmi, których krzyki dobiegały spod murów.

- Na nich, ludzie! — Głos Balgodorusa rozbrzmiewał niczym żelazny gong. — Niech pożałują że się urodzili! — Podążył z mieczem w dłoni w ślad za swoimi oddziałami i teraz stał niedaleko miejsca, w którym Jenny ukrywała się wśród połamanego zboża.
- A ty, suko... — Złapał za ramię stojącą przy nim kobietę. A raczej dziewczynę — teraz Jenny widziała to wyraźnie. Miała nie więcej niż piętnaście lat, splątane kasztanowe włosy i nie do-pasowaną suknię typową dla bandyckich dziwek, wykonaną z dror giego jedwabiu ozdobionego złotem, czarną od potu pod pachami, podkasaną, tak że widać było, iż nie nosi pod spodem nie tylko halki, lecz najwyraźniej także gorsetu czy koszuli. Szczupła, drobna twarz bez wyrazu,

martwe oczy, w których już od dawna zabrakło miejsca na łyzy czy radość.

- Rób, co ci kazano, albo w nocy dostaniesz to, na co zasługujesz, jasne?

89

Odepchnął ją od siebie i ze wzniesionym wysoko mieczem pobiegł, by dogonić swoich ludzi, sadząc lekkimi susami niczym wielki, ciemny lew. Powitał go radosny wrzask. Niektórzy z nich już byli gotowi, słali strzały na mury, a tych kilku ludzi, których Balgodorus pozostawił na straży przy wieżmie, także przyglądało się szturmowi, przeklinając, pokrzykując i przerzucając się żartami.

Dziewczyna zamknęła oczy i wykonała dłońmi znaki mocy.

„Żadnych Ograniczeń”, pomyślała Jenny z niesmakiem. „Ani żadnego wzmocnienia — musi przywoływać wszystko z własnych kości i ciała”. Na szczupłej, bezbarwnej twarzy malowało się napięcie i skupienie, choć Jenny zdawało się, że dostrzega drżenie jej warg.

Nie była starsza od niej, kiedy Caerdinn biciem wmusił w nią resztki swojej mądrości.

I, jak ona, zapewne pożałowała wiedzy w każdej postaci.

To było aż za łatwe. Jenny wyciągnęła z mieszka kamień, włożyła go w procę i zawinęła nim nad głowę, podnosząc się z ziemi. Wczekał na odpowiedni moment... Pierwsza drabina oparła się o mur, Balgodorus wspiął się na nią. Jeden ze strażników wieżmy wrzasnął: „Dował im, szefie!” i zamachał pięścią w powietrzu. Dziewczyna ściągnęła brwi, na jej twarzy odmalował się ból. Jenny spostrzegła, że była równie wyczerpana i obolała, jak ona sama.

Poczuła głębokie ukłucie współczucia, gdy wypuściła kamień z procy.  
Dziewczyna okręciła się jak rażona niewidzialnym piorunem i upadła w milczeniu na ziemię.

90

## ROZDZIAŁ ÓSMY

—Oszalałeś, Johnny!

Aversin zaprzestał przymocowywania pudeł, skrzyń i podpórek do boków czegoś, co wyglądało jak długa, wąska łódź z plecionki — co samo w sobie było dziwne, zważywszy na odległość dzielącą Alyn Hołd od najbliższej żeglownej wody — i przez moment bez słów mierzył wzrokiem swego przyrodniego brata. Potem przeskoczył przez okrężnicę, nabrał z otwartej beczki garść słomy używanej do pakowania i wcierając ją we włosy, wykonał serię podskoków i piruetów, nie wydając przy tym żadnego dźwięku ani nawet nie zmieniając wyrazu twarzy. Sierżant Muffle cofnął się zaniepokojony.

— Ukląkłbym i zaszczekał — powiedział John, chwytając się relingu i dysząc ciężko z pobielającą twarzą — ale ostatnio męczy mnie reumatyzm. — Chwiał się niepewnie, więc Muffle podbiegł do niego i złapał go pod ramię, by pomóc mu odzyskać równowagę.

- Cierpisz na pokiereszowanie przez smoka, a do tego wykazujesz pierwsze objawy obłądu! Nie myślisz chyba o tym poważnie?
- Równie poważnie co o skoku w przepaść, synu. — Spróbował



uwolnić rękę. Mimo letniej spiekoty zalegającej dziedziniec jego nagie ciało pod masywnymi palcami kowala było lodowato zimne.

- Skok w przepaść byłby znacznie bezpieczniejszy od tego, co zamierzasz uczynić. I przyniósłby więcej korzyści.

John odwrócił się, dyskretnie opierając się na częściowo rzeźbionej, częściowo wyplecionej figurze na dziobie łodzi. Był rozebrany do butów, irchowych spodni i koszuli; wieczorne światło odbijało się w okrągłych soczewkach jego okularów, gdy przeciągał łódź bliżej niewielkiego paleniska, na którym od godziny

91

płonął ogień. Bandaże osłaniające jego pierś i ramię nie do końca skrywały posiniaczone ciało; pod sińcami czernią pobłyskiwały blizny po pojedynku z innym smokiem.

Choć solidnie wyładowana, łódź dała się poruszyć bez większego wysiłku. Ustawiona była na kołach wykonanych, podobnie jak maszyna w jej środkowej części, z lekkiej stali i stopów pochodzących z kuźni gnomów. Kiedy królewskie wojska przybyły do Zimowych Krain przed dwoma laty, John skorzystał z okazji, by przejechać się do gnomiej Głębi w Wyldoom, zasłyszawszy, że potrzebują pomocy wojownika, by uporać się z gniazdem skalnych trygonów poruszonym podczas prac górniczych. Maszyna wykonana na zamówienie Johna, według planów znalezionych w starożytnym odpisie tekstu Heronaxa, stanowiła wynagrodzenie za dwa tygodnie obcowania z niebezpieczeństwem i okropieństwami czającymi się w ciemności.

- Kiedy urodził się Adric, zostaliśmy opadnięci przez wije i dwa miesiące tkwiliśmy w Księżycowym Lesie — powiedział do Muffle'a.

— Jen da sobie radę, cokolwiek się z nią dzieje, ale nie mogę czekać na jej powrót, łan zniknął dziesięć dni temu.

- łanowi nic nie będzie. — Adric podszedł do nich, stając z udaną bez troską, bardziej pasującą do wojownika. Mag dreptała przy nim w milczeniu, przyglądając się plecionej łodzi w charakterystycznym dla siebie skupieniu. Chłopiec wziął ją za rękę i odciągnął do tyłu, wiedząc, czym mogą się skończyć przeprowadzane przez Mag badania. — A mama poradzi sobie z każdym nędznym magiem.
- Ano. — John uśmiechnął się i zmierzwił synowi włosy. — Ale to może jej zająć trochę czasu. — Zerknął na Muffle'a, jego oczy lśniły niespokojnie, po twarzy spływał pot.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego, Johnny. John uniósł brwi, wyglądając na zaskoczonego.
- Nie powiedziałem ci, żebyś poszedł sobie na długi spacer,

92

bo to nie twoja sprawa, ale tylko dlatego, że jesteś moim bratem i jesteś większy ode mnie.

—John, powinieneś leżeć w łóżku! — Ciotka Jane, najstarsza i najtęższa spośród trzech sióstr starego Lorda Avera, zbiegła po schodach z górnego dziedzińca. — Muffle, dziwię ci się, że mu na to pozwalasz!

Kowal chciał zaprotestować, że nie jest pielęgniarzką swojego brata, lecz ciotka Jane nie dała mu dojść do słowa.

- I do tego grzebiesz się przy tej swojej pogańskiej maszynie, zamiast

odpoczywać! — Łypnęła z dezaprobatą na teleskop Johna, przymocowany do rufowej okrężnicy. — I jeszcze mieszasz w to dzieci! Staną się takie same jak ty.

- Tato nas w to nie mieszał — oznajmił wyniośle Adric. — Zakradliśmy się sami. — Przysunął się do ojcowskiego boku, jak gdyby chciał go obronić, nadal trzymając siostrę za rękę.
- No proszę!

Ciotka Jane zatrzymała się i zmierzyła łódź długim spojrzeniem, choć żadna z ciotek nie interesowała się naukowymi i mechanicznymi zapędami bratanka. Ale tylko wzruszyła ramionami i odwróciła się, jak gdyby niejednolita konstrukcja urządzenia była dla niej czymś normalnym: kształtem przypominało łódź, lecz oprócz pokładu wykonane było z lakierowanej wikliny; osadzone na kołach i wyposażone w zestaw żagli, rej, bomów i masztów, nie wspominając o skomplikowanym mechanizmie, kablach, śmigłach i sprężynach. Najwyraźniej nie skojarzyła go z łożynowym szkieletem ustawionym nad krótkim kominem paleniska. Przy nim leżały otwarte skrzynie wypełnione belami jedwabiu, grube zwoje gno-mich kabli, stalowe pierścienie i skórzane zawory.

—Wracaj na górę — rozkazała. — Szybko! Spacerować po okolicy, kiedy powinieneś leżeć w łóżku...

Weszła z powrotem po schodach, mamrocząc pod nosem, a sierżant Muffle, zerknąwszy z niepokojem na Johna, podniósł

małą Mag, jak gdyby była samotnym białym makiem, i poszedł w ślad za nią. Gdy tylko zniknęli, John pospiesznie przysiadł na stosie drewna za

paleniskiem.

- Dobrze się czujesz? — Adric podszedł do niego, podobnie jak John rozebrany do spodni, butów i koszuli, splatając dłonie na rękojeści niewielkiego miecza wiszącego mu u pasa. John z wielkim trudem zdołał go przekonać, by go odpinał przed pójściem spać.
- Podeślij mi następnego smoka — powiedział beztrąsko John. — Ukręcę mu łeb jak kurczakowi.

Adric uśmiechnął się i wskoczył na stos drewna obok ojca.

- Pojedziesz odszukać lana?
- Muszę, synu.
- Mogę pojechać z tobą? Będziesz potrzebował pomocy — dodał chłopiec, widząc, jak ojciec nabiera powietrza w płuca, by udzielić odmownej odpowiedzi. — Nawet jeśli zabierzesz wszystkie trucizny mamy i swoją maszynę do zabijania smoków. Nigdy nie wypróbowałeś jej na prawdziwym smoku. Umiem posługiwać się mieczem. — Zdecydowanym gestem poklepał swoje ostrze. — Potrafię strzelać, rzucać lassem i oszczepem. Wiesz, że jestem lepszy od lana.

To prawda. Kiedy chłopcy byli jeszcze mali, John włożył wiele wysiłku, by przeskolić ich w posługiwaniu się bronią, wiedząc, że w Zimowych Krainach ta wiedza jest niezbędna i być może będą musieli z niej skorzystać jeszcze przed osiągnięciem wieku męskiego. Chociaż łan uczył się pilnie, młodszy syn pochłaniał lekcje z błogim zapalem, który nie pozostawił w umyśle Johna cienia wątpliwości co do tego, kto zostanie obrońcą Zimowych Krain po jego śmierci.

I pewnie będzie w tym lepszy ode mnie, przyznał ponuro w duchu.

— Zaraz mi powiesz, że bardzo byś chciał — westchnął Adric — ale nie możesz. Zgadza się?

94

— Zgadza się, synu — odparł John. Oderwał gałązkę z jednej z beli drewna i sklecił zabawkę dla Chudzielca, który właśnie zjawił się na dziedzińcu. Kot obejrzał ją bez śladu zainteresowania i zajął się swoimi sprawami. — Ludzie przyjdą do nas na kolację i na tańce, ale póki wszyscy są zajęci, może mógłbyś skoczyć do mnie na górę i przenieść moje tobołki na pokład „Dmuchawca”. — Wskazał kciukiem na łódź. — Wyświadczyłbyś mi wielką przysługę, o ile mam jeszcze u ciebie wystarczający kredyt.

Adricowi zaświeciły się oczy, więc zeskoczył ze sterty drewna i wbiegł po schodach jak kozica. John poszedł w jego ślady znacznie wolniejszym krokiem, kuśtykając i trzymając się ściany. Przespał się kilka godzin, a Tłuścioch i Chudzielec położyły się uspijonymi, szarymi kłębkami u jego boku. Kiedy się zbudził, nałożył kurtkę i zawiązał mały tobołek z ubraniami, zapasowymi butami, opończę i brzytwą. Obok położył worek zawierający wszystkie trujące składniki, jakie wraz z łanem przyniósł z pracowni Jenny i z domu na Oszronionym Wzgórzu, słoje i pakiety o zawartości zabójczej bądź też tylko usypiającej; a także podłużny pakiet kawałków pergaminu wyżebranych w skrytorium w Corflyn. Potem, ignorując protesty ciotek, pokuśtykał na dół, w stronę dobiegającego z holu zgiełku i blasku pochodni.

Na kolację zawsze przychodzili ludzie z wioski — setki przyjaciółek Jane, bracia i siostry służących z Hołd, czasami Sparrow, siostra Jenny, z dziećmi, Muffle z rodziną albo umęczony ojciec Hiero, którego wysiłki

zmierające do odnowienia w wiosce kultu Bogów spotykały się z powszechną obojętnością i głęboko zakorzenioną uporczywą wiarą w Starego Boga. John zmuszony został do opowiedzenia Sparrow, ciotce Hol i kuzynce Rowanber-ry wszystkiego, co słyszał i widział w Cair Corflyn, i tego, co Rocklys powiedziała mu o niepokojach na południu. Opowiadał o wysokości zboża, postępach prac przy nowym kamiennym młynie, liczebności bydła („Co to znaczy, że nie wiesz?”, zapytał stary Cram Grabbitch z Farmy Przy Rowie. „Nie umiesz liczyć, chłop-

95

cze?”) i strojach żon służących z południa. Zmęczyło go to, ale nie miał ochoty wychodzić. Powtarzał sobie w duchu, że to dlatego, iż nie ujrzy ich przez długie tygodnie, starannie unikając nawet w myślach słowa „nigdy”. Po kolacji wyciągnął lirę korbową, będącą częścią zapłaty za zabicie smoka przed czterema laty, by zagrać czterystuletnie pieśni bojowe, dziecięce przyśpiewki i sentymentalne ballady z poczerniałej księgi znalezionej w ruinach Eldsbouch. Muffle i Adric przyłączyli się do niego, wybijając rytm na bębenkach, i nawet ciotka Jane wyciągnęła swój drewniany flet. Ciotka Rowan i ciotka Hol — matka Muffle'a i wieloletnia kochanka ojca — wraz z Peg ruszyły w tan z zadziwiającą lekkością, wirując sukniami, łachmanami i długimi siwymi włosami.

Zabawa jeszcze trwała, gdy oznajmił, że idzie się położyć. Lecz wychodząc, posłał Adricowi znaczące spojrzenie.

Po paru minutach chłopiec dołączył do niego na dziedzińcu za kuchnią. Razem zeszli po schodach przez ciepłą, granatową ciemność, kierując się ku rozżarzonemu ślepiu paleniska przy starych koszarach, zamkniętemu i przykrytemu łożinowąklatką. Noc była cicha, przesycona wonią

jęczmienia dojrzewającego na polach wokół Hołd i wielkich, wilgotnych, zielonych bagnisk północy i wschodu. Wciąż jeszcze słyszeli muzykę, odległą, dziką i wesołą, wtórowały jej świerszcze i żaby. Księżyc dopiero co wzniosł się nad nierówną linią horyzontu, malejący, lecz jasny, żółty niczym miąższ dyni.

— Rzucają się na mnie z pazurami, skoro tylko zorientują się, że zamierzam wyjechać — powiedział John, sprawdzając skórzany wąż prowadzący od paleniska do wielkiej srebrzystej masy jedwabiu, rozłożonej starannie na spękany bruk. W ciągu ostatnich kilku godzin zaczęła się poruszać i przesuwać, nabrzmiewając powoli.

W krwawym blasku twarz chłopca wykrzywiła się w szerokim uśmiechu.

96

- Czyli obawiasz się, że ciotka Jane cię nie puści.
- Jestem panem na Hołd i byłbym zobowiązany, gdybyś o tym pamiętał, mój drogi. — John wepchnął w ogień krótką wiązową szczapę, ciesząc się, że wcześniej polecił służącym przygotować drewno. — Okazałbyś trochę szacunku dla starego, zmęczonego człowieka.

Ale Adric wyszczerzył się jeszcze bardziej. Zbyt wiele wiedział o ciotkach rzucających się z pazurami. Przez jakiś czas pracowali wspólnie, napychając brzuch pieca, gorąco falami obmywało ich twarze, gryzący biały dym uciekał w rozgwieżdżone niebo. W odpowiedniej chwili John zatrzasnął kopniakiem drzwiczki i z zawieszzonego u pasa woreczka wygrzebał przedmioty otrzymane od gnomów z Wyldoom: kilka białych kamieni wielkości karłowatych jabłek, porowatych i miękkich w dotyku. Na kominie paleniska zamocowany był metalowy koszyk, do którego John

włożył kamienie, by zaraz ponownie obejrzyć puchnące fałdy szarego jedwabiu. Sznury, klapy i rura zamocowane były zgodnie z zaleceniami starych ksiąg, z uwzględnieniem wyników wielomiesięcznych prób i eksperymentów.

—To magia? — wyszeptał po chwili Adric.

Byle co nie robiło na nim wrażenia. John poczuł zadowolenie, że mu się to udało.

- Te balony? Nie. — Cofnął się i delikatnie oparł się o łódź. — Heronax z Ernine, tysiąc dwieście lat temu napęłnił jedwabny worek gorącym powietrzem i przeleciał w nim siedemdziesiąt pięć mil, a przynajmniej tak twierdzi, z Ernine, gdziekolwiek to było, na Srebrną Wyspę. W czwartym tomie *Historii* Dotysa — a może u Polyborusa? — jest mowa o ludziach budujących latające maszyny przy użyciu gnomiej magii, choć nie wiem, czy były to balony czy też skrzydlate maszyny takie jak ta, którą zbudowałem parę lat temu. I doceniam, że nie chichotałeś, kiedy o niej wspomniałem — dodał z godnością. — Prawie działała.
- Podobnie jak twój *spadochron* — *zauważy*) Adric, źle

97

wymawiając archaiczne słowo. — I szklana butla do nurkowania. I rakiety. I...

— No, w przeszłości wszystkie te urządzenia działały jak należy — odciął się John, zrzucając szorstki kaftan. — Jedynie maszyna do zabijania smoków jest zupełnie nową konstrukcją i moim wynalazkiem. Skoro starożytnym to wychodziło, czemu miałbym być gorszy?



Jedwab nabrzmiał i poruszył się niczym gigantyczna wersja mysich stóp, jakie wykonywał pod pościelą, by zainteresować apatycznego Tłuściocha — choć nieodmiennie bez powodzenia. Światło pochodni i blask księżyca kładły się wodnistymi wzorami na płótnie. Powoli jedwab zaczął się podnosić, jak gdyby skryta pod nim olbrzymia istota dźwigała się z ziemi. Adric podszedł do niego, od niechcienia zatykając dłonie za pas i starając się zachowywać nonszalancko, choć zdradzały go rozszerzone z wrażenia oczy.

— Widzisz, gorące powietrze unosi się do góry. Tak powiada Cerduces w *Principia mundis* i ma słuszność. Jeśli umieścisz kawałek papieru albo liść nad ogniem, sam zobaczysz, jak wzlatuje w górę.

Adric przytaknął. Zazwyczaj nie bardzo pociągały go naukowe zainteresowania ojca, a choć przez całe życie słyszał o latających maszynach, nie ujrzął niczego bardziej imponującego niż fiasko skrzydlatego urządzenia przed dwoma laty.

- A co się stanie, kiedy powietrze ostygnie? — zapytał.
- Opadniesz w dół. Możesz to opóźnić, zabierając go więcej, niż potrzebujesz, używając balastu — tak w każdym razie utrzymuje Cerduces — ale to nieuniknione. Dlatego potrzebuję hotwaj-sów — tych kamieni, które podarowały mi gnomy. Utrzymują wysoką temperaturę powietrza. To część gnomiej magii. Gnomy potrafią umieścić w skałach światło, dźwięk, a nawet powietrze, tak jak mama używa zaklęć powietrza, by pływać pod wodą. Słyszałem plotki o jeszcze innych, ale gnomy są cholernie ostroż-

ne, jeśli chodzi o udostępnianie swojej magii obcym. We fragmencie dzieła Ibikusa, który znalazłem w Eldsbouch...

— Więc tak zamierzasz odszukać smoka, który porwał lana?

John umilkł. Czuł na twarzy spojrzenie syna, pamiętał też, że nigdy jeszcze nie okłamał żadnego ze swoich dzieci. Zdawał sobie sprawę, że milczy za długo.

- Ty wiesz, co się stało z łanem, prawda? — zapytał Adric.
- Nie — odpowiedział ledwie słyszalnym głosem John.
- Ale się domyślasz?

Zamknął oczy, żałując, że nie może skłamać. Żałując, że nie może opowiedzieć synowi czegoś innego niż to, co podejrzewał.

— Tak.

Wiklinowe wykończenie burty łodzi wbiło mu się w ciało, gdy zacisnął na nim dłonie, zaboląły rany — pomyślał, że znów zaczęły krwawić — a może to był jedynie efekt wyczerpania.

Żałował, że nie może poczekać na Jenny.

Że nie istnieje żadne inne rozwiązanie.

Że nie mógł mieć pewności co do szans powodzenia tego przedsięwzięcia.

— Dokąd jedziesz? — W głosie Adrica zabrzmiał lęk.

— Odnaleźć kogoś, kto będzie w stanie mi pomóc — odparł John. „Jeśli mnie przedtem nie zabije”.

„W czasach herosów grupa magów zniewoliła smoki...”

Zamknął oczy i wspomnienie tego, co przeczytał w wytartym fragmencie tomu Juronala, powróciło do niego tak wyraźnie, jak gdyby czytał z książki.

„W czasach herosów grupa magów zniewoliła smoki”.

Ujrzał błękitno-złote piękno Centhwevira, krwawiącego na Czarnej dymiącej ziemi. Błysk kryształu w dłoni czarodzieja. „Ocal smoka, zniewól smoka...”

Spokojne, napięte oblicze maga z południa. Obcy, diabelski uśmiech lana.

John wrzucił tobolek z ubraniem na pokład „Dmuchawca”,

99

obejrzał maszty i olinowanie, skontrolował maszynę mającą napędzać go w bezwietrzną pogodę. Latał już nim, i jego wcześniejszymi, mniej doskonałymi poprzednikami, lecz nigdy tak daleko, nigdy z takim obciążeniem. Elementy maszyny do zabijania smoków, przy której dłużył przez ostatnie trzy lata, umocowane wśród paczek z jedzeniem i bukłaków przy okrężnicach, zajmowały większą część pozostałej wolnej przestrzeni.

Puste, śmieszne zabawki w porównaniu ze smoczym przepychem. W porównaniu z mocą czarodzieja na tyle potężnego, by uratować życie jednemu z nich i zniewolić go.

„To szaleństwo, nie jestem nawet magiem”.

„W czasach herosów...” Z dalszej części tej historii wynikało, że magowie, posługując się swymi smoczymi niewolnikami, podbili krainę Ernine, wywołując całą serię wojen, które obróciły w perzynę tereny, sądząc z odniesień geograficznych, tożsame z obecnym Kresami Bel, strącając z tronu dynastię panującą i niszcząc całą cywilizację. Juronał pisał o tych wydarzeniach z perspektywy stuleci i wiele z tego, o czym opowiadał, było ewidentnym wytworem fantazji albo też zapożyczeniem z innych źródeł. Lecz kiedy się zastanowić, a miał na to kilka dni, podczas

których przygotowywał obie maszyny, jego opowieść zawierała jądro prawdy.

Podniósł wzrok na balony „Dmuchawca”, niewielkie księżycyce oświetlone pierwszym brzaskiem letniego świtu. Światła domu przygasły. Huczący żar pieca uderzył w niego, gdy przekładał ho-twajsy szczypcami do kosza pod klapami balonu. Sto szczegółowych czynności i kontroli, podczas gdy lekka wiklinowa łódź tańczyła na cumach; zmęczenie wgrzyzało się bólem w kości i blizny, słowa Juronała krążyły mu natarczywie po głowie.

Niebo rozjaśniało się. Niedługo zaczną się budzić.

Przycisnął Adrica do piersi, walcząc z rozpaczliwym pragnieniem zabrania chłopca ze sobą. Bo wiedział, że będzie potrzebował pomocy. Nie mógł zapomnieć, że było bardzo prawdopo-

100

dobne, iż widzi swojego syna ostatni raz. „Cholera”, pomyślał. „Cholera, cholera, cholera...”

— Gdziekolwiek mama teraz przebywa, zorientuje się, że wyjechałem — powiedział. Gardło bolało go od wysiłku, jaki wkładał w zapanowanie nad swoim głosem. — Damy sobie radę.

Balony szarpały maleńką łódką. Nadeszła pora rozstania.

— Kiedy pociągniesz tę linę — John zaczerpnął głęboki oddech — wszystkie cumy zwolnią się jednocześnie. — Wspiął się po sznurowej drabinie, przegramolił przez burtę i zahaczył stopą wygiętą, metalową część maszyny do zabijania smoków, niemalże spadając na głowę z dziesięciu stóp. — Opiekuj się siostrą.

Adric uniósł rękę.

- A ty uważaj na siebie.
- Zobaczymy się po moim powrocie.

W wiosce zapiął kogut. Na wrzosowiskach ptaki krzykiem wyznaczały swoje terytorium. Rozbrzmiał poranny dzwon, zwołując nielicznych zainteresowanych na nabożeństwo ku czci Pana Słonka. „Sarmendesie, złoty synu dnia...” Ale gdy zachwycony Adric Szarpnął potężnie za linę, John miał przed oczyma wyłącznie wyblakłe litery Juronalowej opowieści wyciosane w jego umyśle.

„Wszystkie smoki zginęły, i magowie też”.

Hołd skurczył się w dole pod nim. Żagle złapały wiatr.

„Wszystkie smoki zginęły, i magowie też”.

John skierował maszynę na północ.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niczym swój imiennik, „Dmuchawiec” leciał na srebrnych skrzydłach świtu. Drzewa i dachy wioski Alyn przesunęły się w dole, Johnowi wydawało się, że potrafi nazwać każdą strzechę

101

i liść. Poznawał pola, mury, owce i psy pasterskie, gospodę „Pod Bezczelną Dziewką”, suszącą się bieliznę i koty na murkach. Po jakimś czasie ujrzał Okręg Dalekiego Zachodu, gdzie rolnicy i kopacze pracujący na lśniących niczym płatki stali torfowiskach pozdrawiali go wesołymi okrzykami, pytając, czy tym razem będzie potrzebował pomocy. Pastuszkowie pokazywali go sobie palcami, zadzierając głowy, by po

chwili bluznąć przekleństwami, widząc, że uciekły im owce. Jeszcze później, gdy zniknęły drzewa i w dole przesuwaly się bezkresne bagna, płachty porostów i skały, wielkie stada reniferów i łosi również uciekały przed jego cieniem, a zaciekawione jastrzębie okrążały go z bliska, by zaraz się oddalić.

Ową świetlistą porą John czuł się tak, jakby jego dusza i ciało skąpane były w blasku.

Wcześniej rano, gdy wiał wschodni wiatr, panowała całkowita cisza, zakłócana jedynie zgrzytaniem i szelestem żagli, jękiem grających na wietrze lin. Koło południa, gdy wiatr zmienił kierunek na zachodni, a potem północny, John zrzucił część balastu — wodę ze studni w skórzanych workach podwieszonych pod łodzią — szukając pomyślnych prądów na większej wysokości, czego nauczyło go osiemnaście miesięcy eksperymentów. Natrafił tam na wiatr na tyle zadowalający, iż był w stanie złapać go w żagle, jako że był niezłym żeglarzem, zarówno na wodzie, jak i w powietrzu. Piękno rozpościerającego się w dole kraju, maleńkiego i przyprawiającego o zawrót głowy, zaparło mu dech w piersi.

Gdyby to był jego pierwszy lot, nie przeżyłby go. Jak dziecko gapiłby się na ziemię, odległe wzgórza czy zdumione ptaki zawieszony w powietrzu, i tak wpakowałby się w tysiąc kłopotów. Informacje Heronaxa o balaście i sterowaniu były nieszczególnie pomocne. Przez większą część dnia potrafił rozpoznać i nazwać każdy strumień i skalną iglicę, każdy zagajnik i zrujnowaną zagrodę, lecz potem sięgnął po pergamin i zaczął szkicować węglem mapy, głupie i idiosynkratyczne, jak wszystkie jego rysunki, zabawiając się wymyślaniem absurdalnych nazw.

Kiedy wiatr znów zmienił się na przeciwny, zwinął żagle i rzucił kotwicę wśród drzew przy Stawie Gagneya. Ściągnął „Dmuchawca” w dół siłą mięśni i za pomocą kilkunastu bloków i dźwigni, jako że obawiał się wypuścić gorące powietrze. Przy ziemi panował bezruch. Nabrał tyle balastu, ile się dało, korbą odpalił silnik, śmigła z klekotem zaczęły wirować, pchając „Dmuchawca” do przodu.

Zakotwiczył przy dawnej strażnicy w Cair Corbie, z której pozostał jedynie kamienny krąg, i zszedł na ziemię, by rozpalić ognisko. Zawinął się w pled i futro, po czym przysiadł ze skrzyżowanymi nogami na ruinach starych murów, pojadając przypalone jęczmienne placki i spoglądając na północ, ku bezdrzewnym pustkowiom, dokąd nigdy nie dotarło królewskie prawo, mając w uszach bzykanie miliona komarów i moskitów. Według *Historii* Dotysa Wronią Wieżę okalał pierścień drzew, a obok niej ułożono stos drewna gotowy do podpalenia jako sygnał ostrzegawczy, choć fragment tekstu informujący, dlaczego postawiono wieżę, uległ zniszczeniu, co doprowadzało Johna do obłądu z ciekawości. W okolicy tak czy owak rosło niewiele drzew i o ile John był w stanie to stwierdzić w blasku księżycowego kamienia, wokół wieży nie było najmniejszego śladu po lesie... Niemniej jednak skierował wzrok na północ i pogrążył się w rozmyślaniach.

Pewnie wzniesiono ją ze względu na zagrożenie ze strony Lodowych Jeźdźców albo ich dawno zapomnianym pobratymców. Wojny rodowe i zaraza dawno temu przegnały królewskie wojska na południe. Ktoś w każdym razie zburzył tę wieżę i spustoszył ziemie między nią a Okręgiem Dalekiego Zachodu, okolonym imponującymi murami.

„Zapewne”, pomyślał John, tysięczny raz uderzając dłońmi-

widzialnego, bzycaącego napastnika, „to moskity przegnały ich precz albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, pożarły ich żywcem”.

Choć był zmęczony, ociągał się z pójściem spać, patrząc, jak

103

kolory wyciekają z ziemi. Miał wrażenie, że jest w stanie wypatrzeć jej kształty, uformowane z wszystkich odcieni przezroczystego granatu, dopóki nie wzeszedł późny księżyc, powlekając wszystko szronem i magią. Wyciągnął lirę i dobył z niej donośne, dzikie, jęśliwe dźwięki, wygrywając melodię, którą skomponował dla Jenny, pragnąc jej obecności, nie tylko dlatego, że wiedział, z czym przyjdzie mu się zmierzyć, lecz także dlatego, że chciał, by dzieliła z nim to piękno, ten zmierzch i te widoki, cuda całodziennego lotu. Dotknął czerwonej wstążki, nadal zawadiacko wplecionej we włosy.

Tuż przed rzuceniem kotwicy dostrzegł z wysokości szczyty Gór Tralchet, pokryte białymi czapami i skute językami lodowców, opadającymi stromo do czarnozielonego morza. Pomysł pokonania tej odległości w jeden dzień był doprawdy desperacki, zwłaszcza że ognista magia hotwajsów powoli wygasała. Gnomy, od których je otrzymał, zapewniły go, że starczą na trzy dni lotu, ale miał co do tego pewne wątpliwości.

Nie miał jednak innego wyjścia. Z gnomami z Głębi Tralchet wiązał jedyną nadzieję powodzenia tej wyprawy i pozostało mu tylko się modlić, by znały jego imię z opowieści swych krewniaków. W końcu wszedł po drabinie do łodzi i używając teleskopu, przez jakiś czas bezskutecznie poszukiwał na południowym nieboskłonie komety, która, według starożytnych autorów, powinna tam się znajdować. Wreszcie podkręcił



silnik tak mocno, jak tylko mógł, a potem zawinął się w pledy i niedźwiedzie skóry. Miał wrażenie, że długo leżał, czekając na nadejście snu, przyglądając się siedmiu białym jak księżyc balonom tańczącym na nocnym wietrze, blademu migotaniu świateł północy ponad wiklinową burtą, niebieskich, purpurowych i białych, eksplodujących na opalizującym niebie.

Do świtu „Dmuchawiec” opadł o dobre dwadzieścia stóp. Było lepiej, niż John się spodziewał, ale nie stanowiło to powodu do entuzjazmu. W nocy podniosła się mgła, tak więc gdy zbudził

104

się z ciężkiego snu, wpadł na moment w panikę, niczego nie widząc, jak gdyby został dotknięty nagłą ślepotą. Lecz w następnej chwili lodowata wilgoć uspokoiła go, zrozumiał, że to tylko bagienna mgła. Nazywano ją pozeraczką księżycy albo mgłą *kidth*, od trzech magicznych sióstr— albo kapłanek, według Elu-cidusa Lapidariusza — które miały rzekomo podróżować pod jej osłoną, pozerając dusze podróżnych. W pewien sposób było to pocieszające. Bardzo starannie spenetrował okolicę Cair Corbie w poszukiwaniu śladów i nie znalazł niczego groźniejszego od tropów tundrowych wilków. Doprawdy musiały to być bardzo sprytny przeciwnik, gdyby udało mu się znaleźć „Dmuchawca” i wspiąć po linie kotwicznej w tej mgle.

Macając po burcie, znalazł liny worków balastowych. Mgły *kidth* rzadko kiedy sięgały wyżej niż na trzydzieści stóp — od wielu lat dokonywał pomiarów na wieży Alyn Hołd — więc upuszczał po trochu wody z dwóch worków po przeciwnych stronach łodzi, raz za razem, aż niewyraźne, szare księżycy balonów zmaterializowały się powoli nad jego

głową. Wtedy, nieoczekiwanie, jak gdyby wynurzał się z wody, znalazł się ponad mgłą, opary kłębiły się wokół wiklinowego kadłuba, a w oddali wyłaniały się z nich szare kamienne wzgórza, wyspy lawendowego świata blednących gwiazd.

Czarne kły gór stały się klifami po drugiej stronie tajemniczego oceanu. Przerzucił drabinę za burtę zaledwie na chwilę, by ześlizgnąć się po niej i odczepić kotwicę, a kiedy wspinał się z powrotem na górę, łódź zdryfowała odrobinę. Oznaczało to śniadanie złożone z wczorajszych przypalonych placków na zimno miast czegoś świeżego i ciepłego, ale perspektywa podziwiania świtu nad tym światem mgły warta była tej ceny, wykonał więc ostatnie kilka obrotów korbą i ustawił dźwignie. Śmigła obróciły się, połyskując dziwnie w bladym świetle.

„Jeśli zginę tu na północy”, pomyślał, „przynajmniej to zobaczę”.

105

Żałował jedynie, że Jenny nie mogła oglądać tego razem z nim.

„Gdyby Jen tu była i oglądała to ze mną, moja śmierć na północy byłaby znacznie mniej prawdopodobna, ale cóż począć”.

Wschód słońca wśród kolumn unoszących się oparów. Ptaki wynurzające się na powierzchnię niczym latające ryby. Dzienny księżyc lśniący niczym boskie lustro do golenia. Piękno ponad piękno ponad piękno, podczas gdy mgły rzedły, unosiły się i rozpraszały, odsłaniając skryte w dole ziemi, nietknięte i nieznane w blasku świtania.

Za dnia, skoro tylko mgła *kidth* zniknęła, John rysował mapy, ustawiał żagle i przeglądał uzbrojenie statku: pięć małych katapult o kuszach z południowej stali i rogu, wyposażonych w sześciosto-powe harpuny. Niektóre były zatrute ostatnią porcją uwarzonej przez niego i lana trucizny.

Inne pokryte były środkami wywołującymi korozję albo substancją zapalającą, odtworzoną ze starożytnych receptur w zeszłym roku, z myślą o ataku Lodowych Jeźdźców. Nie miał pojęcia, ile były warte. Może nic. Gdyby napotkał czarodzieja, który odebrał mu syna, okazałyby się bezużyteczne.

„lan”, pomyślał, „robię, co mogę”.

Niekiedy udawało mu się nie myśleć o wyrazie oczu lana, kiedy schodził ze wzgórza w stronę smoka, o potwornym spojrzeniu złocistych, opalizujących ślepiów, które zwróciły się ku niemu. Czasami nie potrafił myśleć o niczym innym.

Zaczął grać na blaszanej fujarce w rytm stukotu silnika i cichego poskrzypywania takielunku. Świt spowijał leżące przed nim góry upiornymi cieniami, i wśród nich spostrzegł plamki światła, pochodnie u bram Głębi Tralchet.

W mroku kryjącym się w jądrze najgorętszego ognia Jenny ujrzała, jak John zakotwicza swój dziwaczny pojazd i wspina się ścieżką ku Głębi Tralchet. „Cholera jasna, nie teraz!”, pomyślała. Trzykrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat docierały do nich

106

pogłoski, jakoby to gnomy z Tralchet stały za bandyckimi napadami na farmy w poszukiwaniu niewolników, że Władcy Głębi — ich imiona w języku ludzi brzmiały Ragskar i Ringchin — wykorzystywali ludzi do drażenia najgłębszych tuneli w kopalniach, gdzie powietrze było zepsute i gdzie gnieździły się ziemne wije i trygony. John wypowiadał się na ten temat bez ogródek, nawet w rozmowach z gnomami z Wyldoom, którym

służył. To dlatego zmuszony był opuścić Wyldoom nocą i w wielkim pośpiechu.

Zmęczona tak, że ledwie mogła usiedzieć przed koksownikiem, ujrzała wybiegające przez wrota gnomy, przysadziste, uzbrojone postaci o fantastycznych grzywach jasnych włosów przetkanych przez kolce hełmów; ujrzała, jak otaczają go lasem dzid i halabard. John, zupełnie nie zbity z tropu, rozsunął ostrza grzbietem okrytej żelazem rękawicy i podszedł do dowódcy straży, chwycił go za rękę i potrząsnął nią. Niemalże słyszała jego radosny głos: „Muggychin, ty stary gnoju...”, a może Mouldiwarp czy Gundy-snach, nieważne, „co u ciebie słychać? Ich Wysokości w domu? Daj im znać, że przybył John Aversin, bądź dobrym kumplem”.

Wrota zatrzasnęły się za nim, czarne, stalowe szczęki. Wielokrotnie usiłowała zajrzeć do wnętrza Głębi Tralchet w poszukiwaniu niewolników i przekonała się, że otoczona jest zabezpieczeniami i gnomią magią. Skryła głowę w dłoniach.

„John”, pomyślała, „mam nadzieję, że wiesz, co robisz”.

Przez cały dzień, tak jak poprzedni, w przerwach między opatrywaniem ran i snuciem leczniczych czarów, powracała do harfy i magicznej muzyki, którą przesyłała przez nią, przez wodę w omszałym gładzie w jesionowym gaju, wprost do wiedźmy w obozie Balgodorusa. Wiedziała, że dziewczyna jest nadal nieprzytomna. Przez cały dzień do jej umysłu docierały pomarańczowe smugi blasku pochodni, płatanina strzechy i belek, niekiedy w trakcie pochłaniania pospiesznego posiłku złożonego z owsianki i sera czuła w nosie ostry zapach dymu, na języku prostacką mieszankę ziół i taniego alkoholu. Potem wizja umykała,

pozostawiając po sobie pulsujący ból głowy i uczucie mdłości w żołądku.

Teraz, gdy chłodny bezruch nocy otulił szeptem całą okolicę, przegnała wizję Johna, a wraz z nią wszystkie myśli o nim, tak jak to robiły smoki. Z przerzuconą przez plecy harfą spuściła się po linie z murów i zanurzyła w lesie niczym cień.

Przy omszałym kamieniu zmoczyła palce w rosie i splotła jedwabiste wstęgi z księżycowego blasku, jak gdyby snuła przędzę. Z tych włókien utkała pajęczynę mocy i zarzuciła ją wokół siebie migotliwą zasłoną: księżycowy blask i bezruch, lśnienie gwiazd i spokój. A gdy jej dzieło było skończone, wzięła do ręki harfę i zaśpiewała cicho, łagodnie, o nadziei i pragnieniu; o słodczy zatopionej i pogrzebanej, zapomnianej od lat.

„Dziecko”, pomyślała, „jeszcze nie jest za późno”.

Tuż przed świtem usłyszała szelest wełny wśród gałęzi leszczyny, cichy oddech trawy pod miękkimi butami. Wycofanie umysłu z lśniących mrokiem otchłani muzyki nie przyszło jej łatwo. Poprowadziła dziewczynę najpierw przez mniejszy potok, potem większy, usłyszała, jak jej skórzana kurtka ociera się o pnie brzóz na skraju polany.

Muzyka, kierowana przez wodę w kamieniu, najpierw przyciągnęła jej wzrok do głazu. Otwierając oczy, a raczej przystosowując je do ludzkiego postrzegania i ludzkiej świadomości, Jenny stwierdziła, że nadal nie została dostrzeżona, że dziewczyna wzięła ją za jeszcze jedno drzewo, a może kolejny gład, nieco wyższy od innych.

Wiedźma była wysoka jak na swój wiek, szczupła jak wszyscy biedni myśliwi, nad którymi wciąż wisiało widmo głodu w głębi lasów, nie widujący nikogo poza własną rodziną. Ci ludzie, choć nie do końca

zredukowani do poziomu Meewinków czy Smieciu-chów, bywali nad wyraz prymitywni. Długoletnie kontakty Jenny z takimi ludźmi obfitowały w bestialskie incydenty, nie spowodowane zabójstwa, akty kazirodztwa i czyny dowodzące niewiary-

108

godnej ignorancji i chciwości. Długa, wąska twarz dziewczyny poznaczona śladami podobnych zbrodni, była posępna i brudna, zielone oczy błyszczały spod splątanej grzywy. Najej miękkich, wydatnych ustach rysował się smutek. Przeszła przez polanę, zbliżając się do głazu, z zaciekawieniem zanurzyła palce w wypełnionym wodą wgłębieniu, podnosząc je, by wilgotnymi czubkami dotknąć oczu, ust, skroni.

Wiedząc, że dziewczyna nadal jest oszołomiona uderzeniem, Jenny odezwała się głosem jak z sennych majaków:

—Czego szukasz, dziecko?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Mojej mamy — odpowiedziała, a w jej słowach zabrzmiała serdeczna prawda.
- Jak masz na imię?
- Yseult. — Podniosła głowę, spod zmrużonych powiek przyglądając się ciemnej, drobnej sylwetce Jenny skrytej w zalegającym wśród drzew mroku.

Będąc magiem, dziewczyna potrafiła przenikać wzrokiem przez iluzje, więc Jenny nie uciekła się do nich, użyła jedynie łagodnego tonu, jakim przemawiała do swoich synów:

— Czy Balgodus jest dla ciebie dobry?

Dziewczyna, niewiele starsza od Iana, pokiwała głową. Potem odpowiedziała:

- Nie. Nie gorszy od tatki, kiedy się nachlał. Bywają gorsi.
- Ale nie musisz pozwolić im, żeby cię krzywdzili — podsunęła cichym tonem Jenny. — Od tego masz magię.

Yseult pociągnęła nosem i potarła głowę, nie potylicę, gdzie trafił ją kamień, lecz skronie. Jenny spostrzegła żółknącego sińca pod jej okiem, trójkątną bliznę na grzbiecie dłoni, gdzie najwyraźniej do skóry przyłożono rozżarzony nóż. Najej ciele widniały starsze blizny tego samego kształtu, a na policzku ślady po uderzeniu pięścią.

— Boję się — powiedziała. Krótkimi, tępo zakończonymi

109

palcami pociągnęła za rozchylone poły koszuli. — Zaczynają wrzeszczeć i popychać mnie, nie mogę myśleć. Złoszczę się, mogłabym przywołać ogień i miotać w nich garściami, ale zwykle to nie działa. A Balgodus mówi, że jeśli komuś stanie się jaka-sik krzywda, pożałuję tego. Nie umiem zawsze tego wywołać.

Obgryzione palce zadrżały, szarpiąc tasiemki, posiniaczone powieki skryły jej oczy,

„Niewłaściwe źródło”, pomyślała Jenny. „Nie ma pojęcia, skąd bierze się jej moc, jakim zmianom podlega w rytm faz księżycy i obrotów gwiazd. Biedne dziecko zapewne nie potrafi nawet prześledzić własnego cyklu księżycowego, by wykorzystać aurę swego ciała”.

— Chciałabyś od niego odejść?

Powieki uniosły się — spojrzenie Iana w gęstwinie na sekundę przed

rzuceniem się do ucieczki. Jej ciało zeszywniało, wspięła się na palce.

- Co się stało? Nie odchodź. — Ostatnie zdanie nasyciła mocą, delikatnym dotykiem, łatwym do odtrącenia niczym gest powstrzymującej ją dłoni. Wargi dziewczyny zadrżały.
- Jesteś od Rocklys.

Jenny przecząco potrząsnęła głową.

- Znam ją— powiedziała. — Ale jej nie służę.
- Jesteś z jej ludźmi, tymi z fortu. Przyjechałaś z jej żołnierzami. Chcesz mnie zabrać. Muszę iść.
- Proszę, zostań.

— Jesteś wiedźmą.

- Tak jak ty.
- Nie jestem! Nie taką prawdziwą. — Wycofała się niemalże na skraj polany. Jenny знаła zaklęcia, które mogłyby ją obezwładnić, zwłaszcza że jej koncentracja zakłócona była przestraciem i efektami ciosu w głowę. Ale Yseult poczułaby je i wiedziałaby, czemu służą.
- A chciałabyś nią być? — zapytała. A gdy w spojrzeniu

110

Yseult pojawiło się zamyślenie, dodała: — Mężczyźni nie krzywdzą wiedźm.

Yseult opadła na pięty, wypuszczając powoli powietrze z płuc. Wepchnęła brudny palec do nosa.

— Jesteś wiedźmą? — Teraz to było pytanie i Jenny odniosła wrażenie, że dziewczyna pierwszy raz na nią spojrzała. Postrzegając ją taką, jaką była, a nie jaką uczynił ją jej strach.



Ponad koronami drzew ciemność zaczynała rzednąć. Smocze zmysły Jenny wychwyciły plątaninę głosów, cichą i wyraźną, niczym obrazy w odległym kryształce.

„Już ja nauczę tę małą sukę!” i „Nie można im ufać, kapitanie, żadnej z nich!”

— Mam na imię Jenny — powiedziała łagodnym głosem. — Jeśli chcesz, pomogę ci odejść od Balgodorusa.

Błysnęły drobne, ostre, białe zęby, przygryzając pokrytą bliznami i spękaną wargę.

- Złapie mnie.
- Nie złapie.
- Przedtem mnie złapnął. — Zadrżała, a Jenny poczuła przypływ wściekłości na tego człowieka.
- Przedtem nie pomagał ci prawdziwy czarodziej.

Trzask łamanych gałęzi, chlupot butów w wodzie, łoskot podeszew na skałach. Niemożliwe, by Yseult tego nie słyszała — nie potrafiła nawet tego?

— Chcesz mnie nabrać. — Dziewczyna znów się cofnęła, wokół jej czarnych źrenic pojawiły się białe obwódki. — Jesteś wiedźmą komendant Rocklys, słyszałam, co ona robi z wiedźmami. Słyszałam od Lodowych Jeźdźców.

- Niczego z nimi nie robi — powiedziała Jenny. — Zamierza założyć szkołę, gdzie magowie mogliby się uczyć.
- To kłamstwa! — W głosie Yseult zabrzmiała panika. — Okłamuje ich, sprowadza i rzuca demonom na pożarcie!
- To nieprawda. — Jenny słyszała tę historię z dziesięć razy

w różnych wersjach. Była szczególnie popularna wśród Lodowych Jeźdźców; matka Johna opowiedziała Jenny w dzieciństwie, jak to dawni królowie wypijali krew obdarzonych magicznymi zdolnościami dziewcząt czy też składali je w ofierze demonom na nadbrzeżnych skałach albo w objęciach odlanych z brązu bożków. Według innych legend przy użyciu magii zamieniali je we wróble, myszy i koty.

- Nigdy mnie nie skrzywdziła ani mojego syna, który także jest czarodziejem.
- Okłamujesz mnie! — Schwytna pomiędzy lękiem przed Balgodorusem a strachem przed nieznanym Yseult krzyczała piskliwym z paniki głosem. — Chcesz kazać mi skrzywdzić mojego chłopca!
- On nie jest twoim mężczyzną— powiedziała zmęczonym tonem Jenny. — To...

Yseult zadarła głowę. W mroku wśród drzew rozległy się męskie głosy:

- Obedrę sukę ze skóry! Odezwij się, mała dziwko, albo...
- Tu jestem! — zawołała rozpaczliwie Yseult. — Tu jestem! Ona chce mnie złapać, chce mnie zabić! — Cisnęła zaklęcie, prymitywne i nie dopracowane, wnętrzości i kości Jenny przeszyły mdłości i ból. W tej samej chwili usłyszała, jak jeden z ludzi Bal-godorusa pada z wrzaskiem w krzaki, wymiotując boleśnie. Ograniczenia. Rozwścieczona Jenny strąciła z siebie czar, trzymający ją równie słabo jak dziecięca dłoń, i zanurzyła się z powrotem w zielonoczarne cienie wśród drzew.
- Nie rób mi krzywdy! — usłyszała jeszcze krzyk Yseult. —

Zauroczyła mnie! Tam jest, popatrzcie, w lesie!

Wyciągnęła rękę — jej magiczne zmysły były przynajmniej na tyle wykształcone — więc Jenny odwróciła się i uskokczyła w bok, zawijając się w ciemną opończę, by rozmyć kontury swej postaci. Balgodus uderzył dziewczynę, która padła na kolana w suche zeszłoroczne liście, a Jenny poczuła w kościach rozpaczliwe trze-

112

potanie bezkształtnej magii, jaką Yseult usiłowała go potraktować: niech zapomni, niech mnie pokocha, niech mnie nie krzywdzi, niech odejdzie...

Wszystkie jej zaklęcia wymierzone były w przestrzeń, nie miały żadnego określonego celu, a i tak rozbijały się o ścianę jej strachu, strachu i rozpaczliwej potrzeby bycia kochaną, choćby nawet przez mężczyznę, który wbijał jej właśnie szpic buta w żebra.

— To ona zrobiła te czary — łkała Yseult. — To ona ściągnęła na was ten ból.

Mężczyźni z obnażonymi mieczami ruszyli w las. Jenny zamarła w bezruchu, zawinięta w mgłę i ciemność, czekając, aż ją miną, podczas gdy Balgodus podniósł Yseult za włosy, zdarł jej stanik i wysmagał pasem, dodając do starych nowe czerwone pręgi na białej skórze. Dopiero kiedy popchnął ją, dygoczącymi ramionami osłaniającą nagie piersi, przez krzaki w stronę obozu, Jenny odwróciła się i skierowała bezszelestnie z powrotem do majątku.

- I niech mnie szlag trafi, jeśli to nie była jakby żelazna miednica, a nie żaden smok! — John pochylił się do przodu na niskiej otomanie i zamachał gwałtownie trzymanym w dłoni kawałkiem gotowanej ryby.

Lord Ragskar zerknął na lorda Ringchi-na i trzech gnomich mędrców, którzy zamykali krąg siedzących wokół okrągłego stołu pod ażurowym baldachimem ze żłobionego piaskowca. Wszyscy byli sztywni z przerażenia, w znieruchomiłych dłoniach trzymali widelce i łyżki z inkrustowanego złota. Służący — same gnomy, w kolorowych liberiach z miękkiego jedwabiu tkanego pod ziemią, ozdobionych przesadnie bogatą biżuterią— przysunęli się bliżej, by nie uronić ani słowa, John zaś zabarwił swój głos głębokim strapieniem.

- No to siedzę se na mojej szkapie, wyglądam jak dupa zza krzaka z tymi strzałami i harpunami — wiecie, dajcie mi pierwszego lepszego smoka z północy, a skoczę mu do gardła, ale jak wal-

113

czyć z miednicą? — kiedy z bramy wyjeżdża mój syn i woła: „Odciągnę to, tato”, i rusza na to świństwo z włócznią. Wrzasnąłem na niego, ale wtedy podnosi się taka pokrywka i wyłazi spod niej żelazna łapa wielka jak studzienny żuraw, z żelaznymi pazurami, chwytą go, zwleka z konia i wciąga do środka. A ja rzucam harpuny, walę z kuszy, a tu nic, łapa wyłazi znowu i wali mnie po łbie, że aż się wykopyrtnąłem z konia, tyle że noga mi się zahaczyła w strzemień, a koń rusza z kopyta na zachód po wrzosowisku i wlecze mnie za sobą...

Ujrzał, że dwaj królowie starają się zachować powagę i dobre maniery, zaciskając usta, by nie wybuchnąć śmiechem, i wiedział, że w ich oczach nie stanowi już żadnego zagrożenia. Spojrzał na trzymany w dłoni kawałek bladego mięsa ociekający sosem, jak gdyby dopiero teraz sobie o nim przypomniał, połknął go łapczywie, oblizał palce, a potem opłukał je

w złotym pucharze w kształcie kwiatu lotosu stojącym przy nakryciu. Widelec i łyżka leżały nietknięte obok talerza, osadzone w nich klejnoty migotały w blasku lamp podwieszonych pod stropem na długich łańcuchach. Padało z nich czyste blade światło, znacznie mocniejsze od blasku ognia — jego źródłem niewątpliwie były hotwajsy wypełnione słonecznymi promieniami. John już od dawna wiedział, że jego pokaz dobrodusznego grubiaństwa — tańczący niedźwiedź, jak sam go nazywał — stanowił skuteczny sposób na to, by ludzie wyrobili sobie o nim błędne zdanie, zwłaszcza ci, którzy przykładali wielką wagę do zachowania przy stole. Albo, jak w tym przypadku, gardzili wszystkimi wysokimi ludźmi mieszkającymi na powierzchni. Nie musieli wiedzieć, że ciotka Jane prześwieciłaby go brzozową miotłą za jedzenie palcami.

— Jadę za tym cholerstwem od trzech dni — podjął po jakimś czasie. — Mówiłem, że miało koła? No, takie jakby koła... takie dwa w środku trzech innych, a poruszały się. — Zamachał rękami, jakby chcąc opisać gestami coś, czego i tak nie zdołaliby sobie wyobrazić. Podczas swoich badań nad starożytnymi projektami

114

inżynierskimi widział niejeden dziwaczny pomysł. Im mniej gnomy wiedziały o smokach, tym lepiej, to samo dotyczyło magów, którzy ratowali im życie, by je potem zniewolić. —Nieważne... ta maszyna, która pomaga mi ich tropić — maszyna zmontowana przez Jen, wykrywająca magiczny amulet na szyi lana — wskazała na Iglicę Gormu na północy półwyspu, może wyspę Yarten za nimi. Sam nie wiem, jest za daleko, a maszyna Jen potrzebuje piorunowego kamienia... fragmentu gwiazdy... by działać jak należy. I po to tu jestem.

Wytarł palce w opończę, poprawił okulary i pochylił się do przodu, na jego twarzy odmalowały się autentyczny niepokój i udana szczerść człowieka, którego starał się przed nimi odegrać: barbarzyńcy, bufona i osobnika cokolwiek ograniczonego.

—Wiecie, potrzebuję magicznych cudeniek — powiedział. — Cudeniek, które napędzałyby tę maszynę Jen, które pozwoliłyby mi zbliżyć się do kryjówki tego magika, tak żebym znalazł jego i lana. Jak wiecie, służyłem waszym braciom z Wyldoom, i to służyłem im dobrze. Przychodzę więc zapytać, błagać, czy nie znajdzie się dla mnie jakaś robota, za którą mógłbym dostać te cudenka.

Blade oczy lorda Ragskara przechwyciły spojrzenie jego brata. Lord Ragskar był najmniejszym gnomem, jakiego John kiedykolwiek widział, miał może z dwie stopy wzrostu i niepokojąco dziecięcą, pozbawioną zarostu twarz. W rzeczy samej przypominał dziecko — niestosownie przyodziane w ciężkie złote naszyjniki i bransolety ozdobione płytkami opali i turkusów, pierścienie kapiące od klejnotów szlifowanych w znany jedynie gnomom sposób — aż do chwili, gdy się poruszył. Lord Ringchin był z nich dwóch większy, grubszy i starszy, lecz to lord Ragskar był mózgiem królewskiej pary.

—Rzeczywiście, coś by się znalazło. — Lord Ragskar odłożył widelec i wytarł palce w serwetkę; John swoją serwetką owinał dłoń, kiedy sięgał po gorący udziec. — Jest pewien bandy-

ta — odchrząknął, a John pochylił się ku niemu, udając, że wierzy w każde jego słowo. — Rabuś, który... eee... zakradł się parę tygodni temu

do Głębi. Wymknął się wartownikom i ukrył w kopalnianych chodnikach, napadając kilkakrotnie na strażników — by ukraść im broń, tak więc teraz jest dobrze uzbrojony — i parę razy próbował wedrzeć się do spiżarni Dwunastej Głębi.

Wskazał głową najdosjowniejszego z mędrców, stworzenie o ponurym wejrzeniu przypominające zasuszone jabłko, błyskające bladożółtymi oczami spod brwi tak długich, że można było zaplatać je w warkocze.

- Obecny tu lord Goffyer, pan Dwunastej Głębi, próbował go wypatrzeć, ale Brak, tak się nazywa, ukradł magiczne zabezpieczenia i tak unika wykrycia. Ponadto, będąc człowiekiem, Brak porusza się szybciej od nas, zwłaszcza na poziomach zalanych wodą, a w wąskich korytarzach góruje nad nami siłą w pojedynkach. Wyświadczyłbyś nam wielką przysługę, gdybyś się z nim rozprawił. Wtedy porozmawiamy o wynagrodzeniu.
- Dokładnie tak zrobię. — John poderwał się na równe nogi, jednym ruchem strącając z niskiego kamiennego stołu talerz, kubek i trzy sztucce, co uznał za całkiem przyzwoite osiągnięcie. — Oj, przepraszam, — Wyciągnął rękę, ściskając kolejno drobne, twarde, muskularne dłonie wystraszonych królów. — Możecie na mnie liczyć. A przy okazji, według *Principiów Cerducesa Scrinu-sa* woda sodowa poradzi sobie z tą plamą.

John ani na chwilę nie uwierzył, by jakikolwiek zdrowy na umyśle rabuś spróbował okraść gnomią Głębię. Domyślał się, że jego ofiarą musi być przywódca zbiegłych niewolników. Ale sam fakt spożycia obfitego posiłku poprawił mu humor, a nieco później mędrzec Goffyer zajrzał do jego komnaty, przynosząc maści na jego na wpół zagojone rany.

Nie zważając na gościnność okazywaną przez gnomy, skoro tylko za Goffyerem zamknęły się drzwi, John starannie przeszukał całą komnatę, odchylając draperie i przesuwając kilka mebli, jakie

116

znajdowały się na jej wyposażeniu, pod te fragmenty pastelowo ubarwionych ścian, które mogły ukrywać sekretne przejścia. Kładąc się spać, nie zgasił żadnej z zielonych i złotych lamp, upewniwszy się wprzód, że woreczek z truciznami przywiązany jest mocno do jego pasa. Mędrzec dwukrotnie usiłował dyskretnie położyć na nim łapę, podczas swojej wizyty ani na chwilę nie odrywał od niego wzroku.

Rano, po kolejnym sowitym posiłku, John przedstawił swoje żądania: okruch gwiazdy, czyli piorunowy kamień, magiczny przedmiot, z którym gnomy nigdy się nie rozstawały; kilka uncji magicznej rtęci, również pilnie przez nie strzeżonej, a przy okazji hotwajs naładowany ciepłem do utrzymania „Dmuchawca” w powietrzu. Królowie gnomów oznajmili, że rozważą to. Potem nałożył swój brudny, obity żelazem skórzany kubrak i żelazny hełm, przypasał sztylet i miecz — łuk byłby bezużyteczny w mrocznych korytarzach — przerzucił przez ramię worki z truciznami i wyruszył ku Dwunastej Głębi, gdzie ostatni raz widziano „rabusia”.

Jak się domyślił, choć przy kolacji widział jedynie gnomich służących, część obsługi kuchni stanowili ludzie, którzy poinformowali o jego przybyciu swoich braci ukrywających się w głębokich tunelach. Jeszcze zanim opuścił jaskrawo oświetlone korytarze, miał wrażenie, że jest obserwowany, choć to akurat mógł być Goffyer. Dwunasta Głębia była skarbnicą minerałów, wciąż jeszcze eksploatowanych żył srebra, ale obejmowała też opuszczone, zalane wodą lub też opanowane przez



niezbyt przyjemne stworzenia podziemia.

Otrzymał od gnomów latarnię, w której płonął olej zamiast hotwajsa, a krąg jej blasku zdawał się kurczyć, w miarę jak zagłębiał się w rzadziej uczęszczane okolice. Niekiedy od mijanych skał dolatywał smród wilgoci, siarki i zapieczonej krwi. Ostatnie pojedyncze lampy migotały wśród głazów drobnymi błękitnymi ognikami.

Minął je i poniósł swoją samotną latarnię w głąb opuszczonej

117

kopalni, potem odłożył broń, zdjął kubrak i hełm. Jak zaplanował — i miał nadzieję — kiedy wstąpił w ciemność z uniesionymi rękami, uciekinierzy go pochwycili natychmiast. Niewidzialne ręce złapały go w mroku i zaprowadziły do Braka, który bez wahania zgodził się dobić z nim targu w zamian za środki usypiające dla strażników i przyzwoitą mapę ziem między Przylądkiem Tralchet a najbliższymi posterunkami wojsk królewskich.

— A więc to prawda, że król na powrót przysłał swoją armię

- powiedział Brak. Miał głęboki i melodyjny głos, przemawiał z południowym akcentem i wysławiał się jak dworzanin. — To dobra wiadomość dla wszystkich z wyjątkiem handlarzy niewolników, bandytów i tych świń tutaj. — John usłyszał, jak pluje w bok.
- A co się stanie z tobą, mój przyjacielu w okularach? To prawda, że obłąkany czarodziej w magicznej żelaznej miednicy atakuje garnizony i kradnie konie? A może wymyśliłeś go sobie, by nakłonić starego Ragskara do rozstania się z piorunowym kamieniem? Dobrze wiesz, że tego nie zrobi. Słyszałem, że kryje się w nich wielka magia, na tyle potężna, by od czasu do czasu przedrzeć się przez osłony, jakimi

otoczyliśmy nasze kryjówki.

— Taak, wiem o tym — odparł beztrosko John. — W rzeczy wistości potrzebuję potężnego hotwajsa naładowanego gorącem, który utrzymywałby ciepłość powietrza w moich balonach. Musiałem coś im powiedzieć, żeby mieli o co się ze mną targować.

Brak odpowiedział soczystym, niosącym się przez ciemność rechotem.

— Mamy tutaj hotwajsy, które trzymają ciepło przez dwa tygodnie, zanim musimy zakraść się do palenisk, by odnowić ich moc. Jeśli wydostaniemy się na powierzchnię, nie będą nam tak bardzo potrzebne, zwłaszcza kiedy oddalimy się na tyle, by dymy ognisk nie zdradziły im naszego położenia. Zatem możesz je zatrzymać, przyjacielu. Zostawimy je tam, gdzie ty zostawisz mapy, na północnym stoku Iglicy Gormu, przy tylnych wrotach kopalni.

118

Tak więc John powrócił do królewskich braci i wymówił się od dalszych poszukiwań „bandyty”.

- Z tego, co widziałem w tunelach, a widziałem ich jedynie przelotnie, wygląda na to, że jest ich cała kupa, a ja nie będę dybać na moich rodaków, którzy próbują jedynie się uwolnić.
- To nie są niewolnicy — powiedział kategorycznie król Ragskar swoim dziwacznym altem. — Ten bandyta jest podłym człowiekiem, który wdarł się do naszego królestwa ze swoimi sługusami.
- Mówcie, co chcecie — odparł John. — Ja tam nie dam się wrobić w nabijanie kiesy nadzorcom niewolników, bez względu na cenę.

Właśnie wtedy, ten jeden, jedyny raz, w Głębi gnomów, naprawdę obawiał się, że będzie musiał wywalczyć sobie drogę na powierzchnię, mając świadomość, że nie jest po temu w należytej formie fizycznej. Powątpiewał, czy nawet bohaterowie w rodzaju Alkmara Pomazańca Bożego zdołaliby przedrzeć się przez chodniki i strażnice oddzielające go od głównej bramy, a Brak ostrzegł go przed królami, a zwłaszcza Goffyerem. „Zniewolenie i zdrada to najmniejsze z niebezpieczeństw grożących ci z ich strony” — powiedział głębokim, miękkim głosem. — „Dzieją się tu rzeczy, o których nie mamy najmniejszego pojęcia. Powinieneś jak najszybciej się stąd wydostać. A jeśli Goffyer spróbuje zbliżyć się do ciebie z opalem czy kryształową buteleczką w dłoni, tnij, gdzie popadnie”.

Występ z poprzedniego wieczora odniósł jednak pożądany skutek, co było wyraźnie widoczne w pogardzie lśniącej w oczach gnomich władców. Nikt nie próbował pokazywać mu magicznego opalu Goffyera; zanim go odprawili, zaopatrzyli go nawet w prowiant. John z żalem zakopał wszystko w ziemi — „Po co kopać sobie grób widelcem, Johnny” — a następne kilka godzin i resztkę siły nośnej „Dmuchawca” zużył na sporządzanie mapy terenów wokół tylnego wyjścia z kopalni Tralchet i dolin u podnóża Iglicy

119

Gormu. Pozostawił je w szczelinie wielkiej kolumny z szarego granitu. Kiedy powrócił tam na piechotę następnego dnia, znalazł w niej bladoszary kamień wielkości pięści i kilka mniejszych, a powietrze wokół nich drżało od gorąca. Na granitowej płaszczyźnie widniały słowa: „Dziękujemy, nie zapomnimy”, napisane w języku używanym na dworze

Południa.

„Alkmar Pomazaniec Boży zapewne załatwiłby to inaczej”, westchnął refleksyjnie John. „Ale każdy z nas robi tyle, ile potrafi”.

Tak oto piątego dnia po opuszczeniu Alyn Hołd wzbił się w powietrze ze stoku Iglicy Gormu, solidnie obciążony balastem, i raz jeszcze skierował się na północny zachód. Zanim słońce osiągnęło zenit, zostawił za sobą klify i lodowce surowego, okropnego półwyspu i ujrzał w dole zielonoczną wodę, tańczące na falach świetliste góry lodu. Potem ziemia znikła w oddali i znalazł się nad otwartym morzem.

Mroczne fale upstrzone pienistą koronką. Szybujące na długich skrzydłach białe ptaki. Bielsze od nich góry lodowe, wyrzeźbione i wycięte działaniem wody, nieustannym smaganiem wiatru. Zimno i woń morza. Znużenie i cisza. Ustawiczne sprawdzanie wskazań kompasu i modlitwa, by modyfikacje wprowadzone przez gnomy w konstrukcji silnika nie zawiodły przed osiągnięciem celu. Uszły z niego wszystkie siły i nie miał pojęcia, co by począł, gdyby coś poszło niezgodnie z planem.

O zachodzie słońca wieloryby z ciemnymi grzbietami wynurzyły się z morskich odmętów, wydmuchując obłoki wody, by zanurkować z powrotem w głąb oceanu. Jeszcze przez jakiś czas cień „Dmuchawca” przesuwiał się po falach, coraz dłuższy i dłuższy, a potem światło zgasło i wzeszedł nieziemski księżyc.

Sny o Jenny. Sny o lanie.

Cisza i ptaki o świcie.

A gdy upłynął kolejny dzień spędzony na medytacjach nad kompasem, dostrajaniu silników i żagli, obserwacji wielorybów i ptaków, po kolejnej wypełnionej blaskiem nocy wschodzące

słońce ukazało jego oczom skaliste palce stromych klifów wynurzające się z morza na północy i południu, ciągnące się bez końca długim pasmem ku zachodowi, drobne, ciemne, obwiedzione bielą. Blask świtu ogarnął je, zdając się wynajdywać gniazda srebra wśród skał, odległe, czyste, nieskazitelne. A w powietrzu nad wygiętym łańcuchem Świetlistych Ostrowów wisiały smoki, jaskrawe okruchy koloru, niczym motyle w blasku rodzącego się dnia.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

—Pani Jenny...

Szept rozlegał się w jej głowie, znajomy magiczny zew, więc porzuciła obraz Johna w jego fantastycznym pojeździe. Najwyraźniej wydostał się bez szwanku z fortecy gnomów, choć nie miała pojęcia, czego w niej szukał.

—Pani Jenny, błagam...

Balgodorus ponownie zaatakował, używając płonących strzał, katapult i prostackich zaklęć Yseult sprowadzających obłęd i cierpienie. Zaczynało brakować jedzenia. Przepatrując lasy, Jenny odkryła trzech kolejnych zwiadowców Rocklys powieszonych albo przybitych nago do drzew. Obolała z wysiłku, Jenny zrozumiała jego taktykę, taką samą, jaką zastosował wobec zniewolonej przez siebie dziewczyny.

Próbował uniemożliwić jej koncentrację. Zmęczyć do takiego stopnia, by nie mogła brać udziału w obronie majątku.

„Rocklys ma rację”, pomyślała Jenny. „Potrzebujemy więcej magów,

przeszkolonych magów, jeśli mamy skutecznie bronić granic królestwa".  
Odpowiedziała na wezwanie.

Yseult stała na polanie przy wyżłobionym kamieniu. Padające ukośnie światło wieczoru barwiło mosiądzem splecione wodorosty

121

jej włosów. Otulała się płaszczem, dygocząc i co raz oglądając się przez szczupłe ramię. Za oknem Jenny słyszała okrzyki i przekleństwa ludzi na murach, atakujących bandytów —jeszcze raz, nieustannie.

- Pani Jenny, proszę, odpowiedz mi.
- Jestem tutaj. — Jenny odgarnęła włosy z oczu, dotknęła jej umysłu przez kryształ, przez wodę zbierającą się w kamieniu. — Jestem tutaj, Yseult. — Senność przygniatała ją niczym kamień młyński; oczy, skóra i dusza paliły ją z niewyspania.
- Przyjdź po mnie! — powiedziała błagalnie dziewczyna. — Powinam teraz spać... pozwala mi spać tylko wtedy, gdy nie jestem z nim, gdy jego ludzie atakują. Powiedziałam, że źle się czuję, bo czuję się źle. Skopał mnie i powiedział, że mam nie chorować. Nie zniosę tego dłużej! — Odwróciła się przerażona, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia i poczucia winy. Na jej policzku widniał świeży siniak, na szyi ciemne kręgi śladów po pocałunkach.
- Pani Jenny, przepraszam, bardzo przepraszam, że posłałam go za tobą! — Jej głos drżał ochryple. — Nie wiesz, jaki jest, kiedy szaleje, a teraz szaleje bez przerwy. Bo się nie poddajecie, bo Rocklys śle patrole i zabija mu ludzi, przeszkadza mu brać jedzenie i niewolnych. Pani Jenny, wiem, że zrobiłam źle, ale to dlatego, że się bałam!

- Nie szkodzi — odparła Jenny, czując w głowie zamęt. Sądząc z odgłosów na zewnątrz, szturm był bardzo gwałtowny, a ludzie Pellanora ciągnęli resztkami sił. — Na brzegu Czarnego Stawu stoi dom, kiedyś mieszkały tam Smieciuchy... wiesz, gdzie to jest? — Dziewczyna pokiwała twierdząco głową i chlipnęła, ocierając nos ręką. — Możesz tam pójść? Zabrałaś ze sobą coś do jedzenia?
- Trochę. Mam w kieszeni chleb.

Pewnie była zbyt wystraszona, by szukać prowiantu, i trudno ją o to obwinać.

— Dobrze. Kiedy dotrzesz do tego domu, umieść te znaki na

122

narożnikach. Kreśl je powoli, a w tym samym czasie musisz wypowiedzieć te słowa, pomyśleć o tych kolorach i wyobrazić sobie te rzeczy...

Był to najprostszy czar strażniczy, połączenie nikogo-tu-nie--ma i nie-masz-niczego-lepszego-do-roboty? Ale opisując kolejno pieczęcie, powtarzając słowa Przywołań i ogniska mocy, i tak zastanawiała się w desperacji, jak wiele z tego zdoła zapamiętać nie szkolony i chaotyczny umysł Yseult? Jedno błędnie wypowiedziane słowo, niedokładnie narysowana czy źle umieszczona pieczęć unieszkodliwiłyby cały czar i ludzie Balgodorusa, którzy znali położenie opuszczonego domu równie dobrze jak ona i Yseult, znaleźliby ją bez trudu. Jenny, zmęczona walką z nieprzewidywalnymi efektami obłąkańczych czarów dziewczyny, czuła głuchą chęć znokautowania Yseult, nakrzyczenia na nią za bycie tchórzliwym głupcem i wykonywanie wszystkich poleceń swego władcy.

„Oczywiście, że jest tchórzliwym głupcem”, pomyślała ze znużeniem.

„Gdybyś przez tyle czasu nie potrafiła się obronić, gdyby przez całe życie wmawiano ci, że potrzebujesz mężczyzny, pierwszego lepszego mężczyzny, który pokierowałby twoim życiem i mówił ci, co masz robić, ciekawe, jaka byś była odważna?”

Skąd u licha miała wziąć siły, by odeprzeć atak bandytów na tyle, by móc się wymknąć z fortecy? Jak miała przegnać ich na tyle szybko, by Balgodorus nie znalazł Yseult?

A John? Czego się dowiedział, domyślił lub zobaczył, co pognało go na północ w tej zwariowanej maszynie w poszukiwaniu smoczych legowisk na Świetlistych Ostrowach?

„lan...”

Starła się nie myśleć o tym, co mogło przytrafić się łanowi.

„Wszystko w swoim czasie”.

— Pani Jenny! — Ktoś załomotał do drzwi. — Pani Jenny, przepraszam, że budzę, ale musisz nam pomóc!

Dym zakręcił jej w nosie. Jenny poczuła pragnienie obłożenia wszystkich jednym potężnym zaklęciem śmierci.

123

„Wszystko w swoim czasie”. Nakreśliła na podłodze krąg mocy, wyrzuciła z umysłu dobiegający z zewnątrz zgiełk, dym, lodowaty dotyk strachu pod mostkiem. W ich miejsce wezwała pozycję i fazę księżyca, przywołując je wyraźnie w swym sercu i pamięci, otaczając je runami. Wezwała magię trzech starych dębów rosnących na północ od majątku i jesionu rosnącego na południu, wypowiadając ich imiona i nazywając ich magię. Przywołując srebrną energię strumienia, umieszczając ją starannie w umyśle, zestawiając z głęboką, stałą mocą nieruchomej wody, studni na



dziedzińcu...

Odrobinę tutaj, odrobinę tam.

Gwiazdy niewidoczne za dnia. Granit i serpentyny skał pod ziemią.

Jej kości i oplatające je złote wstęgi smoczej mocy, a w nich dziedzictwo Morkeleba Czarnego.

Potęga ziemi i gwiazd, karmiąca smoczą magię.

Wszystko w swoim czasie. Najpierw odszukać Yseult i wzmocnić chroniące ją czary strażnicze, tak by jej nie znaleziono — zakładając, że to nie jest pułapka. Potem zdwoić napór na Balgodo-rusa, mając pewność, że jej czary nie zostaną skontrolowane. To może się okazać trudne, zwłaszcza że będzie przecież szukał Yseult. Nie ma co marzyć, że Yseult będzie wystarczająco silna, by pomóc im w walce z jej mężczyzną. „Jej mężczyzną”, też mi coś!

Ale przynajmniej teraz, gdy Yseult nie będzie już przepatrywać lasu, ich posłaniec będzie miał szansę przedrzeć się do Rock-lys.

Jenny wzięła głęboki oddech, powolny ogień mocy wypełniał jej żyły. To złoto błyszczało fałszywie i dobrze o tym wiedziała, później będzie musiała za nie zapłacić, ale na to przyjdzie jeszcze czas. „Pani!...”, krzyczały nagłaco za drzwiami rozpaczliwe głosy. Jej świadomość, odmieniona skupieniem magii, odbierała je jakby z wielkiej odległości. Złudnie zimna niczym smok, unosiła się nieważko w powietrzu.

124

Owinęła wokół siebie ostatnią wstęgę złota, osłonę i zrównoważenie, świetlisty szal. Przy użyciu magii poszukiwała przeciw-czarów Yseult, zabezpieczających drabiny, broń, zbroje i ludzi. Prowadziły tę rozgrywkę od tygodni, przepychając i drapiąc jedna drugą niczym zwierzęta w

zagrodzie. Przeciwczary pokrywały też końskie uzdy, osie, spusty i sznury katapult.

Czary trzeba będzie umieścić na ziemi albo w powietrzu.

To było znacznie trudniejsze i bardziej skomplikowane niż zwykła bojowa magia: takim sposobem mag o mniejszej mocy, lecz większej wiedzy, był w stanie pokonać potężniejszego, lecz gorzej wyszkolonego przeciwnika. Przez lata świadoma swej słabości Jenny nauczyła się wielu obejść, wiedząc, że najprostszy przeciwczar mógł zneutralizować jej najsilniejsze zaklęcie. Teraz uciekła się do nich w swym wyczerpaniu, przywołując w kryształach obraz bitwy, rozmieszczając czary ognia, dymu i chwilowej ślepoty w powietrzu — tak by ludzie Balgodorusa wchodzili w obszar ich działania podczas ataku — nie zaś na ludziach, koniach czy narzędziach. Same czary były słabe. Nawet przywołanie mocy nie wlało jej zbyt wiele w wynędzniałe ciało i zmęczony umysł. Lecz w sercu kryształu ujrzała, jak jeden z bandytów odskakuje od podstawy muru, gdy drabina zajęła się ogniem pod jego dłońmi, inny zaś z wrzaskiem wpada w krwawą, zasypaną śmieciem bitwy maź na dnie fosy.

Nie czuła radości. Biedna, durna hołota, pomyślała, współczując nawet ich wodzowi. Życie, jakie prowadzili, wypełnione przemocą i nędzą, wydawało się wystarczającą karą za to, kim byli. Wielu z nich musiało zginąć, gdyż inaczej nie dało się powstrzymać ich przed grabieniem słabszych; tylko to jedno do nich docierało. Ale jej serce wypełniał żal nad dziećmi, którymi niegdyś byli.

Parę minut później pod drzwiami jej komnaty stanął Pellamor. Był ranny w głowę, krew pokrywała jego zbroję, lecz zatrzymał się, zajrzał w milczeniu do środka i bez słów zamierzał odejść. Jenny

uniosła głowę znad kryształu. „Nie”. Jej twarz i wargi były odrętwiałe, jak gdyby ludzka mowa stanowiła olbrzymi wysiłek w mglistej gęstwinie zakłęć mocy i skupienia. Uniosła rękę.

Krzaczaste brwi barona zbiegły się u nasady zakrzywionego nosa.

—Wszystko w porządku? Może coś ci przynieść?

Pokręciła głową.

- Cofają się — powiedział. — Atak na południowy mur już się załamał. Przepuszczałem, że będziesz wyczerpana, potrzebujesz odpoczynku.
- Byłam — odparła głucho Jenny. — I potrzebuję. Ale nie teraz. — Podniosła się. — Muszę iść. Na zewnątrz.
- Teraz? Za mury?

Pokiwała głową, zniecierpliwiona tonem niedowierzania i niepokoju brzmiącym w jego głosie. Czyżby myślał, że po tym wszystkim mogłaby tak po prostu uciec?

—Yseult? — powiedziała, mając nadzieję, że to wszystko wytłumaczy, ale zaraz zorientowała się, że to niewiele pomogło. Jeśli napastnicy ustępowali przed jej wzmocnionymi liniami obronnymi, już niedługo Balgodorus pośle po swoją kochankę i wtedy rozpocznie się polowanie. Musiała dotrzeć do Yseult przed nimi i umocnić zabezpieczenia.

Ale nie mogła mu tego powiedzieć, nie była w stanie niczego powiedzieć. Potrząsnęła jedynie głową i wymamrotała z wysiłkiem:

—Wrócę.

Gdyby Balgodorus zaczął podejrzewać, że Yseult schroniła się za murami majątku albo że zdradziła go, przechodząc na stronę wroga,

zaatakowałby ze zdwojoną furią i nigdy nie porzuciłby myśli o zemście. Wychodząc na dwór, prawie nie słyszała pytań i argumentów idącego tuż za nią Pellanora. Jedyne potrząsnęła parę razy głową i odpowiedziała:

—Muszę iść. Wrócę.

Ludzie miotali się pod południowym murem. Drabina obłęzni-

126

cza płonęła w błocie zrujnowanej fosy. Strzały mknęły w obie strony, lecz nie tak gęsto jak wcześniej; jedno z dzieci przebiegło wzdłuż palisady, zbierając zużyte wrogie groty. Niektóre z nich odbyły już podróż ponad murami sześć czy osiem razy. Ich lotki obłożone były zaklęciami Jenny i Yseult. Mimo zmęczenia Jenny musiała się uśmiechnąć. Johna to by rozbawiło.

- Odstępują. — Pellanor obejrzał się w stronę kobiety wołającej do niego z muru po drugiej stronie dziedzińca. — Stary Grond Płomiennobrody postanowił obdarować nas w końcu zwycięstwem. Możesz mi powiedzieć, dokąd się wybierasz?
- Później. — Jenny zamknęła oczy, wywołała w wyobraźni obraz zagajnika przed północno-zachodnią wieżą wartowniczą i zesłała tam oślepiającą eksplozję wielobarwnego światła, tak jaskrawego, że przedostało się nawet przez zaciśnięte powieki. Usłyszała wrzaski bandytów — choć zarówno ona, jak i Yseult uciekały się do podobnych aktów dywersji od tygodni — i otworzywszy oczy, ujrzała, jak biegną w tamtą stronę. — Teraz!

Pellanor opuścił linę. Jenny przesadziła podostrzone kolce, owinęła się strzępami czarów maskujących i spuściła się pospiesznie na dół. Ktoś krzyknął ostrzegawczo i zabląkana strzała złamała się na kamieniu na

wysokości jej ramienia. Nie ma co liczyć na ochronę czarów, była na to zbyt wyczerpana. Zamiast je wzmacniać, co i tak by nie działało tak długo, jak pozostawała w ich polu widzenia, przywołała prostsze złudzenie, postać starszego mężczyzny, o małej wartości na targu niewolników, uciekającego, gdzie pieprz rośnie.

— Nie dajcie mu ujść! — krzyknął ktoś i parę niecelnych strzał zaryło się w ziemi. Jenny zacisnęła dłoń na rękojeści hala bardy i pognąła w kierunku lasu.

„Nymr niebieski, w fioletowej koronie...” Jakimś sposobem rytm tej melodii, powolnej i szybkiej, szaleńczej, lecz zarazem statecznej, opisywał postać smoka okrąża-

127

jącego nagie, szare wieżyce skał niedaleko „Dmuchawca”, sześćdziesiąt stóp w dół. Nie był ciemny jak szafir ani też barwy morza — a przynajmniej nie tego morza Północy — był raczej koloru lobelii czy najbłękitniejszego rdzenia niebieskich irysów. Lecz posiadał fioletową koronę. Długie, zakrzywione rogi wyrastające z kwiecistej grzywy pokryte były białymi i purpurowymi pasami; wstęgowate łuski wynurzające się proporcjami z krótszej, bardziej miękkiej sierści migotały tysiącem odcieni ametystu i fioletu. Długie czułki kołysały się i tańczyły nad tążeżonakolcami i falującą chmurą, a zwieńczone były kulami śliwkowego światła. Smok zawrócił i zawisł nieruchomo w powietrzu jak mewa, przyglądając się mu. Nawet z tej odległości John widział, że jego oczy, lśniące jak klejnoty, także były fiołkowej barwy.

„Nie patrz mu w oczy”, pomyślał, pochylając głowę nad drewnianą lirą,

podczas gdy wiatr delikatnie rzucał kołyszącą się łodzią. „Nie patrz mu w oczy”.

Zagrał melodię Nymra, przebiegając wprawnymi po latach ćwiczeń palcami po klawiszach z kości słoniowej. Lira korbowa to instrument, na którym grano na ulicach, dlatego musiało go być słychać mimo hałasu i z dużej odległości na otwartej przestrzeni. Muzyka wylewała się z pokrytego kalafonią koła niczym rozwijająca się kolorowa wstążka: błękitna i fioletowa.

Nymr jeszcze przez moment wisiał w powietrzu, potem przechylił swoje wielkie, niebieskie, motyle skrzydła i zanurkował w morze.

John ujrzał, jak odchylone do tyłu skrzydła tną wodę. Przez ostatnie dwa dni obserwował z góry ruchy ryb w oceanie, spoglądając przez pełznące leniwie fale na ławice wielkich morskich łososi, mieczników i marlinów, bladobiałe cienie, które wyłaniały się na moment z głębin, by zaraz na powrót w nich zniknąć. Mewy i rybitwy, szare, białe i czarne, kołujące wokół klifowego przylądka rozpięzły się na chwilę, by znów zataczać koła wokół balonów. Smok rozpruł taflę wody, ciągnąc za sobą długą wstęgę

128

srebrnych pęcherzyków. „Stworzenia z ognia i żaru”, pomyślał John. „Jakim cudem chłód wody ich nie zabija?”

Bezruch i cisza. Fale załamywały się pieniście na skałach, a ich miarowy przepływ nie zdradzał obecności unoszącej się ku powierzchni płycizny. Ostrów wynurzał się wprost z dna morskiego stromymi, poszarpanymi skalnymi ścianami. Porastały go pierzaste krzaki karłowatego jałowca, wrzos, morska trawa, gdzieś ku ziemi chyliło

się smagane bezlitosnymi podmuchami wiatru drzewo; ptaki gnieździły się wśród nich ciasno niczym kury na grzędzie. Wicher jęczał wśród skał. John obrócił śmigła „Dmuchawca”, by utrzymać statek w miejscu. Najbliższa wyspa leżała jakieś dziesięć mil na północny zachód. Linia horyzontu była nimi upstrzona, z dystansu wydawały się drobne jak paznokiec. Mewy chóralnie rozwarły dzioby i zaskrzeczały...

Wtedy smok wynurzył się z wody wysoką fontanną, purpurowy i rozmigotany, dokładnie pod „Dmuchawcem”. John pospiesznie szarpnął za olinowanie, obracając kruchą łupinę w miejscu, a turmalinowe skrzydło prześlizgnęło się tak blisko niego, że poczuł na twarzy wilgotną mgiełkę. Smokowi wystarczyłoby plunąć na niego ogniem i byłoby po wszystkim, pomyślał, okręcając jedną z małych katapult w stronę smoka, gdy ten zniknął przesłonięty balonami. Sześćdziesiąt stóp nad powierzchnią morza ewentualne starcie musiałyby być walką na śmierć i życie. Cień przesunął się po nim, światło przeblyskiwato przez rozpostarte skrzydła.

Potem znów zawisł przed nim, podskakując na wietrze jak łódź na kotwicy.

John odstąpił od katapulty, sięgnął po lirę i raz jeszcze zagrał zwariowany tryl smoczego imienia.

Łabędzia głowa przechyliła się i obniżyła trochę. Zwrócił oczy wprost na niego, oczy drapieźnika. Olbrzymie, ociekające wodą cielsko, mierzące trzydzieści stóp od czubka pyska po kolczastą i pokrytą łuską szyszkę ogona, powoli się zbliżyło.

John poczuł nieme pytanie, dotknięcie, muśnięcie, chłodne i obce, jakby długich szczupłych palców wślizgujących się do głowy. Skoncentrował się

na muzyce, zastanawiając się, czy smocze imię rzeczywiście powstrzyma smoka przed atakiem. W jednej z ballad Gara Selkythar Biały wypisał na swojej tarczy imię Szkarłatnego Smoka Ruilgiru, tak że jego ogień odbił się od niej i spopielił go. John nie miał ochoty na wypróbowywanie tej techniki.

Kolejne pytanie, natrętniejsze, drażniące. Nie podnosił głowy, wiedząc, że ametystowe ślepia próbują uwięzić jego wzrok.

????, *Tkaczu Pieśni*.

Serce biło mu gwałtownie.

— Nie mam złych zamiarów — powiedział, unosząc głowę, lecz nie odrywając oczu od lapisowych pazurów, guzowatej, lazurowej emalii grzbietów nóg. — Poszukuję Morkeleba Czarnego. Czy mieszka na tych wyspach?

Obcy umysł wycofał się, po przelotnym zaciekawieniu powróciła obojętność. Morkeleb Czarny rozmawiał z nim myślami, ludzkimi słowami, a przynajmniej John tak to odbierał. Teraz czuł jedynie spiętrzony przybój wirujących nieustannie obrazów. Przez ułamek sekundy wydało mu się, że widzi Morkeleba pływającego w gęstym, zielonym morzu czy też unoszącego się w gęstym, zielonym powietrzu, Morkeleba w nieuchwytny sposób innego, niż go pamiętał. Czarne skrzydła, czarna grzywa, czarne rogi; czarne łuski hebanu na grzbiecie, karku i w zgięciach łap. Czarne pazury sięgały ku obiektowi falującemu przed nim w wodzie, w powietrzu, niczym wielki lodowaty obłok trującej diamentowej mgły.

Morkeleb otulony ciemnością w blasku gwiazd. Czytający z gwiazd. Nieważki w nocy za murem nocy, i poznający ze światła gwiazd ich położenie i naturę.



Potem umysł Nymra porzucił go z niemalże materialnym wzruszeniem ramion.

— Muszę go odszukać — powiedział John i pospiesznie od-

130

wrócił wzrok, gdy smok okręcił się, kierując na niego spojrzenie swych kryształowych, morwowych ślepiów. Jego umysł odbierał jedynie uczucie odrzucenia i pogardy:

*Małe, wścibskie — obraz pisklęcia w gnieździe — nic. Przelotnie przyjemna woń kwiatu. Pożarte.*

Nymr odsunął się od statku, podniósł i zaraz opuścił osadzoną na długiej szyi głowę. Gwiazdny smok przyglądał się „Dmuchawcowi”, balonom, katapultom, kołom i błyszczącym łopatkom śmigieł. John poczuł strzępy i echa smoczej ciekawości, jak gdyby stworzenie próbowało poskładać skomplikowaną układankę. Poczul także, jak Nymr odtrącił ją z lekceważeniem. Jego umysł zasklepił się obojętnie. Nic groźnego. Nic, co by go dotyczyło.

*To nie leży w naturze.*

Chcąc przez to powiedzieć, jak kiedyś Morkeleb: „To nie leży w naturze smoków”.

John napał na rumpel i obrócił śmigła „Dmuchawca” o parę stopni, zwiększając ich ciąg, i statek powoli odsunął się na drugą stronę niebotycznych skał, kierując się ku następnej, oddalonej o wiele mil iglicy. Nymr przez jakiś czas wisiał nieruchomo w powietrzu, odprowadzając go spojrzeniem — czuł je na plecach tak wyraźnie, jak mało co w swoim życiu. Potem smok znów zanurkował w morze, by wynurzyć się po paru minutach z dwunastostopowym miecznikiem trzepoczącym mu w

pazurach.

Jenny trzykrotnie okrążyła dom Smieciuchów przed wejściem do środka. Zabezpieczenia, które pokazała Yseult, migotały na kamieniu i glinie zapadniętych w ziemię ścian, zaskakująco mocne. Dziewczyna przejawiała talent i autentyczne wyczucie źródeł mocy, skoro już miała jakieś pojęcie o nich i ich wyszukiwaniu. Roztaczając świadomość po okolicznych lasach, Jenny nie wykryła żadnych oznak zasadzki, zapachu ukrytych wśród drzew ludzi, połamanych gałązek, zdeptanego błota. Ślady Yseult na miękkim podłożu także były niewidoczne, usunięte albo przykryte

131

liśćmi i kamieniami. Kucając w zapadającej szybko ciemności, Jenny zbudziła oddechem kryształ i wyszeptła:

— Yseult?

Upłynęło parę chwil. Dziewczyna nie miała własnego magicznego kamienia i wyglądało na to, że pochylała się nad kałużą u tylnych drzwi.

— Yseult, jestem tu. Wchodzę do środka.

„A jeśli to pułapka”, pomyślała Jenny, wykrzywając wargi, „zapłacę za swoją głupotę”.

Dom został splądrowany przed laty. Kamienne mury starego domostwa, w którym mieszkała rodzina, zanim stała się grupą nocnych padlinożerców, były pokryte sadzą i okopcone. Niewielkie błotniste wzgórki i jamy, w których Śmieciuchy spali i przechowywali jedzenie, robiły wrażenie nienaruszonych, ale wszystkie wejścia zostały zablokowane, co skazało ich mieszkańców na śmierć głodową. W

przeciwieństwie do Meewinków, przyjmujących pod swój dach podróżników, by ich zabić i zjeść, Śmieciuchy żyli z odpadków, jedzenia znalezionego na polach i w śmietnikach, a także ukradzionej od czasu do czasu kury czy krowy. A jednak byli na swój sposób jeszcze bardziej odrażający: zdege-nerowani, zezwierzęceni, pozbawieni jakichkolwiek zasad czy wiedzy. Pellanor, który początkowo zamierzał być władcą dla wszystkich mieszkańców podległej mu części lasu Wyr, ostatecznie po prostu ich przepędził.

Początkowo Yseult nigdzie nie było widać. Jenny czekała cierpliwie, by przekonać ją, że przyszła w pojedynkę. Po paru chwilach dziewczyna wyczołgała się z jednej z nor i podniosła się, wytrzepując ziemię z włosów.

- Nie pozwól mu mnie znaleźć — wyszeptała, wodząc wzrokiem dookoła. — Proszę. — Miała podbite oba oczy.
- Obiecuję. — Z nerwowego szarpnięcia głową Jenny odczytała, że „obiecuję” było jej dobrze znane z dzieciństwa i oznaczało, że jest okłamywana.

132

— Po prostu zabierz mnie stąd. — Yseult zadrżała, ale nie próbowała uciekać, gdy Jenny podeszła do niej i objęła ją delikatnie. Miała wrażenie, że bierze w ramiona drewnianą lalkę. — Nie obchodzi mnie, czy zawieziesz mnie do Rocklys, rzucisz demon na pożarcie, nieważne. Już nie mogę z nim wytrzymać.

„A jeśli wróci”, pomyślała Jenny, patrząc w jej posiniaczone oczy, „pobiegiesz do niego bez wahania, sama to wiesz”. Ale gdyby teraz opuściła Pellanora, by dostarczyć tego żalostnego dzieciaka do Corflyn, po

powrocie do Palmorgin znalazłaby jedynie trupy. Pojmowała to tak jasno, jak gdyby ujrzała to w swoim kryształe.

— Możesz zostać tu jeszcze jedną dobę? — zapytała. — Nie mogę zostawić moich przyjaciół, dopóki nie zapewnię im bezpieczeństwa. Balgodus pomyśli, że schroniłaś się u nas, w forcie. Postaram się, by tak pomyślał. Nie będzie tu ciebie szukał. Zgodziłabyś się pojechać do Corflyn Hołd z kimś innym?

Yseult wyraźnie się wystraszyła, aż jej oczy zbieleły; jej dziecinne, tępo zakończone dłonie zacisnęły się na opończy Jenny.

— Nie mogłabym zaczekać na ciebie? — zapytała. — Jeśli to nie potrwa długo. A nie potrwa. Moje czary na broni Balgodorusa... muszę je nakładać każdego dnia. Szybko się zużywają.

„To oczywiste”, pomyślała Jenny, czując przyływ współczucia na myśl o kaleczącym umysł wysiłku, jakiego wymagało ciągłe odtwarzanie tych zaklęć. „Nie umie podczepiać czarów do stałych źródeł mocy. Musi być o krok od załamania”.

— Dasz sobie tu radę? — zapytała. — Spróbuję podrzucić ci trochę jedzenia, ale może mi się to nie udać.

Yseult wzruszyła ramionami i otarła nos.

- Już bywałam na głodniaka.
- Cokolwiek byś robiła — powiedziała Jenny, otwierając swój mieszek — nie opuszczaj kręgu tych ścian. Wzmocnię teraz nałożone na nie zaklęcia, tak że zwiadowcy Balgodorusa cię tu nie zobaczą. Nie zauważą nawet domu, jego istnienie po prostu nie

dotrze do ich świadomości. Pomyślą, że są w zupełnie innej części lasu.

Lecz jeśli wyjdiesz na zewnątrz, nie tylko cię zobaczą, ale do tego złamiesz zakłęcie i dom nie będzie już bezpiecznym schronieniem.

- Dlaczego? — Yseult nie odstępowała Jenny na krok, gdy ta rozkładała paczuski ze sproszkowanymi ziołami, zasuszoną wilczą krwią, srebrnym pyłem i ochrową ziemią. Dziewczyna trzymała ręce za plecami, przyglądając się uważnie, jak Jenny odtwarza czary strażnicze na narożnikach i rysuje linie mocy ukierunkowujące magię nieba, gwiazd i ziemi.
- Ponieważ czary określają i stabilizują już istniejącą sytuację — wyjaśniła Jenny. — Moc przemieszcza się wzdłuż linii, płynnym kręgiem. Po przerwaniu linii moc się rozprasza.
- Wszystkiego tego się nauczyłaś? — Pierwszy raz na jej twarzy pojawił się wyraz inny niż uczucie przerażenia i apatii. — Ja też mogę się nauczyć tego wszystkiego o czarodziejstwie? Ile ci to zajęło?
- Wiele lat. — Jenny nakreśliła linię w powietrzu, a oczy Yseult przesunęły się za ruchem jej dłoni. Jako czarodziejka potrafiła dostrzec rozżarzoną nić czaru. — Zaczęłam się uczyć jako mała dziewczynka. W Hołd mieszkała wtedy kobieta z ludu Lodowych Jeźdźców...

Zawahała się, widząc tak wyraźnie, jak gdyby to było wczoraj, a nie czterdzieści lat temu, podłużną delikatną twarz, bezbarwne oczy z kamienną pogardą przyglądające się szalejącemu z frustracji Lordowi Averowi. „Suka!”, ryczał na nią. „Szmata!” Jenny nie potrafiła sobie przypomnieć, czego dotyczyła ta kłótnia, o ile kiedykolwiek to wiedziała. Teraz rozumiała, że ojciec Johna nienawidził tej kobiety za to, że oddawała mu się, nie kryjąc pogardy. Za to, że nie potrafił jej odtrącić.

„Dlaczego tu zostałaś?”, zapytała kiedyś Krucze Skrzydło z dziecięcąotwartością. „Skoro znasz się na magii, dlaczego jesteś z Lordem Averem?” Bo już jako pięciolatka umiała zinterpreto-

134

wać wyraz oczu Kruczego Skrzydła, gdy spoglądała na swego męża i pana, mężczyznę, który posiadał już broń w ręku. „Dlaczego po prostu nie uciekniesz?”

Krucze Skrzydło splotła swe niewiarygodnie szczupłe dłonie. Jej wzrost i smukła sylwetka, falista gibkość ciała sprawiały, że przypominała raczej postać z obrazu niż kobietę z krwi i kości; długie czarne warkocze sięgały do ud. Jej wargi były krwiście czerwone, i choć były pełne i kształtne, w ich delikatnym łuku kryła się wstrzemięźliwość, podobnie jak u jej syna. „Mój lud wygnał mnie przez moją słabość i dumę”, odpowiedziała wtedy. „Obłożyli mnie *geas*, związali zaklęciem. Pewnego dnia przyślą po mnie i wtedy dni mego wygnania dobiegną końca”.

I tak też musiało się stać. Gdyż któregoś zimnego jesienno dnia, kiedy miała jedenaście lat, Jenny przebiegła z kuchni Hołd, gdzie sypiała, do komnat Kahieri i odkryła, że ta zniknęła wraz ze swoim siwookim wilkiem. Odeszła bez słowa, pozostawiając po sobie śnieżny ścieg na posadzce, oszołomioną, osieroconą, rudowłosą smarkulę i labirynt miłosnych zaklęć nałożonych na mężczyznę, który ją zniewolił, tak potężnych, że nigdy już nikogo nie pokochał, nie poślubił innej kobiety, by była macochą dla jego dziecka, rywalką wspomnień Kruczego Skrzydła w jego okaleczonej pamięci.

- Wśród ludzi Balgodorusa są Lodowi Jeźdźcy — odezwała się bojaźliwie Yseult, gdy milczenie Jenny zbyt długo się przeciągało. —

Jeden czy dwóch, przegnanych ze swego plemienia. Opowiadali mi o Lodowych Wiedźmach.

- Ale samych Lodowych Wiedźm tam nie ma? — „Właśnie tego nam teraz potrzeba”, pomyślała Jenny.

Yseult pokręciła głową.

—W bandzie Balgodorusa nie ma innych magów?

Kolejny przeczący ruch głową.

— Tylko ja. Powiedział... — Oblizła wargi. — Powiedział, że jestem mu potrzebna— dodała z nutą tęsknoty w głosie.

135

- Ja myślę. — Jenny bardzo się starała, by nie zabrzmiało to sarkastycznie.
- Au komendant Rocklys sąjacyś oprócz ciebie?

Jenny westchnęła i nakreśliła czwarty czar strażniczy, splatając wszystkie ogniwa z wyjątkiem jednego, które musiała przekroczyć, wychodząc. Różaną Pieczęć, czerpiącą moc z księżyca, szepczącą do pozostałych przez srebrzyste nici.

- Nie. Wtedy byłoby znacznie łatwiej.
- Widziałam jednego — powiedziała Yseult, owijając rąbek koszuli wokół swych umorusanych palców. —Albo śniłam o nim, jak przywraca do życia smoka. Smoki naprawdę są takie piękne, takie kolorowe, mają takie oczy? Myślałam, że są zielone i brzydkie, że śmierdzą siarką.

Dłoń Jenny zastygła w powietrzu, oddech zamarł jej w płucach.

- Miał ze sobą chłopca — mówiła dalej dziewczyna, starając się

przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów. — Chłopca czarodzieja, tak sobie pomyślałam — to był tylko sen, nie wiem, skąd to wiedziałam — zaprowadził go do smoka i odlecieli na nim. We śnie myślałam, że może służy Rocklys i rzuci tego chłopca smokowi na pożarcie, dlatego się spietrałam, kiedy cię zobaczyłam. Że zrobisz ze mną to samo. Ale było tam coś jeszcze — dodała, marszcząc czoło. - — Coś niewidzialnego. Coś niedobrego.

- Gdzie? — zapytała Jenny. — Widziałaś, gdzie to było? Albo dokąd polecieli? Jak on wyglądał?
- Nie widziałam jego twarzy. — Yseult tylko pokręciła głową. — Nie potrafiłam. Jak gdyby w ogóle jej nie miał. Albo jakby była maską o ślepiach węża czy psa. Tylko chłopca i smoka. I bałam się. Ale teraz tak sobie dumam, że nawet pożarcie przez smoka jest lepsze od bycia z Balgodorusem, skoro tak mnie traktuje. Czy nie mogłabyś... nie mogłabyś zabrać mnie nie do Rocklys, ale gdzie indziej? Może weźmiesz mnie ze sobą do domu, nauczysz mnie, jak być wiedźmą i dbać o siebie? Nie będziesz

136

miała ze mną kłopotu. Obiecuję, nie będę kradła ani nic takiego. — I przy tych słowach nakreśliła krzyż na piersi jak małe dziecko.

Pod mrocznym sklepieniem lasu Wyr Jenny usłyszała odgłosy przetrząsających krzewy ludzi, nawołujących się i klnących za każdym wdepnięciem w błoto czy potknięciem o korzeń. Wydało się jej, że słyszy głos Balgodorusa, ryk przepelniony nienawiścią do wszystkiego i wszystkich, w szczególności do kobiet. Szykują się do następnego ataku, pomyślała. Pora wracać.



— Kiedy staniesz przed Rocklys — powiedziała — sama zdecydujesz, Yseult. Ale tymczasem, skoro jakiś czarodziej porywa chłopców — głos uwiązał jej w gardle — i zadaje się ze smokami, Rocklys powinna chyba się o tym dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

„To nie jest sprawa smoków”.

Ta obojętność może się jeszcze okazać dla niego jedynym ratunkiem.

Gwiezdne smoki były zaciekawione, ale nie znały strachu. Kalkulując być może, że ze strony ludzi nic im nie zagraża.

„Bogowie najlepiej wiedzą, że to prawda”. Spoczywał na rozpostartej dłoni śmierci niczym puch ostu w bezwietrzny dzień. Jak delfiny w morzu, jak krowy na pastwisku, smoki podlatywały, by się mu przyjrzeć.

Dwa z nich przechwyciły go w pół drogi między wyspą Nymra a następną, unosząc się nieważko, tak jak Nymr, podobne do latawców, przed nim i za nim, poruszając się powolnymi, leniwymi uderzeniami skrzydeł nad rozmigotanym morzem. Były zbyt daleko, by zidentyfikować je z imionami ze starych spisów. Najprawdopodobniej i tak nie wszystkie smoki były w nich wymienione,

137

a do tego przetrwała zaledwie przygarść melodii. Były wielobarwne, opalizujące jak klejnoty: ten na północy w zielone i żółte pasy, ten na południu pokryty fantastycznymi plamami czerwieni, żółci i błękitu. Później dołączył do nich trzeci, brązowy w niebieskie pawie oczka,

podążając za nim od wschodu.

Po dotarciu do drugiej wyspy John rzucił kotwicę, zahaczając nią o skały nad wąskim półksiężycem plaży, i z mozołem opuścił „Dmuchawca” na ziemię. Wyspa była na oko trzykrotnie większa od poprzedniej, były na niej źródelka słodkiej wody, otoczone powyginanymi sosnami, wrzosem i północnymi makami o włochatych łodyżkach, bladoróżowymi i złocistymi. Żyły tu dzikie owce — John dostrzegł je z powietrza — i niezliczone rzesze ptaków: mewy, rybitwy i pelikany, a także jakieś szare, tłuste nieloty sięgające mu do kolan, które ufnie poczłapały w jego stronę, skoro tylko przesadził burtę, i zaczęły dziobać klamry jego butów.

Zabicie paru z nich byłoby kompromitująco łatwe, tak łatwe, że John nie potrafił się na to zdobyć. Górskie owce, które nigdy przedtem nie widziały człowieka, stanowiłyby niewiele trudniejszy do osiągnięcia cel, ale nie miał czasu na sprawianie i wędzenie takiej ilości mięsa, którego nie chciał marnować. Sięgnął po łuk i zestrzelił parę mew i rybitw. Brązowy smok podleciał bliżej i przez jakiś czas krążył nad tańczącym na uwięzi „Dmuchawcem”. Całkowicie zignorował Johna, wyciągając długą szyję i szturchając pyskiem balony niczym pies obwąchujący unoszący się na wodzie pęcherz. John zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby któryś ze smoków postanowił zniszczyć jego pojazd.

„Pewnie żywiłbym się rybami i owcami, aż bym się zestarzał i zapuścił brodę do kolan”, pomyślał rozbawiony, choć miał pełne prawo być przerażony tą perspektywą. Nie wiedział, czy smoki mają dość wyobraźni, by tego spróbować, choćby po to, by przekonać się, co się stanie. Jako że smoki robiły, co im przyszło do głowy, a on nic nie mógł na to poradzić, natomiast miał pewność,

że na morzach północy nie ma żadnych innych wrogów, wyciągnął się na plaży i zasnął, szczęśliwy, że nie musi stawiać żagli, wykreślać kursu, rysować map ani podkręcać korbą silnika. Spał głęboko, bez snów, zwidywały się mu jedynie mgliste obrazy żonkili i Jenny zaplatającej włosy.

Kiedy się zbudził, na skałach siedział smok.

Zabił owcę i pożerał ją teraz, rozerwawszy, by dostać się do mięsa i wnętrzności, pozostawiając runo nietknięte niczym łuskę owocu. John widywał już podobne szczątki na północy. Smok był żółty, czarny i biały, jego grzbiet pokrywały maleńkie, złożone wzory utkane z zieleni i purpury, zachodzące na pysk niby maska. Jadł starannie, oblizując łapy i czułki. John poczuł sondujący dotyk jego umysłu, choć nie odważył się spojrzeć mu w oczy. Jego myśli wlały mu się muzyką do głowy.

????, pytanie zarówno o jego maszynę, jak i o niego samego.

— Cóż, podróż morzem zajęłaby zbyt wiele czasu — za uważył John, siadając i pociągając łyk wody z manierki. Smok przechylił głowę i przycupnął na zadnich nogach, obserwując go w bezruchu, i tylko lekki wiatr poruszał delikatnym meszkiem u nasady rogów. Mewy przysiadły w pobliżu. Przez piach przebiegła siewka, głupie szare tłusciochy podczłapały do truchła owcy i zaczęły je dziobać, jak gdyby nie zdawały sobie sprawy z obecności smoka.

Po jakimś czasie, nie spuszczać czujnego spojrzenia z gościa, John postawił na ogniu patelnię, wyjął z tobołka misę i zaczął mieszać jęczmienną mąkę z wodą i szczyptą soli, by przygotować sobie placki na

kolację. Biała listwa młodego księżycyca wspięła się na blade niebo, przybój wycofał się z płytkiej krzywizny plaży. Świat pachniał solą.

— Poszukuję Morkeleba Czarnego, który jest, jak powiadają, najwspanialszym ze smoków... chciałbym go o coś zapytać. Musisz przyznać, że tak jest najszybciej.

Smok ponownie oblizał czułki i przeczesał je łapą. John poczuł

139

wlewającą mu się do głowy lawinę dziwnie ubarwionych, obcych słów.

*Pośpiech ciągły pośpiech ku szybkiej śmierci. Jętka małpie zgadywanki szukają ciągle szukają ciągle dłubią. Poznając po co poznając by zaraz stracić wszystko w mroku?*

— To leży w naszej naturze. — John uformował placki i rzucił je na patelnię. „I tym razem postaraj się ich nie spalić, jełopie je den”. — Wznosimy miasta i snujemy opowieści, tak jak owce wspinają się po skałach, a ptaki latają.

*Śmieszne podgładactwo. Morkeleb. Morkeleb.*

Do jego umysłu wniknęła nowa myśl, nie imię Morkeleba, lecz ciągnąca się za nim melodia, a wraz z nią mroczna sylwetka smoka na tle bezkresnego nieba. Czarna czernią nocy, przesłonięta świetlistą mgłą.

*Odszedł. Odszedł. To nie leży w naturze smoków.*

— Morkeleb odszedł?— Serce w nim zamarło. Był przygotowany na zjadły atak czarnego smoka, ale nie na jego nieobecność.

*To już nie dotyczy smoków.*

— Wiesz dlaczego? I dokąd odszedł?

Obojętność jak u Nymra, ale połączona z czymś jeszcze. John pojął, że żółty smok boi się Morkeleba.

*Z oddali, z oddali. Zawsze niebezpiecznie głęboko, głęboko, zapadając w gwiazdy. Czarna studnia w czarnym labiryncie zagrzebanym wśród korzeni góry, myśli budzące się w jego umyśle, lodowata ciemność, powrót do studni. Gady cienia, Smocze Cienie, Jałowa Wyspa na zachodzie, zachodzie, zachodzie. Nie leży w naturze smoków. Z czego to jest?*

Smok rozpostarł jedwabiste skrzydła, skoczył w powietrze jak kot. Okrążył „Dmuchawca”, a John wykrzyknął za nim jedyne imię, jakie znał — „kwieciście żółty, biały i czarny”:

— Enismirdal!

A gdy smok znieruchomiał w locie, wycofując się nieznacznie, John poderwał się na równe nogi i wyciągnął z kieszeni bla-

140

szaną fujarkę, wygrywając piskliwe i cienkie nuty piętnastej ze smoczych melodii, szybkiej i rytmicznej jak pokapywanie deszczu.

Smok zatoczył koło, zawracając. Płomienie i gorące powietrze otaczały jego nozdrza, gdy zawisł nad nim z sykiem.

—Enismirdal! — zawołał ponownie John. — Jeśli tak się nazywasz. Smoki też mogą być w niebezpieczeństwie. Muszę odnaleźć Morkeleba albo któregoś z was, kto pamięta dawne czasy, gdy smoki zostały zniewolone i przymuszone do służenia czarodziejom.

*Niebezpieczeństwo?* Smoki się nie śmiały, ale powietrze wypełniło dźwięczne drzenie, niczym brzęk dziesięciu tysięcy spadających na posadzkę srebrnych kólek. Enismirdal ogarnął go siecią smoczych zmysłów — John niemalże ją widział, olbrzymią chmurę złotej mgły falującej w powietrzu — i zjeżył wszystkie kolce pokrywające jego ciało,

od rogatego łba po śmiertelnie groźną gałkę ogona. *Niebezpieczeństwo?*

Potem sięgnął w dół lśnącymi czarnymi pazurami i niczym kot bawiący się owadem złapał Johna za ramiona, podniósł go i rzucił w piasek.

*Niebezpieczeństwo, Latający Człowieku? Niebezpieczeństwo ze strony twojej i tego czegoś grożące gwiezdny smokom Świetlistych Ostrowów?*

Srebrne dysonanse rozpały powietrze, przekuwając rozżarzonymi szpilami czaszkę Johna. Łapiąc szeroko otwartymi ustami powietrze, zakrwawiony i oklejony piaskiem, John podniósł się na kolana w przyboju, podczas gdy Enismirdal zawrócił w stronę „Dmuchawca”, zionąc ogniem.

— Ty durna jaszczurko, naprawdę myślisz, że przyleciałbym was ostrzec, gdyby niebezpieczeństwo pochodziło ode mnie i tego urządzenia? — ryknął, ocierając krew z twarzy. — Demony ot chłani, smoki są podobno mądre!

Wężowo kwieciste skrzydła smoka zatrzepotały w powietrzu,

141

stworzenie zawróciło w miejscu, żar jego gniewu **otaczał** go mgiełką rozgrzanego powietrza.

*Mądre? Mądrzejsze od tych, którzy tak mówią.*

Zawisł bezgłośnie chmurą światła nad Johnem, a cień okrył mężczyznę, tam gdzie klęczał w falach. Kwas skapywał ze smoczego pyska, paląc mu twarz.

— Powiedz mi, czy Centhwevir zmienił się, odkąd powrócił z krain Wschodu. — John czuł, jak oddech pali go w płucach; zadarł głowę, spoglądając na smoka spod zmrużonych powiek. — A potem zabij mnie, jeśli tego chcesz.

Zapadła cisza tak głęboka, że okrzyki mew brzmiały rozdzierająco, a uderzenia fal za jego plecami dudniły leniwym rytmem.

*To nie leży w naturze smoków, powiedział głos Enismirdala w jego głowie. Inni wśród nas, każdy na swojej wyspie. Centh-wevir, błękit przetykany złotem — w umyśle smoka pojawił się jedynie kształt tego imienia, utkany z muzyki — nie moja sprawa, nie moja sprawa, skąd przybywa, dokąd odchodzi, co czyni. Dzieci gwiazd, Latający Człowieku; diamentowe klejnoty i niewolnicy czasu jak wy. Ani ty, ani ja, nikt nie powie, kim jesteśmy, co czynimy. Srebrne lśnienie smoczego gniewu dźwięczało wokół. Będąc każdym z nas — bytem. Pamiętaj.*

Potem splunął na niego kwasem, a ogień z sykiem rozlał się po oceanie parę cali od niego. Wtedy obrócił się w miejscu i uderzając potężnie skrzydłami, pomknął na Południe jak ciśnięta wprawną ręką włócznia.

Kiedy zniknął za horyzontem, świadomość Johna zarejestrowała unoszący się nad ogniskiem dym i znajomą woń przypalających się placków. Cały rozdygotany po przeżytych wstrząsach, dźwignął się powoli, ściskając dłońią ramię w miejscu, z którego sączyła się krew, i pokuśtykał plażą w stronę obozu. „Przynajmniej”, pomyślał targany dreszczami, uwalniając się z kurtki, kubraka i koszuli, by opatrzyć rozcięcia pozostawione przez smocze pazury na jego ramieniu i boku, „nie zniszczył »Dmuchawca«”.

142

Ale ten incydent uświadomił mu raz jeszcze przeraźliwą kruchość jego zadania. Pakując manatki — i pogryzając resztki chleba zwędzonego ze stołu gnomich królów — co rusz przepatrywał niebo, wiedząc, że zachował się jak głupiec, i zastanawiając się, czy aby nie przekroczył

progu, za którym głupota z zabawnej zmienia się w zgubną. „Dawno temu, synu”, pomyślał z rezygnacją. „Dawno temu”.

Zawinał mięso mewy w zebrane na plaży wodorosty i rzucił przypalone placki głuptakom, lecz te po paru dziobnięciach od-człapały zniesmaczone. Choć słońce opadało już ku morzu, odczepił kotwicę „Dmuchawca” i wspiał się po drabinie na pokład, podczas gdy wiatr pochwyił srebrzyste balony, wynosząc go nad ocean. Po ustawieniu silnika ponownie wyciągnął mapy i przepa-trując powierzchnię morza teleskopem, wziął się do szkicowania wysp archipelagu. Próbował odwzorować kształt każdej z nich: wysoko sklepione kopuły, niebotyczne klify, tu i ówdzie płytka plaża albo pobłyskujące wesoło źródelko. Pomiedzy wyspami morze przybierało czarnogranatową barwę, zdradzając ukrytą pod powierzchnią głębię. Niekiedy dostrzegał skaliste groble łączące wyspy, mordercze rafy niosące zgubę statkom.

Wieloryby wynurzały się i bawiły wśród raf i między wyspami, wielkie, szarobłękitne, lśniące grzbiety wychylające się ponad wodę. Czasami dostrzegał wśród nich inne kształty, znacznie częściej w pewnym oddaleniu, giętkie i węzowate, ale dopiero gdy jeden z nich wysunął nad wodę długą łabędzią szyję i przez jakiś czas płynął bezpośrednio pod „Dmuchawcem”, John uświadomił sobie, że to także są smoki.

Rzucił kotwicę przy niewielkiej iglicy i resztkami sił opuścił „Dmuchawca” w rozwidlenie między szczytami. Tam zjadł kolację i zasnął jak zabity w niewielkiej jaskini. Zbudził się w południe, wymontował teleskop ze statku i przeniósł go na szczyt klifu. Kilkanaście morskich smoków goniło się dla zabawy wokół stromych brzegów pobliskiej wysepki. Były świetliście ciemnopurpu-



rowe i zielone. Dopiero kiedy inny smok — czerń przemieszana ze szkarłatem, wspaniała niczym tęcza o północy — pojawił się na niebie i zanurkował obok nich, John uświadomił sobie, że ogląda smocze samice.

Kontynuował podróż, wędrując za łukiem Ostrowów na zachód i północ. Podróżował skąpanymi w światłach Północy nocami, o świcie i zachodzie wypatrując nieuchwytnej komety opisanej przez Dotysa. Za dnia spał, ściągawszy „Dmuchawca” tak blisko skał, jak tylko się dało, tak by pod ich osłoną nie dostrzeżono pojazdu z oddali. Któregoś dnia o zmierzchu wydawało mu się, że widzi w okularze swojego teleskopu Centhwevira i dostrzega na jego grzbiecie sylwetkę dosiadającego go człowieka. Kiedy indziej znów, obozując na wysepce tak samotnej, że najbliższy ląd widoczny był jedynie po wzniesieniu się na wysoki pułap, dostrzegł ślady: odciski smoczych pazurów i męskich butów przy pogryzionych i oczyszczonych przez mewy kościach dwóch owiec. Znalazł tam szczątki jakby dwóch muszli z dmuchanego szkła, lecz cieńszego, niż kiedykolwiek widział, a przy starannie zamaskowanych gałęziami pozostałościach ogniska odnalazł mniejszy odcisk — chłopięcego buta o wzorze gwoździ charakterystycznym dla Peg, szewca z Alyn Hołd.

W końcu dotarł do końca Ostrowów i wyruszył na zachód nad otwartym morzem. Przez cały dzień nie miał żadnego punktu odniesienia, podobnie jak po opuszczeniu przyłodka, na próżno omiatając teleskopem horyzont. Drugiego dnia ujrzał smagane wiatrem niewysokie skały, opadające stromo do oceanu. Kiedy się do nich zbliżył, na jednej z nich dostrzegł źródło słodkiej wody, i tam właśnie rzucił kotwicę, opuszczając „Dmuchawca” bliżej granatowoczarnych skał.

Odпочął trochę, zjadł, a potem szukał, dopóki gasnące światło nie uczyniło poszukiwań zbyt niebezpiecznymi — wysepkę pokrywały głazy i niewiele było miejsc wystarczająco równych, by dało się choćby usiąść. Nic na niej nie rosło. Na wysokich wystę-

144

pach nie gnieździły się nawet ptaki, choć na dużych i małych wyspach Południa aż się od nich roiło. Ciszę zakłócało jedynie wycie wichru wśród skał, szmer strumienia i powolny łoskot fal, a jednak odnosił wrażenie, że ani przez chwilę nie jest sam. Chwilami przerażało go to, kiedy indziej znów myślał, że w całym swoim życiu nie przebywał w spokojniejszym miejscu. Rano ujrzał jakby cień przesuwający się po wodzie, szarą rozmazaną plamę okrążającą skały, wśród których kotwiczył „Dmuchawiec”. Kiedy chciał się mu przyjrzeć, ten zniknął.

Później zagrał na lirze melodię, której nauczyła go Jenny, nuty smoczego imienia, a zawodzący dźwięk instrumentu poniósł je w niebo i pomiędzy skały. Okrył go cień.

Podniósł głowę i ujrzał Morkeleba Czarnego zawieszzonego nad nim niczym koszmarny latawiec.

John odstawił lirę i osłonił oczy. Czarny smok nie był największym, jakiego widział. Mierzył czterdzieści stóp od dymiących nozdrzy po koniec zjeżonego żelaznymi kolcami ogona, zasięg jego skrzydeł, szeroko rozpostartych w rozświetlonym powietrzu, był może dwukrotnie większy. Grzywa, rogi, czułki i kępy włosów — u innych smoków przesycone barwami — były czarne, jak gdyby wraz z upływem lat kolory znudziły go i odrzucił je. Jego oczy były srebrzyście białe, tak mówiła Jenny, bezbarwne jak diamenty. John pilnował się, by w nie nie spojrzeć, by nie

pozwoić mu przechwycić wzroku.

— Morkeleb — powiedział.

Smok wyciągnął łapy i usiadł, chwytając się skał.

*Zgubo Smoków.* Głos przemawiający w pustce jego umysłu nadawałby się do wygłaszania złowróżbnych przepowiedni we śnie. *Ktoś opłacił cię książkami albo obietnicami pomocy, żebyś mnie tu odszukał?* Smok przechylił głowę, a wtedy całe jego smukłe olbrzymie ciało przesunęło się, balansując na skałach. Na wpół rozpostarte skrzydła złożyły się i przycisnęły do boków, długi ogon owinął wokół iglicy.

145

Choć słowa smoka — znacznie wyraźniejsze niż innych napotkanych przez Johna osobników — pozbawione były określonego zabarwienia, poczuł tłącą się pod nimi ironię i gniew. Smocza obojętność i duma, ochraniające go dotychczas, nie zapewniały tutaj najmniejszej ochrony.

— Nikt mi nie zapłacił. Przybyłem z własnej woli.

*W poszukiwaniu wiedzy, by łatwiej przyszło ci zabijać inne smoki?*

— W poszukiwaniu wiedzy, to się zgadza — odparł John. — Ale to moje stałe zajęcie, tyle że istnieją różne rodzaje wiedzy. Ja poszukuję pomocy. — Uniósł rękę, by osłonić oczy, a słońce błyszczało w soczewkach jego okularów. — Ponad tysiąc lat temu, według *Moralitetów* Juronala — tak przynajmniej sędzę, że to były *Moralitety*, bo mam tylko drugą część tego tomu — pewien czarodziej imieniem Isychros uratował życie smokowi. Uratowanie smoka wymaga poznania jego prawdziwego imienia — jego prawdziwej muzyki, nie tych melodyjek, które nauczyłem się wygrywać — i dzięki temu prawdziwemu imieniu, prawdziwej

muzyce, Isychros zniewolił tamtego smoka.

*Wiem, Zgubo Smoków, jak można zniewolić smoka, używając jego prawdziwego imienia.* Wiszący w powietrzu gniew zdawał się gęstnieć, jak gdyby zaraz miał się skroplić na otaczających ich głazach.

John zwilżył wargi.

—■ Cóż, wygląda na to, że mistrz Isychros nie poprzestał na tym. Najwyraźniej zaliczał się do tych ludzi, którym nie należy pożyczyć nawet konia, żeby miał jak wrócić do domu, bo zabije go, sprzeda mięso, sprzeda skórę, wypcha materac włosiem, sprzeda materac, a po roku przyśle ci srebrnika jako rekompensatę — po odjęciu odsetek, ma się rozumieć. Ten Isychros wbił smokowi, według słów Juronala, szklaną igłę w potylicę, co zamieniło go w niewolnika Isychrosa. A Isychros przywołał paru

146

swoich koleżków — też magów — i ci pokonali inne smoki, i to całkiem dużo. Skończyło się to tak, że grupa dziesięciu czy piętnastu magów, każdy dosiadający zniewolonego smoka, wyprawiła się na podbój królestwa Ernine. Słyszałeś coś o tym? Wiem, że Ernine zostało zniszczone przed wiekami, ale nie mam pojęcia jak. *Dlaczego sądzisz, Zgubo Smoków, że mnie tam nie było?*

— Aha. — John podrapał się po brodzie, czując pod palcami szorstką, rudą szczecinę. — Cóż, dobrze wiedzieć, że nie przyleciałem tu na próżno. Zatem to się naprawdę wydarzyło?

Jedwabiste powieki przykryły kryształowe ślepie, a John poczuł, jak przez powietrze przetacza się bezgłośnie, drżąca fala potwierdzenia.

— W spisanej przez Juronala historii przeczytałem, że osta

tecznie zostali pokonani, chociaż nie znalazłem żadnych konkre-  
tów. Juronal pisał pięćset lat po tym całym zamieszaniu i zapewne  
w jego informacje zdążyło się wkraść wiele nieścisłości. Ale Juro-  
nal twierdzi jedno: wszyscy magowie i wszystkie smoki zginęli.  
— Serce biło mu w piersi jak szalone, nie odrywał spojrzenia od  
siedzącego na skale smoka. — To prawda?

*To akurat jest zgodne z prawdą, Zgubo Smoków.*

Fala zawinęła się wokół skał poniżej uskoku półki, na której spędził  
noc. Podstawa iglicy, odsłonięta po odpływie, pokryta była dywanem  
wodorostów, srebrzącym się od krabów. Odwracając głowę, smok spojrział  
w przestrzeń, jak gdyby próbował wróżyć z powietrza.

*To nie lecznicza magia tych śmiesznych czarodziejów spętała  
Ramasseusa i Othronina, Halcarabidara i Idiwnapirsitha, i inne gwiazdne  
smoki, i uczyniła ich posłusznymi wykonawcami woli dosiadających ich  
magów.*

W głębi umysłu John usłyszał muzykę smoczych imion, piękną i  
archaiczną jak światło gwiazd, i nie potrzebował wyjaśnień Morkeleba, by  
wiedzieć, że Ramasseus był ciemnopurpurowy

147

i zielony, Idironapirsith ubarwiony jak koralowy wąż na łososio-wo, żółto  
i czarno.

*Isychros miał zwierciadło, którego tafla płonęła w ciemności potwornym  
blaskiem. Za nią mieszkały demony, a Isychros przywołał je i przelał ich  
moc w amulety z kryształu i rtęci, które wbijał w smocze czaszki. Demony  
opętały Isychrosa, wypaliły mu serce, jądro i esencję jego bytu i*

*zamieszkały w jego ciele. Postępując się jego magią, podobnie jak łalkarz na targowiskach postępuje się lalkami, wypędziły dusze z magów, których odszukał Isychros, tak by demony ze zwierciadła mogły opanować ich ciała i zamieszkać w nich. Tak to magowie i smoki stawali się jednym, pozostając we władaniu demonów. Oto cała historia Isychrosa.*

John poczuł gwałtowny skurcz gardła, miał wrażenie, że się dusi. „łan, nie”, pomyślał. „To nieprawda”.

Jego własny głos zabrzmiał nagle obco.

— To nie jest... nie jest możliwe, prawda? Znaczą, magowie umięją poradzić sobie z demonami. Jen umię. Widziałem, jak to robi.

*Istnieją różne rodzaje demonów, Tkaczu Pieśni, podobnie jak magowie. Wiem tyle, że tam i wtedy to wydarzyło się naprawdę”.*

— Ale koniec końców go pokonano?

*Niektórych magów poćwiartowano żywcem i spalono, by Piekielny Pomiot nie mógł wykorzystać ich martwych ciał, tak jak użytkował je za życia. Magowie z pustynnego miasta Prokep znaleźli magię skuteczną w walce z demonami, zabijającą je tam, gdzie się zagnieździły. Po śmierci demonów noszące je w swym wnętrzu smoki również zginęły. Zwierciadło zostało zniszczone.*

John oddychał urywanie, jak gdyby ktoś zdzielił go pięścią w żołądek.

— Nie było dla nich ratunku? Żadnego sposobu... pochwyce nia dusz wypędzonych przez demony? Odnalezienia ich, gdy zostały przegnane w powietrze?

*A jak można pochwyć dusze tych, których powala choroba,*

*Zgubo Smoków? Albo przemoc, jaką stosujecie wobec siebie dla zabawy?*

„Nie, nie, nie”. Przycisnął dłoń do ust, jak gdyby próbował kontrolować swój oddech, a może po prostu chciał je zasłonić. Kiedy ją odjął i odezwał się ponownie, mówił całkowicie opanowanym głosem.

— Odebrali mi syna. — Streścił szczegółowo wydarzenia w Cair Dhii i to, co widział — ślady na Oszronionym Wzgórzu i opowieść Rocklys o czarodzieju wśród bandytów. — Centhwevir był poważnie ranny i powrócił tu, by, jak sądzę, się wykurować. Widziałem ślady lana na wyspie oddalonej o trzy dni lotu stąd, a także czarodzieja od tych cholernych szklanych igieł. Musi istnieć sposób na przywołanie duszy lana. Potrzebuję twojej pomocy, Morkelebie. Bardzo jej potrzebuję. I nie tylko ja.

*A twoja kobieta czarownik?* Powietrze pulsowało ironią i gniewem, lodowatym dźwiękiem szklanych prętów poruszanych wiatrem.

John nie odpowiedział, lecz wydawało mu się, że jego dusza krwawi. „To nie leży w naturze smoków”, tak Enismirdal odpowiedział na pytanie o czarnego smoka. Spoglądając teraz na to gagato-we lśnienie, John pomyślał o swojej matce na wygnaniu. Morkeleb, sam jeden na nieznającej krzyku ptaków wyspie, w towarzystwie jedynie tego, co przywiózł w swoim wnętrzu.

Przepastny gniew, dojrzewający przez lata milczenia i morskich wichrów, skondensował się w ciche słowa rozbrzmiewające mu miarowo pod czaszką.

*Powiedziałem jej, kiedy się ode mnie odwróciła, że miłość spraw przemijających ma swoją cenę. Oto ona. Gdyby pozostała ze mną, gdyby stała się smoczą...* — John usłyszał i zrozumiał to słowo, oznaczające

jałową samicę — *nie musiałbyś teraz mnie szukać. Gdyby jej syn był smokiem, te kłopoty nie istniałyby.*

Smoczy gniew był zimny i ostry niczym okruchy szkła. John ponownie podrapał się po podbródku i powiedział:

149

— Cóż, zaryzykuję kolejną kąpiel w morzu, by stwierdzić, że się mylisz. Jeśli Centhwevir wybrał miejsce i czas swojego ataku przypadkowo, zjem swoje rękawice. Teii facet w pięknej czapeczce był akuratnie pod ręką, czekając, aż zrobię swoje. Coś mi mówi, że niezadługo smoki będą miały znacznie poważniejszy problem niż teraz ja.

*Smoki dbają o siebie.* Morkeleb poruszył skrzydłami, a blask świtu załśnił na kościach miednicy, hebanowym lesie kolców w zgięciach kończyn, na grzbiecie i czaszce. *Kiedy Isychros formował swoją armię, mieszkaliśmy w Górach Tkaczy i w jaskiniach gór nazywanych Mężobójczymi; już tam nie mieszkamy. Ludzie są słabi. Zgubo Smoków. Kiedy człowieka napadnie drugi, silniejszy od niego, może pobiec ulicami swojej śmierdzącej wioski, a inni wybiegną ze swych domostw i zaatakują tego silniejszego w obronie słabszego. Tak postępują ludzie, bo zawsze odczuwają lęk.*

John nie odzywał się przez chwilę, zasłuchany w odgłos przy-boju na skałach, starając się znaleźć słowa, które poruszyłyby tę obcą istotę, mając przeraźliwą świadomość, że jeśli popełni błąd, utraci lana na zawsze. Ale zdołał powiedzieć jedynie:

— Nie pozwól, by twoja nienawiść do mnie pozbawiła ją ukochanego syna.



Ciemna głowa obróciła się szybko; John musiał pospiesznie odwrócić wzrok, by uniknąć diamentowego migotania jego ślepiów.

*Zapominasz, że nie rozmawiasz z człowiekiem. Nienawiść nie jest sprawą smoków.*

— Ani miłość — uzupełnił John.

*Zgadza się. Z łoskotem głośniejszym od uderzenia gromu jedwabiste skrzydła rozpostarły się na całą długość. Smok odwinął ogon z iglicy. Ani miłość.*

Przed sekundą smok siedział jeszcze na skale niczym wielki połyskliwy ptak. Teraz, zupełnie jakby mięśnie, łuski i ścięgna były jedynie cieniem, lżejszym od najcieńszego jedwabiu, wiatr uniósł go bez wysiłku. Smok wynurzył się z cienia szczytu i gdy

150

padły na niego promienie słońca, zapłonął cały, jak gdyby był wysadzany klejnotami. John patrzył na niego, a jego serce krzyczało: „Nie!” Skrzydła smoka przechyliły się, przemknął nisko nad falami, potem wspiął się stromo i szybko, niczym sokół nabierający wysokości przed atakiem. Ale nie zanurkował jak sokół. Zatoczył jeszcze jeden krąg, wysoko, wysoko na tle rozświetlonego nieba, i odleciał na zachód, kurcząc się do maleńkiej plamki i roztapiając w blasku zachodzącego słońca.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

„Będę musiał powiedzieć Jen”.

Trudno było znieść tę myśl.

A potem: „Muszę skierować »Dmuchawca« z powrotem w stronę stałego lądu”.

Mimo ogarniającego go odrętwienia John napełnił wodą ze źródła wszystkie pojemniki, jakie miał na pokładzie, zwinął koce i rozrzucił popioły ogniska.

łan odszedł.

Demony opętały isychrosa i wypaliły mu serce... Używając jego magii na wzór lalkarza.

John dotknął gasnącego bólu między żebrami.

Cokolwiek się działo — bez względu na przyczynę, dla której demoniczny mag porwał chłopca obdarzonego magicznymi zdolnościami — w końcu gdzieś musiały się pojawić demony, magowie, smoki.

A w tej chwili tylko on, John Aversin, o tym wiedział.

Sprawdził balony „Dmuchawca” i upewnił się, że nadal są pełne. Wspiął się po drabinie, przelazł przez łożynową burtę, a kiedy statek uniósł się ponad cień skalnej ściany, poczuł w sercu

151

dziwny smutek spowodowany koniecznością opuszczenia tej wyspy bez ptaków.

Silnik zdążył się już rozładować, więc John kręcił korbą przez jakiś czas, aż nabrał dosyć mocy, by obrócić dziób statku ku największej z Ostatnich Wysp. Jego pierwszym odruchem było pognanie prostą drogą na wschód: gdyby „Dmuchawiec” opadł na wodę w pół drogi między Ostrowami a półwyspem Tralchet, powinien dopłynąć nim do żalösnej zbieraniny chatynek i ruin u ujścia rzeki Eld, lecz nie ciągnęło go szczególnie, by to sprawdzić. Ale zaczynało brakować mu jedzenia. Na

największej wyspie ustrzelił i ugotował kilkanaście mew, zebrał trochę jajek, a potem wyruszył w dalszą drogę w blasku zachodzącego słońca. W sercu i umyśle miał pustkę. Zastanawiał się, czy Jenny zdoła dostrzec go między nawiedzanymi przez smoki wyspami, a jeśli tak, to czy wie, co zrobił i czego się dowiedział.

lan odszedł.

Zamknął oczy i ujrzał odcisk buta syna, a także ślady mężczyzny w haftowanej czapce.

Przebywali na jednej z tych wysp. „Mógłbym ich odnaleźć”.

Przegnał tę myśl. „Sami wypłyną. W Zimowych Krainach, na Północy, w powietrzu nad Cair Corflyn lub Bel, miotając dym i ogień... Wypłyną”.

Modlił się, by dotrzeć z ostrzeżeniem do komendant Rocklys przed nimi.

W cynowym blasku północnej nocy ujrzał chłopcę z twarzą dziedzica Hołd ściągniętą zmartwieniem, ubarwioną ogniem i dymem. „Nie jestem niedoświadczony”. Ujrzał czerwoną twarzyczkę dziecka nie większą niż jego pięść, brzydką i pomarszczoną, o jedwabistych, czarnych włosach.

„Och, mój synu”.

„Demony”.

Jego serce ścisnęło się z bólu.

Według *Historii* Dotysa i **niejasnych aluzji u Gorgonimira**,

## 152

kary za wchodzenie w układy z demonami w dawnych czasach obejmowały obdzieranie ze skóry, łamanie kości i palenie żywcem. Gorgonimir wymieniał skomplikowaną hierarchię Piekielnego Pomiotu, począwszy od prostych bagiennych demonów, Szepczących, iblisów,

puków, domowych chochlików i erlików aż po mroczne diabły, wgrzyzające się w ludzkie dusze. „Istnieją różne rodzaje demonów”, powiedział Morkeleb. Z lektury starożytnych ksiąg John wysnuł mało budujący wniosek, że większość autorów nie miała pojęcia o tym, co opisywali.

*Jak można pochwyć dusze tych, których powala choroba, Zgubo Smoków?*

„Nie mógł odejść. Nie mógł”.

Zdarzało się, że bagienny demon opętywał dziecko i trzeba było uciec się do egzorcyzmów. To zadanie wyczerpywało Jenny i zawsze podchodziła do niego z nadzwyczajną i szczególną starannością, lecz nie przekraczało ono jej możliwości. Czasem też, kiedy wzięto się do tego odpowiednio szybko, dusza dziecka mogła być przywrócona ciału, przynajmniej częściowo. Oczywiście nawet małe puki potrafiły być śmiertelnie groźne. John wiedział, że w Okręgu Dalekiego Zachodu, w pobliżu Bagien Boggart, rytuał pogrzebowy nakazywał przywiązywanie zwłok do mar do chwili, kiedy mogły zostać spalone, z obawy przed zawładnięciem przez demony.

„Czarodziej-demon”. Demony potężniejsze od zaklęć, jakimi ochraniali się czarodzieje.

Zamknął oczy, wysiłkiem woli przeganiając obrazy wypełniające i rozsadzające mu głowę.

Słyszał, jak Szepczący na mokradłach przybierali głosy Jenny i lana albo jednej z ciotek. Wołali do niego, by zrobił to czy tamto, próbowali zwieść go w głąb mokradeł. Podejrzewał, że Piekielny Pomiot nie miał większych problemów z przemawianiem do magów w ich snach. „Odpraw

ten rytuał, wypowiedz te słowa, wymieszaj krew i wylej ją na rozgrzany piorunowy kamień, a znajdziesz moc, której poszukujesz..." Jenny nie była jedynym

153

czarodziejem, którego nauczono, że kluczem do magii jest magia. Wiedział, że był taki czas, kiedy zrobiłaby wszystko, by osiągnąć większą wprawę w swej sztuce.

Tyle że z obłoków pary wcale nie wyłaniała się moc.

Przez noc, cały następny dzień i kolejną noc leciał ponad pustym morzem na wschód, żeglując z wiatrem, kiedy to było możliwe, i nakręcając do oporu sprężyny silnika. Obserwował kompas i sporządzone przez siebie mapy, a w wolnych chwilach sprawdzał osie katapult i smarował czubki harpunów trucizną. Dwukrotnie widział smoczyce, pływające i baraszkujące z kolorowymi samcami na grzbietach fal.

„Będąc każdym z nas”, powiedział Enismirdal. „Bytem”. To słowo kryło w sobie całe galaktyki znaczeń i odcieni znaczeń: roz-r grzana, jednostkowa czystość, niczym gęste jądro gwiazdy, z której magia promieniowała jak światło. Smocza magia, jak ta, którą Jenny przejęła od Morkeleba w swoich smoczych dniach, mająca swe źródło i zakorzeniona w diamentowej woli.

Najwyraźniej demony potrafiły przejąć i to.

„Przynajmniej teraz wiem więcej”, pomyślał John. „Przynajmniej teraz mogę pójść do Jen —jeśli wyjdę z tego żywy — i powiedzieć jej: był kiedyś czarodziej imieniem Isychros, który zawarł pakt z demonami...”

Ale najpierw musiał udać się do Rocklly. Powiedzieć jej, że po świecie grasuje Piekielny Pomiot w ciele czarodzieja, dysponujący jego mocą. Po

świecie grasuje Piekielny Pomiot w ciele, które niegdyś byłego synem, dysponujący jego rozbudzającą się mocą.

Był Zgubą Smoków. Jak żaden inny człowiek znał się na zabijaniu gwiazdnych smoków.

To po niego posła, gdy nieczysta trójca — opętany przez demona mag, opętany przez demona niewolnik, opętany przez demona smok — wyłoni się ze swej kryjówki na Świetlistych Ostrowach.

154

„Nie”, pomyślał, wyrzucając z umysłu świadomość tego, co według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie musiał uczynić. „Nie”.

John zacumował „Dmuchawca” przy wysepce o kształcie damskiego pantofelka, w rozmigotanym upale późnego popołudnia. Zdążył jeszcze spostrzec jaskrawą iskrę błękitu i złota mknącą nisko nad wodą a kiedy wbiegł na szczyt iglicy z lunetą ujrzał na smoczym grzbiecie dwa ludzkie kształty.

Z bijącym dziko sercem podążył za nimi lunetą i ujrzał, jak lądują na innej wyspie, oddalonej o jakieś dwadzieścia mil na północ. Drżącymi dłońmi wyciągnął garść pergaminowych kart z worka. Zgodnie z jego wcześniejszymi obserwacjami wyspa miała kształt litery „C” z centralnie położoną laguną lśniła od wodospadów, była gęsto porośnięta lasem i zamieszkała przez owce.

Zbudować tratwę, przeprowić się przez otwarte morze i rozprawić się z całą trójką jednym zamaszystym cięciem posępnego ostrza?

„Napiszę o tym balladę”.

Poczekać, aż odlecą a potem popędzić jak najszybciej na wschód, pozostawiając syna—albo to, co z niego pozostało — we władzy demona?

Zamknął oczy, serce bolało go wprost niewyobrażalnie.

„łan, wybacz mi”.

„Jenny, wybacz mi”.

Doskonale wiedział, że sam nie zdoła tego sobie wybaczyć.

Pozostał na szczycie skalnej iglicy, czekając, wypatrując, zastanawiając się, co pocnie, jeśli tamci nie odlecą jeśli będzie musiał podnieść „Dmuchawca” w powietrze na ich oczach, w niesamowitym, kruchym blasku świtu.

Rano ujrzał świetlisty okruch błękitu na niebie i skierowawszy lunetę na wschód, zobaczył Nymra Błękitnego, opadającego ku falom, gdzie smoczyce pływały i unosiły się na wodzie lagun wśród

155

skał, nurkowały w głębinach po tysiackroć mroczniejszych niż przesycone blaskiem nocne niebo o północy.

Mimo wyczerpania, mimo trawiącego go oślepiającego, zniewalającego cierpienia, John nie potrafił zapanować nad wrodzoną ciekawością. Czy smoczyce przechodziły ruję tak jak klacze lub jałówki? A może przypominały raczej kobiety, przyjmując tego czy innego samca powodowane przyczynami znacznie bardziej złożonymi i niejasnymi. Dlaczego nigdzie nie widział małych, żadnych smocząt? Dotys — a może Cerduces? — napisał gdzieś, że młode smoki są jaskrawo ubarwione, ale w proste wzory, pasy, pasma i pręgi — jak czarno-żółty Enismirdal — które wraz z upływem stuleci stawały się coraz bardziej złożone i coraz piękniejsze. Morkeleb był czarny. Co to oznaczało?

J co przychodziło po czerni?

„Mój syn jest martwy”, pomyślał. „Istnieje spore prawdopodobieństwo,

że spadnę do oceanu w połowie drogi, a jeśli dotrę do lądu, czeka mnie marsz z Eldsbough do Cair Corflyn, a potem walka z demonicznym magiem i jego smokiem, a ja się przejmuję życiem intymnym smoków? Adric miał rację. Ojciec miał rację. Jestem niepoważny".

Nymr znów krążył nad powierzchnią wody, muskając fale koniuszkami skrzydeł. Powietrze wydawało się udekorowane girlandami smoczej magii, wypełniającymi umysł Johna, splecionymi z innymi, jeszcze dziwniejszymi nutami. Uwodząc dziewczęta?

Ale smoczyce się nie zjawily.

W przeciwieństwie do Centhwevira.

Centhwevir spadł na błękitnego smoka niczym nurkujący sokół, nadlatując od strony białego kryształu południowego słońca ze skrzydłami przyciśniętymi do błękitno-złotych boków, z otwartym pyskiem, rozczapierzonymi pazurami, pustymi, przerażającymi ślepiami. Nymr obrócił się w powietrzu, uskakując

156

w ostatniej chwili, gdy błękitno-złoty smok już go niemal sięgał. Zasyczał, odpowiadając uderzeniem pazurów, zębów i ogona.

I wzbił się w górę, uderzając tam, gdzie Centhwevira nie było. Nie było teraz ani nigdy.

Kolory i rozbłyski poraziły oczy Johna, nieuchwytnie poruszenia i zawirowania powietrza. Czasami widział dwa smoki, kiedy indziej trzy lub cztery, obrazy Centhwevira albo po prostu rozpędzony, wirujący błękit, złoto i purpurę, obłąkaną zorzę polarną. Otaczały Nymra, który atakował i uderzał wściekle, na próżno tnąc powietrze. Lecz z tych



płaszczyzn, wirów barw i światła tryskał ogień, zlewając boki Nymra, gdy ten przetaczał się w powietrzu, a krew tryskała z pozostawianych przez pazury szram pojawiających się na jego brzuchu i bokach.

Niebieski smok rzucił się do ucieczki. Centhwevir pognał za nim, chwilami widoczny, chwilami spowity niesamowitymi pęknięciami iluzji, trzymając się nieco z tyłu i na odrobinę wyższym pułapie. W momencie gdy błękitno-złoty smok był wyraźnie widoczny, John zorientował się, że do jego grzbietu przywierają dwie postaci, skulone wśród kolców i wczepione nogami w skórzany pas opinający smoka.

Serce podeszło mu do gardła, gdy ujrzał czarne włosy, zniszczoną przez pogodę opończę. Smoki wiły się i zbijały, a między nimi światło, złudzenia i magia rozpały się i lśniły na równi z ogniem, krwią i morską pianą. Runęły w dół, szczipione kolcami, rozszalałymi ogonami, spadając w morze. John zdusił okrzyk. Były blisko wirów dwunastu skał, gdyby łan spadł z grzbietu smoka, nie byłoby dla niego ratunku...

„Nie ma dla niego ratunku”, pomyślał John, lecz nadal nie mógł zaczerpnąć oddechu.

Nymr ostatni raz spróbował ucieczki, kierując się na południe. Centhwevir spadł na niego od tyłu, szarpiąc go i kalecząc, raniąc się na wielkich kolcach i ostrych płaszczyznach grzbietu, stawów

157

skrzydeł i karku, i tym razem Nymr wydał cichy, ochryply krzyk — John nigdy nie słyszał podobnego dźwięku u smoka — po czym runął do morza, pociągając za sobą Centhwevira i jego dwóch jeźdźców.

„łan!” John podbiegł do krawędzi klifu, z której widok przyprawiał o

zawrót głowy i ukląkł wśród morskiej trawy i maków. Drżał, wpatrując się w miejsce, w którym dwa smoki, czarodziej i jego niewolnik zniknęli wśród sunących leniwie fal. „Za długo”, pomyślał, czując mdłości, wstrzymując oddech. „Za długo, by, przeżyć”.

Ogień rozlał się na wodzie. Z morza wynurzyła się głowa Centhwevira, potem połyskujący grzbiet. W okularze teleskopu John ujrzał, że siwowłosy czarodziej nadal siedzi na swoim miejscu, trzymając lana za kołnierz kurtki, lan krztusił się, kaszłał, ale się nie opierał. Twarz mężczyzny była posępna, ale dziwnie obojętna, jak gdyby obcy mu był lęk przed śmiercią. Nie odrywał wzroku od wielkiego błękitnego kształtu Nymra, trzymanego przez Centhwevira pazurami i zębami za kark i skrzydło.

Wiosłując ogonem, Centhwevir skierował się ku okrągłej wyspie. John odniósł wrażenie, że Nymr szarpnął się i poruszył wolnym skrzydłem. Ale gdy napastnik wywlókł go na plażę, śmierć niewątpliwie stała nad nim.

Niewiele było widać. John rozejrzał się rozpaczliwie i przebiegł wzdłuż brzegu urwiska na wyższą skałę, wznoszącą się chwiejnie nad granatowymi falami trzysta stóp w dół.

Przez lunetę wyraźnie widział twarz czarodzieja: zacięte, drobne usta, blisko osadzone, chłodne, małe oczy. Gładko ogolony, zadbany i bogaty — z kupieckim błyskiem w oku. Zwlókł lana z grzbietu Centhwevira i położył nieopodal na piasku. Nawet go nie przykrył, po prostu zwrócił się w stronę smoków, wyciągnął z tobołka srebrne czarki oraz woreczki i paczuszki z proszkami wykorzystywanymi w czarach leczniczych i zaczął kreślić w piachu diagramy mocy.

Diagram obejmował także Centhwevira, który usiadł na zadnich nogach i złożył skrzydła. Błękitno-złoty smok nie wyglądał na rannego, John nie widział dotąd smoka, który siedziałby bardziej nieruchomo. Po ukończeniu diagramu oraz wykonaniu pieczęci mocy i uzdrawiania czarodziej — czarodziej-demon — wyciągnął z torby kryształową drzazgę i, tak jak niegdyś Centh-wevirowi, wbił ją Nymrowi w potylicę. Gdy Centhwevir odwrócił głowę i wiatr targnął jego włosiem oraz piórami wielobarwnej grzywy, John dostrzegł błysk kryształu pod rogatą kryzą szyi. Czarodziej zebrał coś — chyba odrobinę smoczej krwi, lecz John nie był tego pewien — do złotego i perłowego pucharu, po czym zaniósł tam, gdzie spoczywał łan. Naciąwszy chłopcu nadgarstek, zmieszał jego krew ze smoczą, a potem wyjął z pucharu coś na kształt talizmanu. Johnowi wydało się, że przycisnął go łanowi do ust, a potem do własnych, następnie rozpiął swoje szaty i wsunął stworzony przez siebie talizman pod ubranie. Zapewne, jak domyślał się John z dziwną, chłodną obojętnością, do wnętrza medalionu, gdzie byłby bezpieczniejszy.

łan leżał w bezruchu, podczas gdy czarodziej obwiązywał mu nadgarstek. John nie mógł dostrzec, czy ma otwarte oczy, ale gdy czarodziej odszedł, chłopiec poruszył się odrobinę, dając oznaki życia. Czarodziej wrócił do Nymra, tym razem niedbale przestę-pując nakreślone przez siebie linie mocy.

John opuścił lunetę. Pocił się, jakby powaliła go jakaś podstępna choroba, przed oczyma miał wyłącznie twarz syna oblicze czarodzieja — czarodzieja-demonu — pracującego nad Nymrem.

„Demon czy nie”, pomyślał John, Jest ranny. Centhwevir także, łan, albo to, co kiedyś nim było, również jest w kiepskiej formie. Jeśli mam ich

zabić, teraz jest najlepsza okazja".

John przez całą białą, letnią noc wyładowywał z „Dmuchawca” skrzynie, podpórki i obudowy, choć znużenie wsączało się nieubłaganie w jego kości. Dwukrotnie powracał do teleskopu, ale

159

oba smoki wciąż leżały na plaży, **lan** również się nie ruszał, przykryty kocem.

„Zostańcie tam”, szeptał błagalnie w duchu John. „Zostańcie tam, zdrzemnijcie się trochę. Zaraz was odwiedzę”.

Nie pozwalał sobie na zastanawianie się, co się wtedy wydarzy.

Zmontował i przeliczył elementy swojej drugiej maszyny na niewielkiej równej przestrzeni na dnie szczeliny przecinającej wyspę. Przed północą zalegający w niej mrok zgęstniał, lecz niebo nad jego głową wciąż nasycone było mlecznym blaskiem, umożliwiając mu kontynuowanie pracy.

Wkrótce po północy położył się na ciepłym piasku i zasnął. Nawiedziły go niespokojne sny, przemykały przez nie mroczne przygarbione kształty, lśniły w nich bladozielone ślepie, pachniało rybami, spieczoną krwią i siarką. Wydawało mu się, że widzi lśniące jaszczurki wypełzające z fal przyboju i tańczące na wąskiej plaży wyspy przypominającej kształtem żółwia, że widzi siedzącego wśród nich czarodzieja, pojącego je ze złotego, inkrustowanego masą perłową pucharu.

„Najpierw stary czarodziej”, pomyślał, zbudziwszy się. Rozstawił tarcze z trzech warstw kryształu, koła, dźwignie i kabinę stanowiącą serce i rdzeń maszyny do zabijania smoków. „Może na tym się skończy”.

Jan również był opętany przez demona i John wiedział, że na tym się nie skończy, ale starał się o tym nie myśleć. Żałował, że nie dowiedział się więcej od Morkeleba o kryształowych kolcach tkwiących w smoczych czaszkach, o naturze opętania smoków...

Szykowali się do ataku, najprawdopodobniej jeszcze przed dotarciem do stałego lądu.

Krew i pot, mawiał jego ojciec. Krew i pot.

Przymocował metalowe płyty do drewnianych żeber i przeniósł prawie wszystkie katapulty „Dmuchawca” pod osłonę twardej, wewnętrznej skorupy „Jeżowca”. Kiedy skończył, maszyna

160

rzeczywiście przypominała zwiniętego jeżowca z kolcami nastroszonymi niczym u smoka. Skoro nie mógł liczyć na szybkość i zwinność konia, potrzebował pancerza, masy i elementu zaskoczenia. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że powinien odpocząć, upolować coś i się posilić. Gdy zaszedł księżyc i długi letni poranek bliski już był południa, poczuł, jak wyciekająz niego ostatnie siły.

Godzinę przed tym, jak słońce stanęło w zenicie, nakręcił sprężyny wykonanego przez gnomy silnika i, siedząc w wielkim kole kabiny sterowniczej, wyprowadził go na plażę. „Jeżowiec” podskakiwał i szarpał się na boki, potem zatoczył niewielkie koło, odmawiając dalszej jazdy, nie zważając na ruchy Johna, przenoszącego swój ciężar w jego wnętrzu. Mnąc w ustach przekleństwo, John przesunął dźwignię hamulca, rozkręcił sprężyny i na powrót rozmontował cały silnik. Fale przyboju huczały na skalach. Mewy krzyczały. Cienie wędrowały. Chciał wiedzieć, co dzieje się na wyspie w kształcie żółwia, ale nie śmiał przerywać pracy, by się

przekonać.

Druga próba poszła lepiej. Maszyna toczyła się przed siebie, zgrzytając na piasku. John dawno temu opanował skomplikowane figury akrobatyczne, sztukę balansowania ciężarem ciała, niezbędną w kabinie. Obracał, zawracał, okręcał maszynę wraz z jej kolcami i katapultami, a jego półnagie ciało lśniło od potu. „Dobra. Kiedy zbuduję ostateczną wersję, nie zapomnę o wywietrznikach”. Zahamował, dysząc ciężko, otworzył właz i wspiał się, by wycisnąć głowę i ramiona z kabiny...

Wtedy ujrzał, daleko nad morzem, dwa smoki wznoszące się i wyspy na południu.

Błyszczały w świetle złotem i błękitem, gdy zawracały. Kołowały wspaniałe jak słoneczny blask i kwiaty, zniżając się tuż nad powierzchnię morza. John złapał teleskop, by móc je lepiej obserwować. Zobaczył mężczyznę w haftowanej czapce wciśniętej głęboko na głowę i chłopca o rozwianych ciemnych włosach, Wymykających się spod szarpanego wiatrem kaptura.

161

— Nie... — Morska bryza owiewająca jego wilgotne ramiona i twarz przyprawiała go o dreszcze. — Nie.

Ale smoki już skręcały na północny zachód, nawet nie zatrzymując się nad wyspą, na której obozowały.

— Wracajcie! — zawołał, wygrzebując się z okrągłego brzucha maszyny do zabijania smoków, patrząc, jak najego oczach wielkie, migotliwe kształty kurczą się do rozmiarów kolibra. Pozostał sam na wyspie, w towarzystwie krabów, głuptaków i owiec. Opuszczając głowę, uderzył pięścią w metalowy bok „Jeżowca” i za

płakał.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

—Dureń! — Komendant Rocklys walnęła pergaminowym zwojem o stół tak mocno, że woskowa pieczęć rozsypała się na kawałki. — Po tyśiąckroć dureń! Na brodę Gronda, kto...? — Spiorunowała spojrzeniem szambelana, który zatrzymał się jak wryty w progu, a jej twarz zmieniła wyraz, skoro tylko za jego plecami dostrzegła Jenny. — Pani Waynest? — Zerwała się na równe nogi, przypominając wielką płową pumę. — Dzięki niech będą Dwunastu, że wróciłaś szczęśliwie. — Szczery niepokój sfałdował jej czoło. — Znalazłaś tę bandycką czarodziejkę? Sprowadziłaś ją tutaj?

Jenny skinęła głową.

—I myślę, że przekonasz się, iż pomysł ze szkołą bardzo przypadł jej do gustu. Proszę... — Chwyła Rocklys za ramię, gdy komendant ruszyła dziarskim krokiem w stronę przedpokoju. — Jest bardzo młoda — powiedziała, spoglądając jej w oczy — i źle ją traktowano. Obchodź się z nią bardzo, bardzo delikatnie.

Deszcz łomotał o drewniane dachówki. Plac ćwiczebny za

oknem zamienił się w łaciate bagnisko pokryte mokrym błockiem, na którym ośmiu żołnierzy ocalałych z pierwotnej dwudziestki piątki rozładowywało swój skromny ekwipunek. Komendant przeliczyła ich

szybkim spojrzeniem i obróciła się do Jenny, a w jej oczach płonąła wściekłość połączona z niedowierzaniem.

- Ten bandyta Balgodorus...?
- Wycofał się trzeciego dnia po tym, jak mag porzucił jego bandę — odparła Jenny. — Wydaje mi się, że nadal miał pod sobą z siedemdziesięciu ludzi, jedną trzecią tego, czym dysponował na początku oblężenia.
- Oblężenia? — zapytała ostro komendant.
- Palmorginu. — Jenny pokiwała głową. — Ledwie zdążyliśmy schronić się za murami, a bandyci już tam byli.

Rocklys zaczęła coś mówić z oburzeniem, ale nagle zamilkła, zauważając ociekającą wodą opończę Jenny i jej ściągniętą twarz.

- Jesteś cała przemoczona. — Położyła dłoń na jej ramieniu, gestem zarazem szorstkim, ale i troskliwym. — Gilver... — Szambelan zniknął niezwłocznie i powrócił po krótkiej chwili ze służącym, ręcznikami, kocem i dzbanem grzanego miodu. Ten ostatni przedmiot postawił na stole, podczas gdy Rocklys zdecydowanie podprowadziła Jenny do krzesła i przysunęła bliżej kok-sownik. — Ta bandycka czarodziejka... będzie służyć Koronie? — Rocklys nie popuściła, postawiła nogę na siedzeniu drugiego krzesła i wsparła się łokciem o kolano.
- Tak myślę.
- To dobrze. Dobrze. Wczoraj zjawił się jeszcze jeden... mój kuzyn może i jest głupcem, ale przynajmniej miał dość rozsądku, by rozpuścić na Południu wieści, błagając ludzi obdarzonych mocą o ujawnienie się. Staruszek ukrywał się wiele lat. Jak gdyby ktoś jeszcze



egzekwował dawne ustawy antyczarodziejskie! Bliaud — tak ma na imię, to sympatyczny staruszek — używał magii, by powstrzymać łyśnienie i chronić róże przed gąsienicami. Idioci, jedno tałatajstwo! — Pokręciła z niedowierzaniem głową.

163

- A jednak przyjechał? — Greenhythe stanowiło istny zaścianek południowego królestwa. Jenny nie mogłajakoś sobie wyobrazić, by szlachcic na emeryturze podjął się znosić niebezpieczeństwa i niewygody takiej podróży.
- Przekonanie go zajęło trochę czasu, a mój kuzyn zapewnił mu przyzwoitą eskortę. — Rocklys zrobiła krzywą minę. — Jego rodzina była przeciwna: „Szlachetnie urodzeni nie parają się magią”. — Jej głos ociekał pogardliwą ironią. — I dlatego powiedziałam Garethowi, że Cair Corflyn jest jedynym dobrym miejscem na taką szkołę, z dala od uprzedzeń Południa. Wyobrażasz sobie naukę magii, podczas gdy imbecyle pokroju Ectoraz Sinde-stray — to skarbnik mojego kuzyna — jęczą ci o dawnych prawach niczym przerażeni niewolnicy?
- Prowincję Imperteng ogarnął otwarty bunt — a ten dureń Gareth zabrał króla ze sobą do obozu armii oblegającej Jotham! — ruchawka antypodatkowa na Kresach, bezczelni kupcy na Wyspach uważają się za równych szlachetnie urodzonym, uwolniony zdrajca, przepraszam za wyrażenie, zarządza Halnath... — Zacisnęła pięść w geście rozpaczy.

Jenny przez chwilę rozważała ewentualność zaprotestowania przeciw użyciu terminu „amnestionowany zdrajca” na określenie mistrza Halnath,

który podniósł bunt przeciwko zawładnięciu umysłem starego króla przez Zyerne. Zważywszy na nadużycia władzy, jakich dopuściła się Zyerne, uprzedzenia południowców były uzasadnione.

Zamiast tego stwierdziła tak taktownie, jak tylko potrafiła:

— Być może książę Gareth uznał, że jego ojciec będzie bezpieczniejszy z armią pod Jotham, skoro Kresy buntują się przeciw obciążeniom podatkowym. Kresy nie leżą znowu tak daleko od Bel.

Rocklys sposepniała, ale przyznała niechętnie:

— Cóż, to jest jakieś wytłumaczenie. Ale raczej jakiś kretyń uznał, że Dwunastu Bogów nie przyzna im zwycięstwa, jeśli jego świątobliwa siwa głowa nie będzie uczestniczyć w porannych ry-

164

tuałach. — Jej głos aż drżał od zniecierpliwienia i pogardy. — Staruszek jest ostatnimi czasy tak skołowany, że gdyby jakiś buntownik zdołał go pojmać, nie miałby problemów z przekonaniem go, by odsunął Garetha od władzy i zastąpił go nim.

Jenny patrzyła przez otwarte okno, jak za jej plecami kapłani Gronda Płomiennobrodego, Pana Wojny, z czerwonymi kapturami na głowach wkraczają dostojnie trójkami do obozowej świątyni, wiodąc za sobą tłum zbrojnych. Ich świece migotały blado w zalegającym pod arkadami mroku.

— Jeszcze jeden powód, by uczyć magów, jak mają używać swej mocy i wykorzystywać ją w odpowiedzialny sposób, dla dobra królestwa. Dzięki Dwunastu... co znowu?

Stojący w progu kapłan w czerwonej szacie dyskretnie podawał jej świecę z wosku, co było częścią ceremonii: Jenny przypomniała sobie, że

zapalanie ognia na ołtarzach Płomiennobrodego należało do dowódcy kompanii strzegącej świątyni. Ojciec Hiero już dawno zrezygnował z prób wyegzekwowania tego obowiązku od Johna. Najwyraźniej legalistyczne poglądy Rocklys były równie głęboko zakorzenione jak wiara Johna w Starego Boga, gdyż komendant po prostu wetknęła knot w ogień.

- No, to mamy z głowy. — Komendant bez ceregieli wypchnęła kapłana za drzwi i odwróciła się z powrotem do Jenny. — Przywiozłaś ją tutaj, teraz będziesz ją nauczać, i Bliauda...jak ma na imię?
- Ysult.
- Ysult. — Komendant zagłębiła dłoń w szkatułce i zamieszała klejnoty, budząc w nich rozbłyśki światła. Ciekawe, którego kupca z nich oskubała, pomyślała Jenny. — Jeśli twój mąż miał rację, jeżeli po kraju szwenda się mag, który potrafi zniewalać smoki, będzie nam potrzebna każda pomoc.

Jenny z narastającym chłodem w sercu wysłuchiwała opowieści Rocklys o wizycie Johna. Całymi dniami obserwowała Johna *W* swoim kryształ, w ogniu i wodzie, odkąd wyostał się bez

165

szwanku z Głębi Tralchet; patrzyła, jak zawraca nie na południe, do Alyn Hołd, ale na zachód, przez mroczny ocean, i w końcu domyśliła się, że kieruje się na Świetliste Ostrowy, szukając Morke-leba, by prosić go o pomoc lub radę. „Dobra Bogini, czy on naprawdę sądzi, że Morkeleb mu pomoże?“, zastanawiała się rozpaczliwie. „Co on takiego przeczytał, że nie potrafił znaleźć innego wyjścia?“

„Ocal smoka, zniewól smoka”.

Czarodziej, który postarał się, by John za niego pokaleczył Centhwevira na tyle, by on sam mógł go ocalić. Który zniewolił Iana i zabrał go ze sobą.

W jej sercu zapłonęła wściekłość, aż przeszły jąciarki. Wściekłość i mdlące poczucie winy.

A ponieważ John znikąd nie mógł oczekiwać pomocy, nawet od adeptów z Cair Corflyn, ruszył na poszukiwanie Morkeleba.

Morkeleb zabije Johna, skoro tylko go zobaczy.

„Ian”.

Zamknęła oczy, głos komendant przepływał obok niej, zmuszała się, by go słuchać, by nie myśleć o przeszłości. O latach spędzonych na poszukiwaniu własnej mocy, gdy wychowywanie chłopców — których nigdy nie chciała urodzić — pozostawiała Johnowi. O latach, kiedy nad miłość dla Johna przedkładała swoją magię. „Pragnę mieć z tobą dzieci, Jen”, usłyszała teraz głos Johna. „Pragnę, żebyś była matką moich dzieci. To tylko dziewięć miesięcy, nie tak długo...” O swoich obawach i wahaniu, niechęci, by poświęcić ten czas, nagromadzić energię, jaka będzie jej wtedy potrzebna. Ujrzała siebie przy palenisku Oszronionego Wzgórza, odwróconą do niego plecami, ze splecionymi buntowniczo ramionami, kręcącą odmownie głową.

„Och, John. Mój ukochany”.

Upłynęły już niemal trzy tygodnie, odkąd ostatni raz widziała go w sercu ognia, opartego o maszt tego swojego bezsensownego latającego pojazdu, zapatrzonego ponad budzącym się z nocy mo-

rzem w smoki krążące wokół skalnych iglic lśniących wysp. Później smocza magia zakłócała i przerywała wizje, pozwalając jej na uchwycenie jedynie pojedynczych obrazów: samotny John, cierpliwie kręcący korbą; John uklepujący placki przy ognisku; John grający na lirze na brzegu zaróżowionego świtem morza. I raz przerażający widok Johna wspartego kolanem o reling „Dmuchawca”, gdy z wody wynurzył się gwiazdny smok, błękitny jak lazuryt, błękitny jak kobalt, błękitny i fioletowy jak letnie niebo, i zanurkował wprost ku niemu wirem muzyki i wodnej mgły.

- ..posłańca do Alyn Hołd z samego rana.
- Co? — Jenny na powrót skupiła uwagę na terażniejszości, podniosła głowę i ujrzała Rocklys stojącą przy jej krześle. — Och, ja... przepraszam. Ja...

Oblicze Rocklys, przez moment wykrzywione złością spowodowanej nieuwagą, złagodniało.

- Nie, to ja przepraszam, pani Jenny. Rozgadałam się, zupełnie jakbyś nie była przemoczona do nitki i do tego zapewne nieprzytomna ze zmęczenia. — Obróciła w palcach bladozielony oliwin i wrzuciła go z powrotem do szkatułki.
- Gilver, zaprowadź panią Waynest do pokoi gościnnych. Mam nadzieję, że twój mąż miał dosyć rozsądku, by położyć się do łóżka i tam zostać. Jeśli kiedykolwiek widziałam naprawdę skonanego człowieka...
- Proszę nie kłopotać się tym posłańcem — powiedziała Jenny, podnosząc się z miejsca i okrywając ramiona kocem. — Sama tam pojedę, jutro z samego rana.
- Sama? Przeglądałaś się ostatnio w lustrze? Wyglądasz jak...

- To, jak wyglądam, jest bez znaczenia — Jenny stała nieruchomo, zawinięta w koc. Zawahała się na mgnienie oka, będąc o włos od opowiedzenia Rocklys o tym, co ujrzała w kamieniu i ogniu, ale dodała tylko: — Zbyt długo mnie tam nie było. Wrócimy z Yseult...

167

—Yseult? — Rocklys wyglądała na wstrząśniętą. — Nie zamierzasz chyba zabierać jej ze sobą! Skoro Balgodorus wciąż jest na wolności? I zapewne jej poszukuje? Skoro już musiszjechać — a ten pomysł wcale mi się nie podoba, choć oczywiście dam ci ludzi do ochrony — koniecznie zostaw dziewczynę w Cair Corflyn.

„Jeśli zechce zostać”, pomyślała Jenny, zastanawiając się, jak to okaleczone i posiniaczone dziecko zareaguje na wiadomość, że musi pozostać w pełnym mężczyzn obozie, bez kobiety, która ją uratowała. Zawahała się, usiłując zdecydować, gdzie będzie najbezpieczniejsza.

- Jeśli zdecyduje się tu zostać — powiedziała — obiecaj mi, proszę, jedno. Ochroniaj ją. Nie tylko przed żołnierzami z koszar...
- Oczywiście, że dostanie osobne pokoje — obruszyła się Rocklys. — Od dziedzińca, obok moich. Przez cały czas będzie przebywać z dala od żołnierzy. Chyba nie...
- Nie tylko przed żołnierzami z koszar — powtórzyła cicho Jenny. — Kimkolwiek jest ten władca smoków, skoro porywa magów, ma w tym jakiś cel. Być może sprowadziliśmy tu Yseult, tuż zanim się nią zainteresował. To samo dotyczy też twojego arystokraty z Południa i jego synów. Być może dopóki nie wrócę, byłoby najlepiej...

Rocklys otworzyła usta, by zaprotestować, ale Jenny zignorowała ją.

—.. .żeby w ogóle nie opuszczali murów fortu. Nie potrzebu jemy posłańców przywożących pierścienie synów Bliauda, może nawet razem z palcami, elegancko zapakowane w małych pa czuszkach. Zważywszy na bunt w Impertengu — ciągnęła dalej — i niezdolność króla do sprawowania władzy, ciekawa jestem, dla kogo pracuje ten władca smoków i jakie ma intencje. W tej chwili jestem jedynym wyszkolonym magiem na całej Północy i dziwi mnie trochę, że wciąż jeszcze nie stałam się obiektem ataku. A może tak.

168

— A ja posłałam cię z zaledwie dwudziestoma pięcioma ludź mi. Dam ci solidniejszą eskortę...

Jenny pokręciła przecząco głową.

— Przemierzyłam w pojedynkę całe Zimowe Krainy wzdłuż i wszerz. Sama mogę podróżować cicho i niezauważenie. Eskorta tylko by mnie spowolniła i poinformowała Balgodorusa i innych, gdzie jestem. Powinnam wrócić przed upływem tygodnia, by zacząć szkolenie twych adeptów. Ale teraz muszę się czegoś do wiedzieć w Hołd.

Choć obciążył „Dmuchawca” wszystkimi posiadanymi workami balastowymi, włożył sporo wysiłku, by ściągnąć go do „Jeżowca” i przymocować koleczastą maszynę do pustej wiklinowej łodzi. Wybrał się na poszukiwanie mewich jajek, po czym ugotował je w skalnym anyżu. „Za długo”, myślał, „za długo”. Jajka ledwie zdążyły się ugotować, a już wyciągał je z wody, gasił i rozrzucał ognisko, i wspiąwszy się do

wiklinowej gondoli, zrzucił balast, kierując się na zachód.

Wiał przeciwny, ale za to silny wiatr. Czuwał przez całą noc, halsując cierpliwie; zakotwiczył przy wyspie będącej ledwie skalną kolumną wznoszącą się z morza, zdrzemnął się godzinę i po-żeglował dalej na zachód. Zrzucił balast w południe, ponownie kilka godzin później, ale „Dmuchawiec” nie przestawał tracić wysokości. Potem się rozpadało, deszcz szarymi łzami smagał puste morze, białe linie błyskawic przeskakiwały między chmurami a wodą, lecz za to wiatr zmienił kierunek i gnał go przez całą noc na zachód, o świcie zaś przez teleskop ujrzał oblane morską pianą skały Ostatnich Wysp.

Na południowym niebie dostrzegł także dwa smoki, Centh-wevira i Nymra, lśniące w blasku wschodzącego słońca niczym zapowiedź ostatecznej zagłady.

Musiały go widzieć, ajednak nie zmieniły kierunku lotu. Wiatr zaciął ostro od północnego wschodu. John znów zmuszony był

169

do halsowania, ciągnąc za olinowanie, obserwując lecące przed nim smoki i chwiejąc się ze zmęczenia. Ujrzał, jak obniżają lot i kołują wokół martwej wyspy, by zanurkować gwałtownie między skały. „Zaatakują go w jaskini”, pomyślał, zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać. „Dmuchawiec” zatoczył szeroki łuk pod zmienny wiatr, a jego skoki przyprawiły go o mdłości. „Smoki wiedzą to samo co ja — że szanse na zwycięstwo wzrastają, jeśli zaatakowany smok nie zdąży wzbić się w powietrze”.

Pociągnął za klapę zaworu powietrza, opuszczając „Dmuchawca”, i rzucił kotwicę tak blisko, jak tylko mógł, dostrzegając wśród skał błyski i



lśnienie błękitu i złota. Nymr i Centhwevir miały ciasno złożone skrzydła, szyje wyciągnięte na kształt wąskich falujących grotów, i w chwilach, kiedy był w stanie przebić się wzrokiem przez oślepiającą aurę błyskawic i iluzji, widział wyraźnie, że ich ofiara zakleszczona była w legowisku. Chwilami dostrzegał samego Morkeleba, wciśniętego między skały i ociekającego krwią— szyja i pysk czarnego smoka były pocięte i poszarpane, blask jego czerni wydawał się matowieć, szarzęć niczym żużel i popiół.

Walczył o życie. John widział to wyraźnie w każdym jego rozpaczliwym uderzeniu szyi i pazurów. Oba młode smoki pojawiały się i znikwały w chaosie demonicznej magii, a Morkeleb uderzał na oślep, w skały i piasek. Odmawiając modlitwę do Starego Boga, John obrócił jedną z katapult i wpakował harpun w grzbiet Centhwevira.

Centhwevir okręcił się w powietrzu z rozwartą paszczą, a wtedy John uruchomił drugą katapultę. Lecz smok rozpadł się i zawirował trzema cieniami zielonego płomienia, a grot, nie czyniąc szkody wpadł do morza. Kwas zbryzgał wiklinową burtę parę kroków od Johna, i reling zajął się ogniem. Zanim John zdążył się zorientować, „Dmuchawiec” znalazł się w oku szalejącego, ognistego cyklonu. Przez ścianę ognia John przelotnie ujrzał przed sobą zimną, kanciastą twarz i blade oczy, niczym obraz z ciężkie-

170

go, przynoszącego migrenę snu. Wtedy Centhwevir wydał z siebie wysoki, metaliczny smoczy krzyk i obrócił się, gdyż Morkeleb, prześlizgnąwszy się obok Nymra, wbił mu w boki swe wielkie, zakończone czarnymi pazurami łapy.

Centhwevir okręcił się niczym kot, gryząc, tnąc pazurami i plując kwasem, ale Morkeleb trzymał go mocno i tego nie dało się usunąć za pomocą iluzji. Korzystając z okazji, John przeskoczył przez burtę „Dmuchawca” i ześlizgnął po linie do „Jeżowca”, kołyszącego się i podskakującego na falach pod gondolą. Przeciął mocowania i spadł razem z maszyną, obejmując rękami podstawę najbliższego kolca, by wstrząs nie zrzucił go na ziemię. Nymr i Centhwevir były całkowicie zajęte swoją ofiarą, przycisnąwszy ją na powrót do ściany klifu. John przedostał się przez właz „Jeżowca”, zamykając go za sobą, wcisnął stopy w obejmy koła i zwolnił dźwignię hamulca. „Jeżowiec” obrócił się, John wystrzelił następny harpun, trafiając Nymra w bok.

Naparł ze wszystkich sił na koło, by cofnąć pojazd, gdy coś uderzyło go w bok; chaotyczna plątanina błękitu i złota, obwiedziona zielonym ogniem. Wycelował kolejny harpun, lecz w tej samej chwili wszystkie otaczające go kryształowe iluminatory zapadły się do wewnątrz, kalecząc go okruchami. Poczł nudności i straszliwy ból przeszył jego wnętrzości, kończyny i krtań, jak gdyby kąsało go tysiąc szczurów.

„Przeklęte demony...”

Smok raz jeszcze uderzył „Jeżowca” ogonem, łamiąc obudowę, wyginając szprychy. John wystrzelił kolejny raz, nie mając czasu, by zastanawiać się, gdzie w tym zamieszaniu jest lan albo co się z nim może stać. Ogarnęła go panika, jakby był uwięziony w koszmarnym śnie — wydało mu się, że słyszy swego ojca wołającego go po imieniu. Znów magia demonów, pokrewna tej wykorzystywanej przez Szepczących, tylko nieskończenie potężniejsza. Następny cios wywrócił „Jeżowca”, a John uderzył boleśnie o burtę. Wyszarpnął dwa ostatnie harpuny z katapult i

ślizgnął się przez rozbity właz, w chwili gdy Centhwevir porwał „Jeżowca” w szpony. Smok natychmiast go wypuścił, a John uwiesił się klapy, starając się odzyskać równowagę. W tych warunkach nie sposób było dobrze wycelować — wydawało mu się, że atakuje go jednocześnie pięć Centhwevirów nadlatujących z różnych stron — lecz skoro tylko przestał się kołysać, rzucił harpun dokładnie w momencie, gdy smok obniżył się, by raz jeszcze uderzyć pojazd ogonem. Pocisk chybił celu, ale Morkeleb, chwilowo wymknąwszy się Nymrowi, spadł Centhwevirowi na grzbiet, szarpiąc go za skrzydła.

Centhwevir wyrwał się mu, plując kwasem i krwawiąc z tuzina ran. Morkeleb poderwał się w powietrze, głośno trzepocząc ciemnymi skrzydłami, a gdy młodsze smoki zatoczyły krąg, ruszając mu na spotkanie, poranione i wyraźniej widoczne przez magiczne zasłony, John cisnął ostatni harpun, który zagłębił się w karku Nymra.

To ostatecznie przekonało czarodzieja-demonia. John usłyszał, jak wykrzykuje rozkazy, i przez rozpryskującą się ścianę ognia ujrzał przez chwilę łana przyciśniętego do kolczastego grzbietu Nymra. Nymr umknął przed atakiem Morkeleba i wzleciał, bijąc zamasyście skrzydłami. Oba smoki, złoty i niebieski, rozcięły powietrze, zmieniając kierunek lotu, skoro tylko złapały przychylny wiatr. W następnej chwili były już daleko, znikając w oddali nad morzem, zmierzając wprost ku ostrowom.

Morkeleb unosił się jeszcze przez parę sekund nad skałami, napowietrzny cień na świetlistym tle, podczas gdy ogień na częściowo spalonym „Dmuchawcu” zafalował i zgasł. John leżał na piasku, ciężko

dyszając, na wpół oślepiiony krwią sączącą się z czoła. Przynajmniej ustąpił wewnętrzny ból. „Jeżowiec” przypominał teraz skorupę orzecha włoskiego zgniecioną przez dziecko bardziej zainteresowane jego zawartością niż sposobem dobrania się do niej.

„Trzy tygodnie ugania się za skalnymi trygonami w Wyl-doom”, pomyślał, „a na dodatek jeszcze targi z gnomami. To zabi-

172

janie smoków staje się coraz kosztowniejsze. Chyba będę musiał przejść na emeryturę”.

Ocknął się, krztusząc się i kaszląc. Otaczała go lodowata morską woda. Rozpaczliwie próbując wydostać się na powierzchnię, poczuł nagle uścisk zamkniętych wokół niego żelaznych pazurów, a w następnej sekundzie został podniesiony w powietrze.

*Nie szarp się, bo wrzucę cię do morza. I bez tego jestem zmęczony.*

Choć doskonale wiedział, że smok nie da mu spaść, i tak objął ramieniem bliższy z czarnych nadgarstków, ostrożnie przesuwał je między lepkiemi od krwi kolcami. Zgubił gdzieś okulary, dlatego skały, fale i sam wielki czarny smok stanowiły rozmazane plamy, gdy Morkeleb zawrócił nad wyspę i prostując wielkie tylne łapy, przysiadł na ziemi i położył Johna na piasku.

*Pili moją magię.* Smok przycupnął wśród skał, dreszcz przebiegł przez jego ciało. Potem znieruchomiał i tylko emanował od niego gniew równy gniewowi gwiazdy. *Pili moją magię — moją, Morkeleba Czarnego, najstarszego i najpotężniejszego, Wędrowca Pustki, kochanka gwiazd, pogromcę Starszego Droona, i nic nie mogłem na to poradzić, moja moc*

*była bezskuteczna.*

Słowo, które umysł Johna odebrał jako „magia”, nie przypominało tego, co miała na myśli Jenny, kiedy je wypowiadała. To powinno być zupełnie inne słowo, stwierdził, leżąc sztywno na ciepłej ziemi i ociekając wodą, podobnie jak słowo „byt” wypowiedziane przez Enismirdala. Ale nie znał właściwego brzmienia żadnego z nich, a nie mógł wykluczyć i tego, że były one identyczne.

Niczym powolny napór mrocznego przyływu, gniew Morkeleba przepływał przez umysł Johna, gniew i przykryty nim strach. Strach przed czymś, czego nie sposób było dotknąć. Przed śpiewającymi cieniami niosącymi śmierć. Cienkie jak stalowe obręcze żebra Morkeleba unosiły się i opadały, krew ściekająca z jego

173

grzywy mieszała się z morską wodą, tak że smok wydawał się czarną wyspą na jeziorze posoki.

„To coś całkowicie odrażającego, coś chorego, rozprzestrzenia się i szuka ofiar. Pochłania esencję magii i wypełnia próżne miejsce obłędem i śmiercią”.

— Pomóż mi — powiedział John. Odsunął z czoła sklezione solą i krwią włosy, rozcięcia i otarcia na całym ciele paliły go od zetknięcia z morską wodą i piaskiem. — Uratowałem ci życie.

Długa ptasia głowa obróciła się gwałtownie i John pospiesznie odwrócił wzrok, by nie wpaść w krystaliczną pułapkę smoczych ślepi. Czuł wyraźnie furię Morkeleba, zrodzoną z urażonej dumy i lęku. Z pogardy, dla siebie nie mniej niż dla Johna, furię wywołaną świadomością, iż jest cokolwiek winien komukolwiek, a już w szczególności temu irytującemu,

natrętnemu człowieczkowi, który nie był nawet magiem.

Co wszakże niczego nie zmieniało. Dług nadal był długiem.

*Ocal smoka...*

*W takim razie ruszajmy w drogę.* Czarne pazury znów sięgnęły ku niemu.

— Potrzebujemy tej maszyny. — John usiadł, czując, jak każdy ruch sprawia mu ból. Jego okulary leżały nieopodal w piasku. Upadły na miękkie podłoże. Oczyszczył soczewki z piachu, ale były zbyt brudne, by je zakładać, a do tego ręce zanadto mu się trzęsły, by to uczynić. — Prawie dałem się zabić dla tych części, a to urządzenie na pewno nam się przyda.

Morkeleb rozwarł paszczę i zasyczał z dezaprobatą. *W takim razie pozbieraj je, Tkaczu Pieśni. Musimy się spieszyć.*

*Widziałam jednego, powiedziała Yseult. Albo śniłam o nim, jak przywraca do życia smoka. Miał ze sobą chłopca czarodzieja.*

Szarawy letni półmrok wypełniał skąpane w blasku niebo, choć do północy brakowała nie więcej niż godzina. W tym czystym błękitnym blasku nawet pustkowie Cair Dhu wyglądało pięknie. Gdy Jenny dotarła na miejsce, znalazła bandę Lodowych Jeźdźców obozującą wśród pozostałości murów, karłowate konie i psy, milczące błękitnookie dzieci i

niskie namioty ze skór reniferów. Musiała poczekać do nocy, by zakłócić czarami sen ich wodza, ostrzegając go przed potworną katastrofą, jaka ma wkrótce dotknąć to miejsce. Nawiercanie i łamanie wróżebnych kości również zajęło im trochę czasu, potem jeszcze musieli pokłzyczyć nad odpowiedzią wyroczni, aż wreszcie zwinęli obozowisko i odjechali pospiesznie.

Po bitwie, którą John stoczył z Centhwevirem, nie pozostał już żaden ślad z wyjątkiem ciemnych plam na kamieniach. Ale nie przychodziło jej do głowy żadne inne miejsce, w którym mogłaby rozpocząć poszukiwania.

Jenny stanęła nieruchomo z zamkniętymi oczami, oddychając przeszłością. Smoki potrafiły smakować miniony czas, wyciągać z kamieni, gruntu i podziemnej wody echa tego, co wydarzyło się na powierzchni. Ale te echa miały formę zrozumiałą dla smoczyczych zmysłów, umysłowi śmiertelnika trudno przychodziła ich interpretacja. Poczwała/zwęszyła/usłyszała umysł smoka, i Johna, a nawet przenikliwe przerażenie Młota Bojowego. Ale nie znalazła najmniejszego wspomnienia umysłu swego syna. Jedynie palący odcisk umysłów demonów.

Żołądek Jenny zwinął się w ciasną grudę. „Demony! Dobry Boże!”

175

I to niepoślednie. Nie Szepczący czy bagienne diabły, z chichotem zwabiające podróżnych na bagna, by czerpać przyjemność z ludzkiego bólu, dezorientacji i lęku.

Poczwała się tak, jakby nagle poraziło ją palące światło.

„łan. Och, łan”.

Potęga demonów wypływała z innego źródła. Demony przybywały i powracały na inną płaszczyznę istnienia, gdzie magia opierała się na odmiennych zasadach. Gdzie wszystko miało odmienną postać. Te demony, czuła to wyraźnie, były potężniejsze od wszystkich, o jakich zdarzyło się jej słyszeć.

Czy potrafiłaby ochronić swojego syna, gdyby nie porzuciła smoczej postaci? Czy chciałaby?

Jako smoczyca poznała silne i namiętne pożądanie, a smocza miłość była jak przeistoczenie w ukiejnocony ogień. Ale nie była tożsama z ludzką miłością czy troszczeniem się o ukochaną osobę.

Cierpliwie, oczyma mroku, przeszukiwała pustkę i po pewnym czasie znalazła miejsce, w którym władca smoków zaczerpnął mocy z ziemi. Na jej wezwanie zerodowane duchy linii mocy raz jeszcze wypłynęły na powierzchnię, lecz nie uzyskała z nich żadnych nowych informacji. Smoczy czarodziej przeszedł przeszkolenie na południową modłę — najprawdopodobniej w Linii Erki-na. Ale demoniczny ogień przesycił i wypełniał każdą linię i krąg. Wszystkie egzorcyzmy, jakie kiedykolwiek przeprowadzała — a trochę ich już było — powróciły do niej, oślizgłe nagabywania najslabszych nawet puków i iblisów. Robaczywa chęć wślizgnięcia się do wnętrza ludzkiego umysłu, ludzkiej duszy; pragnienie posiadania ciała, którego cierpienie demon mógłby spijać. By mógł torturować i krzywdzić innych, rodzić jeszcze więcej strachu i bólu. Jeśli tylko miały okazję, nie wzdragały się przed zamieszkiwaniem choćby i w trupach.

Przed jej oczami zamajaczył przelotny obraz, okruch przeszłości:



potężny, siwowłosy mężczyzna kroczący plażą o świcie. Spacerujący, by zapomnieć o niespokojnych snach. Morska bryza

176

targnął jej szatami, odsłaniając skryty pod płaszczem ubiór bogatego kupca. Naukowiec-dyletant, jakich poznała była na dworze w Bel. Człowiek, którego twarz świadczyła, że jest zbyt inteligentny, by czerpać przyjemność z towarzystwa liczykrupów i du-sigroszy.

Ujrzała, jak zatrzymuje się i patrzy na jakiś przedmiot — muszlę? okruch szkła? — leżący tam, gdzie morska piana spływała z ołowianej plaży.

„Och, John”, pomyślała, gdy wspomnienie uciekło w niebyt. „Trzymaj się od nich z daleka”.

Otuliła się ciaśniej opończą, starając się uciszyć przenikliwy ból serca.

Głos w jej umyśle nagle powiedział: *Kobieto czarowniku.*

Był za jej plecami, usadowiony na zniszczonym murze Cair Dliii. Jego czarne wyrostki kostne złożyły się niczym wachlarz z żałobnego jedwabiu, czyste, zimne, srebrne ślepa zdawały się emanować zarazem światłem i ciemnością. Jej serce zabiło najego widok niczym fala uderzająca o skalisty brzeg.

Miłość i zadziwienie.

I niczym załamująca się fala jej słowa popłynęły nie wypowiedziane.

*Twoje serce płakało*, rzekł.

*Zabrały mi syna*, odpowiedziała w taki sposób, jak czyniły to smoki. *A John został ranny.*

Powietrze wokół niego zafalowało od gorąca, gdy odwrócił głowę. Wiatr poruszał czarnymi wstęgami jego grzywy, kępami hebanowego

pierza. Wygięte rogi, czarne pasy na tle czerni lśniły jak naoliwione.

*Och, mój przyjacielu, powiedziała. Tak się cieszę, że cię widzę.*

*Tak czy owak.* Ciepło zdawało się rozprzestrzeniać, nie gwałtownie, lecz niczym coraz głębsza woda, im głębsza, tym spokojniejsza. Wyczuwała powiew śmierci, obecność przerażających kształtów formujących się daleko od powierzchni, wpatrujących

177

się obłąkanymi srebrnymi ślepiami w mrok. Potem cały ten gniew skupił się powoli i rozpląnął, jakby wysączając się przez szczelinę w murze wieczności, poza granice tego świata. *Tak czy owak, powtórzył. Ja również cieszę się, że cię widzę, przyjaciółko.*

Coś w powietrzu wokół niego uległo zmianie.

*Przebacz mi, powiedziała.*

*Przebaczenie nie jest sprawą smoków. Każdy uczynek i każde zdarzenie istnieją przez wieczność niezmiennie w naszych umysłach. A to, o czym mówisz, gdy prosisz o przebaczenie, jest jedynie częścią tego, kim byłaś i jesteś, kobieto czarowniku, i kim będziesz.*

Usadowił się wygodniej, nasycony, lśniący, czarny kształt w gęstniejącym półmroku. Jego ślepia, zimne bliźniacze księżyce, spoglądały wprost w jej oczy.

*Od czterech lat mieszkam z dala od gwiazdnych smoków, usiłując pojąć sprawy zrodzone w moim sercu, które nie są już sprawami smoków. Kiedy przybyliśmy na Świetliste Ostrowy, były wśród nas szare smoki, Smocze Cienie, zamieszkujące Ostatnią Wyspę. Udałem się tam, by je odnaleźć, gdyż one rozumieją wszystko i posiadają moc większą od smoków. Nie znalazłem ich tam.*

Z jakiejś przyczyny przyszedł jej na myśl dom na Oszronionym Wzgórzu, jesienne wieczory, krople deszczu wpadające przez komin w ogień paleniska, gdy nawet dźwięk harfy wydawał się pogwałceniem sennego spokoju świata.

*A jednak pozostałem tam, powiedział. I przez te cztery lata próbowałem postępować zgodnie z naukami starożytnych, mając nadzieję, że osiągnąwszy ich potęgę, znajdę wyzwolenie od cierpienia. Ale cierpienie się nie zmniejszyło.*

Spróbowała objąć go swym bezdźwięcznym smutkiem, lecz on tylko zjeżył ciemne łuski grzbietu, odtrącając jej współczucie.

*Jest inaczej niż kiedyś, kobieto czarowniku. Nie musisz odczuwać żalu z mojego powodu. W tej godzinie, gdy na ciebie spoglądam, czuję coś innego niż niegdyś, choć wtedy żywiłem nadzieję, że w ogóle przestanę czuć cokolwiek.*

178

Nagle poczuła muśnięcie jego uszczypliwego humoru, jak gdyby poruszone nieoczekiwanie klejnoty obsypały wszystko wokół deszczem świetlnych rozbłysków.

*Tak oto moja magia, moja wiedza i wszystkie przemierzone przeze mnie szlaki galaktyki zaprowadziły mnie w to miejsce: przed mroczny węzeł, którego nie potrafię rozplatać, mgnienie oka w strumieniu czasu, a jednak nie potrafię pozostawić go za sobą. I nie wiem, czy należy on do świata ludzi, czy przybył do mnie z twojego serca, kobieto czarowniku, czy też jest czymś, co spoczywa ukryte w smoczym rodzie niczym jaja w smoczycach, aż nadchodzi właściwy moment, by przeistoczyły się w królowe. Może nawet gdybym zdołał odnaleźć szare smoki, nie uzyskałbym żadnej*

*odpowiedzi. Ich odpowiedzi są zrozumiałe tyłka dla nich samych.*

*Być może stanie się to jasne z upływem czasu, odparła. Powiadają, że czas był trzynastym bogiem, aż pozostali bogowie przepędzili go z powodu jego szaleństwa. W swych kieszeniach nosi wszystko, ale nikt nie wie, co z nich wyciągnie.*

I gdy to powiedziała, łzy napłynęły jej do oczu, bo przypomniała sobie wszystkie dziwne, bolesne dary, jakie ofiarował jej dotąd obłąkany Pan Czasu.

*W rzeczy samej, nikt, uciął smok. A już w głowie by mi nie pozostało, że ja, Morkaleb Czarny, przylecę z Północy, ciągnąc tę zwariowaną łódkę Twojego Tkacza pieśni, niczym pies z linką w pysku.*

Jenny roześmiała się, zachwycona obrazem, jaki smok umieścił w jej umyśle: na wpół zapadnięte balony „Dmuchawca”, osmalona gondola wypełniona elementami połamanej maszynierii na końcu liny trzymanej w żelaznym smoczym pysku. Na stercie łożu siedział ze skrzyżowanymi nogami John, dzierżąc w jednej ręce teleskop, a drugą sporządzając notatki na rozłożonej na kolanach mapie.

*Mój biedny Morkaleb! Wyciągnęła rękę **ku niemu**. To było bardzo, ale to bardzo uprzejme z twojej strony.*

*Uprzejmość nie jest sprawą smoków. **Zjeżył** kolce niczym*

179

*Chudzielec przegnany z kredensu. Twój Tkacz Pieśni jest teraz z powrotem w murach swej posiadłości, obskakiwany przez głupców, których zwie swymi ciotkami. Ale nie miłość do ciebie, kobieto czarowniku, ani troska o twoje szczenię, zmusiły mnie do opuszczenia Ostatniej Wyspy.*

Podnosząc się lekko, wystawił na perłowy blask księżyca świeżo

zagojone blizny na brzuchu i bokach.

*To demony, pożerające dusze zarówno magów, jak i smoków, tak jak pożarły duszę tego maga z Południa; tak jak pożarły duszę twojego syna. A demony zawsze próbują otworzyć bramę następnym demonom. Te dysponują mocą, z jaką nie spotkałem się od upadku Ernine przed tysiącem lat. Czy są to te same demony, czy inne im podobne, tego nie wiem, ale potrafią pożreć moją moc — moją, Morkeleba! — podobnie jak twoją czy każdej innej upatrzanej przez siebie ofiary.*

Wpatrywali się w siebie w milczeniu, czarny smok, lśniący w blasku gwiazd, oraz drobna kobieta w tartanowej spódnicy i kubraku z wytartej skóry. Wszystkie stare legendy przestrzegały przed spoglądaniem w smocze ślepa, ale ponieważ Jenny w przeszłości była smokiem, w jej umyśle i duszy nie pozostało nic, co Morkeleb mógłby wykorzystać, by ją usidlić. Raczej to ona wejrzała w jego umysł, wolę stanowiącą rdzeń smoczej magii: magii leżącej u podstaw smoczego ciała i smoczych snów. Przypominało to zatracenie się w otchłani nocnego nieba.

Jeszcze przez chwilę ich umysły dotykały się, jego rozgoryczenie i jej żal, że każda osoba, każda istota ma przed sobą tylko jedną przyszłość.

*Stało się to, co się stało, kobieto czarowniku, powiedział w końcu. Teraz chodź ze mną. W kamiennej norze, którą nazywasz domem, czeka na ciebie mężczyzna i twoje młode. Potem musimy porozmawiać — ty, ten Tkacz Pieśni i ja — o demonach i o tym, co należy teraz zrobić.*

180

- Skądęście się wzięli, panie? I wy, pani Jenny? — Był to ten sam strażnik, który wpuszczał Johna do fortu przed miesiącem. Spojrzał

wstecz, na wiejską uliczkę, nędzną w czerwonym brzasku, a potem z powrotem na nich. Jego czoło pokryły zmarszczki, gdy skrzywił się z oburzenia. — Na brodę Craggeta, ci bandyci przechodzą samych siebie. Nic wam się nie stało? Ma się rozumieć, że w pojedynkę żaden bandyta w tym kraju nie jest dla was przeciwnikiem — dodał pospiesznie, dotykając czoła w geście uznania. — Ale cała banda...

- Jesteśmy cali. — Kiedy przeszli pod na wpół opuszczoną kratą, Jenny rozejrzała się po pustym dziedzińcu. Dostrzegła zaledwie paru służących i gońców, choć z piekarni rozchodziła się woń dymu. Przy kaplicy dwaj kapłani w żółtych kapturach i flecista czekali na wróżbitę mającego ogłosić, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila na rozpoczęcie porannych modlitw.
- Synu, jestem Zgubą Smoków, i to nie najlepszym... żaden ze mnie Alkmar Pomazaniec Boży. — John zerknął w stronę kaplicy. — Sądziłem, że komendant będzie uczestniczyć w obrzędach.

Morkeleb zostawił ich po drugiej stronie linii wzgórz, większą część nocy spędziwszy w powietrzu. Podczas odpoczynku w Alyn Hołd John przynajmniej mógł się ogolić — dwa dni temu, kiedy Jenny wbiegła po kamiennych schodach Hołd, by wziąć go w ramiona, przypominał raczej szalonego pustelnika w okularach — lecz mimo to nadal był wynędzniały i miał zapadniętą twarz. Ramiona sterczały mu przez lnianą koszulę znacznie bardziej, niż powinny, a dłonie owinięte były w bandaż.

Jenny nie mogła się nadziwić, że w ogóle zdołał ocalić życie.

—Nie, panie, to przez Lodowych Jeźdźców. — Strażnik dotknął czoła, na wpół salutując, na wpół przeprasząc. — Nasza pani nigdy jeszcze nie przekroczyła progu świątyni, ale co z tego!

Stary Płomiennobrody i tak niezmiennie darzy ją zwycięstwem. Ale wczoraj pół garnizonu opuściło fort, jak tylko nadeszły wieści. Spalili dwie farmy pod Eldswood...

181

- W Cair Dhu było ich więcej... — Jenny w ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie powiedzieć „cztery dni temu”. Tę odległość mogła pokonać jedynie na smoczym grzbiecie. Dokończyła więc niemalże bez zająknięcia: — Przed tygodniem; widziała ich jedna z kobiet z Hołd. Panna Yseult wciąż tu jest?
- Och, tak. Choć jeszcze nie wstała, ma się rozumieć. — Strażnik przywołał ordynansa i kazał zaprowadzić ich do kuchni, gdzie kucharz obdarował ich chlebem, serem i korzennym jabłecznikiem, a John zrzucił swój obszarpany kaftan, zakasał rękawy i wziął się do pomocy przy robieniu owsianki dla garnizonu. Jenny usiadła cichutko w kącie, przysłuchując się z rozbawieniem opowieści Johna o tym, jak postradali konie.
- „Panie, panie”, powiada ten żebrak, „całe trzy tysiące bandytów napadło na moją farmę. Plądrowali ją na zmianę, bo w środku mieściło się tylko dwunastu naraz, a kolejka dochodziła aż do zabudowań sąsiada. Jego żona sprzedawała jabłecznik czekającym na swoją kolej...”
- Stają się coraz zuchwalsi. — Do ławy podszedł lord Pella-nor i usiadł obok Jenny z ćwiartką bochenka w jednej dłoni i dzbanem jabłecznika dla nich obojga w drugiej. — Będziemy się za nimi rozglądali po drodze do Palmorginu.

- Sajuż całe mile stąd. — Jenny pokręciła głową. Obecność barona w Cair Corflyn trochę ją zdziwiła. Kiedy wyjeżdżała ze zniszczonej oblężeniem twierdzy dziesięć dni temu, ani słowem nie wspomniał, by miał zamiar tu przyjechać. — Ale i tak dziękuję. Skoro tylko zorientowaliśmy się, że zwierzęta zniknęły, przywołałam ich obraz w ogniu i nałożyłam na nie zaklęcia, więc powrócą do Alyn Hołd, ale nie mam pojęcia, jak długo to potrwa.

Baron drgnął, ale zaraz uśmiechnął się pod siwym wąsem.

— Tym większy ze mnie głupiec, że o tym zapomniałem. Może zajrzałaabyś jeszcze raz do Palmorginu i zaczarowała moje bydło. Balgodorus się więcej nie pokazał, ale po lasach jeszcze

182

wciąż jest pełno drobnicy. Co jakiś czas podkradają nam sztukę czy dwie.

- Zrobię tak — obiecała Jenny. — Zrobię to w Alyn Hołd. Ale czary powrotne na zwierzętach szybko tracą siłę, jeśli nie są wzmocnione amuletem.
- A oczywiście amulet będzie pierwszą rzeczą, której złodzieje się pozbędą — westchnął Pellanor. — Tak tylko sobie pomyślałem, kochana.
- Czy to takich sztuczek będzie pani uczyła Pape? — Dołączył do nich młody mężczyzna w ekstrawaganckim złotym stroju podróżnym. Drugi, najwyraźniej jego brat, stał przy piecu, popijając jabłecznik i rechocząc głośno z Johna odtwarzającego scenę poszukiwania zaginionych koni pod kamieniami i w krzakach. Przez okno kuchni widać było stajennych krzątających się na podwórzu, siodłających



konie i juczących muły pod surowym spojrzeniem siwego sierżanta, przygotowującego do wymarszu zmierzający na południe do Belkonwój z pieniędzmi z podatków. Niski, drobny staruszek, zawinięty w szary futrzany płaszcz krążył wokół nich, od czasu do czasu zbliżając się, by nakreślić czerwoną kredą pieczęcie na bagażu — za każdym razem ludzie cofali się zauważalnie, a sierżant zmuszony był taktownie go odsunąć. Bliaud, pomyślała Jenny. Połowa pieczęci była źle sporządzona, a żadna z nich nie została wyposażona w źródło czy Ograniczenia. Stanowiłyby zagrożenie, gdyby nie były całkowicie bezużyteczne.

- Jeśli będzie chciał. — Jenny roześmiała się. — To tylko *piseog*, jarmarczna magia. Musiałam tak zaczarować okulary Johna, żeby ich nie zgubił lub nie połamał.
- Niech mnie dunder świśnie, jeśli takie czary nie są pożyteczniejsze od tych z ksiąg Papy. — Młodzieniec uśmiechnął się. Teraz Jenny przypomniała sobie, że ma na imię Abellus i jest synem Bliauda. — Zawsze uważałem je za odrobinę niepoważne, by

183

nie powiedzieć nieprzyzwoite, no i takie archaiczne, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co przywiózł ten cały mistrz Caradoc.

- Mistrz Caradoc? — powtórzyła za nim Jenny. — To znaczy, że komendant znalazła kolejnego maga?
- Przyjechał dwa dni temu — odparł lord Pellamor. — Wczoraj wyruszył z nią na tych Lodowych Jeźdźców. — Na dziedzińcu mistrz Bliaud wykonał spektakularny gest nad jednym z mułów, który

niezwłocznie kopnął swojego opiekuna. Sierżant ujął maga pod ramię, tłumacząc mu coś łagodnie, podczas gdy za ich plecami starszy stajenny ugryzł kciuk i spróbował ukradkiem zetrzeć kredowe znaki. — Pochodzi z wyspy Somanthus, po drugiej stronie zatoki Bel. Jest jednym z kupieckich książąt. Podejrzewam, że podobnie jak mistrz Bliaud na wszelki wypadek się z tym nie afiszował, kiedy pani Zyerne władała Południem. Ale on i nasza pani komendant znali się jeszcze z dworu.

- Komendant powiedziała, że prawie się wywróciła, kiedy się przyznał, że jest czarownikiem. — Abellus wybuchnął śmiechem, nieświadomie używając pejoratywnego określenia na maga. Złoto załśniło na jego rękawicy, kiedy skinął zamasyście dłonią. — Powiedziała, że jest ostatnim, którego by o to podejrzewała.
- Zważywszy na to, że na Południu czarodziejom nie wolno posiadać majątku, założył się, że się z tym nie afiszował. — Do stołu podszedł John, oblizując masło z palców.
- Gadanie. — Tundał, młodszy brat Abellusa, podążył w ślad za nim, ocierając krawędź rogu i wieszając go z powrotem u pasa. Tęgi, w przeciwieństwie do wiotkiego brata, ubrany był w strój bardziej konserwatywny, lecz równie kosztowny i dobrze skrojony. — Od dziesięcioleci nikt nie egzekwował tego przeklętego prawa. A w dodatku kim wyjątkowym jest czarodziej? No wiecie, Papa potrafi głądzić całymi dniami o oparach powietrza i magicznych związkach chmur ze skałami we wnętrzu ziemi, ale nie potrafi nawet zakląć brodawki. Mała Yseult przynajmniej tyle umie.
- A co u niej słyszeć?

- Wszystko w porządku, doskonale. — Tundal wydał się Jenny typem młodego człowieka, który zawsze wierzy, że u innych wszystko jest w porządku, niezależnie od rzeczywistego stanu rzeczy.
- Trzyma się na uboczu — dodał Abellus, rzucając ostatni kawałek chleba szwendającym się po kuchni psom. — Chyba nadal boi się tego okropnego bandyty, z którym przebywała, i kto może ją za to obwiniać? Nie wystawiła jeszcze nosa z kwatery, rzadko wychodzi z pokoju. Ale wczoraj powiedziała pani komendant, że nasz konwój musi wyruszyć dziś rano, w przeciwnym razie nie zdążymy przeprowadzić się przez Wildspae, zanim przybierze. Tak więc właśnie ruszamy w drogę. Fantastycznie, że mogliśmy raz jeszcze ujrzeć twoją uroczą twarz, pani Waynest.

Wykonał ekstrawagancki ukłon, zwany Rajskim Wiatrem ze Wschodu, jego brat zaś zadowolili się staroświeckim dygiem rodem z Greenhythe, ze zgiętymi kolanami.

- Ciekawe — zauważyła Jenny, gdy obaj mężczyźni, wysoki i szczupły, wyszli z kuchni, nakładając po drodze podróżne płaszcze. Posłała szybkie spojrzenie Pellanorowi. — Od Wildspae dzieli nas dziesięć dni szybkiej jazdy. Nie sądziłam, że Yseult potrafi odczytywać pogodę aż po Ścianę Nast, gdzie rozpoczyna się przybór rzeki. A już na pewno nie z tygodniowym wyprzedzeniem.
- Cóż, były po temu pewne przesłanki — odparł Pellanor, skręcając koniuszki wąsów. — Słyszałem, jak Yseult mówiła o tym chłopakom, Bliaud był tego samego zdania. Może to mistrz Caradoc ich tego nauczył.

- Czyli już zaczął ich szkolić, tak?
- Trochę — odrzekł baron. — Pani komendant bardzo zależało na pośpiechu, bo z Impertengu dochodzą wieści o wzmożonych walkach. Cholerni górale... sam walczyłem z nimi dwadzieścia lat temu, najwyraźniej nie sposób ich czegokolwiek nauczyć. Wezwała mnie tutaj z wiadomością, że regent potrzebuje

185

mnie na południu. Wracam jeszcze do Palmorginu, by uporządkować moje sprawy, a potem poprowadzę ludzi na południe.

John nie skomentował tego, ale jego błazeński humor wyparował bez śladu niczym wilgoć z mokrej koszuli. Jenny zrozumiała jego sztywność, jego milczenie.

Pellamor też to poczuł, gdyż dodał:

- Cóż, biorąc pod uwagę problemy z piratami na Siedmiu Wyspach i trudności z poborem na Kresach, część członków rady zaczyna otwarcie mówić, że utrzymywanie tu garnizonów jest szaleństwem, zwłaszcza że wpływy do kasy królewskiej z Północy są znikome.
- Ano. — Otaczający Johna obłok gniewu dziwnie przypominał Jenny gniew Morkeleba. — Ano, prawda.
- Mój dobry lordzie Johnie. — W drzwiach pojawił się szambelan Gilver. — Moja pani Waynest. Po tysiąckroć błagam  
0 wybaczenie, że nie wyszedłem was powitać. Śniadanie w kuchni? Przepraszam uniżenie.
- Pora na mnie. — Pellamor zaniknął dłoń Jenny w swoich rękawicach. Potem zwrócił się do Johna: — Nie myśl o mnie źle, Aversin. Jestem

człowiekiem króla, tak samo jak ty.

- Ano. — John uściśnął podaną dłoń. — Tylko daj mi znać, kto zastąpi ciebie i twoich ludzi, tak żebym wiedział, z kim będę miał do czynienia.

- Będę pamiętał. — Pellamor zaśmiał się z przymusem. —

1 nie omieszkam się do ciebie zgłosić, jeśli się okaże, że znów będziemy mieli do czynienia ze smokiem.

- Och, to na pewno wprawi mnie w szampański nastrój.
- Doprawdy, nie spodziewaliśmy się tego. — Gilver dreptał pospiesznie obok nich, gdy opuścili kuchnię i przeszli przez błotnisty dziedziniec, gdzie Bliaud z niejakim roztargnieniem żegnał się ze swoimi chłopakami. — Macie jakąś pilną sprawę do pani komendant? — Popatrzył najpierw na Johna, potem na Jenny, jak gdyby pytając, co mogło zmusić ich oboje do opuszczenia Alyn Hołd.

186

—To zależy od tego, co sądzisz o Lodowych Wiedźmach. — John wsunął okryte rękawicami dłonie za pas. — Podejrzewamy, że plemię dostrzeżone przez Jenny przed tygodniem miało ze sobą czarodzieja.

Jenny nie próbowała nawet sobie wyobrazić, jak zareagowałby uszczuplony garnizon na plotkę o demonach, czarodziejach i smokach, zwłaszcza wnioskując z tego, jak koniuchowie z konwoju traktowali Bliauda za jego plecami. Bezzwłocznie więc przyłączyła się do improwizowanej opowieści Johna:

- Na miejscu ich obozowiska znalazłam znaki, których nie potrafiłam

zinterpretować. Pomyślałam, że może mistrz Bliaud będzie mógł udzielić mi więcej informacji, dzięki książkom, które przeczytał; teraz również i mistrz Caradoc.

- Ach. — Gilver przyłożył palec do pokrytego czerwonymi żyłkami nosa. — Mistrz C. to mądry człowiek. Pani komendant opowiedziała mu o was, i bardzo chce cię poznać, pani. Nadal taki przystojny jak wtedy, gdy pierwszy raz czynił jej awanse — a upłynęło już dziesięć lat — i podobnie oszczędny w słowach — zachichotał. — I wciąż uważa, że zamiast ukłonu wystarczy mu lekkie wzdrygnięcie ramionami, nawet wobec niej... wyjątek robi chyba wyłącznie dla króla. Bzdury, tak powiada. Powinni być z powrotem wieczorem... Mistrz Caradoc dopiero co skontaktował się z mistrzem Bliaudem w tej sprawie. Mam kazać przygotować wam kąpiel? Musicie być nieźle zmęczeni.

Gdy przechodzili przez niewielki wewnętrzny dziedziniec, gdzie miała swoją kwaterę Rocklys, John zapytał od niechcienia:

—Zatęchła?

Nowa drewniana pokrywa zamykała studnię na środku podwórca, w kamiennej cembrowinie wywiercone zostały otwory umożliwiające przymocowanie jej łańcuchami.

Szambelan wykrzywił się z niesmakiem.

—To nieprzyjemna historia — powiedział. — Któryś z ludzi miał jakiś żal... jedna Dumpet wie czemu... — Użył imienia

południowej boginki chaosu i złości. — Wlał trzy wiadra gnoju z latryny i wrzucił tam martwe zwierzęta, tak powiedziała mi pani komendant.

Oczywiście został uwięziony i wychłostany, ale mistrz Caradoc potrzebował dwóch dni, żeby ją oczyścić. Teraz, gdy odciągnęły go inne obowiązki, nie miał sposobności, by to skończyć. Pani komendant rozkazała, by nie usuwać pokrywy, bo część służących dalej próbuje z niej korzystać, jako że mają do niej bliżej z kuchni.

John i Jenny wymienili szybkie spojrzenia. Czarodzieje też mieszkali przy tym dziedzińcu.

Służba obozowa wypełniła balie w prywatnej łazience Rock-lys. Przydzielono im pokój obok Bliauda, po drugiej stronie komnaty wykorzystywanej jako biblioteka i pracownia. Wykąpani, uczesani i odświeżeni — oboje nie skorzystali z oferty grzanego wina — wybrali się na oględziny niewielkiej kolekcji książek przywiezionych przez Bliauda z Greenhythe i przez mistrza Cara-doca z wyspy Somanthus.

- Nie wiedziałem, że Dotys napisał historię Ernine! — wykrzyknął John, obracając w dłoniach jeden z tomów. — Nie, żeby stary oszust wiedział, o czym pisze, nawet po sześciuset latach. Zobacz, twierdzi, że przyczyną ruiny królestwa była niedostateczna gorliwość ostatniego monarchy w oddawaniu czci Dwunastu Bogom i nadmierne umiłowanie konkubin. Wszędzie pisze to samo. A tutaj jest kompletny egzemplarz *Natury mineralów* Ipy-casa — nie przypuszczałem, że jakiś jeszcze istnieje! I jaka piękna kopia. Iluminacje muszą być dziełem Carunnusa... popatrz na tę płataninę linii na marginesach. Czy wiesz, Jen, że według Ipycasa, a raczej tych stron, które udało mi się zebrać, król Ebranck Ferrex zLocris używał mieszanki siarki i rtęci jako afrodyzjaku i spłodził pięćdziesięcioro troje dzieci z różnymi kobietami?

- Zakładam — odparła sucho Jenny — że te kobiety miały jakiś istotny powód, by utwierdzać go w przekonaniu o jego ojcostwie ich potomstwa?

188

- Cóż, był cholernie bogaty.
- I nieszczęśliwie inteligentny, jak się wydaje.
- Dalej, Corax, mistrz Halnath, a działo się to w czasach, gdy mistrzowie władali Halnath samodzielnie, posiadał diament tak wielki, że wydrążono go na kształt butli, coś w stylu twojej łyżeczki do zbierania rosy. Ponoć przechowywał w niej łzy jakiegoś morskiego potwora, które rozpuściłyby zwykłe szkło, zamieniając je i same siebie w dym... Ciekawe, jak oni na to wpadli? — Przycupnął na oparciu krzesła, stawiając stopy na siedzeniu, zatopiony w starożytnych ciekawostkach. — Jest tu napisane, że Gutheline II trzymał swoje ukochane świerszcze w klatkach z węgla...
- Pani Jenny. — W progu stanęła Yseult, wyraźnie wystraszona ich widokiem. Jenny pomyślała, że dziewczyna najchętniej zawróciłaby i uciekła, gdyby tylko mogła pozostać niezauważona. — Ja... cieszę się, że cię widzę. Odnalazłaś swojego chłopca?
- Znaleźliśmy... wieści o nim. — Jenny wzięła głęboki oddech, uważając, by nie zadrżał jej głos. Dziewczyna wyglądała lepiej niż przed tygodniem, a dzięki garnizonowemu jedzeniu zaokrągliła się. Suknia z zielonej wełny, haftowana w żółte kwiaty, zapewne podarowana przez jakąś żonę służącego czy gospodarza, dodawała jej zaskakującej godności. Jej dębowe włosy były zaplecione i



przewiązane żółtymi wstążkami.

Lecz oczy miała opuszczone, unikała wzroku Jenny; jej wargi ułożone były w czujną, neutralną linię. Jenny zmarszczyła czoło i wyciągnęła rękę, by podnieść głowę dziewczyny do góry. Yseult cofnęła się zażenowana.

—Wszystko w porządku?

Yseult zerknęła na nią szybko, uśmiechała się z przymusem, a sztuczna wesołość brązowych oczu kontrastowała z tym, co Jenny zapamiętała z chwili rozstania w Cair Corflyn.

- Tak, jasne, pani Jenny.
- A **ten** mistrz Caradoc dobrze cię traktuje?

189

Skinęła głową, za szybko i zbyt wiele razy.

— Jest dla mnie dobry, pani. Dobry i uczy mnie wszystkiego, wszystkiego, co zawsze chciałam poznać.

Jenny milczała, wspominając swój własny rozpaczliwy głód wiedzy między zniknięciem Kahiery Krucze Skrzydło a niechętną zgodą Caerdinna na przyjęcie jej do terminu. Pamiętała magiczne sztuczki, które próbowała sama wymyślić podczas tych okropnych lat, a które prawie nigdy nie działały tak jak powinny: moc nie chciała do niej przyjść. Przeplakane noce, gdy sklecone z trudem resztki nauk Kahiery okazywały się jedynie bezsensownym bełkotem.

Wtedy nawet przekleństwa i razy Caerdinna były błogosławieństwem. Ludzie nazywali ją dziwką, wiedźmą i szmatą, widząc ją podążającą za Caerdinnem, a dzieci, z którymi kiedyś się bawiła, teraz uciekały przed nią.

Jenny otuliła Yseult swoim współczuciem i dotknęła jej zaplecionych włosów.

— To nie jest łatwe.

Oczy dziewczyny pospiesznie przeskoczyły na jej twarz, by zaraz znów uciec w bok. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Uprzedzałaś mnie, pani, że to nie będzie łatwe. Ale bywało już gorzej.
- On nie... — Za jej zbyt szybkimi odpowiedziami i niedbałym tonem kryło się coś bardzo niepokojącego. Pod starannie odwróconą twarzą coś wykrętnego. — Wszystko w porządku? — ponowiła pytanie.
- Och, tak, pani. W całkowitym porządku. — Dziewczyna obdarzyła ją olśniewającym uśmiechem, jak gdyby startowała w konkursie piękności. — Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy. Na nic się nie uskarżam.

W sercu Jenny na dźwięk tego kłamstwa podniósł się chóralny krzyk, ale nie naciskała dalej. Półgłosem powiedziała tylko:

— Tak, wiemy... co się stało z łanem. John go widział. —

190

Skinieniem głowy wskazała gibką, niepozorną postać, zaczytaną w księdze zatytułowanej *Wyjawienie geometrii ruchów planet*. Wzięła kolejny oddech, nie pozwalając, by wspomnienia zakłóciły jej jasność umysłu. — Łan został uprowadzony, porwany przez maga, który najwyraźniej próbuje sformować armię złożoną z magów i smoków kontrolowanych przez demony. Czarodziej imieniem Isychros uczynił coś podobnego tysiąc lat temu. Czy ktoś próbował wywabić ciebie lub Bliauda z fortu?

- Och, nie, pani. — Yseult cofnęła się o krok, potrząsając energicznie głową. — Nic z tych rzeczy. Nie wychodziłam poza obręb murów, jak mi kazałaś, i byłam bezpieczna. Tak samo mistrz Bliaud.
- I nikt nie przesyłał ci snów, tak jak ja, namawiając cię do ucieczki?
- Nie, pani.

Pytanie o magię pogodową, tak nieprawdopodobnie zaawansowaną, cisnęło się Jenny na usta, lecz zapytała tylko:

- Jesteś tu szczęśliwa, Yseult?
- Tak, pani. — Dziewczyna dygnęła szybko. — Mus mi już iść. Przepraszam, pani.

Zaniepokojona Jenny odprowadziła ją wzrokiem przez dziedziniec. Yseult mimowolnie przesunęła dłonią po skutej łańcuchem pokrywie zanieczyszczonej studni i zniknęła w jednym z pomieszczeń o zamkniętych okiennicach po drugiej stronie.

—Co też, u licha, oni wyprawiają z tą biedną dziewczuchą?

Obejrzała się szybko. John nadal siedział na oparciu krzesła z książką na kolanach, lecz on także nie odrywał wzroku od Yseult, dopóki nie zniknęła za drzwiami naprzeciwko.

- Zachowuje się jak moja kuzynka Ranny, kiedy mąż jej matki zaczął ładować się do jej łóżka.
- Taak — mruknęła Jenny, splatając ramiona pod opończę. — Też o tym pomyślałam.
- Ten stary diabeł Bliaud nie ściąga jej chyba do siebie czara-

mi na boku, co? — Zeskoczył z krzesła, odłożył książkę i podszedł do

niej. — Albo ten mistrz Caradoc?

- Nie jestem pewna, czy Bliaud potrafiłby poprawnie sformułować niezbędne zaklęcia. — Jenny ze ściągniętymi brwiami przypomniła sobie dwie czy trzy wioskowe dziewczyny, które zakradały się potajemnie do jej chaty, prosząc o zaklęcia, dzięki którym „taki jeden mężczyzna” — za pierwszym razem nigdy nie wymieniały imion — „przestałby się mi narzucać”. Bez wyjątku błagały też, by „taki jeden mężczyzna” nie poniósł przy tym żadnej krzywdy, choć Jenny doskonale wiedziała, że jej żalosne sztuczki wywołujące impotencję albo sprawiające, że „z powrotem zakocha się w mojej matce”, nie przerwą tego, co się działo. — Chociaż niczego nie można być pewnym. A o tym mistrzu Ca-radocu absolutnie nic nie wiem.
- Oprócz tego, że Rocklys nie zgodzi się go pozbyć, skoro może nauczać pozostałych. I że bezskutecznie ubiegał się o jej względy.
- To nie powinno przeszkodzić jej w zwróceniu mu uwagi, żeby zajął się tym, co do niego należy.
- Doprawdy?

Jenny spojrzała w jego senne, cyniczne, brązowe oczy.

- Rocklys jest przede wszystkim dowódcą wojskowym, Jen, jednym z najlepszych, jakich zdarzyło mi się poznać. Nie pozwala, by cokolwiek przeszkadzało jej w wykonywaniu rozkazów i zmierzaniu do wyznaczonego celu, cokolwiek by to było. Ta jej szkoła wiele dla niej znaczy. Może po prostu nie chce o tym wiedzieć. Jeśli — dodał — to właśnie się tu dzieje. A to nie jest powiedziane.
  - Ale coś się dzieje.
- Ano. — John podrapał się po policzku. — Coś się dzieje.

Nieco później tego samego dnia do Corflyn Hołd dotarły wieści, że siły Rocklys zostały dostrzeżone z jednej z wież sygnałowych na Kamiennych Wzgórzach i powinny stanąć u bram fortu o zmierzchu. John i Jenny spędzili większość popołudnia w biblio-

192

tece, poszukując dalszych wzmianek o smokach, demonach i dawno zapomnianym incydencie ze smoczą armią Isychrosa, wszystko na próżno.

- W zależności od tego, ile smoków uda mu się podporządkować — powiedział John, odrywając się od uszczuplonej i mało wiernej kopii Pseudo-Cerducesa — będziemy potrzebować czegoś na kształt mojego „Jeżowca”. Tyle że trzeba będzie posklejać go czarami, jeśli ma być z niego jakiś pożytek.
- A ja nie jestem pewna, czy czary ochronne na coś się tu przydadzą. — Jenny odłożyła na bok księgę wypełnioną zaklęciami przywołującymi demony. — Nie mam doświadczenia w obchodzeniu się z magią wielkiego Pomiotu, ale skoro nie daje im rady smocza magia, sama nie wiem, co by tu mogło zadziałać.
- Cóż, za dawnych czasów jakoś się ich pozbyli — zauważył logicznie John. — Morkeleb wspominał o pustynnych magach z Prokep, gdziekolwiek to było. A mając poparcie Rocklys, możemy przynajmniej przygotować się na atak i uprzedzić Gara, sprawdzić, czy w archiwach Bel i Halnath znajduje się coś, co mogłoby okazać się dla nas użyteczne. Caradoc też mógł coś na ten temat usłyszeć.

Podniósł się i przeciągnął, po czym podszedł do okna i obserwował jedną z obozowych praczek, która przechodziła przez dziedziniec z

naręczem ubrań. Przeważały cienkie lniane koszule, wysuszone na sztywno, przykryte błękitną szatą wykończoną wiewiórczym futrem, południowym strojem na północne lato. Jenny, spoglądając ponad ramieniem Johna na skąpany w słońcu dziedziniec, uśmiechnęła się lekko.

Wtedy usłyszała, jak John bierze kurczowy oddech, ujrzała, że jego ramiona sztywnieją.

Odczekał jednak, aż kobieta weszła do trzeciej z kwater o zamkniętych okiennicach i wyłoniła się z niej bez swego brzemienia. Wtedy chwycił Jenny za nadgarstek.

—Chodź — powiedział.

193

W milczeniu poszła za nim przez podwórzec.

Pomieszczenie zajmowane przez mistrza Caradoca było małe, ciemne i zawałone na wpół rozpakowanymi skrzyniami i tobołkami. Pranie spoczywało na starannie zasłanym łóżku, błękitna szata została pieczołowicie rozłożona na pościeli. Na niej zaś leżała haftowana czapka.

Skonfundowana Jenny obserwowała Johna, jak przechodził pospiesznie od jednego pakunku do drugiego, dotykając i obmacując płótno i skórę, jakby czegoś szukał.

— O co chodzi?

Bagazy nie było wiele. Niektóre mieściły w swym wnętrzu koce, garnki i inne niezbędne w podróży przedmioty, inne zaś książki. Na parapecie leżał przedmiot przypominający muszlę, wykonany z najcieńszego szkła i ukruszony z jednego końca.

John rozplatał węzły jednego z tobołków, zanurzył w nim rękę niczym pies, który zwęszył zwierzynę, po czym wyprostował się. W dłoni trzymał

puchar w kształcie muszli z masy perłowej pokrytej warstwą złota, tak delikatny, jak gdyby był wykonany ze szkła.

— To on — powiedział cicho. — To Caradoc.

Jenny zmarszczyła czoło, nic nie rozumiejąc.

—Czarodziej, który porwał lana. Mag, którego widziałem na smoczych wyspach. — John podniósł puchar ku światłu. — Wi-  
działem to w jego dłoni.

Jenny otworzyła usta, lecz zamiast coś powiedzieć, wypuściła tylko powoli powietrze z płuc. Ich spojrzenia zetknęły się w mrocznej komnacie.

—Musimy się stąd wynosić — powiedział John.

## KSIĘGA DRUGA ZWIERCIADŁO OGNIA

### ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

John i Jenny przekazywali sobie lunetę z rąk do rąk pod maskującą tkaniną, obserwując Rocklys i jej ludzi wkraczających do fortu równo z zachodem słońca.

Kolczugi pobrzękiwały głucho, gdy ucichły już bębny i piszczałki. Jenny usłyszała w głowie ostry, gniewny głos Caerdinna: *Wielki, szary, ludzki wąż, z chorągwiemi wzdłuż grzbietu, oto, jak wyglądali*. Maszerując na południe. Pozostawiając nas na pastwę wrogów, biedy i późniejszej niewiedzy. Pozostawiając nas bez prawa.

Rocklys jechała na czele, dosiadała wielkiego ogiera, w przydymionym świetle jej płaszcz i pióropusz wieńczący hełm były ciemne jak krew. John dotknął ramienia Jenny i wcisnął jej lunetę w dłoń. W okularze ujrzała

mężczyznę jadącego u boku komendant.

Mocno zbudowany, o kwadratowej twarzy poźłobionej bruzdami arogancji, arogancji płynącej z bogactwa nieodmiennie zapewniającego absolutne posłuszeństwo. Doskonały partner dla Rocklys, gdyby przyjęła jego zaloty. „Bezczelni kupcy uważają się za równych szlachetnie urodzonym”, mówiła pogardliwym głosem... Kobieta z domu Uwane być może była jedyną rzeczą, której nie mógł kupić za swoje pieniądze. Na głowie miał haftowaną czapkę, a na dłoniach wyszywane rękawice ze skóry.

195

Mężczyzna, który porwał lana.

Jenny zamknęła oczy. Wiedziała, że powinna odczuwać wyłącznie współczucie dla tego człowieka, jeśli pozostały w nim jeszcze jakieś okruchy świadomości. Widziała, co nawet najpo-śledniejsze demony potrafiły zrobić z człowieka i z człowiekiem, którego opętały.

Ale nie mogła mu współczuć. „Ty arogancki, zachłanny draniu”, pomyślała, wiedząc, że jest niesprawiedliwa, bo na pewno pragnął wiedzy równie chciwie jak ona sama. „Usłyszałeś we śnie szept demona, obiecującego ci potęgę w zamian za jeden prosty rytuał...

Nie wiedziałeś? Nie umiałeś się domyślić?

A może nie chciałeś wiedzieć? Myślałeś, że utrzymasz to pod kontrolą, tak jak wszystko inne w swoim życiu?”

Zaczęła ją boleć szczęka i uświadomiła sobie, że ze wszystkich sił zaciska zęby.

— Tam. — John szturchnął ją w bok. — Zobacz.

W kolumnie wojska widniała przerwa, w której maszerowali jeńcy, z



dłońmi przykutymi do drewnianyclijarm zawieszonych na szyi. W większości były to kobiety z dziećmi, o alabastrowej skórze, szorstkich czarnych włosach i wystających, płaskich kościach policzkowych, charakterystycznych dla Lodowych Jeźdźców. Bliżej czoła kolumny i jadących obok siebie Rocklys oraz Caradoca dwoje więźniów wiedzionych było konno, dziewczyna i chłopak. Przez lunetę Jenny dostrzegła srebrne łańcuchy, pieczęcie i zabezpieczenia krępujące ich nadgarstki przy łękach siodeł.

Tak właśnie matka Johna, Krucze Skrzydło, musiała wjeżdżać do Alyn Hołd jako więzień Lorda Avera.

To oni, pomyślała Jenny, a nie chęć ochrony farm przed najazdami, byli powodem wyprawy Rocklys przeciwko Lodowym Jeźdźcom.

Podobnie jak Yseult była powodem, dla którego Rocklys prze-

196

konała Jenny o konieczności pościgu za bandą Balgodorusa, podczas gdy Caradoc porywał lana.

By sformować smoczą armię.

Dopiero gdy ostatni żołnierze przejechali przez dwuskrzydłowe, zbite z grubych desek wrota fortu, a te zamknęły się za nimi, dwójka obserwatorów odważyła się poruszyć. Skradając się niczym myśliwi, zsunęli się w dół zbocza i skryli wśród drzew, osłonięci wszystkimi czarami ochronnymi i zaklęciami niewi-dzialności, jakimi Jenny zdołała ich otoczyć.

— No to gdzie one są? — zapytał John, gdy skradali się przez gęste poszycie w stronę obozu. — Przecież ukrycie dorosłego smoka nie jest łatwe.

—Morkeleb zdaje się nie mieć z tym najmniejszego kłopotu.

Morkeleb oczekiwał na nich w głębokiej dolince, gdzie ukryli koce i prowiant, zabrane, gdy uciekali z Corflyn. Jenny nie mogła nigdzie dostrzec najmniejszego śladu życia. A w następnej chwili w jej umyśle rozległ się znajomy szept i kolczasty gąszcz ostrokrzewu okazał się nagle, jakby dostrzeżony w nieoczekiwanym przyptywie spostrzegawczości, znacznie czarniejszy, bardziej błyszczący, twardszy niż zwykły ostrokrzew. Gałęzie drzew przybrały formę długich kolców, zjeżonego pancerza stawów, kości skrzydeł i ogona. Dwa światła błędnych ogników skondensowały się w gąszczu młodych drzewek, a krążące w nim świetliki zaczęły emanować niesamowitym, nieziemskim blaskiem zimnych smoczyczych czułek. Woń sosen i wody unosiła się z wiatrem, a ostry, metaliczny zapach przebił się przez nią niczym ukryte ostrze noża.

*I co, kobieto czarowniku? Widziałaś swojego syna?*

—Jan nie jeździ z nimi. Ale Rocklys pojmała dwoje jeńców, Lodowych Czarowników, do towarzystwa Bliaudowi i biednej Yseult. To oznacza, że Caradoc musi zniewolić cztery kolejne smoki, a może już to uczynił, tak więc nie sędzę, by Gareth i cała armia jego ojca byli w stanie oprzeć się podobnej potędze.

197

Jenny poczuła żar budzącego się w nim gniewu, wznoszącego się ponad skupiska cienia.

*Nie smokom, powiedział. A już na pewno nie, jeśli są sprzymierzone z Piekielnym Pomiotem.*

— Możesz zanieść nas na Południe? — zapytała. — Zabierz nas do Jotham, gdzie Gareth oblega twierdzę księcia Impertengu. Dzięki niemu

uzyskamy dostęp do archiwów królestwa i uniwersytetu Halnath. Tam musi być coś na temat demonów.

*Nie licz na to, że to wam w czymkolwiek pomoże, kobieto czarowniku, powiedział Morkeleb. Me wiesz, jak mają się sprawy z Piekielnym Pomiotem? Ty, koty, wieloryby, mrówki, wszystkie żyjące istoty jesteście w tym świecie stworzeniami z krwi i kości. My, gwiazdne smoki, jesteśmy stworzeniami z magii, o ciałach odmiennych od waszych, o kościach odmiennych od waszych... ale nadal należących do tego wymiaru, tej płaszczyzny istnienia. Żyjemy i umieramy, stąd czerpiąc naszą magię.*

*Piekielny Pomiot jest inny. Każde piekło, każdy świat, każda z tych kilku odrębnych płaszczyzn, z których przybywają, jest różna od naszej i od pozostałych. Cała nasza moc płynie z otaczających nas zjawisk: księżycy i słońca, układów gwiazd i wzrostu drzew, naszych ciał i tętna naszej krwi. Oni mają w swoich światach Rzeczy, które nie są gwiazdami. Mają w swoich światach Rzeczy, które nie są ani ciepłem, ani chłodem, a uderzenie stali o krzesiwo w jednym z nich nie roznieci ognia, natomiast w innym może i tak. W niektórych pieklach nie ma ani życia, ani śmierci, w innych znowu jest i jedno, i drugie, w jeszcze innych coś zupełnie innego, rządzącego się własnymi prawami. Tak więc, by uprawiać tu magię, muszą działać za pośrednictwem ludzi o ciałach wypełnionych magią, za pośrednictwem smoków zrodzonych z magii — za pośrednictwem stworzeń dostrojonych do wzorców mocy tego świata.*

Zapadła cisza. Jenny dotknęła umysłem podpałki na palenisku, budząc do życia niewielki płomień. Choć niebo jeszcze przez wie-

zalegał atramentowy mrok, od strony niskiego podłóża swe macki wyciągał w ich stronę wilgotny chłód. Rozpakowała jedzenie, podczas gdy John zszedł do źródła. Morkeleb wycofał się jeszcze głębiej w mroczny las, położył wąski, ptasi pysk na łapach i przez jakiś czas Jenny miała wrażenie, że stał się kompletnie niewidoczny.

—Nie podoba mi się to, Jen — powiedział John, powróciwszy z wodą. — A niemało się nagłowiłem nad znalezieniem innego rozwiązania. Ale chyba będziesz musiała wrócić dziś wieczorem do Corflyn Hołd.

Jenny w milczeniu wpatrywała się w ogień. Rozmyślając o Kruczym Skrzydle stojącej na murach Alyn Hołd, zapatrzonej na północ w burzliwe noce. O dwojgu młodych Lodowych Czarowników, skutych srebrnymi łańcuchami. O lanie biegnącym ku niej przez pola maków pokrywające na wiosnę Oszronione Wzgórze i o twarzy Johna w blasku poranka, gdy uniósł swego nowo narodzonego syna.

- Po co? — zapytała cicho.
- Aby zobaczyć, jak się sprawy mają. — John postawił na ziemi ociekający wodą bukłak. — Tylko tyle. Przekonać się, jak zachowuje się ten Caradoc na co dzień i jak wyglądają teraz stosunki między nim a Rocklys. Chcesz się założyć, że jeszcze się nie skapnęła, że nie jest sobą? Musi żywić jakieś wątpliwości, ale nie chce się do tego przyznać. Szlag mnie trafia, kiedy pomyślę, że Ian przebywał w forcie po Południu, kiedy tam byliśmy, ale nie ma innego wyjścia. Spróbuj wywiedzieć się czegokolwiek o tym demonie, jakich przeciwzakłęb mogłabyś użyć, zakładając, że takowe znajdziemy. Jeżeli w jakiejś księdze jest napisane: „Gnilne demony zmuszają swoje ofiary do

wykonania przed zaśnięciem trzech obrotów w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, a przegnać je można przy użyciu soku żonkila", będziemy się czuli jak ostatni idioci, jeśli nie policzymy, ile

199

kółek wykonali dziś Caradoc, Yseult i Bliaud i w którą stronę się obracali. Nie wiem, jak to zrobisz, kochanie — dodał cicho. — Poszedłbym sam — bo jeśli nawet Caradoc mnie złapie, na nic mu się nie przydam — ale na pewno otoczył cały fort magicznymi zabezpieczeniami, przez które za nic w świecie się nie prześlizgnę. W przeciwieństwie do ciebie.

— Morkelebie? Pójdę, ale będę potrzebowała twojej pomocy, by się przedostać nie zauważona. Demon wyczuje moją obecność?

*Twoją, kobieto czarowniku? Tak. Wiatr zaczął panoszyć się w koronach drzew wścibskimi, lodowatymi szarpnięciami, niosąc przerażający gorący prąd towarzyszący czarom przekształceń i zmian. Potrafi wywęszyć krew. Wyczuwa obecność ludzkiego umysłu i ludzkiej duszy całym swoim jestestwem.*

Liście zaczęły szarpać się i trzepotać na drzewach. Płomień ogniska pochylił się, rozpląszczył, sięgając na boki żółtymi palcami, jak gdyby usiłował wyslizgnąć się ze swego więzienia. Płachty mgły i dymu zawirowały wśród roztańczonych gałęzi drzew.

*Jedynie kilka tysięcy spośród nas odbyło podróż z naszej ojczyzny w to miejsce, na ten świat, na Świetliste Ostrowy. Nie możemy ignorować mądrości skrytej w ich pieśniach, a tym bardziej ryzykować, że wpadną w ręce mieszkańców innych płaszczyzn.*

Gorąco paliło jej płuca żywym ogniem, znacznie bardziej nieznosnym od gorąca wieku, regularnie ogarniającego jej ciało. Wiatr szarpał jej

włosy i ubranie, lodowaty w dotyku, lecz nie-władny przegnać z powietrza siarczanego zapachu.

*Spostrzegą cię. I mimo wszystkich zasłon, za jakimi się skryję, by odciągnąć ich uwagę, być może spostrzegą i mnie. Kobieto czarowniku, wyciągnij rękę.*

Wiatr ucichł. Z ziemi uniosła się czarna, nieprzenikniona mgła. Choć Jenny zwykle nie miała problemów z widzeniem w ciemności, teraz ledwie dostrzegała postać stojącego obok niej Johna, a ze sposobu, w jaki poruszył ręką, poznała, że absolutnie nic nie

200

widzi. Złapała jego błędzące po omacku palce, potem wyciągnęła lewą dłoń w stronę lśniących w mroku ślepi Morkeleba.

Coś błysnęło i zawirowało we mgle, twarde, mocne pazury zacisnęły się wokół jej nadgarstka, wbiły w ramię. Na wpół poczuła, na wpół ujrzała falowanie czarnych skrzydeł przed swoją twarzą. Wydawały się nie większe od sokołich, ajednak pofałdowane i połyskliwe niczym wąż. Choć kolce drapały ją po nadgarstku, nie czuła najmniejszego nacisku na ramię.

*Zdradź mi twe imię, kobieto czarowniku, powiedział głos w jej głowie, tak jak ja zdradziłem ci moje, kiedy uratowałaś mi życie w Głębi Ylferdun.*

Wypowiedziała je więc w myślach. Miała własne smocze imię, które Morkeleb odszukał w jej wnętrzu przed czterema laty, gdy przybrała smoczą postać i odleciała z nim z Cytadeli Halnath, ale to nie było to imię. Wokół rdzenia tamtej muzyki oplecione były inne wspomnienia: lżący ją Caerdinn, dłoń Johna w jej włosach; igła bólu przeszywająca wnętrzności przy narodzinach lana; śmiech we własnym łóżku w domu na

Oszronionym Wzgórzu w towarzystwie kotów, harfy i blasku stu słonecznych poranków. Zapach róż. Jesienny deszcz.

Ból nadgarstka, gorąco krwi na ramieniu.

*Kobieto czarowniku, co teraz widzisz?*

Jej widzenie uległo przemianie. Ujrzała Johna.

Zakrzywiony nos, okrągłe zaparowane okulary, obce rysy twarzy. Odmienna perspektywa, niczym podwójne widzenie...

Mgła rozwiała się bez śladu. Idealny, połyskliwy, śmiertelnie groźny niczym nożyk z obsydianu i stali, Morkeleb siedział na jej ramieniu, nie większy od jastrzębia, a jego srebrne oczy lśniły w mroku nieskończenie obco.

Jego głos, który przemawiał w otchłani jej umysłu, nie zmienił się.

*Otwórz się na mnie, powiedział. Opróżnij &vój umysł na dźwięk*

201

*mego głosu. Jeśli nie wrócę, będziesz przynajmniej wiedziała, co ujrzę.*

Rozpostarł skrzydła i rozwierając szpony, uleciał z jej ramienia niczym czarny szal unoszony ciepłym prądem powietrza, zawisając przed jej twarzą.

*Z czego, według ciebie, stworzone są smoki, kobieto czarowniku?, zapytał. Czy magia ma kształt albo rozmiar? Czy wola może zostać zabutelkowana w manierce?*

Potem zamienił się w rozwiewający się wolno opar.

Jenny usadowiła się przy ogniu, przygotowując się na oczekiwanie.

Kiedyś też była smokiem. Wiedziała, co Morkeleb miał na myśli, mówiąc, by otworzyła na niego swój umysł, gdyż było to sprawą smoków:

nie trzeba spoglądać w ślepia smokowi, by usłyszeć jego głos, by patrzeć jego oczami. Czekala, a jej myśli — krążące przez chwilę wokół Kruczego Skrzydła, lana i starego, wielokroć przemierzanego szlaku jej smutku — uspokoiły się, kryształowo czyste jak u smoków, zainteresowane, lecz bez miłości czy żalu. Zdawała sobie sprawę z obecności Johna siedzącego przy ognisku z mieczem na kolanach. Z jego na wpół odwróconej twarzy, obserwującej ją, ale jednocześnie otaczające ich lasy.

Czuła obecność lasu, lisów wynurzających się ostrożnie z jam, zastanawiających się, czy groźne wrogie gorąco i zapach już odeszły, głupich, bojaźliwych królików żerujących w zaroślach. Zapachu sosen i obrotów gwiazd.

Ujrzała Corflyn Hołd z lotu ptaka, przelotny rozbłysk płynnego, bursztynowego blasku oprawiony w lapis lazuli, krzątających się ludzi. Dym i konie. Potem wszystko zniknęło.

W jej nozdrzach skłębiła się intensywna woń lasu, kurzu i myszy; wody i stęchlizny. Poczowała dotyk mysiej magii — nie miała nawet pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje — oraz mroczniej-szy smród magii szczurów. Czary Morkeleba, mające powstrzy-

202

mać gryzonie przed ucieczką na jego widok, co mogłoby zaalarmować Caradoca.

Mrok i pleśń.

Blask ognia. Miedziane światło glinianych lamp, zapach płonącej oliwy. W dole znajdowała się komnata, krótsza w tej niezwyklej perspektywie i odmieniona, ale niewątpliwie ta sama, w której byli dziś z Johnem. Morkeleb musiał przyczaić się na belce stropowej, pomyślała z tą samą



beznamiętnością, jaką poczuła, gdy zastanawiała się przelotnie, czy John pamiętał, by odłożyć złoty puchar Caradoca dokładnie w to samo miejsce, z którego go wyjął. Pytania i spostrzeżenia po prostu omywały ją obojętnym strumieniem.

Smocze wejrzenie — magiczne wejrzenie — ukazało jej, że trzy czwarte pomieszczenia ograniczone jest czarodziejskim diagramem, olbrzymią pieczęcią mocy, jakiej nigdy dotąd nie spotkała. Płonące linie zagłębiały się w ściany i dziwnym sposobem przenikały je, zatapiały się w podłogę, były widoczne jeszcze na pewnej głębokości w fundamentach i dalej, w ziemi. Zamiast czarów strażniczych w pięciu narożnikach diagramu płonęły zielonkawe ogniki, odbijając się w przerażonych źrenicach chłopaka i dziewczyny, przywiązanych do krzeseł w jednym z trzech kręgów pieczęci.

Yseult, Bliaud i Ian także tam byli, stojąc za krzesłami Lodowych Czarowników. Ich oczy wydawały się wykonane z kolorowego szkła. Jenny obserwowała tę scenę smoczym sercem, gdyż tylko tak jej własna koncentracja mogła pozostać nie zakłócona przez trupie życie migoczące w oczach jej syna. Na ustawionym nieopodal stoliku dwie kolejne szklane muszle, rozbite i próżne, leżały obok skrzynki z klejnotami. Jenny bezwiednie rozumiała, że demony okrywały się tymi skorupami, gdy zakradały się do tego świata przez wrota piekła.

Caradoc miał na głowie haftowaną czapkę, którą praczka przyniosła mu czystą po południu. Splecione satynowe kręgi; stylizo-

203'

wane lilie. Wykąpał się i umył włosy; Jenny czuła zapach rumianku. Stojąca obok niego Rocklys wciąż jeszcze miała na sobie czerwoną

wojskową kurtkę i buty do jazdy konnej, jej włosy były matowe i spłaszczone od noszenia hełmu.

- Czego nie chcesz mi pokazać? — mówiła.
- Już o tym rozmawialiśmy, Ro... pani komendant — westchnął Caradoc. Mówił przyjemnym dla ucha barytonem, lecz jego głos zdradzał człowieka nie tylko przyzwyczajonego do stawiania na swoim, lecz także zawsze mającego słuszość. — Na samym początku wyjaśniłem ci, że obecność osób nie wtajemniczonych i nie szkolonych może całkowicie neutralizować działanie czaru.
- A ja słyszałam, że to nie jest prawda. — Jej bezbarwne równe brwi zbiegły się nad nosem. Wpatrywała się w jego twarz. Zastanawiając się, tak jak powiedział John, i nie chcąc wiedzieć.
- Od kogo? — Jego pogardliwy gest zniecierpliwienia, jak zgadywała Jenny, był idealną imitacją charakterystycznego ludzkiego gestu, i to takiego, który był Rocklys dobrze znany, gdyż jakby trochę się odprężyła. — Od którejś z miejscowych leśnych bab? Czarów, które one potrafią rzucać, nie zakłóciłby koncert orkiestry dętej i walka zapaśnicza odbywające się w tym samym pomieszczeniu. Nie zajmujemy się tutaj odczynianiem brodawek, Rock. Nie próbujemy zaskarbić sobie sympatii jakiegoś wsiowego głupka. Jeśli szczerze pragniesz mojej pomocy, nie ma sprawy, ale musisz pogodzić się z tym, że wszystko, co ci mówię, ma jakiś cel. Każda prośba, z jaką się do ciebie zwracam, ma jakiś cel. Ty też nie wyjaśniasz wszystkiego swoim żołnierzom, nie możesz ani też nie powinnaś. — Użył poufalego zwrotu, właściwego w rozmowach z najbliższymi, i ramiona Rocklys ponownie zeszywniały, tym razem zdradzając

znajomą irytację. — Proszę, zrozum, że moje życzenia muszą być wypełniane co do joty, w przeciwnym razie nie będę mógł pomóc ci w zrealizowaniu twoich zamiarów.

204

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, a ludzka część serca Jenny ujrzała męskiego, porywczego kupca, nowo przybyłego na królewski dwór i wiecznie rozzłoszczoną księżniczkę o sercu z granitu, o której rękę bezskutecznie się starał. W przeszłości ich osobowości zmagaly się ze sobą wielokrotnie, co pomogło teraz Rocklys w przekonaniu samej siebie, jeśli w ogóle miała jakieś wątpliwości, że z tym mężczyzną, którego kiedyś znała, wszystko jest w najlepszym porządku.

Caradoc kategorię gestem wysunął przed siebie otwartą dłoń, a komendant po trwającej mgnienie oka chwili zawahania położyła na niej dwa klejnoty, szlachetne kamienie o ciemnych ściankach. Chłopak szarpnął się, na próżno starając się poluzować krępujące go więzy, przeplecione magią łańcuchy trzymające go w krześle, które dla magicznych zmysłów Jenny lśniły blado, po czym zaczął płakać. Dziewczyna, młodsza, o okrągłej twarzy i zimnych oczach, wpatrywała się przed siebie kamiennym wzrokiem, lecz jej dławiony kneblem oddech przyspieszył gwałtownie.

- Tylko takie zdołałaś znaleźć?
- Muszę posyłać trochę podatków na Południe, by uzasadnić naszą obecność tutaj — odpowiedziała Rocklys zimnym głosem, zirytowana jego burą. — Do tego muszę wypłacić żółd moim ludziom, nakarmić ich i konie. Gdyby do tej bandy malowanych głupców, jaką otacza się regent, dotarły wieści o tym, że skupuję

szlachetne kamienie, jak myślisz — a zaimek, którego użyła, należał do formalnego rejestru, jakim pan mógł zwracać się do sługi — zostawiliby mi dowództwo?

- Wcale by ich to nie obeszło. — Caradoc, który posłał jej gniewne spojrzenie, słysząc zmianę formy, jaką się do niego zwracała, odwrócił się z wyszukaną obojętnością i uniósł jeden z klejnotów, budząc do życia punkt jaskrawego blasku, który blado-purpurowymi rombami zaśnił na jego policzkach i czole.
- Tak — mruknęła Rocklys. — Myślę, że masz rację. Byliby

205

zbyt zaprzątnięci swoimi durnymi sporami o jurysdykcję i nakładanie się uprawnień, by to w ogóle zauważyć.

— To czemu ty się przejmujesz? — Caradoc wzruszył ramionami. — Ametysty są dobre — niezłej jakości i czystej barwy — ale gdyby ci się udało zdobyć jeszcze parę rubinów albo szmaragdów, poszłoby nam znacznie lepiej. Pochłaniają... — Zawahał się, starając się odpowiedzieć na pytanie malujące się w oczach Rocklys, a zarazem, co było aż nadto widoczne, powiedzieć jej jak najmniej. — Pochłaniają pewne zaklęcia znacznie lepiej od innych kamieni. Nie jestem przekonany co do tego oliwinu... kupiec chyba cię na nim oszukał, ale pewnie będziemy mogli go wykoryzystać, jeśli zajdzie taka potrzeba. Teraz zaś, pani komendant...

Podsunał się do drzwi, zaledwie o krok czy dwa, otworzył je i wyjrzał na dwór, spoglądając na niebo.

— Pora rzucania tych zaklęć jest bardzo ważna, zwłaszcza tak blisko letniego przesilenia. Już jest kompletnie ciemno, a do pół

nocy zostało niewiele czasu na zrobienie tego, co zrobić trzeba. Pani komendant? — dodał, gdy Rocklys skinęła szorstko głową i skierowała się do wyjścia.

Zatrzymała się i odwróciła. Nadproże skrywało jej twarz przed uważnym spojrzeniem Morkeleba, lecz cała jej sylwetka emanowała niezadowoleniem.

— Pamiętaj, co ci mówiłem o utrzymaniu tych rytuałów w całkowitej tajemnicy. Nie możemy ryzykować, by któryś z tych adeptów nie został całkowicie podporządkowany mojej woli albo zjednoczony ze smokiem. Powiadam ci, jeśli ktoś zobaczy, co dzieje się w tej komnacie albo na dziedzińcu, nie mogę ci obiecać, że zdołasz podbić Południe i utrzymać się przy władzy.

Kobieta skinęła głową i ponownie ruszyła do wyjścia. W drzwiach odwróciła się raz jeszcze.

— A ja mówiłam ci, czarodzieju — znowu zwróciła się do niego jak do niewolnika. Nic dziwnego, pomyślała Jenny, że boga-

206

ty amant powrócił do domu bez żony. — Podbój nie jest moim celem. Ani też odebranie władzy prawowitemu monarsze dla przyjemności czy też zaspokojenia jakiejś żądz. Pragnę wyłącznie zaprowadzić w królestwie porządek. Przywrócić mu dawną świetność.

Caradoc schylił głowę, światło lampy prześlizgnęło się po haftowanych liliach i jego srebrnych włosach.

— Oczywiście.

„Okłamuje sama siebie”. Ta myśl przepłynęła Jenny przez głowę, gdy

Rocklys zamknęła za sobą drzwi. „Tak samo jak on ją”.

Potem wszystkie myśli zniknęły, odłożone do rozważenia w spokojniejszej chwili. Smocze zmysły Morkeleba towarzyszyły krokom komendant przez dziedziniec, rejestrując nawet zgrzyt otwieranych i zamykanych drzwi jej kwatery, skrzypnięcie krzesła, na którym usiadła. Świadome tych dźwięków, ale odsuwające je na bok.

Caradoc ostrożnie przeszedł przez otwór w magicznym kręgu i stanął przed dwójką Lodowych Czarowników. Morkeleb — a za jego pośrednictwem Jenny — czuł zaklęcia, jakimi Biiud, Yseuit i łan ich krępowali, zaklęcia działające przez nich niczym magiczne sztuczki przez kości umarłych. Caradoc zapytał:

— Rozumiecie, co do was mówię?

Chłopak skinął głową. Dziewczyna milczała, siedziała sztywna i nieruchoma. Ale nie potrafiła zapanować nad swymi szarymi jak lód oczami, więc mag kiwnął oszczędnie głową, upewniwszy się, że go zrozumiała.

— Teraz włożę je wam do ust. — Uniósł klejnoty, płonące purpurowo w blasku lamp. — Jeśli je połkniecie, wezmę nóż i wypuję je wam z brzuchów, a potem napcham tam żywych szczerów. Rozumiecie?

Chłopak płakał. Dziewczyna, spętana, skuta i unieruchomiona

czarami, cisnęła mu w twarz swoją nienawiść, bo tylko to jej pozostało.

Szerokie bary Caradoca stężały. Najwyraźniej nie znosił, kiedy mu się przeciwstawiano.

—Widzę, że musimy zrobić to na ostro.

Wziął w dłoń mniejszy z dwóch ametystów, kryształ wielkości czubka małego palca i odsunąwszy knebel chłopakowi, włożył mu go do ust, po czym na powrót go zakneblował. Drugi kamień był na oko dwukrotnie większy i o parę odcieni jaśniejszy. Caradoc podał go łanowi, który stał najbliżej. Potem wyciągnął z kieszeni jedwabną chustę i zawiązał ją wokół szyi dziewczyny, zaciskając coraz mocniej, aż wygięła plecy w łuk, a z jej gardła dobiegać zaczęły zduszone, rozpaczliwe odgłosy. Zostawiając jedynie odrobinę luzu, zawiązał chustę, po czym wyjął knebel z jej ust. Dziewczyna rozchyliła wargi, jej pierś falowała niespokojnie, a Caradoc położył jej klejnot na języku. Dziewczyna poruszyła głową, jak gdyby zamierzała na przekór wszystkiemu jednak go wypluć, lecz czarodziej szybkim ruchem wepchnął knebel z powrotem na miejsce.

—Musicie się nauczyć jednego — powiedział Caradoc, spoglądając przez moment w wytrzeszczone, przerażone oczy, i przez krótką wyraźną chwilę Jenny ujrzała nie człowieka, a żyjącego w jego wnętrzu demona. — Mnie należy słuchać.

„Z łanem też zrobił coś takiego?”

Jenny przegnała tę myśl z głowy.

Sam rytuał był zaskakująco krótki. Jenny obserwowała go beznamiętnie przez mgłę i dym kadzideł, rozpoznając więcej gestów i rekwizytów, niż się spodziewała. Było tam szczególnego rodzaju Przywołanie, ale Ograniczenia rozłożone starannie wokół obu krzeseł robiły wrażenie błędnych. Były zabezpieczeniami, znakami ochrony przed demonami raczej niż ich wezwaniem. Moc wydawała się nieodpowiednio skupiona, czerpana z dwójki dzieci, a nie z czarodzieja.

Dopiero kiedy — w czasie krótszym niż go trzeba na upieczenie bochenka chleba — Caradoc zakończył rytuał i podszedł do młodych Lodowych Czarowników przez gasnące linie pieczęci, Jenny zorientowała się, co zrobił. Chłopak przestał płakać. Dziewczyna, choć nadal wodziła wzrokiem za masywnym mężczyzną, nie okazywała już nienawiści, w ogóle żadnych uczuć, była bierna i pusta.

Pusta.

Caradoc wyjął kneble, wyciągnął im ametysty z ust i podszedł do szkatułki. Światło lampy padło na jej zawartość, kiedy podniósł wieko, i Jenny ujrzała oczami Morkeleba, co znajdowało się w środku.

Dwa rubiny i szafir ciemny jak morze, przezroczyste, intensywnej barwy i bez skazy. A w każdym z nich, jak się jej wydawało, choć leżały w cieniu, płonęło maleńkie, nieskończenie odległe ziarno światła.

Lecz dopiero gdy ujrzała, jak Caradoc wychodzi z komnaty z kielichem ze złota i masy perłowej, gdy usłyszała, jak zgrzyta przesuwany łańcuch studziennej pokrywy, nagle dotarło do niej znaczenie oglądanej sceny. Krzyknęła, wizję pochłonęła ciemność, most łączący jej umysł z umysłem smoka runął w przepaść. Krzyknęła ponownie, nieartykułowanie, poczuła, jak ciepłe dłonie chwytają ją za ramiona...

— Jen!

Otworzyła oczy i ujrzała twarz Johna.

■— Jen, co się dzieje!

Dygotała w szoku, niezdolna nabrać powietrza w płuca. Odrzuciwszy nadzieję, nie miała pojęcia, że tak boleśnie przeżyje jej powrót, cierpienie wywołane świadomością, że coś jeszcze da się uczynić.



- łan! — powiedziała.

- Był tam?

— łan... — Przełknęła ślinę. — Ten czarodziej... Caradoc...

209

nie przywołał demona, by wyparł z jego ciała duszę i umysł. John, on wyciągnął z niego duszę, serce i zamknął je w szlachetnym kamieniu. Dopiero potem wpuścił demona, łan wciąż tam jest, John. Możemy go odzyskać.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Czemu miałyby to zrobić? — rzucił przez ramię John, odwrócony plecami do ognia, który mógł mu zakłócić nocną komo-dację wzroku, nie przestając obserwować ciemnego lasu. — Po co miałyby przechowywać ich dusze, skoro zawładnął ich ciałami?
- Nie wiem. — Jenny oderwała na moment spojrzenie od ognia i zaprzestała prób powtórnego nawiązania łączności z umysłem Morkeleba. — Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. Zwykle, przynajmniej według słów Caerdinna, pomniejsze puki i diabły nie... nie wypierają całkowicie umysłów, dusz swoich ofiar. Czasami po przegnaniu demona egzorcyzmami dusza może powrócić, jeśli nie upłynęło zbyt wiele czasu. Z Wielkimi Demonami oczywiście jest inaczej. Ale to...

Umilkła, przypomniawszy sobie demona płonącego w oczach Caradoca. Piekielny ogień źrenic łana.

— Poprzednim razem też spotykał się z demonami o północy, tak mi się wydaje — powiedział John po chwili. Jenny otworzyła oczy, nie mogąc odszukać myślami umysłu smoka. — Wychodziły z wody, srebrzyste i lśniące. Przypominały salamandry albo ropuchy, wypływające z niewielkich szklanych muszli. Woda musi stanowić jedną z ich Bram.

*Przybywają z innego miejsca, wyszeptał Caerdinn, kiedy stali nocą we dwoje na skraju Diabelskich Bagien, przyglądając się upiornemu migotaniu piekielnych światełek nad mokradłami. Od*

210

*starożytnych czasów zawsze trafiali się ludzie, którzy gotowi byli otworzyć Wrota Piekieł w nadziei znalezienia tam nowej potęgi.*

Jenny przypomniawszy sobie, że tamtej nocy wypatrywali diabła, który opętał prostoduszną kobiecinę, wślizgując się do jej głowy i snów, nakłaniając ją do poćwiartowania męża, dzieci, siostry i ojca, zanim wieśniacy zawezwali Caerdinna. We dwoje zdołali wypędzić demona, lecz dusza kobiety nigdy już nie powróciła. Mając przed oczami milczącą, skrwawioną lepiankę, sznury mrówek i brzęczenie much, Jenny pomyślała, że może tak nawet było lepiej.

Choć wiedziała, że obecność czarodziejów w Corflyn Hołd prawie na pewno uniemożliwi jej zajrzenie za mury, Jenny wyciągnęła z mieszka odprysk białego kwarcu wielkości palca i spróbowała przywołać obrazy: dziedziniec, komnata Caradoca, szkatułka we wnęce nad łóżkiem. Cała warownia jednak otoczona była zabezpieczeniami przypominającymi jej własne dzieło, mury majątku Palmorgin. Widziała jedynie ciemną plamę samych fortyfikacji, i to z wielkiego oddalenia, a po wyglądzie nieba

odgadła, że ogląda inną noc, inną porę roku, inny rok. Złudzenie.

Caradoc jest na dziedzińcu, pomyślała. Przywołuje Piekielny Pomiot z innej płaszczyzny istnienia. Przywołuje go przez odległą Bramę, przez właściwe mu medium wody, przez nie wiadomo jak wielką otchłań pustki. Przywołuje go w opróżnione umysły, w opróżnione serca dwójki biednych dzieciaków.

Yseult powtarzająca: „Tak, pani” i „Nie, pani” z wymijającym niedbałym pośpiechem, unikająca jej spojrzenia.

Yseult odprawiająca synów Bliauda, by nie zorientowali się, jakiej odmianie uległ ich ojciec.

Rocklys nakłaniająca ją do pozostania, wręcz narzucająca się Z eskortą.

— A więc to przez cały czas była Rocklys. — Otuliła się opończą i skierowała spojrzenie w niebo. Ujrzała zwrócone ku niej oko czerwonej gwiazdy nazywanej Stróżebną Latarnią. Północ przebiegała lodowatą melodią po jej karku. „O północy otwierają się

211

wszystkie bramy”, powiedziała kiedyś do niej Krucze Skrzydło, rozczesując włosy grzebieniem ze srebra i kości, wplatając w nie cienie mocy wywołane z niebytu tą prostą czynnością. „Wszystkie wrota otwierają się w chwilach zmiany: z gęstniejącej nocy w blednący świt, z ustępującej zimy w pierwsze zapowiedzi wiosny”. „Wszystkie wrota otwierają się”.

—Powinienem był się domyślić. — Płomienie położyły się plamami ognia na okularach Johna, gdy odwrócił kłodę w ognisku.

Jenny podniosła głowę, zaskoczona. Czasami wydawało się jej niemożliwe, by ten człowiek był synem Kruczego Skrzydła.

- Królestwo w swym obecnym stanie musi doprowadzać ją do szału. Każde lenno i hrabstwo ma swoje własne prawa, niemal wszystkie oddają cześć różnym bogom, że nie wspomnę o systemie miar. Każdy ciągnie w swoją stronę, wykonanie czegokolwiek graniczy z cudem, a tymczasem dwór zajmuje się układaniem pieśni i poematów o księżycu oraz sporami teologicznymi, jak słyszałem. Pamiętasz książki z biblioteczki Rocklys, z którymi nigdy się nie rozstaje: *Tenantius*, *Gurgustus*, *Monarcha sprawiedliwy* Caeciliusa. Sami legaliści. To oczywiste, że irytuje ją Gar i jego próby honorowania dawnych umów i dawnych obietnic. To oczywiste, że chciałaby wziąć sprawy w swoje ręce, by wszystko funkcjonowało jak należy.
- „Pragnę wyłącznie zaprowadzić w królestwie porządek”, powtórzyła cicho Jenny. „Przywrócić mu dawną świetność”. Trzeba ostrzec Garetha. W chwili obecnej ma największą armię w całym królestwie, większą nawet od tej, którą zabrał ze sobą do Impertengu. A niezależnie od tego, ilu by miał ludzi, nie mają szans w starciu ze współpracującymi zgodnie smokami, czarodziejami i demonami.
- Zastanawia mnie tylko — John poprawił okulary zabandażowanym palcem — co, na Boga, dało jej podstawy, by sądzić, że może podporządkować sobie Caradoca? Nawet jeśli nie wie, że opętał go demon, to czy ta kobieta nie umie czytać?

212

— Nie — odparła Jenny. — Zapewne nie. Przez całe życie dzięki swej sile zawsze dopinała swego. Przywykła do zmagania z Caradokiem o dominację. Jeśli on uda, że jej ustępuje, to jak

sądzisz, domyśli się, że to podstęp? Ona... — Uniosła głowę, słysząc szept olbrzymich jedwabnych skrzydeł. — Leci.

Nagle uświadomiła sobie, że nigdy przedtem nie zdołała usłyszeć nadlatującego Morkeleba.

— Do lasu!

W tej samej chwili zaklęciem zdusiła ognisko i użyła całej swojej mocy, by otoczyć ich oboje olbrzymim, wirującym tornadem dezorientacji i złudzeń, gdy z nieba spadły smoki.

Mnóstwo smoków.

— Ogień! — krzyknął John, chwytając ją za ramię, a przez liściaste sklepienie nad ich głowami przebiły się ostre, wygłodniałe pazury. Wężowe głowy prześlizgnęły się wśród konarów, kłapiąc paszczami, zielony kwas pozostawił wielką zwęgloną bliznę na pniu sosny, a Jenny wykrzyczała słowo ognia, rzucając nim jak bronią w szeleszczące korony drzew. Las stanął w ogniu, przez płomienną chwilę dobywając z ciemności pierwotne tęczowe bary/y, lśniące łuski: różowe, zielone i złote, białe i szkarłatne. Jeden z smoków wydał pisk, gdy długie łuski jego grzywy zajęły się Ogniem, a okropnym echem odpowiedział mu wrzask dziewczyny dosiadającej drugiego smoka, Yseult, której spódnice i włosy ©garnęły płomienie. Potem oba smoki zniknęły, a John i Jenny pobiegli ścieżką do strumienia, podczas gdy wokół nich kłębił się dym, na trawę sypały się płonące gałęzie i konary, a z nieba padał jadowity kwas.

John wciągnął ich oboje do wody, gdyż żar już pokrył ich twarze pęcherzami. Strumień skręcał na południowy wschód, by wpaść do Czarnej Rzeki parę mil poniżej Cair Corflyn. Jenny zrzuciła moką oponczę i ciężką spódnicę, podkasła halkę i zaczęła pełznąć, czując, jak

ostre kamienie wbijają się jej w ciało, rozci-najakolana i dłonie. John był tuż za nią, niosąc niezgrabnie na ple-

213

cach swój łuk. Jenny pociągnęła ogień w ślad za nimi i przywołała dym, by przykrył rozprzestrzeniającym się całunem tę część lasu; teraz palił i drapał ją w płuca, gryzł w oczy.

- Morkeleb dostrzeże ogień — wykrztusiła.
- O ile żyje. — John poślizgnął się na kamieniu i zaklął. Woda przy dnie była lodowato zimna, choć na powierzchni zaczynała już parować. — O ile uzna zaczepianie czterech smoków za grę wartą świeczki... No dobrze, trzech, odliczając dziewczynę...
- Przybędzie.

Kwas uderzył przed nimi po oślepiająco błyszczącej wodzie. Przez parę sekund Jenny widziała na tle płomieni kanciasty kształt smoka, przycupniętego na ich drodze w korycie strumienia.

—Niech to szlag — powiedział John.

Smok stał już na otwartej przestrzeni, gdzie strumień przecinał podmokłą łąkę. Pochylał się ze złożonymi ciasno skrzydłami, wsuwając łeb pod ognisty baldachim. Płomienie złościły jego błękitne łuski, tęczowe, pawie dziwo z lazurytu i lobelii, wydobywając z ciemności drobną sylwetkę na jego grzbiecie, między grzebieniami. Gad otworzył pysk, by ponownie plunąć kwasem, a John, stojąc po kolana w parującej wodzie, założył strzałę i napiął łuk. Wtedy Jenny rozpoznała twarz jeźdźca.

- Nie! — krzyknęła, gdy John zwolnił cięciwę. — To lan! — Posłała zaklęcie w ślad za strzałą, ale kilka miesięcy temu sama zaplotła wokół

niej magiczną nić. łan szarpnął się do tyłu, uderzony grotem, złapał się okalających go kolców i osunął powoli na twarz. Smok wycofał się w ciemność.

- Teraz! — John złapał ją za nadgarstek, ciągnąc za sobą. — Wzdłuż rzeki jest pełno jaskiń.
- Morkeleb...
- Co takiego? Nie wierzysz, żeby poradził sobie w pojedynkę z dwoma smokami?

I wtedy Jenny usłyszała mroczny głos rodem ze snów nawołujący japo imieniu.

214

Wybiegli na oślep z płonącego lasu i ujrzeli go — ściana tańczących płomieni wydobyła z ciemności plamę czerni w powietrzu, szarpiącą, uderzającą, atakującą kolorowe, barbarzyńskie kształty czerwono-białego smoka oraz drugiego, przepysznie, słonecznie żółtego, którym musiał być Enismirdal. Morkeleb był szybszy i większy od obu, lecz gdy wzbiły się ku niemu, ogień i mrok podążyły wirem za nimi, rozbijając obrazy i złudzenia na trzy, cztery odbicia. Jenny skupiła myśli, skoncentrowała je w pojedynczy strumień światła i rzuciła go ku Morkelebowi czarami postrzegania i ochrony.

W trwającym mgnienie oka rozbłysku spojrzała na napastników jego oczami. Smoki rozpadały się i rozpraszały, niekiedy w pięć czy sześć wrogich kształtów, niekiedy w tęcze ohydnych kolorów — obłądnych, maskujących — przetykane językami upiornego, złowieszczego zielonego płomienia. Jenny skupiła się jeszcze mocniej, czerpiąc siły z bezgranicznej

wściekłości ognia, z granitu i dolomitu głęboko pod łożyskiem strumienia. Oczami Smoka ujrzała, jak sylwetka napastnika wyostrza się, a wtedy Morkeleb uderzył niczym czarny piorun, prując i tnąc pazurami.

Potem obraz znów rozpadł się na kawałki, a Jenny jęknęła, ©gamięta nagłym, lodowatym przerażeniem, gdy coś na kształt srebrnej larwy wdarło się bez ostrzeżenia w jej ciało, kierując się oślizgłe ku jej sercu i umysłowi. Przywołała całą swoją moc, osłaniając siebie, osłaniając Morkeleba, ale czuła się tak, jakby coś krwawiło w jej wnętrzu, a wraz z krwią wyciekała z niej i siła. Automatyczne odruchy, jakie wpoił jej Caerdinn, przejęły kontrolę nad jej działaniami, systematycznie przywołując inne moce tego świata — światło księżycy, wodę, migoczące gwiazdy — i mgła ustąpiła jej sprzed oczu. Morkeleb zadał kilka potężnych ciosów pazurami i zębami, odpędzając napastników. Krew padała deszczem na twarz Jenny, przemieszana z kroplami palącego kwasu. Srebrzysty krwotok w jej wnętrzu nie ustawał.

Morkeleb zanurkował w dół, rozczapierzając pazury. Pochwy-

215

cił ją, porwał z ziemi. Siła odśrodkowa jego stromej trajektorii odrzuciła jej głowę w tył. Jenny zarzuciła wokół nich wielkookie sieci czarów ochronnych, a gdy jej magia stopiła się z jego magią, poczuła, że jego moc także została wysączona i spita. Lecieli na wschód, kolczastą skrzydlatą chmurą, lecieli szybko, lecz Jenny wyczuwała za sobą bijące prędko skrzydła, szaleństwo ścigających ich barw i wściekłości. Deszczowe chmury tuliły się do wysokich, posępnych stoków Kobiałkowych Wzgórz.

W nich ukrył się Morkeleb, a Jenny bez słowa przywołała błyskawice i otoczyła się zabezpieczeniami, by ścigający ich wrogowie nie mogli



uczynić podobnie. W sumie nic z tego nie wynikło: zgnieciona między dwiema przeciwstawnymi mocami burza pobłyskiwała jedynie, ponure rozbłyski rozświetlały otulającą ich mroczną watę.

Po pewnym czasie smok ostrożnie opuścił się na ziemię.

— John? — Jenny odwróciła się, czując, jak mokre ubranie oblepia jej ciało. Jaskinia, do której zaniósł ich smok, była tak nisko sklepiona, że jedynie Jenny mogła stanąć w niej wyprostowana. Na zewnątrz deszcz padał ponuro i jednostajnie. Do jej uszu docierał niedaleki szmer Glinianki i niemalże podświadomie usta liła, gdzie się znajdują i jaki dystans przelecieli.

Magiczne światło zamigotało na szkle, gdy John obrócił głowę. Jenny była pod wrażeniem tego, że wśród chaosu ognia, krwi i magii Morkeleb zdołał złapać ich oboje.

- Przykro mi z powodu lana, kochanie. Wzięła gwałtowny oddech.
- Wiedziałaś, kiedy strzelałeś?

— Ano. — Usiadł ostrożnie. Blade błyski błękitnego światła odbijały się płytkach starego metalu, jakimi obszyty był jego kaptan. Za jego plecami, w głębi jaskini, niewiarygodnie ściśnięty niczym robak w szczelinie skalnej, leżał Morkeleb, z błyszczącymi

216

diamentowo oczami i grzebieniami. — Wiedziałem, że będzie dosiadał Nymra.

Jenny odwróciła od niego twarz. Paliła ją świadomość, że łan żył i można było sprowadzić go z powrotem, przemieszana z wściekłością,

odrazą i przerażeniem wywołanym uczynkiem Johna.

- Caradoc nie da mu umrzeć — dodał John. — Na świecie jest za mało magów, więc musiał wycofać z walki ich obu, Nymra i lana — a raczej trzech, wliczając demona, który nimi włada — tak jak przedtem Yseult.
- A gdyby twoja strzała go zabiła? — zapytała roztrzęsionym głosem. — Możemy go sprowadzić z powrotem, John, lecz nie z krainy umarłych.
- Gdybyśmy tam zginęli — rzekł cicho John — myślisz, że łąn kiedykolwiek przestałby być niewolnikiem demonów, bezradnym więźniem zamkniętym w klejnocie, tak długo jak bić będzie jego serce? Oglądając ich uczynki, podczas gdy one syciłyby się jego cierpieniem? Czasami strzała w serce może być prawdziwym darem miłości.

Jenny odwróciła wzrok. Miał rację, lecz cierpiała tak bardzo, że nie potrafiła wyrazić tego słowami. John zdjął kubrak i położył się, opierając głowę na złożonej w kostkę mokrej opończy. Jego koszula parowała lekko pod działaniem czarów ciepła rzuconych przez Morkeleba, by wysuszyć ich odzienie. Ciszę w jaskini zakłócały tylko ich oddechy, podczas gdy na zewnątrz powoli budził się szary świt. Po jakimś czasie Jenny wstała i położyła się obok niego, chwytając go za rękę.

Ze względu na dziki i gęsto zalesiony teren wzgórz Impertengu oraz prawdopodobną obecność buntowników w tej okolicy ani John, ani Jenny nie uważali, by bezpiecznie było wylądować w mroku kilka mil od obozu wojsk królewskich. Ponadto, jak za-

uważył John, nie sposób było stwierdzić, czy któryś ze smoków nie poleciał za nimi, czekając, by ich zlikwidować, skoro tylko Morke-leb się oddali.

Tak więc smok poleciał bezpośrednio do obozu pod murami Jotham i drugiego dnia od ich ucieczki powolnym kręgiem opadł z wieczornego nieba. Jenny rozpostarła wokół nich wielki parasol czarów mącących wzrok, by zminimalizować konsekwencje tego posunięcia.

Okazało się to uzasadnione. Ludzie nadbiegli z krzykiem ze wszystkich zakątków obozu — a raczej obozów, gdyż z powietrza widać było wyraźnie, że każdy wasal króla rozbił swe namioty osobno, tak że pasiaste namioty Halnath nie mieszały się z mlecz-nobiałymi, choć nieco przybrudzonymi siedzibami ludzi z Hythe. Jenny widziała ich wyraźnie swoim smoczym zmysłem, krój i barwy ich odzieży były równie odmienne, jak rodzaje i rozmiary ich obozowisk. Głosy docierały do ich uszu wraz z wściekłym rzeniem koni i przeraźliwym beczeniem owiec, miotających się dziko w zagrodach. Strzały wzbiły się pod niebo bezsilną chmurą. Potem ich śladem podążyły dzidy, roztrącone czarami Jenny. Wtedy ludzie rozpierzchli się, tak jak wprzódy zbiegli się do kupy, wymachując rękami i krzycząc, skoro dostrzegli, że smok trzyma w każdej łapie człowieka.

John, jak to John, machał do nich i posyłał im całusy.

Utrzymując równowagę za pomocą wielkich skrzydeł, Morke-leb opuścił długie zadnie nogi ku ziemi, a potem podkulił je pod siebie, siadając wygodnie. Tymczasem na skraj placu ćwiczeń, na którym wylądował, wyszło dwóch wysokich, szczupłych, młodych mężczyzn. Rudowłosy odziany był w czarne szaty mistrza nauk, blondyn miał na

nosie okulary, dziwacznie kontrastujące z czerwoną wojskową kurtą, czerwonymi bryczesami oraz misternie wytłaczanymi czerwonymi butami, ozdobionymi chwos-tami.

Okularnik w czerwieni wykrzyknął:

218

— Lordzie John! Pani Jenny! — Po czym ruszył im na spotkanie z wyciągniętą ręką.

Był taki czas, pamiętała Jenny, że pobiegłby, zamiast iść.

Dygnęła dwornie pomimo podartej halki i brudnej opończy Johna, lecz on wziął ją w ramiona, pochylając swe dziwacznie wysokie ciało. Potem odwrócił się i objął Johna, zadyszany z zachwyty i radości, podczas gdy Morkeleb usadowił się wygodniej i przyglądał się im chłodnym, nieludzko sardonycznym wzrokiem. Obecne czterdzieści stóp wydawało się jego rzeczywistym rozmiarem, którego nie mógł już przekroczyć, ale Jenny nie była tego pewna.

— Co wy tu robicie? — zapytał Gareth z Magloshaldon, syn i regent swego ojca, króla. Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy zjawił się Uriens z domu Uwane, wysoki mężczyzna, który za młodu musiał wyglądać niczym posąg Sarmendesa Boga Słońca, w inkrustowanej złotem zbroi i purpurowym płaszczu, z wielkim, wysadzonym klejnotami mieczem sypiącym dookoła iskrami światła.

— Wszystko w porządku, ojcze — powiedział Gareth, kierując się ku niemu, gdyż król, ujrzawszy Morkeleba, uniósł broń i ruszył na niego. — Spójrz, to Smok ze Ściany Nast.

Wszystko w porządku — powtórzył Gareth, łapiąc go za rękę.

— Został pokonany. Jest tutaj jako... więzień.

Morkeleb otworzył pysk i zasyczał, ale jeśli nawet coś powiedział, Jenny tego nie odebrała, a Gareth nie dał tego po sobie poznać.

- To smok. — Król zmarszczył czoło, jak gdyby napotkał coś, czego nie potrafił pojąć. Otoczył go tłumek służących i adiutantów, ujmując go taktownie pod rękę. — Smoki należy zabijać. To obowiązek króla...
- Nie — odparł Gareth. — Lord Aversin — pamiętasz lorda Aversina? — i pani Waynest wzięli tego smoka do niewoli. Zaśpiewam ci dzisiaj o tym pieśń albo... następnego wieczoru. — Odwrócił się z powrotem do Johna, marszcząc twarz, widząc opa-

219

rzenia i pęcherze na spalonym kwasem ciele. — Co się stało? — Potem przeniósł wzrok na Morkeleba, jak gdyby rozumiejąc, że jedynie krytyczna sytuacja mogła przywieść ich do obozu.

—Rocklys zdradziła. — John wsunął jedną dłoń za pas, a drugą podrapał się po długim nosie. — I to jest ta dobra wiadomość.

Gareth wysłuchał Johna bez słowa komentarza, choć gdy ten opowiadał o Świetlistych Ostrowach, w oczach regenta załśniła tęsknota i zachwyty. Siedząc cicho między Johnem a rudowłosym Polycarpem, mistrzem Halnath i doktorem filozofii naturalnej — ubrana w krzykliwą i przydługą suknię pożyczoną od żony jednego z oficerów — Jenny zrozumiała w końcu, że obsesja Garetha na punkcie opowieści o starożytnych Zgubach Smoków jedynie po części wypływała z naiwnych, chłopięcych marzeń o heroicznym, rycerskich czynach. Najbardziej pociągało go to, że występowały w nich smoki.

Podobnie jak John pokochał smoki, gdy lepiej je poznał.

- Wiesz, że zawsze tobą pogardzała — powiedział Polycarp do Garetha, odkładając tabliczki, na których zawzięcie notował. — Rozmawialiśmy parę razy, kiedy dowodziła wojskami oblegającymi Halnath. Kiedy doszły ją wieści o... chorobie twojego ojca — zerknął na wysokiego mężczyznę, siedzącego na honorowym miejscu przy stole — jej pierwszą reakcją była obawa, że władza nad królestwem może trafić w twoje ręce.
- Nie jestem chory. — Król Uriens, przysłuchujący się monologowi Polycarpa z powagą zafascynowanego dziecka, wyprostował się odrobinę, marszcząc brwi. Jego włosy, niegdyś złote niczym dojrzały jęczmień, teraz były prawie całkowicie białe i tak rzadkie, że przycinano je najeża. Ruszając do boju ze smokiem, nakładał długą złocistą perukę.

Niemniej jednak Jenny uznała, że ogólnie król wygląda zdrowo, ma czerstwą cerę człowieka, który dobrze się odżywia i spędza dużo czasu na świeżym powietrzu. Od dnia śmierci czarow-

220

nicy Zyerne, która wytoczyła z niego tyle życia i ducha, przy każdym spotkaniu stary król wydawał się nieco bardziej ożywiony, odrobinę bardziej świadomy otoczenia, choć wciąż jeszcze podchodził z dziecinną fascynacją do każdego kwiatu, guzika i krążka, jak gdyby nigdy przedtem ich nie widział.

Niepokojące było to, że Rocklys miała zapewne rację: gdyby Uriensa rozdzielono z synem, bez trudu można by go przekonać, by o nim zapomniał i uczynił kogokolwiek — Rocklys, księcia Im-pertengu, Johna

czy nawet Adrica — regentem w miejsce młodego Garetha.

- Robię się tylko senny — ciągnął dalej król — lecz nadal mogę być królem, nawet jeśli robię się senny, prawda? — Obrócił się z niepokojem do syna, który uśmiechnął się i położył dłoń na jego wielkich brązowych palcach.
- Nie ma nikogo lepszego od ciebie, ojcze.
- To nie było uprzejme z jej strony. — Uriens zwrócił się do Polycarpa. — Nie podejrzewałem jej o coś podobnego. Zawsze była takim świetnym wojownikiem, takim dobrym żołnierzem. Pamiętam, że na trzynaste urodziny podarowałem jej zbroję. Ty poprosiłeś mnie o książki. — Zmierzył Garetha łagodnie zdumionym spojrzeniem, choć bez wrogości w głosie.

Z rumieńca, jaki rozlał się na jego twarzy po słowach ojca, Jenny zgadła, że Uriens miał niegdyś wiele do powiedzenia na temat chłopców proszących o książki zamiast uzbrojenia.

- Dlaczego przestała nas lubić? — zapytał Uriens.
- Nie lubi nas, bo nie pozwalamy jej postawić na swoim — powiedział John, uśmiechając się krzywo, a król skinął ze zrozumieniem głową.
- Cóż, to dlatego nie wyszła za tamtego kupca. Oczywiście tym lepiej dla niej.

Zza prostych ciemnych ścian namiotu dobiegało ujadanie obozowych psów, skrzeczenie kruków na śmietniku. Właściwie żadnych innych odgłosów. Żadnego szczełku broni, wykrzykiwa-

nych rozkazów. Morkeleb, przycupnięty na środku placu ćwiczeń w

złowieszczej, rozmigotanej ciszy, zdawał się wygłaszać wszystkie inne dźwięki.

Co też myśleli sobie teraz szpiedzy i zwiadowcy górali albo księżę Impertengu?

— Powiedziała mi — odezwał się cicho Gareth — że pomysł z moją regencją nie przypadł jej do gustu, ale jest gotowa przekonać się, że się myliła. Później nieodmiennie traktowała mnie z szacunkiem.

A więc być może już wtedy Rocklys poczęła zamyślać o zawładnięciu tronem.

- Kilka razy wypowiadała się w radzie przeciw temu, by lenna i wolne miasta mogły zachować własne parlamenty i starożytne prawa — ciągnął dalej młody regent. — Twierdziła, że są głupie i nieskuteczne. Ale jak mogłem postąpić? Książęta i tenowie uznają moją władzę częściowo dlatego, że pozwala się im żyć według ich własnych praw, takjak czynili to ich przodkowie. Król nie może mówić swoim poddanym — swym wiernym poddanym — że lepiej od ich przodków wie, jak powinni żyć.
- Najwyraźniej ona była innego zdania — odparł sucho John.
- Co się tyczy Caradoca — powiedział Polycarp, obracając rylec w długich palcach — przypominam go sobie. Odwiedził mnie jakieś pięć lat temu z grupą kopistów i zaoferował mi ich usługi przy naprawie wymianie części najstarszych manuskryptów w mojej bibliotece w zamian za zgodę na wykonanie kopii na jego użytek. Zawsze podejrzewałem, że miał zbyt wiele szczęścia w handlu, by być uczciwym.



Zerknął na króla, lecz Jego Wysokość pochłonięty był badaniem złotego wzoru na tacy z serami, słodkim pieczywem i wyszukanymi przysmakami z Południa.

- Teraz wiemy, skąd brały się te wszystkie pomyslnie wiatry i prądy — prychnął John.
- To nie wszystko — powiedział Gareth. — Przez ostatnie

222

dwa lata żeglujących na wyspach nękały tak częste... hmm... wypadki, że w radzie postawiono wniosek o przywrócenie starych praw zabraniających czarodziejom posiadania majątku i pełnienia urzędów. Tylko że nikt nie wiedział, kim jest ten czarodziej... — Spojrzał przepaszająco na Johna i rzekł pospiesznie: — Opowiedz nam o swojej maszynie do zabijania smoków.

John chętnie wypełnił jego życzenie, prezentując dane krótko i rzeczowo, tak jak to umiał, kiedy zachodziła konieczność.

—Pracowałem nad nią od wieków — powiedział na zakończenie. — Pomysł zaczerpnąłem z Polyborusa — a może z *Sekretnej historii* Dotysa? — natomiast sam projekt znalazłem u Heronaxa z Ernine, a jedynie kabinę sterowniczą wzorowałem na paradnych platformach Cerducesa Scrinusa. — Popukał palcem w rysunek naszkicowany kredą na obrusie, otoczony na wpół opróżnionymi pucharami. — 1 od lat handlowałem z gnomami, skupując części i doprowadzając do szału biednego Muffle'a moimi żądaniami dotyczącymi zamków i sztab wiążących maszynę w całość, tak by można było ją rozmontować. To cholernie ciężkie draństwo.

Gareth i Polycarp wymienili szybkie spojrzenia.

—Lord Głębi Ylferdun zrobi ich dla nas więcej — powiedział regent, pucując obrusem okulary. — Ostatnią rzeczą, jakiej życzyłyby sobie gnomy, są pętające się po okolicy smoki.

Jenny pomyślała, że przez te cztery lata spoważniał i wyciszył się. Kiedy przyjechali z Johnem na Południe przed dwoma laty na uroczystość nadania imienia córce Garetha, Jenny przekonała się, że porywczy, wrażliwy chłopak, który przybył na Północ, by błagać Johna o pomoc, przemienił się w młodego mężczyznę świadomego swych ograniczeń i umiającego prosić o pomoc, ustępującego z miłością cieniowi walecznego króla, jakim był niegdyś jego ojciec, i umiającego zapewnić mu wszelkie honory należne monarsze i głowie państwa.

Gareth założył z powrotem okulary.

223

- Jak myślisz, ile mamy czasu?
- To zależy — odparł John. — Jeśli Rocklys zebrała już tyle smoków, ile potrzebuje — a wykarmienie ich musi być ciut skomplikowane — zostały nam ze trzy tygodnie. Może trochę więcej, zależnie od tego, jak ciężko oberwali łan i Yseult i jak szybko Rocklys zamierza przemieścić swe siły na południe. Wie, że poznaliśmy prawdę o niej i że Jen i ja zdołaliśmy się wymknąć. Przypuszczam, że zbierze armię i ruszy na południe tak szybko, jak tylko będzie mogła — zmrużył oczy i w jego głosie pojawiła się ostrość — i chrzanić bandytów oraz Lodowych Jeźdźców, którzy nie omieszkają napaść na nowe osady.

Odwrócił twarz, by ukryć nagły przypływ gniewu, lecz Jenny dostrzegła, jak zaciska gwałtownie pięść, a jego usta zastygają w

nieprzyjemnym grymasie. Tymczasem król Uriens znów zapadł w drzemkę.

— Przykro mi — powiedział cicho Gareth. — Bardzo mi przykro z tego powodu. — Zakłopotany przesunął tacę i strzepnął okruchy z obrusa, unikając wzroku Johna. — Ona...

John szybko potrząsnął głową.

- Była godna zaufania jak nikt inny, synu, i nie było powodów, by powątpiewać w jej wierność — powiedział. — I jest doskonałym dowódcą. Myślę, że to właśnie te zalety zwróciły ją przeciw tobie: potrzeba uporządkowania wszystkiego zgodnie z własnymi oczekiwaniami. A nie wysłuchiwanie tłumaczeń, dlaczego nie można tego zrobić natychmiast. Ale powiadam ci — ciągnął dalej — a wiem to dobrze, bo sam próbowałem i jednego, i drugiego: nie można być dowódcą i władcą jednocześnie. Trzeba zwracać uwagę na różne rzeczy i być dwoma odmiennymi osobami. A może i więcej niż dwoma. Rocklys sama by to odkryła, gdyby tylko spróbowała, ale my się cholernie postaramy, żeby nie miała ku temu sposobności.
- Mój panie... — W wejściu stanął służący, wykonując pospieszny ukłon w kierunku drzemiącego króla. Przez podniesioną

224

klapę do namiotu wpadała chłodna woń lasu za drewnianą palisadą oraz szum rzeki Wildspae przetaczającej się z hukiem pod łukami mostu Córa. — Mój panie, ludzie dopytują się o... o tego smoka. — Ściszył głos, jak gdyby obawiał się, że Morkeleb mógł go usłyszeć, i oczywiście tak właśnie było. Jedynym błędem tego człowieka było przypuszczenie, że gwiazdnego smoka cokolwiek to obchodzi. — Wcale im się to nie podoba,

panie, i to jest szczerą prawdą. Powiadają, że tkwi w tym jakieś czamoksięstwo. — Zerknął na króla, a potem na Jenny, i Jenny niemal usłyszała, jak wspomina Uriensa sprzed paru lat, u szczytu wojennej sławy. Przed czarownicą Zyerne.

— Cóż, to dobrze, że zdają sobie sprawę z oczywistego — powiedział John. — Powinieneś się cholernie cieszyć, że ten smok tu siedzi, synu — dodał, zwracając się do żołnierza. — I, za pozwoleniem... — Spojrzał na Garetha, który skinieniem głowy dał mu znak, by kontynuował. — Za pozwoleniem, za jakieś trzy tygodnie będziesz cieszył się z tego jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Postanowiono, że John i Polycarp wyruszą z niewielką eskortą na wschód, do Cytadeli Halnath, Jenny zaś pozostanie z Garethem. Według Rocklys obóz wojsk królewskich znajdował się pod murami Jotham, lecz Jotham leżało na skalistym terenie, gdzie Góry Ja-zowe stykały się ze Ścianą Nast. Rozbicie obozu bliżej niż dwie mile od bram miasta było niemożliwe, a więc niemożliwe było też prowadzenie skutecznego oblężenia. Na równinach nad rzeką Wildspae oddziały aprowizacyjne były wystawione na ataki ludzi ze wzgórz i górali siedzących po lasach. Most Córa panował nad drogą do Belmarie na południu, skąd sprowadzano zaopatrzenie

dla armii, a to już było coś. Teraz zaś straże musiały także pilnować drogi

biegnącej z północy.

Wildspae była tu głęboka i niebezpieczna. Dopiero dalej na zachodzie rozlewała się szerzej, tak więc Rocklys musiała przeprowić się właśnie tam.

Morkeleb trzymał się w pobliżu, ale wykazywał się zaskakującą umiejętnością niezdradzania swojej obecności. Zdarzało się, że podczas rozmów ze służącymi w kuchni czy żołnierzami kopiającymi pospiesznie podziemne schrony przeciw smokom, Jenny przekonywała się, że ludzie zdążyli już o nim zapomnieć.

*Zaskakuje cię to, kobieto czarowniku?* Smok wyciągnął się na skalnym grzbiecie opierającym się o wschodni wał obozu. Wapienne wzgórza podziurawione były jaskiniami, a Morkeleb, niczym szczur, potrafił bez zmieniania rozmiaru wcisnąć się w szczeliny pozornie czterokrotnie od niego mniejsze. Smok po prostu pojawiał się zniemacka wśród kęp świerków i klonów, potrząsając grzywą i składając wygodniej skrzydła.

*Jesteśmy wędrowcami, my, gwiazdne smoki. Kiedy przybywamy w miejsce, którego nikt z nas jeszcze nie odwiedził ani nawet nie widział w snach, zaszywamy się w najpewniejszych kryjówkach. Tam oddychamy, śpimy, zarzucamy dookoła sieci naszych snów, spijając powietrze, aż wyjawy nam, jakie stworzenia przebiegają po kamieniach i żeglują na wietrze. Istnieją stworzenia gorsze od smoków — a i od najgorszych z nich są istoty dalece po-tworniejsze.*

A jego umysł przekazał jej nie słowa, lecz obrazy, obrazy, z których niewiele pojmowała: krajobrazy czarnych skał pod czerwonymi, opuchniętymi słońcami; światy gęstej, cuchnącej mgły, których chłód przenikał myśli, gdzie ociężałe, okropne rzeczy snuły się ledwie widoczne

wśród lodowców z purpurowego szkliwa. Odwróciła wzrok od żołnierzy budujących i kopiących w rozciągającym się w dole obozie i zapytała: *Morkelebie, skąd przybywają smoki?*

226

On zaś odpowiedział tylko: *Z daleka.*

*Z daleka.* Czarna plama na jej pojmowaniu struktury świata, bezmiary ciemności, których istnienia nie podejrzewała, niewyobrażalne korytarze ciągnące się przez nocne niebo i poza nie. „Smoki z gwiazd w pustych przestworzach. *Z daleka*”.

*Istnieje tam magia?*, zapytała. Siedziała oparta o jego grzbiet, czując gorąco pulsujące pod lakierowanym żelazem łusek. Nie przypominało ciepła żadnego żyjącego stworzenia, było jak żar ukrytej mocy. *W miejscu, z którego przybyliście, we wszystkich tych miejscach, jakie znajdują się po drodze?*

*Ach, kobieto czarowniku, powiedział, magia jest wszechobecna. Skrapla się na ziemi niczym poranna rosa. Pijemy ją, zawijamy się w nią niczym w płótno utkane z muzyki, jest częścią naszego istnienia.*

Będąc niegdyś smokiem, Jenny zrozumiała go. I przez chwilę poczuła bolesną tęsknotę, pragnienie potęgi, potęgi pozwalającej na sięgnięcie po magię, której istnienia w otaczającym ją świecie była świadoma. „Gdybym tylko była wystarczająco potężna”, pomyślała, „łan byłby bezpieczny”.

Ze wzgórza dostrzegała też niekiedy mieszkańców lasu i ludzi ze wzgórz w zielonych kurtkach i luźnych pasiastych spodniach, przemykających bezszelestnie wśród drzew, by obserwować obóz nad rzeką. Byli niewysokimi, śniadymi mężczyznami o gęstych, ciemnych

włosach; ich przodkowie od niepamiętnych czasów bronili swych dziedzin przed jasnowłosą rasą z Belmarie. Dwukrotnie próbowali zaatakować ludzi trudzących się przy wzmocnieniu fortyfikacji samego Mostu Córa, jak i redut budowanych, by zapanować nad biegnącą do niego drogą; dwukrotnie widziała, jak wojownicy z Bel wylewali się strumieniem z bram obozu z okrzykiem: „Uwane, Uwane za Bel!”

Za drugim razem Jenny wślizgnęła się do obozu zaraz po ustaniu walk i skierowała się do namiotu regenta, wiedząc, że leży skulony na łożku, rozdygotany i nękanym nudnościami.

227

- Gdyby istniał inny sposób na rozwiązanie tego problemu niż podbój, uwierz mi, że spróbowałbym go, bez względu na to, co ojciec mówi, mówił, o honorze królestwa. — Gareth odetchnął z wysiłkiem i przesunął dłoń po jasnych włosach — ufarbowane na różowo i niebiesko kosmyki były już prawie niewidoczne i zlepione od potu. Dzięki naukom Johna młodzieniec potrafił teraz prowadzić ludzi do boju, choć zawsze pamiętał o dobieraniu sobie uzdolnionych oficerów, a w walce trzymał się blisko nich i słuchał ich rad.
- Zakładam, że nie są idealnymi sąsiadami? — Jenny przyniosła miskę gorącej wody z zewnętrznego pomieszczenia. Widziała, że król także walczył, wiodąc żołnierzy z zaciekłością zaskakującą dla tych, którzy przywykli do jego widoku jako uśmiechniętego starszego pana.

Był lordem domu Uwane, jego żywiołem była wojna. Gareth musiał mu tylko powiedzieć, w którą stronę ma jechać. Ludzie szli za nim chętnie, z jego imieniem na ustach, a potem mówili, że znów jest sobą, a przynajmniej niewiele mu do tego brakuje.

Gareth potrząsnął głową. Zielonkawa bladość zniknęła powoli z jego policzków.

- Starcia przygraniczne są na porządku dziennym — powiedział. — Książę Tinan utrzymuje, że jego ziemie sięgają aż po Choggin, choć leżały odłogiem, aż nasi ludzie zaczęli się tam osiedlać. Należały do tenów Choggin i ich ludzi przez więcej pokoleń, niż chce mi się liczyć. A teraz oczywiście doszły jeszcze rodowe wróżdy. Nie, tylko tunika — dodał, gdy Jenny przyniosła ze skrzyni z praniem nowe odzienie. — Jeszcze lambrekin, ten zielony, i kaptur. Muszę się przebrać i wyjść świętować zwycięstwo.
- To było zwycięstwo? — Nie odniosła takiego wrażenia.
- Powiedzmy, że tak brzmi lepiej. — Gareth ściągnął zbryzgana posoką tunikę i sięgnął po świeżą. Skrzywił się, dotykając brudnego płótna, unikając zetknięcia z plamami krwi. — Dziękuję — dodał, gdy Jenny podsunęła mu skrawek płótna do umycia się. — Dobry Królu Bogów, chciałbym nie musieć tego robić.

228

Chciałbym móc po prostu... się położyć. — Przełknął głośno ślinę. — Ojciec jest najwyższym kapłanem królestwa, ale muszę być przy nim, bo zdarza mu się zapomnieć. A szczerze powiedziawszy, jeśli nie potraktuje się ich silną ręką, ci górale jeszcze ostrzej będą nacierali. To nie...

Zawahał się, jego szczupła, wysoka sylwetka pochylała się nad nią, szare oczy mrugały bezradnie, bo dowódcy nie wypada występować w okularach przed zgromadzonymi wojskami królestwa. Jego okryte purpurową tuniką barki zgubiły część niegdysiejszej wiotkości, a ramiona



wzmocniły się od władania mieczem, lecz na jego twarzy malował się przerażający smutek.

— Chciałbym, żeby do tego nie doszło — powiedział cicho. Potem odwrócił się i udał, że jest całkowicie pochłonięty zapinaniem pasa nabijanego złotem i wysadzanego rżniętymi w kaboszony szmaragdami, układaniem wyszukanie fryzowanego, przepieczonego wstążkami lambrekinu, przykrywającego mu plecy motylimi skrzydłami i poszerzającego ramiona. — Chciałbym, żeby wszystko było tak proste jak wtedy, gdy musieliśmy jedynie pokonać i przepędzić smoka. Jak w balladach o Alkniarze i innych dawnych bohaterach. Chciałbym...

Stał do niej bokiem, trzymając w dłoni rękawice ze złota, aksamitu i agatów, a smutne jego spojrzenie aż zbyt wyraźnie ukazywało jego pragnienia. Uśmiechnęła się tak, jakby uśmiechała się do lana, dodając mu otuchy w trudnej sytuacji.

— Cieszę się, że tu jesteś. — Raz jeszcze objął ją kościstym ramieniem. — Brakowało mi ciebie.

Lecz gdy Gareth wyszedł z namiotu, by poprowadzić procesję do ołtarza Czerwonego Boga Wojny, Jenny usiadła ciężko na łóżku, a wspomnienie syna paliło ją w sercu.

Łan żył. Zamknięty w szlachetnym kamieniu, tak jak ten chłopak zamknięty w klejnocie godności królewskiej, pozbawiony wolnej woli.

Przycisnęła dłoń do ust, by powstrzymać rozpacz.

— Mam przynieść ci złota? — zapytała później Morkeleba. Leżała przytulona do przedniej łapy smoka, opierając na ramieniu pożyczoną od

Garetha harfę. W muzyce, w magii ukazanej jej przez gwiazdnego smoka, znalazła chwilową ucieczkę od koszmaru zniewolenia Iana, ponurego uśmiešku, z jakim Caradoc wciskał klejnot w usta duszącej się Lodowej Wiedźmy. — W obozie jest go dosyć. Mogę poprosić Garetha, żeby dał ci parę złotych talerzy i kubków, tak byś miał tutaj muzykę złota.

*Wyczuwam złoto w obozie,* odpowiedział z góry mroczny, powolny głos Morkeleba. Wygiął w łuk swą długą szyję, a nocna bryza wiejąca od Ściany Nast poruszyła lśnącymi wstęgami jego grzywy. *Są takie dni, że moja uwaga skupiona jest właściwie wyłącznie na nim. Widziałem, co złoto zrobiło ze mną przed czterema laty, gdy czarownica Zyerne zniewoliła mnie złotem w gnomiej głębi. Niekiedy wydaje mi się, że jeśli przyjmę puchar, łańcuch czy nawet pojedynczą monetę, pragnienie złota zawładnie mną, a wtedy nie ustane, aż obrócę tę ziemię w perzynę.*

Żarzące się kule wieńczące jego czułki przywabiły świetliki z ciemnego lasu, a głos miał niezwykle zabarwienie, które u człowieka znamionowałoby trudność z dobraniem właściwych słów. Morkeleb jednak nigdy nie miał z tym problemów.

*Złoto obszywa koronką skały Świetlistych Ostrowów, kobieto czarowniku. Ci spośród nas, którzy tam mieszkają, swym oddechem przesycają je magią, wygrzewają się i rozkoszują jego cudownym brzmieniem. Złoto nie jest jedyną rzeczą, której poszukujemy, wędrując między światami, ale jest rzeczą ważną. Przybywszy do miejsca obfitującego w złoto, pozostajemy tam na dłużej.*

*Na Ostatniej Wyspie nie ma złota. Przekonałem się, że przy jego braku myślę inaczej, możliwe stają się medytacje, jakich wcześniej nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić. Nauczyły mnie tego przed laty szare smoki.*

*Powiedziały mi, że aby stać się jednym*

230

*z nich, trzeba odrzucić złoto. Nie rozumiałem, dlaczego jest to niezbędne, a więc nie uczyniłem tego. Ale gdy Zyerne i Kamień w sercu Głębi Ylferdun uczyniły ze mnie niewolnika, ponownie to sobie rozważyłem.*

Zamilkł, prąd jego myśli zanurzył się pod powierzchnię słów niczym puls oceanu.

W końcu powiedział:

*Szare smoki powiedziały też, że odrzuciły magię tak samo jak złoto. Tego nie pojmuję. Magia leży w naturze smoków. Bez magii czymże się staniemy?*

Każdej nocy, i wielokrotnie podczas dnia, Jenny przywoływała obraz Johna. Często widziała go w wielkiej bibliotece w Hal-nath, labiryncie komnat i półek, który przed pokoleniami stanowił świątynię Szarego Boga. Czasami widziała Zgubę Smoków z mistrzem Halnath w jego prywatnym gabinecie — okrągłej komnacie pełnej ksiąg i lamp o ażurowych kloszach — pochylonych nad stołem zawalonym zwojami, tabliczkami, książkami i pękami luźnych kartek. Niekiedy, późno w nocy, widziała go siedzącego samotnie na podłodze, obłożonego księgami i stertami notatek zapisanych nieczytelnym, starożytnym, oficjalnym charakterem pisma. Na półkach i na podłodze w kałużach stearyny stały świece, których blask wydobywał z ciemności kontury lśniących okularów i budził cienie na jego spokojnej twarzy. Raz ujrzała, jak ściska nos dwoma palcami, z zamkniętymi oczami i nieruchomą twarzą, jak gdyby nawet w samotności nie chciał zdradzać przed nikim swoich uczuć.

Za dnia John i mistrz Halnath najczęściej przebywali w Głębi Ylferdun

wśród gnomów, które od wieków utrzymywały bliskie kontakty z mistrzami i z uniwersytetem. Niekiedy ich obraz rozmazywał się i rozpadał pod wpływem magicznych zabezpieczeń, gdyż eleganckie kamienne komnaty Głębi Ylferdun osłonięte były nie gorzej od tych w Tralchet. Rozpoznała Balguba, Sevacandro-zardusa, lorda Głębi Ylferdun, jak i innych z jego rasy, inżynier-

231

rów, sądząc ze sposobu, w jaki oglądali szkice i diagramy rozkładane przed nimi przez Johna. Kręcili głowami, obracali w palcach ciężkie ozdoby ze szlifowanego kamienia, a raz John cisnął szkicem o podłogę i wybiegł z pomieszczenia. Później ujrzała go półnagiętego i umorusanego na pustym dziedzińcu Cytadeli Halnath, pochylonego nad metalową skorupą na wpół ukończonego jeżowca. A więc jednak udało się im dojść do porozumienia, pomyślała. Gnomy zazdrośnie strzegły swoich stopów, silników i tajemnic, ale co smoki to smoki.

Jednym z inżynierów była drobna gnomka, z gęstą chmurą przydymionych, zielonych włosów upiętych w szpice zakończone opalami i sardonyksami. Wskazała na coś w lśniącym zimno silniku i dotknęła korby. John pokręcił głową. Zapytał o coś i złożył palce na kształt czegoś wielkości mewiego jaja. Hotwajs, domyśliła się Jenny, naładowany jakąś energią. Inżynier spojrzała na dwa towarzyszące im gnomy — lordów o wysokim statusie, których klejnoty lśniły jeszcze bardziej ostentacyjnie — i cała trójka ponownie pokręciła głowami.

John poddał się niezadowolony i wspiął się do wnętrza zachodzących na siebie podwójnych kół tworzących kabinę. Zahaczył stopy jak należy i chwycił dźwignie sterujące, po czym powiedział coś do gnomów,

gestykulując. Inżynier pomachała uspokajająco w powietrzu drobnymi, białymi dłońmi.

John zwolnił hamulec.

Jeśli powodem niepokoju Johna była niewystarczająca moc silnika, mógł przestać się martwić. Jeżowiec, zaopatrzony w dwanaście małych kół zamiast, tak jak przedtem, czterech, poderwał się z miejsca niczym wyścigowy koń. John z przerażoną miną trzymał się dźwigni, a gnomy pędziły za nim ile sił w nogach.

John złapał za jedną z przekładni. Kiedy została mu w dłoni, Jenny domyśliła się, że projekt jeżowca wciąż jeszcze nie jest doskonały. Pojazd jak wściekły buhaj zakręcił w kierunku kamiennego muru, John przełożył dźwignie, celując w bramę. Wrota rozsy-

232

pały się w drzazgi, jeżowiec stoczył się z podjazdu na dziedziniec gospodarczy, a dojarki, krowy i kury rozpierzchły się panicznie na boki. Pojazd przebił się przez koryto z wodą, uderzył w porzucone widły do gnoju z zaskakującą precyzją, dzięki której narzędzie pomknęło przez powietrze, zataczając zamaszyste kręgi. John napał całym ciężarem ciała na bok kabiny, by ominąć taczki wypełnione wiadrami z mlekiem, a potem, gdy jeżowiec ruszył prosto na oborę, szarpnął kabiną ze wszystkich sił, jak gdyby chciał skrócić.

Jeżowiec przetoczył się, wywrócił na dach i zarył w stertę śmieci, dwanaście kół wirowało szaleńczo w powietrzu, a John zawisł do góry nogami w kabinie. Nawet gdy pojazd zatrzymał się na wpół zagrzebany w łąjnie i brudnej słomie, koła nie przestały się obracać.

John spokojnie oswobodził stopy z uchwytów i powolnym saltem

opuścił powyginaną kabinę, zapadając się po kolana w błocie. Gnomy zatrzymały się przy nim, dołączając do kręgu dzieci, psów, dojarek, pomywaczy i strażników, podziwiających wciąż jeszcze warczącego entuzjastycznie jeżowca. John start maż z twarzy i poprawił okulary.

Jenny bez problemu odczytała jego słowa z ruchu warg: „Mielście rację, działa, jak powinno. Ale poprawcie hamulec”.

— W sumie to nawet dobrze — zakończyła, opowiadając o tym później Morkelebowi. Następnego wieczoru, po kolejnym dniu wyczekiwania, kolejnym dniu obserwowania punktów orientacyjnych na północy, by przekonać się, że nadal może je ujrzeć, co byłoby niemożliwe po nadejściu legionów Rocklys. Choć nie użyłaby swojej magii przeciwko wojskom Impertengu — a i sam Gareth nigdy jej o to nie prosił — tyle mogła dla niego zrobić. Do tego obłożyła zabezpieczeniami i czarami strażniczymi nowe fortyfikacje wznoszone przez jego ludzi na Moście Córa oraz okopy.

Wraz z zapadnięciem ciemności jej niepokój o lana nieodmiennie przybierał na sile. By go uśmierzyć, wspinała się na wzgórze na

233

tyłach obozu i siadała, zapatrzona ponad snującym się przy ziemi dymem ognisk w skąpane w świetle szarzejące lasy i lśniące strumienie, a jej palce znajdowały nieokreśloną pociechę w starożytnych melodiach, jakie wydobywała z harfy Garetha. Stare ballady, stare łzy, lament dawno umarłych dam za swymi lordami o zapomnianych imionach. Ból i słodycz łączyły się w jedno niczym smakołyki z Południa. Ciemność wypełniona obietnicą światła. We właściwej chwili zjawił się smok.

— Jeżowce trzeba wzmocnić magią — powiedziała na zakończenie swojej opowieści — jeśli mają oprzeć się czarom demonicznym magów.

Magia gnomów różni się od ludzkiej. Może się przydać...

*Wcale się nie różni. Smok poprawił ułożenie zadnich nóg i podrapał się w okolicach upręży z zaplecionej skóry, którą zaczął nosić wokół ciała, tuż przed skrzydłami. Dla ciebie się różni, owszem, tak jak osioł od konia albo kura od kolibra. Ale dla demona są jednakowe. A demon taki jak te, jeżeli prawidłowo je oceniam, zdmuchnie ich zaklęcia z łatwością, jak dziecko gaszące świecę.*

Czasami przyglądała się w kryształach codziennej krzątaniu w Alyn Hołd, przywoływała obrazy Adrica podczas ćwiczeń z bronią oraz Mag, zamęczającej na śmierć nianię i ciotki Johna, wymykającej się do przyjaciółek albo by przeprowadzać skomplikowane eksperymenty przy użyciu krążków i wahadeł ze stodoły. W takich chwilach ból był najbardziej nieznośny, bo dzieci stanowiły głęboko zakorzenioną część jej życia i ciężko znosiła rozstanie z nimi. Cały czas usiłowała wypatrzeć lana, próbując wszystkich sposobów, jakich nauczył ją Morkeleb. Wiedziała, że ewentualne powodzenie sprawiłoby jej jeszcze większy ból, ale i tak próbowała. Niepowodzenia nie odstręczały jej i spędzała wiele bezsennych nocy, zasypiając dopiero, gdy pierwsze ptaki zaczynały śpiewać na powitanie świtu.

A pewnego wieczoru przywołała w kryształach obraz Johna

234

i ujrzała, że zawiązał czerwoną wstążkę wokół epoletu swojego całkowicie niereprezentacyjnego kaftana. Powiedziała wtedy do Garetha:

- Muszę odejść. John coś znalazł.
- Myślałem, że wszystkie zostały spalone. — Polycarp z Hal-nath

otworzył niewielkie drzwiczki w swoim gabinecie, odsłaniając sekretną komnatę, mieszczącą jedynie krzesło, niewielki stolik z zawieszoną nad nim lampą oraz dwie półki książek przykute łańcuchami do pierścienia na ścianie. Zerknął nerwowo na Morkeleba, który skurczył się i przycupnął niczym gagatowy gargulec na ramieniu Jenny. Morkeleb odwrócił wężową głowę i odwzajemnił jego spojrzenie, a wtedy mistrz pospiesznie uciekł wzrokiem.

- Znalazłem je w tomie Clivy'ego. — John podszedł do stołu i opuścił lampę na zaopatrzonym w przeciwwagę łańcuchu. — Clivy jest konkursowym idiotą w sprawach rolnictwa, a z tego, co wyczytałem tutaj, na kobietach znał się jeszcze mniej — ma tytuł *Dlaczego pleć żeńska jest pośledniejsza od męskiej* — ale nigdy wcześniej jej nie czytałem. A w środek wetknięte było to.

Na stole leżały cztery arkusze papirusu, pożółkłe ze starości i pęknięte pośrodku, w miejscu dawnego złożenia.

— Z charakteru pisma zgaduję — powiedział Polycarp, zamykając za nimi drzwi — że spisane zostały przez Lytha od Demonów. Był tutejszym kapłanem Szarego Boga w czasach wojen rodowych. Ówczesny mistrz rozkazał poćwiartować go żywcem za konszachty z demonami, a wszystkie jego księgi i notatki powędrowały w ogień. Według katalogów ten tom Clivy'ego należał do biblioteki, dlatego ocalał.

- Pokrywała go niewiarygodna warstwa kurzu — uzupełnił John i przycupnął na rogu stołu. — W sumie nic dziwnego. Gdybym chciał przechować jakieś kompromitujące dokumenty, Clivy byłby najlepszą kryjówką.



- A czy ten cały Lyth rzeczywiście paktował z demonami?

235

— Jenny dotknęła krawędzi papirusu. Caerdinn nauczył ją odczytywania trzech czy czterech rodzajów pisma, w tym gnomich run będących w użyciu w Wyldoom i Ylferdun, ale wiedza starca była boleśnie ograniczona. Kilka spisanych nierównymi literami słów rzuciło się jej w oczy: „brama” i „klucz” były jej znajome, podobnie jak „erlik”, oznaczające Piekielny Pomiot w dialekcie Kresów. Lecz, co więcej, poczuła, że sam papier przesycony był ciemnością, jak gdyby długo leżał w pomieszczeniu wypełnionym dymem smażącej się krwi.

Cofnęła rękę, uzyskawszy odpowiedź na swoje pytanie.

- Cała sprawa została załatwiona po cichu, ze względu na niepokoje w królestwie — dodał Polycarp. — Ale to prawda. W Cytadeli miały miejsce dwa wypadki ataków iblisa, dwa kolejne odnotowano w tym samym czasie w Głębi Ylferdun. Jeden z nich wydarzył się już po wtrąceniu Lytha do lochu, ale gdy ludzie mistrza przetrząsnęli jego dom, rozbijając i paląc wszystko, co znaleźli, zapanował spokój.
- A więc używał czegoś w swoim domu jako bramy — stwierdziła Jenny.
- Z tych zapisków wynika — John wskazał na cztery arkusze papieru — że była to szklana kula zanurzona w wypełnionej krwią misie, choć Bóg jeden wie, co jego sąsiedzi mieli do powiedzenia na temat much. Zapewne niewiele, przynajmniej w cztery oczy. Ale Lyth wspomina tu o innych wrotach demonów i że jedne z nich znajdowały się w nadmorskiej jaskini na wyspie Urrate...

- Urrate? — Jenny poderwała szybko głowę. — To zatopiona wyspa...
- Na północ od Somanthus — uzupełnił John. — Somanthus, skąd pochodzi Caradoc. Lyth — o ile to notatki Lytha — twierdzi, że te wrota zostały zablokowane, gdy Urrate zatonęła podczas trzęsienia ziemi, ale to by wyjaśniało moje sny, w których te istoty wychodziły z morza, jak i sprawę studni na dziedzińcu w Corflyn. Każdy zbiornik z wodą można czarami zamienić w bramę.

236

Morkeleb ześlizgnął się po ramieniu Jenny i teraz przysiadł na blacie stołu, kołysząc głową nad papierami niczym wąż, a diamentowe iskry jego czułek przypominały świetliki w ochrowym mroku. Zasycał jak kot, a jego ogon kołysał się na boki, niezależnie od nieruchomego ciała.

- Morskie demony, tak określa je Lyth w swoich zapiskach — powiedział Polycarp. — Nie opisuje ich... to nie one przychodziły do niego ze szklanej kuli i krwi. Ale to jedyna nowa wzmianka o smokach z Ernine, jaką udało się nam znaleźć.
- Nie pojawia się w nich imię Isychrosa — dodał John. — Ale opowiadają, jak starożytny mag zniewolił smoki — ani słowa o czarodziejach — dzięki układowi, jaki zawarł z demonami przywołanymi zza zwierciadła. A teraz najciekawsze. — Poprawił okulary i odszukał właściwy fragment manuskryptu. — Proszę bardzo: „Demony nieustannie wojują między sobą, jako że demony z jednego piekła torturują i pożerają demony z innych piekieł podobnie jak ludzi. Tak więc magia Piekelnego Pomiotu może zostać użyta przeciw innym przedstawicielom tej rasy”. — Spojrzał szybko na

Morkeleba. — Słyszałeś coś o tym?

*Słyszałem, mroczny głos smoka zamruczał w głowie Jenny. Piekielny Pomiot nieprzerwanie poszukuje dróg prowadzących do tego świata, gdyż serca i ciała żywych istot są dla nich tym, czym złoto dla smoków, środkiem sztuki, która dostarcza im przyjemności. Spijają ból, tak jak smoki spijają muzykę zamieszkującą złoto. Słyszałem też, że jedne demony mogą spijać ból innych i że tak robią.*

— Więc być może to właśnie zrobili magowie z Prokep, by pokonać smoczą armię. Wcale nie użyli ludzkiej magii, tylko za warli układ z...

Smocze czułki wyprostowały się sztywno, jego oczy, maleńkie okruchy opalu, zapłonęły strasznym ogniem w ciemności.

*Nawet nie myśl o tym, Tkaczu Pieśni, by pojechać do ruin Ernine i szukać ratunku za taflą zwierciadła Isychrosa. Złą rzeczą są jakiegokolwiek kontakty z mrocznym rodem. Nie udzielają pomocy za*

237

*darmo, a danina, jakiej żądają, niesie zgubę nie tylko tym, którzy zawierają z nimi układ, ale i wszystkim, z którymi się stykają.*

—Emine? — Polycarp obrócił gwałtownie głowę. — Nikt nie wie, gdzie się znajdowało. Kroniki wspominają o nim, ale...

*Po zdobyciu przez smoki miasto zostało zniszczone, powiedział Morkeleb. Ale później na jego ruinach wyrosło nowe miasto. Nazwano je Syn, od imienia boga, któremu oddawano w nim cześć.*

—Syn? Masz na myśli Sine, ruiny u źródeł Gelspring? — zapał zabarwił głos mistrza. — Tam było Emine? Jesteś pewien?

Morkeleb obrócił głowę i Polycarp raz jeszcze zmuszony był

pospiesznie uciec wzrokiem przed spojrzeniem smoka. Jenny dostrzegła bursztynowy żar smoczych nozdrzy i poczuła, jak żar jego gniewu niczym pustynny wiatr przenika jej umysł.

*Oto, do czego prowadzi, powiedział smok, przybieranie rozmiarów ratlerka; robaki, których pamięć z trudem obejmuje pojedynczy obrót księżyca w jego długim tańcu ze słońcem, pytają, czy jestem pewien istnienia miast, które na moich oczach zakładano i obracano w perzynę, by założyć je ponownie i znów zamienić w rumowisko. Też coś!*

Głęboko zawstydzony Polycarp przeprosił go, ale Jenny prawie go nie słyszała. Docierało do niej niewiele, z wyjątkiem słów: *Tak więc magia Piekielnego Pomiotu może zostać użyta przeciw innym przedstawicielom tej rasy.* Czuła się tak, jakby dech zastygł jej w płucach, a serce pokryło się lodową skorupą.

„łan”.

John położył dłoń na jej ramieniu, szepcząc jej do ucha:

— On ma rację, kochanie.

Jenny spojrzała na niego szybko.

- Cokolwiek zrobimy, by poradzić sobie z Caradokiem i jego robalami, szczucie jednych demonów na drugie tylko pogorszy sytuację, zarówno naszą, jak i następnych pokoleń.
- Wiem — odparła, odwracając spojrzenie.

Ale podczas kolacji i jeszcze długo później, czytając zwoje, ta-

238

bliczki i księgi w bibliotece Halnath, nie potrafiła przegnać tych słów z głowy, podobnie jak myśli o lanie, uwięzionym we własnym ciele i w szafirze ze szkatułki Caradoca. Kiedy zasnęła, myśli o nim i jego obraz

towarzyszyły jej we śnie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

We śnie Jenny zawędrowała do Ernine, złotego miasta u źródeł Geispring, gdzie sady kwitły na żyznej glebie w zakolu rzeki. We śnie ujrzała je takim, jakie było w czasach maga Isychrosa, bohaterów Alkmara Pomazańca Bożego i Óontesa od Śpiewającej Liry. Przeszła przez targowisko rozciągające się u podnóży fortecznego wzgórza i wspięła się krętym szlakiem do pałacu z piaskowca i marmuru, gdzie w kolumnadach złotowłose damy dworu tkwały płótno.

Wydawało się jej, że ktoś, kto szedł pół kroku za nią, pyta:

— Zastanawiałaś się kiedyś, kim był ten Isychros, piękna pani? Gdzie mieszkał i jakim był człowiekiem? W jego żyłach płynęła królewska krew. A jego oczy lśniły niczym szmaragdy w słońcu.

Kiedy odwróciła się do mówiącego, ujrzała tylko pustkę. Lecz gdy ruszyła pospiesznie dalej, czuła na ramieniu czyjś delikatny dotyk.

Wtedy ogarnął ją lęk i zatęskniła za Johnem. Ale John spał u jej boku, w cudzym łóżku w Cytadeli Halnath, a ona znajdowała się w Ernine, przed tysiącem lat, sama.

Zeszła po niskich schodach i ujrzała, że otynkowane, kamienne mury ustępują miejsca surowemu koścowi wzgórza. Tynk pokryty był malowidłami przedstawiającymi antylopy, wielkie czarne królewskie gazy o niezwykle długich, zagiętych do tyłu rogach,

jakich nie widywano już w pobliżu Ściany Nast. Skądś wiedziała, że całe ich stada pasą się zaledwie kilka mil od miejskich murów. Nieopodal ktoś wygrywał na harfie smutną, wyciskającą łzy z oczu melodię. Gdy ciepło wezbrało pod jej powiekami, usłyszała za sobą zduszony chichot, śmiech z jej słabości, i coś jeszcze. Z wysiłkiem odpędziła łzy.

W skale wyciosany był korytarz, jego sufit pokrywały namalowane gwiazdozbiory. Wśród gwiazd wisiała kometa, ciągnąca za sobą rozpustny warkocz. Kotary zasłaniały wejście do korytarza, kolejne przegradzały go parę stóp dalej, następne grubymi warstwami materiału przykrywały drzwi na jego końcu. Ukryta za nimi okrągła komnata udrapowana była nimi z wyjątkiem sufitu, gdzie także namalowane było nocne niebo oraz kometa, jaśniejsza i chłodniejsza niż poprzednia.

W komnacie znajdowało się zwierciadło. Było większe, niż sobie wyobrażała, miało co najmniej pięć stóp wysokości. Wykonano je z dziwnego, opalizującego, niebieskoróżowego szkła, które jeszcze teraz znaleźć było można w najstarszych ruinach na Południu, a materiału, w który zostało oprawione, nie znała. Cokolwiek to było, wydawało się przepalać szkło, gdyż wstęgi pary unosiły się z jego powierzchni, choć gdy podeszła bliżej, nie poczuła gorąca. Boki zwierciadła wykonane były z mglistego srebrzysto-szarego metalu, lśniącego niepokojąco w ciemności. Krzywizny i kąty przyciągały wzrok, niczym dostrzeżona nagle plama ciemności.

Płomyki brązowej lampy podwieszanej pod sufitem pośrodku komnaty odbijały się ze zdwojoną mocą w rozpalonej głębi zwierciadła. Za nimi ujrzała odbicie ustawionego pod lampą stołu, krzesła stojącego naprzeciw zwierciadła, samą siebie w pożyczonej czerwono-niebieskiej sukni. Choć

jej uszu znów dobiegł znajomy chichot, zwierciadło nie ukazywało nikogo więcej.

Ale ktoś powiedział — o może tylko tak się jej wydało: *Pogaś lampy, Jenny. Dobrze wiesz, że lustra odbijają światło i oślepiają*

240

*tych, którzy w nie zagląдают, tak że widzą jedynie siebie i to, co im się wydaje, że widzą.*

Nie ruszając się z miejsca, zgasła lampy.

Wtedy, w ciemności, ujrzała to, co tłoczyło się za szkłem po drugiej stronie. Obserwując ją, uśmiechając się, znając jej imię.

Obudziła się z krzykiem, a raczej usiłując krzyczeć, lecz z jej gardła dobiegało jedynie stłumione szlochanie. John potrząsnął nią, wyrывая ją z objęć koszmaru i snu. Chwyciła się go kurczowo w ciemności, czując znajomy i niosący ulgę zapach jego nagiego ciała, słysząc kojący głos powtarzający raz za razem: *Już dobrze, Jen, już dobrze*, podczas gdy jego dłoń gładziła ją po policzku.

Ale Jenny wiedziała, że to nieprawda.

O świcie, po długotrwałym wpatrywaniu się w kryształ, wodę, wiatr i dym w poszukiwaniu znaków nadciągającej z za Wildspae armii Rocklys, poleciała z Morkelebem na południe, na Siedem Wysp. Jako że przelatywali nad samym sercem królestwa, Jenny opatuliła ich oboje czarami niewidzialności, w czym ludzie byli znacznie lepsi od smoków; Gareth i tak miał dosyć kłopotów na głowie. W dolinie Wildspae i na zielonych ziemiach Belmarie, gdzie Wildspae i Clae łączyły swe nurty, zagrody były dostatnie, a na polach dojrzewał obfity plon. Jenny z goryczą w sercu porównywała je z Zimowymi Krainami. Potem wylecieli nad

morze, kierując się ku sześciu żyznym wyspom stanowiącym największe bogactwo królestwa i ku ciągowi szarych skał znaczącemu miejsce, w którym niegdyś znajdowała się Urrate.

Morkeleb wylądował wśród strzaskanych kolumn świątyni stanowiącej jedyną pozostałość akropolu Urrate. Fale uderzały o brzeg zaledwie kilkanaście stóp dalej. Morskie ptaki zataczały szybkie kręgi nad ich głowami, przysiadając na omszałych ramionach posągu Wielkiego Boga. Maki i morska trawa kołysały się na wietrze. Dookoła Jenny dostrzegła marmur bielejący niczym kości w mrokach morza.

241

Smok zakołysał się na zadnich nogach, kiwając głową nad falami, utrzymując równowagę za pomocą skrzydeł i ogona. Jenny uwolniła stopy z uprzęży opasującej jego cielsko, ześlizgnęła się z jego grzbietu i usiadła w chłodnym blasku słońca. Węsząc, wypatrując, podążając coraz głębiej, w ślad za myślą Morkeleba, między falujące leniwie skórzaste lasy wodorostów oraz okruchy zatopionych świątyń i murów miasta. Poszukując woni zepsucia.

Nie znajdując jej. Z góry dobiegała pieśń Morkeleba, lśniąca, błękitna muzyka zanurzająca się w otchłanie, gdzie nie docierały promienie słoneczne, i po pewnym czasie odpowiedziały jej inne nuty. Świsty i zawodzenie, głębokie pulsujące echo. Zmysłem Morkeleba ujrzała wznoszące się ku powierzchni kształty, o czarnych grzbietach i bladych brzuchach, o mądrych starych oczach połyskujących w zagłębieniach skórzastego ciała. Wielkie płetwy gładziły wodę, sterując na podobieństwo smoczyc skrzydeł, olbrzymie ogony zdolne strzaskać łódź były źródłem ich siły i prędkości. Wynurzyły się jednocześnie, czternaście ciemnych jak



łupek grzbietów rozcinających wodę, czternaście fontann wody wyrzuconych w powietrze migoczącymi w słońcu obłokami. Potem znieruchomiały na powierzchni, kołysząc się lekko, rozkoszując się ciepłem, nieznanym w chłodnych głębinach, nie dalej niż trzydzieści stóp od skał, na których usadowił się smok, a najstarszy z nich zapytał Morkeleba, dlaczego ich wezwał.

*Demony*, Morkeleb ukazał je w swoim umyśle. Jenny, przyglądając się i przysłuchując, wchłaniała obrazy i to, jak czarny smok je ze sobą zestawiał, w sposób odmienny, całkowicie odmienny od mrocznego głosu, jakim przemawiał do niej w myślach. Powolne, długie wizje szpetoty i nienawiści, zgorzkniałej zielonej magii niczym trucizny rozchodzącej się w wodzie. Choroba, cierpienie, ślepotą, śmierć. Dusze tonące w bezdennej otchłani niczym delfin zaplątany w wodorosty. Mroczne skały u korzeni wyspy? Żar bez światła? Para wylewająca się w morze?

Wieloryby głębi odpowiedziały. Nie pod Urrate, lecz pod So-

242

manthus, tam gdzie zachodni brzeg wyspy opadał ku wielkiej rozpadlinie. Tam znajdowała się ognista brama. Sny o mądrości bez wysiłku. Sny o mocy przyzywającej olbrzymie ciepłe masy planktonu, obietnice nowych opowieści, nowych pieśni, pięknych i zadziwiających. Sny wznoszące się ku mieszkańcom Somanthus. Człowiek, który zwykł spacerować po plaży, by badać fale, poznawać zwyczaje delfinów, wpatrywać się w gwiazdy przez niewielką tuleję. Morski mag Zabójca Ośmiornic nie wiedział, co począć, ale było oczywiste, że coś należy zrobić, by uniknąć jeszcze większego zła.

*Popłyniesz z nami, kobieto czarowniku, by obejrzeć te istoty?*

Jenny otoczyła się Przywołaniem Powietrza i chwyciła się smoczej uprzęży, gdy Morkeleb zsunął się ze skał. Woda była zimniejsza, niż się spodziewała. Włosy ciągnęły się za nią niczym wodorosty, a morscy magowie otoczyli ich, w swoim naturalnym żywiole już nie ociążali, a nieważcy jak nasienie dmuchawca i zwinni jak ptaki. Przemknęli alejami zatopionego miasta, gdzie wodorosty wychylały się z okien zrujnowanych domów, a marmurowe posągi spoglądały smutno spod masek pąki i ślimaków. Głębiej panował lodowaty chłód i nieprzenikniony mrok.

Nie zbliżali się zbyt do otchłani zamieszkaney przez demony. Jenny i tak je wyczuwała, ich woń przesycala wodę, tak że trzęsła się z odrazy i przerażenia. W dole bezkresnego stoku rozpadliny wśród skał tańczyły zielonkawe światła. Na skalnych półkach widziała szklane muszle rozrzucone przez morskie demony i wydało się jej też, że dostrzega poruszające się obiekty, rozdęte i kolczaste, niepodobne do kształtów, jakie przybierały w górnym świecie.

*Podgryzają skały, odezwał się Zabójca Ośmiornic w jej głowie dźwiękiem powolnych srebrzystych pęcherzyków powietrza. Wszystkie korzenie Urrate poprzecinane, zerodowane, wypłukane. Całymi latami, bez końca. Zapadająca się wyspa, zamykająca się w mroku. Bezmierne, ekstatyczne szlochy morskich demonów w obliczu tyłu śmierci.*

243

Jenny usłyszała ich echo za pośrednictwem umysłów morskich magów, grom rozkoszy wywołany pochłanianiem takiego cierpienia i trwogi.

Morkeleb obrócił się pod nią niczym węgorz. Otoczeni przez wieloryby powrócili na powierzchnię, a wiatr wysuszył jej ubranie, gdy w zapadających powoli ciemnościach lecieli do Jotham. Żadne z nich się nie

odzywało. Tej nocy Jenny znów śniła o krypcie pod ruinami Ernine, widząc istoty spoglądające zza płonącego zwierciadła. Zbudziła się samotna i złana zimnym potem w swoim namiocie. Wstała i wspięła się na wzgórze na tyłach obozu w ciepłym, letnim mroku, gdzie jeszcze mroczniejszy kształt rysował się na tle granatowego nieba. Położyła się między jego wielkimi pazurami i zasnęła, a sny o istotach zza zwierciadła już nie powróciły.

John przybył do obozu dwa dni później, prowadząc płaskodenny wóz zaprzęgnięty w dziesięć mułów, załadowany dwoma pierwszymi jeźwocami. Towarzyszyły mu drobna zielonowłosa gnomka inżynier, którą Jenny widziała w swoim kryształ — na użytek ludzi przybrała imię Tee — oraz gnomia czarodziejka Ta-seldwyn, nazywana przez ludzi panną Mab. Wraz z nimi podróżowali także Ector z Sindestay, podskarbi Garetha wiozący dokumenty, które można było powierzyć pierwszemu lepszemu gońcowi, oraz młodziutki wojownik z gwardii Polycarpa, pospiesznie przeszkolony w sztuce kierowania jeźwocem.

Ze skraju lasu wojownicy Impertengu przyglądali się podejrzliwie, jak John, panna Tee i halnacki gwardzista Elayne demonstrowali Garethowi działanie jeźwoców. „Pewnie nadal sądzą, że to wymierzone jest przeciw nim”, pomyślała Jenny. Konie prychały i szarpały wodze, gdy przysadziste kolczaste owale przetaczały się ze szczękiem po dziedzińcu, miotając na wszystkie strony harpunami. Gareth wzdrygnął się i uskoczył pod osłonę solidnie umocnionego nasypu, dołączając do Jenny, lecz zaraz wychylił się, by pomacać czubek harpuna. Pocisk przebił dwie warstwy desek, grubsze od długości palca Jenny.

- Pomysłowe, przyznaję — pochwalił z umiarkowanym entuzjazmem lord Ector — ale kosztowne. — Był niewysokim mężczyzną, tęgim i śniadym, młodszym, niż można by wnioskować z jego łysiny. Nie zważając na brud obozu, ubrał dworski lambrekin, błękitny i biały. Nie miał w sobie nic z samouwielbienia Garetha, z jego śmiesznym przepychem zdobnego stroju. Jenny z miejsca spostrzegła, że strój dworzanina służył mu do jednoznacznego zaimanifestowania swego pochodzenia i praw przed pospólstwem.
- Ale tanie jak za tę cenę. — John wysunął się z wjazdu jeźowca i ostrożnie ześlizgnął się między kolcami na ziemię. — Tak długo, jak będą gotowe do akcji, możemy spać spokojnie. — W ślad za nim z pojazdu wysiadł młody halnacki łucznik. Zgodnie z sugestią Polycarpa jeźowce zostały powiększone na tyle, by w ich wnętrzu mógł się zmieścić drugi członek załogi, którego zadaniem był odpalanie harpunów i, w razie potrzeby, podkręcanie silnika. — Jak będzie trzeba, możecie jeszcze trochę podnieść podatki w Zimowych Krainach, nie? — dodał złośliwie i zerknął znacząco na strój Ectora.

Ector odpowiedział mu zabójczym spojrzeniem.

- Nasi ludzie przygotowują truciznę do harpunów — wtrącił pospiesznie Gareth, wskazując na obóz. — Posłałem dwa listy do księcia Tinana, ostrzegając go przed atakiem ze strony czarodziejów na smokach i oferując rozejm w zamian za pomoc wojskową, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.
- Uparte wsioki — mruknął Ector.
- Czy nie padli aby w przeszłości ofiarą podstępów? — John strzepnął

pył z połatanych rękawów, a zirytowany Ten Sindestray odpędził obłok kurzu kółkiem usztywnionego jedwabiu. — Musisz przyznać, że w chwili, gdy garnizony z całego królestwa maszerują w tę stronę, zapewnienia przyjaźni nie brzmią szczególnie szczerze.

- To nie ja zerwałem ostatni rozejm — wykrztusił Gareth, oblewając się rumieńcem. — To...

245

— Jak i zapewne nie Tinan spalił farmy, przez co zginął jego ojciec — zauważył John. — Z mojego doświadczenia wynika, że tak właśnie te sprawy wyglądają, synu. Jen — mówił dalej — dacie radę z Mab obłożyć tyle harpunów klątwami śmierci?

Jenny skinęła głową, wzdrygając się w duchu na samą myśl o tym.

Podobnie jak Gareth — tak samo jak Ian i John — tkwiła w niewoli klejnotu konieczności.

Wzięła głęboki oddech.

— Dziś rano, gdy wypatrywałam w kryształach brodów na rzece Carrick, ujrzałam tylko mgłę, fragmenty obrazów, lasy dziesięć mil od rzeki. Są blisko. A Rocklys wyśle smoki przodem.

Ector spojrział w niebo, jak gdyby spodziewał się, że ujrzy na nim miotających ogień wrogów.

— Lepiej poślijcie po wszystkie jeżowce, jakimi dysponuje Polycarp.

Podczas gdy Gareth cierpliwie zajmował się listami od rady, Jenny kreśliła kręgi mocy wokół ustawionych na placu marszowym jeżowców, ściągając na siebie nieufne i niechętne spojrzenia żołnierzy. Przywołała caładostępną moc z ziemi i wzorów wód w jej głębi — z prądów rzeki i

starannie dobranych kombinacji skał na wzgórzach — z obrotów niewidocznych gwiazd. Potem metodycznie wplotła te zaklęcia w przysadziste niewielkie maszyny. Swoje oparte na ludzkiej i smoczej magii czary powiązała z gnomimi zaklęciami panny Mab, wpierw przy pojazdach, a potem na ostrych, zębatych grotach zatrutych harpunów.

— Nienawidzę zaklęć śmierci — powiedziała Jenny, prostując obolałe plecy i odgarniając z twarzy kosmyki włosów. Za chodzące słońce przydawało powietrzu miedzianego zabarwienia, a jadowity dym palił w gardle; gniew posępnych żołnierzy znośzących drewno pod wrzące nieprzerwanie kotły szemrał w jej głowie niczym nurt niewidocznego strumienia. — I mam wrażenie, że im starsza jestem, tym bardziej ich nienawidzę. A jednak —

246

skinęła ze zmęczeniem na stertę żelaznych bełtów — a jednak oto znów je rzucam.

Ręce jej drżały, gdy to mówiła. W ciągu ostatniej godziny dwukrotnie powracała na piaszczystą wydmnę za nasypem, by odtworzyć własne kręgi mocy i wlać w siebie, w swoje zaklęcia, jeszcze więcej potrzebnej jej siły i magii. Mab czarowała przez całe popołudnie bez jednej przerwy. Jenny nie mieściło się to w głowie.

Gnomia czarodziejka, przycupnąwszy na baryłce, przechyliła głowę i spojrzała na kobietę, pulchną dłonią osłaniając swe blado-niebieskie oczy.

- To z miłości — powiedziała po prostu. Dłoń Mab była jeszcze drobniejsza niż jej, drobniejsza nawet niż Adrica, lecz mocna i ciężka jak u górnika. Obie kobiety pozbyły się całej biżuterii, zaplotły długie włosy i przebrały się do pracy w szorstkie lniane koszule, które po

wszystkim można było bez żalu spalić. Wystające spod rąbka sukni stopy gnomki przypominały grudy umięśnionej skały.

- Im więcej lat żyjesz, tym mocniejsza jest twa miłość: do Johna, do twych dzieci, do Garetha; do twojej siostry i jej rodziny, do całego świata. I w miarę jak rośnie twa miłość, rośnie ona do każdej kobiety i mężczyzny, do gnomów, wielorybów, myszy i nawet smoków. — Panna Mab odłożyła trzymany na kolanach harpun i sięgnęła po następny. Broń ustawiona była wokół nich niczym snopki zboża, a czubki i krawędzie grotów były czarne od trującej mazi.

Jenny zadrżała, gdy przypomniała sobie Johna stojącego między ścianami ognia, trzymającego czarny rogowy łuk w pewnej dłoni. Celującego w ich syna.

— Istnieje inny sposób?

Szerokie usta Mab ułożyły się w grymas, który można było poczytać za uśmiech.

— Dziecię, oczywiście, że istnieje — powiedziała. — Lecz nie dla czterdziestopięcioletniej młódki, stojącej na tym rozwidle-

247

niu. Czas trwa długo — dodała. — Miłość trwa długo. — Potem podniosła wzrok, uśmiechnęła się i zamachała do Johna maszerującego przez piaszczyste pole śmierci w samej koszuli, niosącego oburącz gliniany dzban lemoniady.

Smoki spadły z nieba ciemną nocą.

Wiedząc, że magowie i smoki doskonale widzą w ciemnościach, Gareth zadbał o to, by część jego ludzi czuwała pod bronią w nocy. Gdy mokra od potu Jenny pochyliła się nad śmierzącymi harpunami, usłyszała w mroku

swego umysłu głos Morkeleba: *Kobieto czarowniku, nadlatują*, a chwilę później ujrzała jego ciemną sylwetkę na tle gwiazdzistego nieba.

— Nadlatują — powiedziała absolutnie spokojnym tonem. Panna Mab podniosła głowę. W tym czasie Jenny zdążyła odwrócić się do najbliższego żołnierza. — Nadlatują. Smoki. Teraz. Po wiadom Jego Wysokość, że trzeba zaalarmować obóz.

Chłopak wytrzeszczył na nią oczy, otwierając szeroko usta.

- Hę?
- Powiadom Jego Wysokość, galopem! Ja lecę im na spotkanie.
- Hę? — Potem obrócił się w miejscu, przyciskając pięść do ust w geście przerażenia. — Na brodę Gronda!

Morkeleb zawisł nad kłębiącym się dymem niczym upiorny, krwisty szkielet.

- Uwane! — Młody żołnierz chwycił najbliższy harpun, ale zniecierpliwiona Mab wyrwała mu go z ręki.
- Nie ten smok!
- Idź do Jego Wysokości! — powtórzyła Jenny, popychając młodzieńca. — Dalej! Biegiem!

Mab bez słów podała jej harpun, a sama podniosła dwa kolejne, przymocowując je sobie do pasa. Dookoła zaczęła się krzątanina, ludzie biegali, wymachując bronią i pokrzykując: „Smoki! Smoki!” oraz: „Uwang!”, burząc spokój nocy. Jenny pomyślała,

248

że pojawienie się Morkeleba przynajmniej postawiło obóz na nogi.

Potem z ciemności wynurzył się mroczny szpon i zacisnął się wokół jej



talii.

*Spójrz na północny wschód, powiedział Morkeleb, gdy wzbijali się w powietrze, a gorący krąg dymu i ognia wokół kotłów skurczył się do serca czerwonego kwiatu, otoczonego kręgami słabszych świateł. Ku krawędzi Ściany.*

I Jenny ujrzała ich.

Było ich siedem, siedem smoków, trzymających się skalnej ściany, wykorzystujących cień góry. Byстрыm, smoczym wzrokiem dostrzegła je, mimo ciemności rozpoznając ich kolory i muzykę ich imion: Centhwevir niebieski i złoty, Nymr niebieski i błękitny, Enismirdal żółty jak jaskry, Hagginarshildim zielona i różowa. Pozostałe trzy były za młode, by ich imiona znalazły się w spisach, ale zauważyła białą-szkarłatną smoczycę, której dosiadał Bliaud podczas ataku na ich obóz w lesie Wyr. Pozostałe dwa, jeszcze młodsze, cechowały się przepyszną gamą odcieni, gdyż nie zaczęły jeszcze kształtować i odmieniać barw łusek na wzór wewnętrznej muzyki swych serc. Nawet z tak wielkiej odległości miała wrażenie, że dostrzega ich ślepią, mrok zalegający ich oczy, zamglone niczym potłuczone szkło.

łan dosiadał Nymra. Świadomość tego faktu przeszła jej serce jak włócznia.

*Nie myśl, że chłopak na grzbiecie Niebieskiego jest twoim synem, kobieto czarowniku, powiedział Morkeleb. To demon przybrany w jego ciało.*

*Jeśli dom spłonie, odparła Jenny, opierając harpun na udzie, czując na ramieniu ciężar dwóch pozostałych, wędrowiec nie będzie miał dokąd powrócić.*

Nie mieli czasu na dalsze słowa czy myśli. Stopiła swój umysł

249

i serce ze smoczymi, splatając żelazo i złoto ich mocy, i tak złączeni zaatakowali.

Jenny otoczyła ich zaklęciami, mającymi ukryć ich, osłonić i uniemożliwić wykrycie. Ale Centhwevir i pozostałe smoki rozdzielili się, spadając na Morkeleba ze wszystkich stron, najwyraźniej nie mając kłopotu z dostrzeżeniem ich. Młodsze trzymały się w tyle — Jenny przez mgnienie oka zdążyła się zastanowić, kim był czarodziej, którego Rocklys wydała Caradocowi jako siódmego jeźdźca — pozwalając, by większe i silniejsze smoki, Centhwevir, Nymr i Enismirdal, zabrały się do Morkeleba. Centhwevir był większy od czarnego smoka, ale Morkeleb był znacznie szybszy i zwinniejszy. Plunął ogniem na jeźdźców, zmuszając gwiazdne smoki do odwrotu i zmiany kursu, by ich osłonić, po czym wykręcił pętlę i zanurkował, uderzając w ich podbrzusza, gdzie kolce nie chroniły lśniących łusek.

Kuląc się wśród kolców ze stopami umocowanymi w skórzanej uprzęży, palona kwasem wrogich smoków, Jenny patrzyła i wyczekiwała, gromadząc wokół siebie moc i starając się użyć jej jako tarczy i zasłony. Ale wszystkie czary maskujące spływały po niej jak woda, jakby obrzucała smoki garściami liści i piasku. Oczywiście Morkeleba widziała, jak smoki rozpływają się w wirujące kolorowe płomienie, łuki płonącego ruchu, przemieszczające się nieprzerwanie, nieuchwytnie dla oka. Koncentrując się i używając całej swojej mocy, Jenny co jakiś czas odkrywała ich prawdziwe kształty, umożliwiając Morkelebowi

przeprowadzenie ataku, lecz czarny smok mógł jedynie bronić się i wycofywać.

Za nimi, w dole, obóz szykował się do boju. Na murach rozbrzmiewały okrzyki, ciche jak brzęczenie muchy. Ile czasu upłynęło? I ile będą potrzebowali? Czas rozpływał się i rozpadał, wirując na podobieństwo atakujących smoków.

Jen w umyśle czuła uścisk i drapanie dziwnej, zawodzącej mocy morskich demonów, przyciągającej ją, szarpiącej myśli. Pragnącej jej. Znającej ją.

250

A najgorsze było to, że w głębi serca ona także ją znała.

Przywołała swoją moc, czerpiąc ją z serca i szpiku kości. Lecz magia zdawała się jedynie karmić ich pragnienie, i demoni zew stawał się jeszcze słodszy, napływając falami sennej mocy. Lśniące skrzydła rozdzierały mrok, szpony wbijały się w ciało. Raz ujrzała ociekającą kwasem paszczę rozwierającą się nad jej głową i miotnęła w nią ze wszystkich sił harpunem, lecz zaraz jakby zasłona opadła nań i nie widziała, czy w ogóle trafiła. Wiedziała tylko, że nadal żyje, a w dłoni nie ma harpuna.

Obóz rozciągał się pod nimi. Ognie, krzyki ludzi, strzały mknące w górę i opadające bezsilnie na ziemię. Jej umysł płonął od wysiłku, jakiego wymagało przywoływanie mocy, czerpanie własnej siły i siły Morkeleba, wznoszenie metalowej, przeżeranej kwasem ściany z magii ich złączonych dusz. Wirowanie świata przyprawiało ją mdłości, więc kurczowo zacisnęła dłonie na rzemieniach. Roztańczone gwiazdy, dym i smród zaklęć śmierci paliły ją w płucach. Ujrzała w dole jeżowce, harpuny mknące na spotkanie nurkujących smoków — z ich trajektorii poznała, że

ludzie w pojazdach także zmagali się z urokami demonów i niszczy-  
cielskimi zaklęciami.

Błękit z niebieskim, skapany i zabarwiony czerwienią ognia, ognia odbijających się w martwych złocistych ślepiach. Bijące ciężko skrzydła, obniżające się szpony, potem nieruchoma biała twarz, czarne włosy rozwiane jak jej własne, martwe niebieskie oczy, rozjaśnione samotną, obłąkańczą iskrą.

Jej serce stopione było ze smoczym, umysł złączony z umysłem smoka. Więc smoczym umysłem Jenny wykrzyknęła do niego: *tan!*. Rozpaczliwie pragnąc, by ją usłyszał, *tan!*

I niczym haki zatapiające się jej w umyśle poczuła, jak demony chwytają ją. Mimo wszystkich osłon, wszystkich zabezpieczeń, zupełnie jakby w ogóle nie istniały. Jak coś zupełnie nieoczekiwanego, na co była kompletnie nie przygotowana nawet w najbardziej szalonych snach, moc płynąca ze źródła będącego poza gra-

251

nicami jej poznania. Jak coś, o czym nie słyszała przez całe swoje życie.

Jak miłość.

Tego jednego nie można było znaleźć w żadnej opowieści o demonach.

W jej ciele. W jej umyśle. Spijające jej magię i magię Morkele-baniczym stado szalonych, nienasyconych świń. Bezboleśnie.

Nikt nigdy jej nie powiedział, żadna kronika nie wspominała o tym, jaka rozkosz się w tym kryła. Jak słuszne się to wydawało.

Skądś dobiegł ją okrzyk Morkeleba: *Odrzuć wszystko, Jenny! Odrzuć!*

I poczuła, jak jego magia znika bez śladu. Rozpłynęła się i rozproszyła jak dym, pozostawiając go bezbronnym. *Bez magii*, zapytał, *czymże się*

*staniemy?* Gdy odrzucił magię, stało się tak, jakby najpierw zamienił się w dym i szkło, a potem całkowicie zginął jej z oczu.

*lan!*, krzyknęła raz jeszcze. Sięgając całą swoją magiczną mocą, całą siłą, całym wysiłkiem woli. Usiłując pochwycić i utrzymać umysł chłopca, przyciągnąć go ku sobie, ku bezpieczeństwu.

A demony wessały w siebie jej moc niczym dym, połykając ją.

Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszała w myślach, był ich śmiech.

*Piękna pani*, powiedział. *Jestem Amayon*. I posiadał ją, wbrew jej woli, gdyż nie znalazła niczego, czego mogłaby się uchwycić czy też odepchnąć od siebie. Ci, którzy ją potem widzieli, opisywali szramy i zadrapania w miejscach, gdzie starała się wydłubać i wygrzebać to coś, co przenikało jej ciało, ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Usunięcie go było równie niewykonalne jak oddzielenie jednej kropli krwi od drugiej. Pochłaniał ją żar. Wiedziała tylko, że jej ciało ogarniają płomienie, jak gdyby miała gorączkę, a gdy te płomienie osiągnęły określoną intensywność, poczuła srebrzyste eksplozje czegoś, co nie było ani bólem, ani

252

rozkoszą, lecz intensywnym uczuciem z pogranicza ich obu. Oraz samego Amayona, przemieszana woń siarki i lilii.

Później świadoma była obecności lana u jej boku, wiatru szarpiącego i targającego jej włosy. Czowała w sobie dzikość, lekkość i szaleństwo, jakby stała się młodą dziewczyną, którą nigdy do końca nie pozwolono jej być, i z rozbawieniem przypatrywała się ludziom wybiegającym z płonącego bunkra. Biało-szkarłatny smok Yrsgendl uderzył w nich najeżonym żelaznymi kolcami ogonem, gdy uciekali w popłochu, potykając się i

wywracając. Jeden z kolczastych jeżowców poturlał się w stronę smoka, odpalając harpuny, mała idiotyczna zabawka. Powietrze wydawało się poprzetykane kolorami, bogatą zielenią i purpurą, świetliste, obrysowane wielobarwnymi płomieniami. Ujrzała swoje własne czary oplecione wokół jeżowca siecią roztańczonych światel. W dole wzbierało cierpienie, przenikliwie wspaniała pieśnią muzyki, ciepła, miłości, satysfakcji i potęgi, ekstazą przekraczającą wszelką radość, jakiej kiedykolwiek doznała.

- Założę się, że uciekną, kiedy zerwiemy te zaklęcia — zaśmiała się, a łan zawtórował jej. Jego oczy nie były już martwe, żarzyły się wesołym ogniem, nigdy nie widziała w nich takiego ożywienia. Czowała, że przebaczył jej lata zaniedbań, wyczuwała jego podziw, aprobatę, miłość.
- Co ty na to, Nymr? — zawołał do smoka, który — oboje dosiadali jednego, choć Jenny nie pamiętała, jak to się stało — zanurkował niczym sokół. Zerwanie magicznej pajęczyny było łatwe i równie zabawne jak zabranie kotu kłębka wełny. Gnomie zabezpieczenia wplecione w zaklęcia również ustąpiły, a wtedy z okrzykiem radości Bliaud — albo demon Bliauda dosiadający Yrsgendla — rzucił w niezdarną maszynę Słowem Ognia.

Pojazd zatrzymał się ciężko i podskoczył komicznie, gdy dym zaczął wydobywać się ze wszystkich otworów wentylacyjnych i szczelin. Jenny, trzymając się ramienia syna, wybuchnęła śmie-

chem, i zaraz odpowiedziały jej rozbawione okrzyki pozostałych: Bliauda,

Yseult, Kotołaka i Summer... Jakiś człowiek usiłował wydostać się z wraku, więc Yseult podprowadziła Hagginarshil-dim bliżej, miotając w niego ogniem, gdy zaklinował się we włazie. Przypominało to znęcanie się nad ślimakiem, odległym i żalonym w swojej bezsensownej znikomości.

— He, he, to mu przypiekło tyłka! — wrzasnął Ian, a Jenny zaczęła się śmiać tak, że aż rozboleł ją brzuch. Odblask ognia zamigotał na czubku trzymanego przez mężczyznę harpuna i w jego okularach, gdy usiłował się uwolnić.

Drugi jeżowiec leżał na boku, jego koła wirowały bezsilnie w powietrzu. Enismirdal i Centhwevir zdzierały stropy bunkrów, odsłaniając ludzi miotających się w ich wnętrzu niczym posypane soląrobactwo, a przerażenie i cierpienie unosiły się nad nimi wielką chmurą na kształt wonnych zapachów letniego ogrodu. Śmiejąc się i pokrzykując do siebie, napastnicy wzbili się spiralaw niebo, kolorowe liście niesione ciepłym prądem powietrza znad ogniska.

— Jeszcze tu wrócimy! — zawołała Yseult w stronę skąpane go w chaosie obozu. — Nie oddalajcie się!

Rozkosz zalała Jenny, głębokie, pieszczotliwe fale przenikające w najskrytsze zakamarki ciała i umysłu: zadowolenie, więź, obietnica nagrody i pijany zachwyty potęgą. Potęgą i cierpieniem. To było prawdziwe życie. Ludzie w zniszczonym obozie miotali się szaleńczo, zabawni niczym mrówki w zalanej wodą mrowisku, próbując gasić pożary, bezsilnie ciągnący rannych za ręce i nogi. Inni całymi dziesiątkami uciekali ku wzgórzom.

— Czy oni myślą, że górale tak po prostu ich przepuszczą? — zawołał Bliaud, potrząsając długą, targaną wiatrem siwą grzywą.

— Chciałbym sobie popatrzeć, jak będą próbować!

Samotny człowiek, ten sam, który wydostał się z płonącego jeżowca, podniósł się powoli, wsparty na złamanym harpunie. Jenny widziała, jak odprowadza wzrokiem smoki, triumfującym łukiem znikające w ciemności.

254

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dali jej młodą dziewczynę, tylko dla niej; zapewne jedną ze służących z obozu albo dziwek. Wykazując umiarkowanie w dozowaniu bólu i strachu, Jenny zdołała utrzymać ją przy życiu przez większą część nocy.

W głębi serca Jenny zdawała sobie sprawę z własnej odrazy, przerażenia, niesmaku na widok tego, co własnymi rękami robiła z tym zapłakany dzieciakiem. Ale czuła też, że Amayon karmi się, syci i zachwyca jej uczuciami, jej odrazą i współczuciem, nie mniej niż niczego nie rozumiejącym cierpieniem jej ofiary. A Amayon — jak to jest w naturze demonów — przelewał swój zachwyty i rozkosz z powrotem w ciało i umysł Jenny. Rozdarta i zmaltrretowana, Jenny poszukiwała drogi ucieczki, lecz wydawało się jej, że może jedynie przyglądać się, jak odtwarza na tej dziewczynie parodię tego, co Caerdinn robił z nią w przeszłości, obserwować siebie tak, jakby była kimś innym.

*Ale nie jesteś kimś innym, zauważył Amayon. To ty, piękna pani, moja najukochańsza, kochana Jenny. Nie wyczaruję niczego z powietrza. Żaden demon tego nie robi. Przyznaj się. Odkąd Caerdinn zbił cię, zastraszył i zmusił do robienia tego, czego nie byłaś w stanie...*

— Czego chcesz ode mnie? — dziewczyna płakała, a krew spływała jej



po twarzy. — Czego chcesz?

*.. .zastanawiałaś się, jak by to było dysponować podobną władzą. Chciałaś zająć jego miejsce. A teraz to osiągnęłaś.*

*Nieprawda!*, krzyknęła rozpaczliwie Jenny, głosem słabym jak pisk świerszcza w szparze. *Nieprawda, nieprawda, nieprawda!*

A demon wypił jej łzy, zmieszane z krwią małej nierządnicy, i zamlaskał z rozkoszy.

Dziewczyna umarła przed świtem. Tego uczucia nie dało się porównać z niczym innym, ogłuszającego szczytu fizycznej rozkoszy

255

i emocjonalnego zaspokojenia, jaki wstrząsnął nią, oszołomił, pozostawił wyżętą niczym szmatę wyrzuconą na obcym brzegu.

Magowie mieli własne namioty rozbite w pewnym oddaleniu od obozu wojsk Rocklys, w miejscu, gdzie Wildspae przebijiała się przez jałowe szare wzgórza. Leżąc na wilgotnych dywanach pokrywających podłogę namiotu, wdychając ciężkie, surowe wyziewy krwi, jakimi były nasiąknięte, Jenny — maleńka część Jenny skulona i szlochająca niczym duch nie mogący rozstać się z ciałem — zastanawiała się, co jeszcze działo się w kwaterach magów, jak jeszcze nagrodzono wysiłki mijającej nocy. Co robił lan.

Niebiesko-żółta kotara odsunęła się. W przejściu stanął Cara-doc, uśmiechnięty i wykąpany, na jego twarzy malowało się rozluźnienie, jak gdyby nawet on zadowolił się i nasycił tej nocy. Na chwilę zatrzymał się przy ciele dziewczyny, odwrócił je czubkiem łaski. Jenny usłyszała chichot Amayona — a może swój własny — i usiadła, świadoma tego, że na jej twarzy maluje się uśmiech kobiety ziewającej i rozczochranej w

łóżku męża albo syna najbardziej znienawidzonej rywalki.

— Niezła z niej była diablica. — Przeciągnęła się i potrzęsła matowymi włosami. — Przygotowali już kąpiel? Cała się lepię.

Caradoc uśmiechnął się kącikiem posępnych ust, w jego oczach zamigotały nieczyste ogniki. Przez jej umysł, przerażony i wyrugowany, przewinęła się myśl, jak długo musiał opierać się prawdziwy Caradoc, zamknięty we własnym ciele powoli zanikającymi się, niematerialnymi więzami, wrzeszczący rozpaczliwie, że nie to miał na myśli, gdy prosił demony, by obdarzyły go mocą.

A może i nie. Może po odpowiednio długim czasie różnica stawała się niedostrzegalna.

Wziął Jenny pod brodę, niczym dziewczynkę w tawernie.

— Jak byś chciała?

*Potwór! Potwór!*, wrzasnęła na niego, a może na samą siebie, zrozpaczona, maleńka, nie słyszana przez nikogo. Oczywiście z wyjątkiem Amayona, który zachichotał z sytością, zachwycony,

256

że jest jeszcze zdolna do takich uczuć, smakując jej przerażenie niczym pikantny deser. Demon w niej odpowiedział śmiechem na pytanie Caradoca, a dłoń Jenny przesunęła się po jej ciele, pieszczotliwym gestem całkowitego zadowolenia. Skądś dobiegła ją odpowiedź udzielona przez Amayona demonowi — nazywał się Folcalor, wiedziała to skądś, rozdęta potworność, w której wnętrznościach miały się, skowycząc, na wpół strawione szczątki kilkunastu innych diabłów — mieszkającemu w oczach Caradoca. *Wiesz, jaka to przyjemność wprowadzać w to nowicjusza. A Caradoc — Folcalor — zaśmiał się ze zrozumieniem.*

—Roc wkrótce rusza w drogę — powiedział. — Wieczorem znowu ich zaatakujemy. — Coś uległo zmianie na jego twarzy, niedbałym gestem wyciągnął z kieszeni zielony kamień, szlifowany oliwin wielkości przepiórczego jaja, podając go jej niczym cukierek dziecku.

*Dranie! Dranie!*, krzyknęła Jenny, starając się choćby w najmniejszym stopniu odzyskać kontrolę nad swoim ciałem, usiłując wypchnąć Amayona ze swej duszy, ciała, umysłu. Choć wiedziała, że bez tego część będąca Jenny umrze, zanim ktoś zdoła przepędzić Amayona, o ile ktokolwiek w ogóle był w stanie coś takiego zrobić, i tak przerażenie ogarniało ją na samą myśl o tym, że zostanie na wieki więźniem.

Amayon coś jej zrobił, niemalże od niechcienia, niczym człowiek uderzający dziecko, by je uciszyć, aż przeszył ją paraliżujący ból. *A to co?*, zapytał, przyglądając się Folcalorowi, przyglądając się kamieniowi.

—Mam swoje powody — odparł mag, obracając klejnot w dłoni.

Całe jego pełne rozbawienia, przekorne okrucieństwo zniknęło bez śladu, Amayon stał się zimny i niebezpieczny jak kobra. *Powody, o których wie lord piekła?*

Demoniczny blask w martwych oczach Caradoca zmienił barwę i zamigotał.

257

—Mój drogi Amayonie... — Jego głos w jej głowie przypominał pomruk tygrysa, aksamit skrywający ostrą jak brzytwa groźbę przemocy. — Chyba nie myślisz, że zrobiłbym cokolwiek bez wiedzy lorda Adromelecha? Jest moim panem tak samo jak

twoim, a jeśli nawet nie odkrył swoich myśli i planów przed tobą, uczynił to przynajmniej dla mnie. Adromelech ma swoje plany. A teraz, kochanie — ponownie wyciągnął klejnot do Jenny — masz tu cukiereczka.

Jenny posłała mu całusa (*Plugastwo!*, wrzasnęła na niego, na nich obu, na nich wszystkich), otworzyła usta, by wziąć w niego kamień, a potem usiadła uśmiechnięta, robiąc do nich minki i obracając go językiem, podczas gdy demoniczny mag kreślił wokół niej magiczne kręgi, łącząc krzywizny mocy. Jenny zanosła się szlochom w swym wnętrzu, resztkami sił próbując przywołać dosyć mocy, by się im oprzeć.

Poczuła, jak przepływa w kamień.

Armia Rocklys zwinęła obóz, gdy tylko zrobiło się jasno, i przez cały dzień maszerowała w cieniu posępnego lasu Imperteng. Cara-doc, Jenny i pozostali magowie przywołali nietypową dla tej pory roku mgłę, która zasnęła ziemię aż do podnóża Ściany Nast. Przez cały czas magowie sunęli w milczeniu tuż nad czubkami drzew, otuleni szarą chłodną wilgocią. Przez ażurową strukturę swojego kamienia Jenny czuła dotyk magii usiłującej rozproszyć mgłę, więc wspólnymi siłami odświeżyli zaklęcia, zagęszczając opary. Gdy smok, którego dosiadała, śliczna zielono-złota smarkula imieniem Mellyn, zniżył się nieco, Jenny widziała swym demonicznym wzrokiem samą komendant, jadącą w pełnej zbroi na smukłym gniadoszu, z Caradokiem u boku. Od czasu do czasu zamieniali kilka zdań, Caradoc tłumaczył się miękkim, kojącym głosem, który Rocklys znała od wielu lat, tak więc teraz nie miała pojęcia, że rozmawia z nią demon Folcalor.

—Wielu czarodziejów tak się zachowuje, pani komendant.

Księżycowy kamień błyszczał łagodnie w goblinie główce laski.

258

— Musisz się z tym pogodzić, jeśli pragniesz ich pomocy. Oczywiście jestem tak samo zatrwożony, ale...

Parokrotnie tego poranka coś niepokoiło Jenny, czyjaś uwaga zwrócona w ich stronę; nie potrafiła tego sprecyzować. Przepa-trując mgłę przy użyciu magii demonów, jaka wypełniała teraz jej serce i ciało, niczego nie wykryła. A jednak w odizolowanej części swego istnienia, w swym sercu uwięzionym w bladozielonym kryształ, zamkniętym w płaskiej srebrnej buteleczce wiszącej na szyi Caradoca, rozpoznała ją i nazwała.

*Morkeleb.*

Był tutaj. Gdzieś. Widziała, jak zniknął, rozpląwał się w dymie, choć jej kolana nadal czuły dotyk jego łusek i grzebieni.

A jej uwięzione serce, przepatrujące mgłę jej oczami, tak jak niegdyś czyniła to oczami Morkeleba, wiedziało coś jeszcze: klejnot, w którym była zamknięta, miał skazę.

W trakcie tego długiego dnia poznała swój klejnot równie intymnie jak swoje ciało. W pewnym sensie był nim teraz. Pamiętała, jak oglądała go w szkatułce Rocklys w Corflyn, i teraz zapoznała się z każdym atomem węgla, każdym mlecznym zanieczyszczeniem, linią każdego pęknięcia i każdym błędem w rozmieszczeniu energii. „Tylko takie byłaś w stanie znaleźć?”, narzekał Ca-radoc w rozmowie z Rocklys. 1 „kupiec chyba cię na nim oszukał...”

Caradoc nie mylił się. Rocklys była żołnierzem, nie magiem. Zmuszona do oszczędności, by zachować pieniądze na żołd, mając przed sobą sprytnego handlarza klejnotami i garść lśniących kamieni, nie mogła

sprawdzić jakości każdego z nich.

Jenny nie potrafiła dokładnie określić, dlaczego diament albo rubin miałyby stanowić lepsze więzienie dla bezcielesnego ducha niż topaz czy oliwin. Podobnie jak nie umiałyby wyjaśnić laikowi, dlaczego magię należy uprawiać przy użyciu nieskazitelnie czystych metali i klejnotów bez skazy, tak by ona sama również taka była. Ale mogła poruszyć się nieco w swej krystalicznej celi i za-

259

częła ostrożnie, delikatnie czerpać moc przez cienkie jak nić skazy kamienia.

A przez cały ten czas świadoma była Amayona i siebie dosiadających zielono-złotej smoczycy, zaplatających i gromadzących zaklęcia. Na wpół widoczna w mglistym świecie przyziemia armia sunęła, przemoczona tak samo jak dryfujące wolno wokół niej smoki, otoczona dzikim migotaniem demonicznych ognii. Pojmowała, że jej czary — czary demona — czyniły ją piękną, ajako że miała czterdzieści pięć lat i nigdy nie była ładna, radowała się swojąurodąi potęgą. Cieszyła się jędrnymi piersiami i jedwabistą skórą, nieoczekiwanym brakiem migren, fal gorąca, boleści i niestrawności. Była młoda i mogła robić, co chciała, bo nikt nie miał odwagi jej tknąć. I uśmiechała się na myśl o zaskoczeniu tej wyniosłej suki Rocklys, gdy nadejdzie czas, by demony odebrały od niej zapłatę za swoje usługi.

Droga opadała stopniowo ku rzece. Słońce świeciło wysoko na niebie ponad falującym wolno morzem mgły.

Wszyscy razem, demony, magowie i smoki, wypowiedzieli jedno słowo i mgła wsiąkła w ziemię niczym przezroczysty pył. Obóz Garetha —

upstrzony plamami spalenizny i krwi zabitych w nocy ludzi — leżał nie osłonięty w cieniu smoczych skrzydeł.

Armie Bel były gotowe na ich przyjęcie na zewnętrznych fortyfikacjach mostu. Kolce zniszczonych jeźowców umocowane zostały na dwóch głównych bunkrach obozu i teraz kilkanaście ocalałych katapult cisnęło w ich stronę harpuny. Dwa zraniły małe tęczowe smoki dosiadane przez Kotołaka i pannę Enk, pospiesznie przeszkolonągnomkę, którą Rocklys wydestała w ostatniej chwili w Głębi Wyldoom — zanim demony i czarodzieje otoczyli się czarami iluzji i dezorientacji, feerią barw, postaci i kształtów. W tej samej chwili od strony północnego szlaku dobiegł donośny dźwięk rogów i bębnow oraz potężny głos Rocklys wykrzykującej swój okrzyk bojowy: „Płomiennobrody! Płomiennobrody!” Bojowa pieśń wstrząsnęła powietrzem, gdy atakujący uderzyli na redu-

260

ty mostu, podczas gdy smoki spadły na obrońców usiłujących przyjść im w sukurs z głównego obozu.

Bitwa nie trwała długo, gdyż chmury przytulone do górskich stoków poruszyły się i zawirowały, a zimny wiatr pognał je w dół, nad rzekę i obóz. Zahuczał grom, błyskawice uderzyły po smokach, runął rześisty deszcz. *Gnomia magia*, powiedział głos Folca-lora w umyśle Jenny, okraszając swe słowa przekleństwem. *Długo tego nie utrzymają.* Odbijanie uderzających w skrzydła Mellyn piorunów nie było łatwe, i poczuła, jak w niej także wzbiera wściekłość, że przysadziste pokraczne stworzenia pokroju gnomów mają czelność im się opierać. „Zapłacą nam za to”, powiedziała.

Wiatr, wyjąc, szarpał jej długie czarne włosy, w dole ujrzała wojska

Rocklys, grzęznące w biocie i deszczu pod nadrzecznymi fortyfikacjami. Rocklys stała na szczycie drabiny oblężniczej z mieczem w dłoni, a potoki deszczu zalewały jej oczy. Wiatr porywał wykrzykiwane przez nią rozkazy, a gniew i duma płynęły od niej takimi falami, że Jenny nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

W tyle rozległ się syk, potem wrzask. Jeden z tęczowych smoków wykręcił się i zwinął w powietrzu. Jego mag, Lodowy Jeździec imieniem Kotołak, spadł z jego grzbietu, wisząc setki stóp nad ziemią z nogą zaplątaną w rzemienną uprząż. Jenny pomyślała, że młody smok musiał zostać uderzony błyskawicą, gdyż z jego rozprutego brzucha i boków tryskały strumienie krwi; ze swego miejsca doskonale słyszała przekleństwa wypowiedane przez jego demona. Smok i chłopak runęli w dół, smok był już martwy, a demony wycofały się z boju, by rozkoszować się rozpaczliwym przerażeniem chłopaka uwięzionego w kryształach, patrzącego, jak ginie jego ostatnia, beznadziejna nadzieja na wolność. Młody smok upadł połamany i skrwawiony na ziemię, a Jenny pomyślała, że jego rany bardziej wskazywałyby na atak innego smoka niż uderzenie pioruna. Ale niczego nie sposób było dostrzec.

261

A jednak w swym klejnocie, w głębi serca, tą częścią siebie, która nadal pozostawała Jenny, nie miała najmniejszych wątpliwości.

*Nie są w stanie podtrzymać tej burzy bez końca,* ponownie usłyszała w myślach głos Folcalora. Był wielkim demonem, i do tego wiekowym, rozdętym od serc i żywotów innych demonów, które pożarł, jego umysł śmierdział jak kloaka, kiedy się odzywał. *A gdy się zmęczą, będziemy na nich czekać.* Na zakończenie dorzucił jeszcze: *Gnomia suka.*



Wojska wycofały się spod umocnień pod osłonę wysoko sklepionego lasu i rozbiły obóz w strugach deszczu. Ponad drzewami błyskawice dalej rozświetlały poczerńiałe niebo. Rocklys rozmieściła swe siły wzdłuż wałów obozu Garetha. Demony poszukały sobie rozrywki, wybierając żołnierzy, niewolników i jeńców wziętych przez Rocklys. Czasami ból albo żądza czy przerażenie, zazwyczaj wszystkie trzy składały się na swoistą sztukę, której dodatkowego smaku dodawały echa jęków dobiegające ze zniewolonych serc ich nosicieli.

Demony upijały się rozkoszą.

*Nie możesz powiedzieć, że to ci się nie podoba, wyszeptał Amayon, gdy Jenny próbowała odwrócić wzrok, wysiłkiem woli przegnać ze świadomości to, co działo się z jej zmysłami, jej mocą i jej ciałem. Czy taka brzydula jak ty nigdy nie pragnęła mieć wszystkich mężczyzn, na których by ci przyszła ochota? Oddających cześć u twych stóp, błagających o przychylność? Widzących w tobie ucieleśnienie kobiecej urody, wszystkich męskich pragnień — tylko po to, by ich za to ukarać? Doprowadzić do łez?*

Zamknięta w kryształowym sercu Jenny mogła jedynie błagać: *Zostaw mnie w spokoju.*

*Twój syn jest pojętniejszym uczniem od ciebie. Demon był wyraźnie zde gustowany. Może mam go tu sprowadzić? Czy to by cię rozruszało? Po czym zaśmiał się, czując przyjemność, jaką zbudziły w niej jego słowa.*

262

Żołnierze zmęczeni się i rozeszli albo padli spici do nieprzytomności na brudnej podłodze namiotu. Jenny przez jakiś czas leżała w płataninie jedwabiu i futer na otomanie, popijając czystą brandy i ciesząc się

przyjemnym wspomnieniem. Demoniczna część jej istoty wiedziała, że Ian wciąż jeszcze był zajęty swoimi rozrywkami, ale w odpowiedniej chwili miała do niego dołączyć. To Ian wymyślił, by utkać złudzenie synów Bliauda wziętych do niewoli podczas walki i zamęczonych na śmierć, a potem posłać je starcowi zamkniętemu w jego magicznym klejnocie. Mało sobie boków nie pozrywali ze śmiechu, przysłuchując się żalnym szlochom ojca. Przeciągnęła się i obróciła głowę, zanurzoną w sobolowych falach swych włosów.

I ujrzała, że w namiocie znajduje się ktoś jeszcze.

Przez chwilę widziała w nim jedynie wojownika, który ugrzązł we włazie płonącego jeżowca, gibkiego, wysokiego mężczyznę o brązowych, zlepionych deszczem włosach opadających na ramiona. Odzianego w mokrą skórę i mokrą oponczę, wycierającego wodę z okularów podartą połą koszuli. Zdążyła się uśmiechnąć i wyciągnąć z zachętą rękę, gdy uświadomiła sobie, że stoi przed nią John.

Odwróciła twarz, przyciskając dłoń do ust z przerażeniem i wstydem, drugą ręką okrywając się pościelą. Żelazna obręcz na moment zacisnęła się na jej gardle, jej ciało wykrzywił spazm bólu. Wtedy usłyszała śmiech Amayona i odebrała jego myśl, w której rozważał, że niewymownie zabawne byłoby wepchnąć Johna w jej objęcia—jej magia bez trudu przełamałaby jego odrazę, lecz jeszcze weselej byłoby użyć czarów, by zmusić go do tego wbrew jego woli — a potem przywołać strażników, gdy będzie leżeć w jej łóżku.

*Przestań!*, krzyknęła. *Przestań, przestań, przestań!*

A demon zaniósł się śmiechem, który tak długo dudnił jej w uszach, że przez jakiś czas nie zdawała sobie nawet sprawy z ciszy, jaka zapadła w

Z odwróconą twarzą powiedziała:

- Odejdź stąd, John.
- Z tobą rozmawiam, Jen? — zapytał. — Czy z demonem? Chociaż pewnie i tak nie uzyskam prawdziwej odpowiedzi od tego, co wzięło cię we władanie.

Jenny spojrzała na niego i chociaż moc demona napierała bezlitośnie na jej duszę i umysł, odepchnęła ją z całą siłą, jaką zdołała zaczerpnąć przez skazę w kryształach i jaką potrafiła się jeszcze niezdarnie posłużyć. Stała, dygocząc, niezdolna się odezwać, lecz dostrzegła, że twarda czujność w oczach Johna uległa zmianie. Zrobił krok do przodu, jak gdyby chciał wziąć ją za rękę, a ona odsunęła się od niego.

Popatrzył na żołnierzy śpiących na podłodze, na dwóch mężczyzn chrapiących bezwstydnie obok niej na otomanie. Nienaturalnie miarowym głosem powiedział:

— Rozumiem, że nie byłaś sobą, Jen.

Zdusiła gardłowy chichot, bo nasunęły się jej słowa: „W takim razie niewiele mnie poznałeś przez te wszystkie lata” i „Powinieneś przejść się do sąsiedniego namiotu i popatrzeć na naszego syna”. Zdusiła je tak zawzięcie, że aż zabolęły ją szczęki. I poczuła we wnętrzościach nagłe, wściekłe ukłucie gniewu Amayona.

Ponownie uciekła przed jego dłonią, przyciskając prześcieradło do ciała.

— To nie tak. — Słowa grzęzły jej w gardle niczym dławiące ją suche kamienie, gdy usiłowała niezgrabnie odzyskać panowanie nad swoim ciałem. — Ja... wiem... modłę się... zrozum...

Ból przybrał na sile, wgryzając się i wwiercając w nią, ból straszniejszy od wszystkich, jakie dotąd poznała. Wbiła paznokcie w grzbiet dłoni, aż pojawiła się krew, by nie stracić kontroli pod naporem potwornej siły Amayona.

- Nie mogę... powstrzymać... demona... odejść...
- Nie bez ciebie.
- Nie możesz pomóc.

264

- Mab i Morkeleb...
- Nie podchodź! — Ogień wytrysnął z ziemi między nimi, gdy zrobił kolejny krok w jej stronę, odpychając go w tył. Musiała znów się cofnąć, chowając się za otomanę, by go ponownie nie skrzywdzić, nie posłać drugiego strumienia demonicznego ognia w jego ciało. Ból targnął nią, tak że zgięła się wpół, obejmując kurczowo wezglowie otomany. Magia Morkeleba, wszystko, co pozostało z jej własnej mocy, paliło ją jak trucizna, gdy skierowała ją przeciwko temu czemuś zajmującemu jej ciało, co walczyło teraz jak tygrys o odzyskanie władzy nad nią.

Oddychała urywanie, wyrzucając z siebie pospieszne słowa.

— John, odejść stąd. Zaufaj mi. Nie próbuj mi pomóc i za nic w świecie nie próbuj znaleźć łana, po prostu odejść...

Głos zamarł jej w gardle, gdy jeden z żołnierzy na otomanie usiadł, wytrzeszczając dziko oczy.

— Szpieg! — ryknął i rzucił się na Johna.

John odskoczył, podstawił mu nogę i zdzielił go łokciem, powalając go

nieprzytomnego na dywan, ale było już za późno. Pozostali mężczyźni podnieśli się chwiejnie, sięgając po miecze i noże. Zza ściany namiotu dobiegły okrzyki i poszczekiwanie metalu. John przeskoczył przez otomanę, złapał brązową futrzaną narzutę i zarzucił ją na Jenny, krępując jej ręce i podnosząc ją. Jenny wiła się, niema jak wąż, kopiąc i bijąc głową. John postawił ją w kącie namiotu, obnażył miecz i zwrócił się przeciw żołnierzom zacieśniającym półokrąg wokół niego. W umyśle Jenny rechot Amayona przybierał na sile, zduszając myśli i wolę oporu.

*Z jakiej ballady on się urwał? Folcalor, Gothpys, chodźcie tu, musicie to zobaczyć!*

John uderzył, wypruwając flaki jednemu z przeciwników, kopnął drugiego w żołądek, posyłając go w objęcia kolejnej trójki, potem odwrócił się i rozciął ścianę namiotu. Okręcił się w miejscu, blokując ostrza żołnierzy, którzy wbiegli z zewnątrz — tym razem w pełnym rynsztunku, a do tego dwóch z nich miało piki — wykrę-

265

cając się, tnąc, wykonując uniki, wycofując się na zewnątrz, gdzie akurat padał rześisty deszcz.

*On był tutaj, Jenny, dobrze o tym wiesz, widział cię z tymi żołnierzami. Naprawdę myślisz, że on uważa, że nie byłaś wtedy sobą?*

Jakiś mężczyzna padł na ziemię, drżąc i charcząc, usiłując zatkać dłońmi szerokie rozcięcie w klatce piersiowej; jego miecz leżał u jej stóp. Ból pochwycił ją w swe szpony, przerażenie płynące z myśli, że umrze, jeśli nie podniesie go i nie wbije po rękojeść w plecy Johna...

Kopnęła miecz ze wszystkich sił, jakie jej jeszcze pozostały, a potem cisnęła w atakujących żołnierzy miazdzącą erupcją błyskawicy oraz

ciemnością, która bezzwłocznie połknęła wszystkie lampy. *Uciekaj!* Dłonie zaciśnięte na mokrej skórze, skrwawionej opanczy, ich znajoma woń rozdzierająca jej serce...

— Uciekaj! — Przepchnęła go przez rozcięcie w ścianie namiotu, odwróciła się w miejscu i cisnęła ogniem w ludzi wchodzących do środka: lana, Caradoca, Yseult, nagich i zlanych winem.. . Podmuchi światła, ciemności, mocy, odrzucający ich w tył, a potem padła na kolana, zwinięta w ciasny kłębek na chlupoczących kobiercach, i zapłakała, pusta, szarpana bólem bez końca, na próżno wyglądając upragnionej utraty przytomności...

*Przestań,* powiedział ostro Folcalor.

Odpowiedź Amayona nie dawała się zawrzeć w słowa, nie przystawało do niej samo pojęcie słowa. Dzika, gwałtowna nienawiść wywołana aktem nieposłuszeństwa. Bestia unosząca krwawy pysk znad swej ofiary.

*Przestań! Zabijesz ją.*

*Nic jej nie grozi w twoim przeklętym klejnocie. Zamiast słów rzeka jadu spływająca na odsłoniętą miązgę jej duszy. Nie może umrzeć.*

*To nie takie oczywiste,* warknął tamten.

*Nieważne,* roześmiał się Gothpys, zagnieżdżony w ciele lana,

266

wracając do namiotu przez rozcięte płótno. W dłoni trzymał dzidę, jej grot ociekał wodą i krwią. *On nie żyje.*

I Jenny ujrzała tę scenę w swoim umyśle. John klęczący w bajorze rozrzedzonej deszczem krwi, niezdolny się podnieść, odpychający ich piki, miecze i harpuny gołymi rękami. Mokre włosy przykrywały jego stłuczone okulary, raz jeszcze spróbował wstać, odczołgać się na bok.

Podniósł głowę i ujrzał łana z dzidą w ręce, deszcz spływający po jego czarnych włosach, uśmiechnięte, demoniczne spojrzenie błękitnych oczu.

Serce Jenny wypełniło się ślepym, bezbrzeżnym przerażeniem. *Kłamiesz!*, krzyknęła. *Kłamiesz! Tak jak okłamaliście Bliauda!* Wiąz łącząca ją z jej ciałem pękła, gdy zgasł ostatni ślad oporu.

Trzeciej nocy od tych wydarzeń dwa konie kroczyły ostrożnie przez oplecione paprociami rumowiska i nieprzeniknione otchłanie ciemności wypełniające ukształtowaną na wzór pucharu dolinę na wschodnim skraju podnóży Ściany Nast. Pióra i okruchy biało-błękitnego światła snuły się przy ziemi, od czasu do czasu ukazując wśród płataniny dzikich winorośli i bluszczu zaskakująco białą kamienną dłoń albo rzeźbione nadproże. Wysokie rzadkie chmury przesłaniały blady paznokieć przybierającego powoli księżycy.

Postać dosiadająca mniejszego z dwóch koni, górskiego kuca o kudłatej grzywie, ściągnęła wodze, zatrzymując się w miejscu, gdzie obalone kolumny znaczyły bramę dawnej ścieżki wiodącej do cytadeli na wzgórzu.

— Jesteś pewien, że chcesz tego, człecze?

W głosie Aversina brzmiało zmęczenie, pozostałość trzech nocy rwanego snu i ohydnych koszmarów.

— Pokaż mi inne wyjście, Mab, a chętnie z niego skorzystam. Daję ci słowo, że tak zrobię.

Gnomka siedziała przez chwilę w milczeniu, a wiatr targał widmową chmurą jej włosów.

- Straszne są kary **dla tych, którzy** szukają Piekielnego Pomiotu.

- Gorsze od siedmiu opętanych czarodziejów? Siedmiu smoków gotowych na ich każde skinienie?

Znów milczała przez jakiś czas. Potem rzekła:

— Pojmij, że me czary mogą nie zapewnić ci ochrony za Wrotami Piekła.

Jego okulary zaśniły, gdy schylił głowę i potarł czoło dłonią w rękawicy. Konie kręciły się nerwowo, zaniepokojone wonią tego miejsca.

W końcu John odparł:

- Jen nie pomogły żadne zaklęcia, prawda?
- Nigdy jeszcze od upadku Ernine tak potężne demony nie wkroczyły do naszego świata— w niskim głosie gnomki brzmiał niepokój. — Zgłębiała przeze mnie wiedza nie obejmuje takowych spraw. A jednak smok twierdzi, że wdarły się do jej duszy przez magię.
- Ten smok nie dałby sobie чулków osmalić, by wyciągnąć z pożaru własne dziecko — odciął się z sarkazmem John. — Ten cholerny smok nie ma tu nic do gadania. Nie chciał mnie nawet przeprowadzić przez magiczne zabezpieczenia wokół obozu Rocklys.
- Smok słusznie prawi — odparła cicho Mab. — 1 uratował ci życie. — Kształty wzniesień odmieniały się w migotliwym blasku magicznych światel, można było dostrzec w nich cienie świątyń, pałaców, targowisk, które dawno już zdążyły obrócić się w pył.
- A więc to ja wychodzę na głupca, tak? — John zeskoczył z konia i ze złością owinął wodze wokół młodego drzewka. — Ale jako że wolę zginąć, niż żyć bez niej, nie mam wiele do stracenia, prawda?

Mab westchnęła. Błędne ogniki stopiły się w ognistą kulę, lśniąca w powietrzu nieco nad ziemią. Oświetlała twarz Johna ściągniętych



wyczerpania, podkrążone ze znużenia oczy, w których

268

palił się gniew. Pod jego słusznym oburzeniem gnomka najwyraźniej dostrzegła coś jeszcze, gdyż jej głos złagodniał.

— Nie możesz wiedzieć, człecze, cóż takowego masz do stracenia. Ale przez wzgląd na nią uczynię, co będzie w mej mocy.

Zsiadła na ziemię i podała mu rękę. Po chwili wahania John ukląkł przed nią.

— Żadne zaklęcie zrodzone w tym świecie nie jest władne za szkodzić Pomiotowi — powiedziała — ani tym bardziej rozproszyć złudzeń i złorzeczeń, jakimi demony wypełniają swe Piekła. Ich natura przekracza nasze pojmowanie, a widno teraz znalazły źródło nowej mocy, jeszcze przydające im potęgi. Wszakże mogę wzmocnić twój wzrok, uczynić go odpornym na ślepotę, w której znajdują rozrywkę. Większej bystrości przydać mogę twemu umysłowi, byś znalazł drogę powrotną do Bramy, jaką utworzę w ognistym zwierciadle, i wleję większą moc w tve serce, byś pamiętał twą miłość do Jenny i odrzucił pragnienie pozostania na wieki w piekle. Wzmocnię także i tve ciało, by nie obumarło za zwierciadłem, chyba że taka będzie tva wola. Lecz pamiętaj, człecze, jeśli umrzesz, tva dusza pozostanie tam uwięziona, niewładna udać się w podróż do miejsca, dokąd powracają człowiecze dusze.

Mówiąc te słowa, dotknęła jego powiek krótkim, grubym kciukiem, po czym nakreśliła runy na jego skroniach i piersiach. John pomyślał, że powinien był coś poczuć, jakieś ciepło, dotyk, a przynajmniej przyptyw

siły, lecz nie poczuł niczego, nawet jego lęk nic nie stracił na sile.

*Nie rób tego, Johnny...* Prawie słyszał, jak Muffle wrzeszczy do niego te słowa. *Nie rób tego...*

— Te znaki i ta moc nie przetrwają długo w świecie za zwierciadłem — rozpoznał głos Mab. Spojrzał na nią mając nadzieję, że w jego oczach nie widać ogarniającego go przerażenia. — Zważaj tam na swój język, a przede wszystkim na obietnice, jakie im poczynisz. Uczynią próbę zatrzymania cię w swym świecie i obrócenia

269

cię w swego sługę; na odchodnym spróbują obciążyć cię długiem wobec siebie, daniną z twej wierności i wszystkiego, co posiadasz, byś służył im w tym świecie. Tego jednego winienes wystrzegać się ponad wszystko inne. Weź z sobą me błogosławieństwo. — Zmierzwiała mu włosy twardą dłonią. — Powodzenia.

— Przez powodzenie rozumiesz to, że znajdę to miejsce czy też że nie? — zapytał John, podnosząc się z kolan.

Stara, pomarszczona twarz odruchowo odpowiedziała mu uśmiechem.

— W pradawnym Ernine — rzekła — wielbiono Władcę Czasu, patrzącego w przód i wstecz, który znał odpowiedzi na takowe zapytania. Lecz w naturze śmiertelników, gnomów i ludzi leży wstręt do takowej wiedzy, więc poczęli oddawać cześć Dwunastu. Nawet Dwunastu nie zadaje pytań Władcy Czasu.

John ruszył ścieżką opisaną mu kiedyś przez Jenny, gdy zbudziła się z jękiem ze swego przerażającego koszmaru. Gnomka pozostała na miejscu, nieruchoma niczym opromieniony blaskiem księżycy obelisk. Od dawnych bohaterskich czasów na fundamentach Cytadeli Ernine wzniesiono drugi

pałac, później kolejny, lecz po przekroczeniu bramy mógł iść tylko tędy. Pokryte sięgającą do kolan płataniną bluszczu i winorośli wykute w piaskowcu schody pożłobione były i wygładzone wodą oraz stopami nieżyjących od wieków służących i królów. Na dziedzińcu, gdzie damy dworu królowej zasiadały niegdyś do warsztatów tkackich, fontanna wciąż jeszcze bulgotała w swym pokruszonym cembrowaniu. Białe światło przewodnie Mab przesunęło się migotliwie ponad mrocznym wawrzynem, kolczastymi różami i monstrualnie rozrośniętą, pradawną wistarią, które syciły nocne powietrze słodką wonią.

Niskie stopnie poprowadziły go w dół. Pod warstwami wyblakłego i odpryskującego tynku ciemniejsze cienie zdawały się przybierać kształty wielkorogich gazeli, a w półkolistym przejściu, które niegdyś zamurowane zostało wieloma warstwami ce-

270

gieł, widmowe światło ukazało mu wyciosany w skale korytarz, na którego stropie wciąż jeszcze widniały konstelacje gwiazd oraz kometa z długim ogonem.

Drzwi na końcu korytarza także zostały zamurowane. Ale poruszenia ziemi skruszyły cegłę, a woda i upływający czas dopełniły dzieła zniszczenia. „Władca Czasu znów objawia swą moc”, pomyślał John, przyglądając się szczelinie.

Światło płynęło o krok przed nim. W ciemności dostrzegł srebrzysty blask.

Znalazł kolistą komnatę, którą opisała mu Jenny. Widmowe światło padało na wysoką ramę zwierciadła, zimną i nieziemską w jego blasku. „Piorunowy kamień”, pomyślał, „i to opisany runami zapobiegającymi

pęknięciu tafli, gdyż zamiast je zniszczyć, ktoś przykrył szkło warstwą jakby czarnej emalii, twardej i lśniącej niczym łuski Morkeleba". Para unosiła się z jej powierzchni, snując się w blasku światła wąskimi pasmami.

John wydobył z za kaftana kwadratową kartkę pergaminu otrzymaną od Mab, na której widniała pieczęć, mogąca przedstawiać zarówno oko, jak i drzwi. Nagle zaschło mu w ustach, jego dłonie zrobiły się lodowato zimne. Przypomnił sobie ponownie, jak Jenny zbudziła się w nocy, szlochając i obejmując go kurczowo. Lecz w ślad za tym wspomnieniem przyszło następne, jej oczy w blasku lamp, namiot w obozie Rocklys, jej włosy zlepione krwią i winem. Zabroniła mu szukać lana, nie wiedząc, że zdążył już ujrzeć ich syna— a raczej demona zamieszkującego w jego ciele.

„Wolę zginąć, niż żyć bez niej”, tak powiedział Mab. Ale to nie była cała prawda. Jeśli wspomnienie sceny ujrzanej w obozie — Jenny jako zawzięta dziwka, lan... Przegnał tę myśl gwałtownym ruchem głowy. Jeśli pamięć o tych wydarzeniach ma być częścią jego życia, w połączeniu ze świadomością tego, że oboje zostali opętani, na wieki zdani na łaskę demonów zmuszających ich do robienia tego wszystkiego, śmierć wydawała się wprost kuszącą perspektywą.

271

„Tylko że”, pomyślał, spluwając na drugą stronę kartki i przyklejając ją do emaliowanej powierzchni zwierciadła, „tam niekoniecznie czeka mnie śmierć”.

W tym właśnie tkwił haczyk.

Nie rozumiał, jakim sposobem maleńka pieczęć była wystarczająco duża, by mógł przezeń przejść, ale tak właśnie się stało.

Zamknął oczy, wyszeptał modlitwę do Starego Boga i przeszedł na drugą stronę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Czekały na niego zaraz za szkłem.

*Proszę, jaki odważny,* powiedziała królowa demonów, biorąc w dłonie jego twarz. Jej ręce były lodowate niczym marmur zimą. Jej usta, przemocą rozchylające jego wargi — pieszczące go językiem, skubiące, smakujące — były równie zimne. Usta martwej kobiety. Język przypominał rozwidlony, poruszający się badawczo język węża.

Lecz pod tym chłodem płonął żar. Ciepło spływało mu w dłonie, choć czuł zimno jej ciała pod obcisłym jedwabiem — jeśli to był jedwab. Mrok zalegający w tym miejscu był krwistą ciemnością z koszmarnych snów, w których ludzkie ciało emanowało dziwnym blaskiem, a wszystkie przedmioty obwiedzione były ognistym konturem. Zapachy i odgłosy napierały, szepcząc, na jego umysł, jak gdyby dźwięk i woń przeznaczone były dla innych zmysłów niż te, które były mu dane. Przez jakiś czas skoncentrował się wyłącznie na uporządkowaniu docierających do niego bodźców i przyszło mu na myśl, że oślepiające, roztętnione pocałunki królowej demonów miały właśnie przeszkodzić mu w tej czynności.

272

Złapał ją za nadgarstki i odepchnął, choć była niezwykle silna.

— Nie jesteś przypadkiem zamężna, kochanie? — zapytał, za skakując ją kompletnie. Pospiesznie przetrząsnął kieszenie. —

Miałem tu gdzieś obrączkę... O, jest. — Wyciągnął tanie łożysko z brązu, element silnika napędzającego jeżowce, i pochwycił dłoń królowej demonów. — Jestem człowiekiem interesu, więc musimy porozmawiać o posagu... tam, skąd pochodzę, posag jest bardzo ważny... ale we dwoje bez trudu stargujemy się do pół tuzina pierzyn i kompletu garnków. Umiesz piec baraninę i placek ze śliwkami? Ostatnia dama, jaką zamierzałem poślubić, była wysoka, kościstą dziewczeczką podobną do ciebie, tyle że w kuchni była bezradna nawet z mapą w ręce i mając kuchcika za przewodnika. Skończyło się na tym, że ugotowała koński łeb zamiast młodego indyka, nadziany owsem, i to jeszcze na świąteczną ucztę podczas Yul, więc musiałem odwołać ślub...

*Jesteś głupcem!* Królowa demonów odsunęła się i wyszarpnęła dłoń, uciekając przed jego próbami wsunięcia sobie na palec brązowej obrączki.

— Wszyscy mi to mówili — zgodził się John — kiedy wspominałem, że się tu wybieram. — Z niezwykłą starannością schował obrączkę na powrót do kieszeni.

Dla jego oczu wyglądał jak kobieta, wysoka, szczupła i giętka jak leszczyna, z wyjątkiem jedynie bujnych stromizn jej piersi. Lśniaca, biała skóra zdawała się przeświecać przez odzienie barwy przydymionego błękitu, migoczące nitkami ognia w rytm jej ruchów. Wiatr, którego nie czuł, fałdował, unosił i podrywał płótno podobnie jak i jej włosy. Czarne, upięte z tyłu głowy, okalające kosmykami, pasemkami i warkoczami jej twarz, spadające na kark, połyskujące od klejnotów na podobieństwo smoczej grzywy. Miała oczy kozicy.

*A dlaczego się tu wybrałaś?*

Rozgniewał ją, zakłócając fałszywe powitanie. Gdy ujęła go za rękę, ujrzał, jak powraca ta fałszywa nuta. Teraz widział, że znaj-

273

dowali się w przepastnej komnacie, otaczały ich dymy i światła, fragmenty posadzki falowały niczym błyszcząca tafla wody. Nie potrafił określić, czy było mu zimno czy ciepło — chyba jedno i drugie zarazem, i do tego niezdolny — miał też trudności z oddychaniem. Nie sposób też było stwierdzić, czy wypełniające powietrze wonie były słodkie czy też mdlące. Dworzanie królowej, którzy ustawili się kręgiem za jego plecami, z wyglądu przypominali ludzi, aż do chwili, gdy przesuwiał wzrok gdzie indziej. Wiedział, że wtedy zmieniali postać, i niemal był w stanie dostrzec ich prawdziwą formę.

Czuł, że idą za nimi, gdy królowa poprowadziła go korytarzami i schodami, przez otoczone arkadami tarasy, gdzie czasami panował dzień, a czasami noc, obok okien, za którymi padał śnieg, deszcz, a niekiedy powolne płatki ognia.

—Fajne meble — zauważył, zatrzymując się, by przeciągnąć palcem po porcelanowych kwiatach osadzonych w hebanie nogi od krzesła wygiętej na kształt litery C. — Widziałem podobny towar w pałacu w Bel dwa lata temu, chociaż nie mam pojęcia, jak można tak powyginać drewno. Tak czy owak, powiadają, że to ostatni krzyk mody. Ciekawe, skąd o tym wiecie, skoro przez ostatnie tysiąc lat siedzieliście zamknięci za zasłoniętym zwierciadłem?

*Jesteś głupcem*, powtórzyła, lecz tym razem w jej głosie pobrzmiwało tysiąc innych znaczeń. Dłoń zaciśnięta na jego ramieniu pieściła go

dotykami piór na nagim ciele, musiał odwracać wzrok, by nie patrzeć na jej usta i piersi. Pokój wypełniała blada mgiełka oraz woń jabłek i spalonego cukru. O dziwo, przez mgłę wciąż dostrzegał pieczęć panny Mab, płonąca niczym odległa pochodnia.

Lampy otaczały otomanę świetlistą obwódką, najwyraźniej utrzymując mgłę na dystans. Posadzka wykonana była z zielonego marmuru, pokrywała ją warstwa kwiatów migdałowca.

—Dlaczego tu przybyłeś? — odezwała się ludzką mową,

274

swymi krwistymi rubinowymi wargami, a na jej bladej, pociągłej twarzy odmalował się smutek.

- By prosić cię o pomoc, kochanie.
- Niestety. — Pociągnęła go na otomanę obok siebie. Mówiła niskim głosem, a jego ton przywodził na myśl ciepłą dłoń zaciśniętą wokół jego męskości. — Gdybyśmy tylko mogli ci jej udzielić. Ale, jak widzisz, nie możemy pomóc nawet samym sobie. Że też ja, Aohila, zostałam tak zdradzona i uwięziona, i to za coś, co wcale nie było naszym dziełem.

Posępne dziecko wynurzyło się z mgły, ubrane jedynie w różany wieniec, niosąc emaliowaną tacę. Stały na niej szklane naczynia z winem, przejrzyste niczym ostatni promień zachodzącego słońca, były też daktyle, figi, wiśnie i jeden owoc granatu.

— Musisz być głodny — powiedziała Aohila. — Masz za sobą daleką drogę.

John pokręcił głową. Mab ostrzegła go przed tym, jak gdyby nie słyszał o podobnym podstępie w setce legend i pieśni. Przynajmniej co do



tego jednego były zgodne.

— Eee. Miałem w jukach pasztet, a co do wina, to kiedy ostatni raz go skosztowałem, zrobiłem z siebie pośmiewisko, tańczyłem na stole na ślubie mojej ciotki Tillie i dobierałem się do drухen. Ciotka Tillie prawie się zapadła pod ziemię ze wstydu. — Odebrał z jej rąk puchar, który przytknęła mu do ust, i opróżnił jego zawartość na podłogę. — Ale pięknie ci dziękuję za troskę, kochanie. A temu paziowi przydałyby się skarpetki. Przeziębi się niechybnie, biegając po kamiennej posadzce. Powiedz mi no, kto też mógł pomalować to zwierciadło na czarno?

Jej oczy uległy przemianie, zniknął z nich ostatni cień iluzji człowieczeństwa, zielony płomień prześlizgnął się przez jej włosy. Nie odpowiedziała.

— Nie ludzie? — zapytał.

Czerwone wargi odsłoniły jej zęby, poczuł, jak z przebitej paznokciami skóry zaczyna sączyć się krew.

275

— Podobno dokonali tego ci czarodzieje z pustyni, ale tak na prawdę to sprawka innych demonów, zgadza się?

Miał wrażenie, że wkracza do legowiska jadowitego węża, nagi i ze związanymi rękami. Słyszał w ciemności szelest suchych, jedwabistych łusek.

*Co o tym wiesz?*

— Niewiele. — Jego serce waliło jak oszalałe. Za plecami mgła zawirowała, lecz nie śmiał obrócić głowy; kątem oka dostrzegł przesuwane się światła, skryte w nich kształty. — Ale

chyba wiem, który ród Zrodzonych z Nocy jest za to odpowiedzialny.

Wcisnęła go w poduszki otomany, zaciskając mu palce na karku, mocne i zimne, przypominające w dotyku metalową garotę. Uświadomił sobie, że jest znacznie silniejsza od najsilniejszego z ludzi.

*Dlaczego tu przybyłeś?*

— Bo morskie demony spod Siedmiu Wysp robią dokładnie to samo, co wy zamierzaliście uczynić tutaj przed tysiącem lat — odparł John. — Przywiodły pewnego maga do zguby swymi obietnicami, a teraz używają go, by manipulować pretendentem do tronu jednego z lokalnych królestw. Sformowały armię smoków i magów, tak samo jak wy dla Isychrosa. Tylko że zamiast kierować wszystkim otwarcie, znalazły sobie naiwniaka, by panował w ich imieniu, podczas gdy one trzymają się na uboczu, mordują, parzą się i torturują. Podejrzewam, że planowały to od tysiąca lat, odkąd pomogły władcom Syn zamknąć was tutaj.

*Co ty możesz wiedzieć, zasyczał jej siarczany głos w pustce jego głowy, o zamierzeniach Morskiego Pomiotu? Wbiła paznokcie w jego ciało. Za plecami wyczuwał innych, mur tłących się kości. Zbliżających się do niego, wężących zapach jego krwi. I skąd wiesz, że to one zamknęły nasze drzwi do świata ludzi?*

— O tym nie mogę rozmawiać.

Przygniotła go swym ciałem, rozczesując zimnymi palcami

jego włosy. Jej wargi na jego ustach także były zimne, lecz niczym narkotyk roznieciły w nim ogień. To, co przedtem było mgłą, teraz

zdawało się stanowić zaciskający się krąg ścian, rozświetlanych wielobarwnymi freskami i blaskiem paru świec, a ona wyciągnęła uklejnocone szpile z włosów i z jedwabnych węzłów przytrzymujących jej szaty.

*Co cię więc tu sprowadza?*

Jej piersi, przyciskające się do jego ciała, przypominały kształtem melony, jedwabście miękkie i ciężkie. Ponownie poczuł tłące się w głębi ciepło, nie ciała, lecz płomiennego jądra w jej wnętrzu. Jej woń oszalała go. Zdecydowanym gestem unieruchomił pieszczące go dłonie.

— Chęć dobicia z tobą targu, pani — powiedział ochryłym, suchym głosem. — Nic więcej. Jestem od dawna żonaty i dzieciaty.

Wiedział, że gdyby ją posiadał, dałoby jej to władzę nad nim równie niechybnie co skosztowanie napoju czy jedzenia w królestwie demonów. Ale słowa, a nawet myśli, przychodziły mu z trudem, gdyż żądza oślepiła go, płonąć i dudnić w żyłach.

— Przybyłem, by prosić cię o pomoc w walce z Morskim Pomiotem, zanim uczynią z wami to samo, co teraz z nami.

Uwolniła nadgarstki z jego uścisku miał wrażenie, że usiłuje utrzymać przednią nogę oszalałego konia — i pochyliła się nad nim, obsypana czarnymi włosami, a złote i purpurowe jedwabne stroje zsunęły się na biodra.

*Dobicia targu? Targu? Z nami?*

Kiedy dostatecznie rozchyliła swe czerwone wargi, ujrzał, że jej zęby są w rzeczywistości kłami; i tak wiedział, że kiedy zamykał oczy, przestawała przypominać kobietę. A jednak pragnienie pochwylenia jej,

zgniecenia pod sobą, rozchylenia przemocą ust i ud zawładnęło nim tak przemożnie, że pospiesznie stoczył się z otomany i stanął rozdygotany u wezłowa.

— To uczciwy układ — powiedział. — I nie obejmuje bycia twoim niewolnikiem.

277

Ich spojrzenia zetknęły się i zorientował się, że zgadł trafnie: że jej dumę boleśniej ugodziła nie perspektywa zawarcia układu z człowiekiem, lecz to, że działał z własnej woli, nie ulegając jej życzeniom. Wykrzywiła wargi we wściekłym grymasie i na mgnienie oka ujrzał jej prawdziwe oblicze.

Potem demony pochwyciły go od tyłu: ból, chłód, powietrze wygniatane z płuc. Mroczna ślepotą i huczająca tortura płomieni.

„Jeśli umrę w tym królestwie”, pomyślał John, „pozostanę w nim na zawsze”. Czary Mab wzmocniły jego ciało, lecz według Ganteringa Pellusa demony rzadko, a właściwie nigdy nie zabijały śmiazków zapuszczających się w ich krainy, choć nie było jasne, skąd ów encyklopedysta czerpał swoją wiedzę. Nagi, skuty łańcuchami między dwiema kolumnami z rozżarzonego do czerwoności żelaza, smagany tnącymi ciało biczami demonów, John nie znajdował wielkiej pociechy w zapewnieniach *Encyklopedii*, nawet jeśli były zgodne z prawdą. Bo choć nie mógł umrzeć, nie mógł też stracić przytomności, a słudzy królowej wykazywali niezwykłą pomysłowość w wyszukiwaniu nowych zastosowań dla ostrych jak brzytwa fiszbinów i skóry. Dotys, a może Heronax z Ernine — John zmusił swój umysł do przypomnienia sobie źródła tej informacji — napisał, że mędracy ze starożytnego królestwa

Chornay umieli zapanować nad bólem dzięki szczególnym inkantacjom, lecz John zmuszony był przyznać, że najprawdopodobniej nie była to prawda.

*Musisz tylko poprosić*, wyszeptała królowa w rozwrzeszczanym jądrze jego umysłu. *Musisz tylko poprosić*.

*Poprosić o zmiłowanie. Poprosić o łaskę. Poprosić o moją miłość.*

Miał wrażenie, że leży na otwartej przestrzeni, pod potwornym, białym, falującym niebem. Łańcuchy przykuwały jego nadgarstki i kostki do kamiennego kręgu, boleśnie wpijającego mu się w nagie plecy, choć przez palce widział wąskie źdźbła szarej trawy kołyszące się na bezwietrznym, obcym wietrze.

278

Podmuch przykrył mu twarz jedwabiem. Wygiął głowę do tyłu, zmrużył powieki — nie potrafił sobie przypomnieć, co stało się z jego okularami — i ujrzał Aohilę stojącą nad jego głową. Wiedział, że to, co się teraz wydarzy, będzie gorsze od poprzedniej iluzji. Powiedział:

—Dobrze wiesz, że nie przysłano by mnie tutaj z tą propozycją, gdyby kwestia ponownego otwarcia zwierciadła podlegała najmniejszej dyskusji. Nie podlega. To niemożliwe.

W dłoni trzymała złoty puchar. Zanurzyła w nim palce, wilgoć zalśniła na jej skórze.

—To dlaczego mielibyśmy ci pomóc?

Krople płynu skapywały z jej palców na jego ciało. Początkowo wydawały się zabójczo zimne, lecz zaraz poczuł swędzenie, potem ujrzał wąskie strużki dymu i zaczął się palić.

—Ponieważ to, co teraz robisz ze mną, Morski Pomiot może

zrobić z wami, i to z tego samego powodu. Może cierpienie demonów smakuje lepiej od cierpienia ludzi. Sprawdzę to po powrocie... zapewne jest o tym wzmianka u Ganteringa Pellusa, a może u Curilliusa, choć Curillius nie potrafi nawet podać dokładnej liczby koni potrzebnych do przemierzenia Kresów. Ale jeśli zawładną południowym królestwem, będą mogły dobrać się do waszego zwierciadła.

Nabrała w dłoń płynu z kielicha i polała go po twarzy. Zdążył wykręcić głowę i ciecz zbryzgała mu policzek i szyję, wypalając ciało, wgryzając się głębiej i głębiej.

- Wątpisz, że możemy zatroszczyć się o siebie?
- Zapewne możecie. — Musiał walczyć, by opanować drzenie głosu, nie pozwolić, by strach przed nowym cierpieniem zamienił jego myśli w galaretę. — Ale sądzę, że gdy demony toczyć będą wojnę w świecie ludzi, wydarzy się wiele zła i okropieństw. Oferuję wam nie tyle wolność, ile spokój.
- Nie spokoju pragniemy, człowieku. — Przykucnęła nad nim i odchyliła mu głowę, przytykając puchar do warg. — Prag-

279

niemy zemsty na tych, którzy nas tu uwięzili. — Zacisnęła mu nos, zmuszając do otwarcia ust, a wtedy wlała mu do gardła jad, tak że zakrztusił się, zadławił i przełknął truciznę. — Na początek potrzebujemy zaledwie jednego sługi w ludzkim świecie. I to wcale nie musi być niemiłe. — Uśmiechnęła się i wsunęła palec do kielicha. Powoli, zmysłowym ruchem nakreśliła zaklęcia na jego ciele, linie ognia i bólu

wżerające się w ciało, aż jego umysł zaćmiło cierpienie, które wszakże nie do końca odebrało mu zdolność odczuwania. Potem wylała resztę zawartości kielicha na kamienie, wyprostowała się i odeszła niedbałym krokiem przez bezkresną łąkę szarej trawy.

Przytomność odzyskał na otomanie. Obolały na zewnątrz i od środka, jak gdyby ta ostatnia iluzja była rzeczywistością. Nie otwierając oczu, wyczuwał obecność stłoczonych dookoła siebie szepczących demonów, lecz gdy usłyszał suchy szelest jedwabiu i włosów i rozchylił powieki, ujrzał jedynie ją. Mgły zniknęły bez śladu, ściany pokryte były freskami przedstawiającymi leśną zwierzynę i ryby; okna wychodziły na mroczny sad pełen jaśminu i jabłoni.

— Czego chcesz? — zapytała go raz jeszcze.

Najbardziej chciał kubka wody, ale pohamował się w porę i nie powiedział tego. Zakładał, że wypicie jadu pod przymusem się nie liczyło, o ile to nie było złudzenie. Usiadł i zakaszłał, a ta prosta czynność sprawiła mu tak przeraźliwy ból, jak gdyby jego wnętrzności zamieniły się w jedną wielką bliznę.

- Czarui, który ochroni moje maszyny przed magią morskich demonów — odparł. Roztarł nadgarstki, poczuł surowe pręgi pozostawione przez kajdany, choć na skórze nie było widać najdrobniejszego śladu. — Zbudowaliśmy ich pewną liczbę — tych maszyn — i musimy je zabezpieczyć.
- Zgoda. — Spomiędzy fałdów sukni wyciągnęła fioletkę

krwi.

—Chyba nie masz kieszeni w tym stroju, co, kochanie? — John uśmiechnął się słabo i zaraz poczęstowany został kolcem bólu, jak gdyby wbiła mu miecz w brzuch i okręciła parokrotnie w ranie.

„Totalny brak poczucia humoru”, pomyślał, gdy mógł znów oddychać. „Nigdy by się między nami nie ułożyło”.

Zamrugął swoimi oczami krótkowidza i o mały włos nie poprosił o zwrot okularów. Zapewne potraktowałyby to jako jedno z trzech tradycyjnych życzeń — „dlaczego zawsze można mieć tylko trzy?” — a poza tym, co zdziwiło go niepomiernie, wciąż jeszcze widział przeświecającą przez ścianę pieczęć Mab.

—Chcę czaru, który uwolni zarówno magów, jak i smoki spod władzy morskich demonów i zwróci im władzę nad swymi umysłami i wolą.

Kozie oczy zwęziły się, przysłonięte uklejnoconym przepychem włosów. Ale jednak powiedziała:

—Zgoda. — Wyciągnęła kryształową pieczęć, zimną, maleńką i zielonkawobiałą, po czym położyła ją na poduszce obok fiołki.

Diabełek wielkości kurczaka podbiegł do otomany, podskoczył Johnowi do nadgarstka i wbił ssawkę w ciało. John zaklął i strącił go, czując ciepło krwi na ramieniu, lecz nie śmiejąc spuścić królowej z oczu. Diabełek zaatakował ponownie, tym razem królowa złapała go od niechcienia za kark, podniosła do ust i przegryzła mu gardło, szarpnęła głową w bok i do tyłu, niczym pies, pragnący jedynie rozedrzeć ciało i zabić.



Ze skrwawioną twarzą, piersiami i odzieniem zapytała go:

- Coś jeszcze?
- Chcę też zaklęcia, które uleczy wszelkie obrażenia, jakich doznali.

281

— Cóż — wykrzywiła pogardliwie usta. Martwe stworzenie w jej dłoni przestało podrygiwać, lecz jego krew nadal przesączała się przez jej palce. — Zgoda. — Rzuciła martwego diabełka na podłogę i zaraz coś wybiegło spod otomany, by wgryźć się w trupa przy wtórze ostrych, zgrzytliwych dźwięków. Klejącymi się od posoki dłońmi wyjęła szkatułkę z błękitnego kamienia, o fakturze zbliżonej do mydła i cięższą, niżby się wydawało, o czym się przekonał, skoro tylko wziął ją do ręki. — A teraz porozmawiajmy o daninie, którą będziesz mi za to winien.

Zacisnął dłonie na szkatułce, pieczęci i fiolce; nie potrafił opanować ich drżenia. Podniósł się i wycofał, ona zaś wyciągnęła się z uśmiechem na otomanie.

- Nawet pozwolę ci stąd odejść na tyle czasu, ile będziesz potrzebował, by wyrzucić moją zemstę na morskich demonach — powiedziała.
- Dziękuję — odparł.
- Potem...
- Nie będzie żadnego potem — przerwał jej John. — Zapłacę cenę, jakiej ode mnie zażadasz, ale nie stanę się twoim sługą w moim świecie. Wynajmowałem mój miecz gnomom za odpowiednim wynagrodzeniem, ale gdy zostało ono uiszczzone, szedłem dalej swoją drogą. Wolę już pozostać tutaj.

Usiadła, wyraźnie rozzłoszczona, obnażając kły. Teraz zauważył stworzenia żyjące w jej włosach — a może będące ich częścią: ślepe, ukradkowe, zębate.

*Chyba nie zastanowiłeś się, co by to dla ciebie oznaczało, mój ukochany.*

Jego twarz pokryła się zimnym potem, gdyż jej umysł, podobnie jak smoczy, przemawiał obrazami i odczuciami. Ujrzał, jak by to się skończyło: nie mającym końca cierpieniem. Wiecznym. Zmusił się, by spojrzeć jej w oczy, i chociaż runy i pieczęcie, jakie nakreśliła na jego ciele, zaczęły palić go wspomnieniem tamtego jadu, nie odrywał od niej wzroku.

282

*Władco Czasu, nie pozwól, by się na to zgodziła, błagał w najgłębszych zakamarkach swego serca. Me mógłbym...*

Mierzyli się w milczeniu wzrokiem przez dobre kilka minut.

*Niech i tak będzie, powiedziała cicho. W takim razie porozmawiajmy o warunkach.*

Ściany za jej plecami uległy przemianie, teraz dostrzegał za nimi Piekielny Pomiot, niczym ryby w mętnej wodzie. Rozpoznał dwa demony, które tak wprawnie posługiwały się biczami. Inne bawiły się fragmentami ludzkiego ciała — wnętrznościami, ręką, stopą. Długim pasmem zakrwawionych brązowych włosów przeplecionych wyblakłą czerwoną wstążką. Spojrzał z powrotem w oczy królowej demonów i ujrzał w nich leniwe rozbawienie oraz coś jeszcze, co wzbudziło w nim paniczny lęk.

*Skoro nie chcesz zostać moim sługą, życzę sobie, byś przyniósł nam rzadkie i drogocenne przedmioty.*

— Wymień je. — Miał wrażenie, że jego usta należą do do brze skruszałego trupa.

Uśmiechnęła się szerzej, jak gdyby wszedł w zastawione na niego sidła.

— A więc jednak. Jesteś naukowcem, Aversinie. Znalazłeś nasze zwierciadło, budujesz maszyny, które zabijają smoki i wożą cię po niebie. Dlatego jako tve zobowiązanie wyznaczam ci, co następuje: przynieś nam część gwiazdy, smocze łzy... i dar, przekazany ci bez przymusu przez kogoś, kto cię nienawidzi. Oto twoja danina. Jeśli nie spłacisz jej przed ostatnią pełnią lata, którą kiedyś nazywano Królewskim Księżycem, powrócisz tutaj, przejdziesz przez zwierciadło i staniesz się moim niewolnikiem.

„Kurde”. Zakręciło mu się w głowie, gdy pojął, czego od niego żąda, do czego jest jej to potrzebne. „Smoki nie ronią łez. To nie leży w naturze smoków, jak powiedziała by Morkeleb...”

— A jeśli nie powrócę?

Podniosła się z otomany. Nie potrafił stwierdzić, czy jest naga czy też przyodziana, spowijało ją bowiem rozedrgane światło.

283

Wycofał się pod ścianę i za plecami czuł czasami tynk, niekiedy kościste dłonie chwytające go za nadgarstki, gdy próbował umknąć przed jej powolnym naporem. W dłoni trzymała klejnot, drobny i skrzący się zimno, nie umiał określić jego koloru. Próbował się wywinąć, lecz stworzenia zza jego pleców skutecznie go unieruchomiły, mógł jedynie odwrócić głowę. Przez mgnienie oka poczuł jego palącą obecność w gardle. Potem nie czuł już niczego.

Jej dłoń prześlizgnęła się po policzku, szyi, poczuł paznokcie drapiące

mu skórę na piersi.

— Jeśli nie powrócisz — powiedziała miękko — uznamy, że nie zamierzasz wywiązać się z nałożonego na ciebie zobowiązania. Wtedy posiadziemy cię, gdziekolwiek będziesz się znajdował. Twoje ciało stanie się naszymi wrotami. Żywe albo martwe.

Zaschło mu w ustach. Czuł, jak czary Mab gasną w jego ciele, nie chroniąc go przed narastającym chłodem. Oddech zamierał w płucach. Za szybko, pomyślał w rozpaczy, za szybko...

— Zgoda — powiedział, wielkim wysiłkiem woli panując nad głosem, tak by brzmiał pewnie i miarowo. Odwróciwszy się, odebrał okulary od podającego mu je usłużnie demona. Pokrywała je krew, a z pyska stwora zwisały ściętna i fragment dłoni; nie zamierzał przyglądać się jej znajomo wyglądającym, pokrytymi bliznami palcom. — A teraz, jako że zająłem już wystarczająco wiele twojego czasu...

Coraz gorzej widział, jego oczy powlekała szara mgła. Wśród rozstępujących się przed nim oparów ujrzał czarne szkliwo, a pośrodku niego drobną, odwróconą kopię srebrzystej pieczęci Bramy.

— A więc do Królewskiego Księżyca. — Królowa demonów przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta. Pragnienie pozostania z nią, powalenia jej na żelazną ziemię i zniewolenia powróciło, spalając go jaskrawym płomieniem.

„Do diabła z Jenny, do diabła z łanem, do diabła z zewnętrznym światem...”

pulsowała jękliwa słodycz jej śpiewu.

- Jestem lepsza od twojego braciszka, co? — wyszeptała Jenny do ucha mężczyźnie, który postękiwał na niej, a potem wybuchnęła śmiechem, czując, jak jego ciało tężeje, usztywnione przerażeniem, gdy odskakiwał od niej, a na jego okolonej bokobrodami twarzy odmalował się bezbrzeżny lęk. Nie miała pojęcia, skąd wiedziała o tym zdarzeniu — odległa, zniewolona część jej duszy założyła, że ta wiedza pochodziła od Amayona — lecz ujrzała, że ów wyrazisty, nieznaczný fakt nie był zmyślony. Wiążące się z nim poczucie winy dręczyło nieszczęsnego żołnierza przez całe życie, i nawet teraz, po tylu latach, gnieździło się w jego wnętrzościach niczym wąż.
- Co to on wtedy do ciebie powiedział? — zamruczała, gdy mężczyzna, szamocząc się, usiłował poderwać się z otomany. — „Bultie” — nazywał cię Bultie, prawda? — „Bultie, nie rób mi więcej krzywdy, nie rób mi krzywdy...” — Naśladowała go perfekcyjnie, z jej gardła dobiegał głos siedmiolatka, gdy przytrzymywała Bultiego w żelaznym uścisku.
- Dziwka! — zaryczał i szarpnął się ponownie, ale Jenny tylko roześmiała się na widok komicznej odrazy i mdłości zniekształcających jego oblicze.
- Co, nie możesz tego znieść? — odrzuciła włosy do tyłu, piękne i gęste niczym kocie futro. Na zewnątrz namiotu cały obóz huczał od głosów ludzi dowcipkujących i radujących się ostatnim zwycięstwem, powtarzających: „Już niedługo”. Smoki spaliły obóz regenta i przegnały większość jego ludzi do lasu. Sam regent wraz z ojcem i garstką żołnierzy bronił się jeszcze w zrujnowanym forcie.

Rozradowana Rocklys poleciła rozdać żołnierzom dodatkową rację rumu. Jenny nie miała najmniejszych trudności z przywabianiem ich jednego po drugim do swojego namiotu. Durnie.

- Wiesz, co z nim się stało, z małym Enwrem, kiedy z nim

285

skończyłeś? Kiedy pobiegł do waszego taty i spróbował się na ciebie poskarżyć? Och, nie bój się, Bultie, ojciec mu nie uwierzył...

— Przestań, dziwko!

Uniosła szyderczo swe idealne brwi.

- Co, może nie wybrałeś Enwra, bo wiedziałeś, że wasz tato mu nie uwierzy? — Swymi nieskazitelnymi palcami bawiła się srebrnym naszyjnikiem, na którym niczym drogocenny kamień wisiała maleńka łyżeczka z kryształu i srebra. — Kiedy ojciec go zbił...
- Przestań!
- .. mały Enwr uciekł z domu...
- Zamknij się, albo cię zabiję!
- ... i spotkał na trakcie bandytów...

Z nieartykułowanym krzykiem mężczyzna wyswobodził dłoń, poranioną paznokciami, i zataczając się, ruszył ze szlochem do wyjścia. W pół drogi osunął się na kolana, wymiotując winem na kobierce, przeklinając bezsilnie i płacząc, podczas gdy Jenny zawodziła głosem małego Enwra: „Och, Bultie, to boli! Och, to boli!”

Niemalże spadła ze śmiechu z otomany, gdy Bultie wyczołgał się w końcu z namiotu. A kiedy obróciła głowę, ujrzała na wpół skrytego w cieniu mężczyznę.

Poznała go. Nigdy wcześniej go nie widziała, ale poznała go.

Wyciągnęła ku niemu rękę— Amayon wyciągnął ku niemu jej rękę — i powiedziała:

— Co jest, nigdy jeszcze nie widziałeś kobiety, przystojniaku?

Jako że był przystojny, w dziwny, kościsty sposób. Długie szare włosy okalały jego wąską twarz poznaczoną świeżymi rozcięciami, jak gdyby niedawno znalazł się w ogniu walki. Cień ukrywał jego oczy, lecz wydało się jej, że w mroku zalegającym pod jego brwiami płoną odległe gwiazdy. Jego długie, szczupłe ręce schowane były pod płaszczem, czarnym, jedwabnym skrzydłem.

— Możesz przywołać myślą ogień, kobieto czarowniku —

286

powiedział — i sól. Przywołaj je przez skazę w klejnocie i otocz ją nimi, by chroniły cię, gdy będziesz się z niej wynurzać, i by utrzymywały cię tam przy życiu.

Usłyszała wrzask Amayona, poczuła ukłucie bólu, wzbierającą falę gorąca...

- Jesteś smokiem tak samo jak kobietą— powiedział obcy, a jego głos niósł się mrocznym echem przez jej umysł. — W twym sercu kryje się smok...
- Świnia! Bękart! Ohyda! — To krzyczał Amayon, to Ama-yon rzucił ciało Jenny na nieznanomego, z rozczapierzonymi palcami, ostrymi paznokciami, obnażonymi zębami.

Lecz nieznanomy był silny, zaskakująco silny. Chwycił ją za nadgarstki, przytrzymał jej dłonie z dala od oczu, oczu, które, jak teraz widziała, były białe jak gwiazdy.

—Jesteś smokiem — powtórzył, a jego słowa wdarły się jasnym blaskiem przez skazę klejnotu wprost do jej serca. — Twa postać, twe ciało nie są z tego świata. Wymknij się przez tę skazę niczym woda przez pęknięcie w słoju.

Dopadły ją szarpiące mdłości, mdłości i ból, zapierający dech w piersi. Zaczęła — Amayon zaczął — krzyzczeć wniebogłosy: „Gwałcą! Mordują! Na pomoc! Ratunku!” A z zewnątrz odpowiedziały jej męskie głosy i tupot biegnących stóp.

Obcy zawiązał ją w swój płaszcz i wywlókł przez tylne wyjście namiotu. Jenny jak oszalała usiłowała uwolnić się z jego uścisku, wydała z siebie rozpaczliwy jęk, przyzywający na pomoc Mellyn, Folcalora, kogokolwiek... A jednocześnie, jęcząc z bólu, zanurzona w otchłani bezświatlnego klejnotu, gromadziła smoczą moc, czerpiąc z esencji ognia i soli. Choć ból atakował ją nieubłaganie, kształtowała je w swym umyśle, a one szeptały do niej przez skazę w klejnocie, równie rzeczywiste jak ona, tylko niematerialne, podobnie jak ona...

Smocza moc zbudziła się w niej, stawiając czoło Amayonowi...

*Woda*, wyszeptał głos w jej umyśle. *Stać się wodą, kobieto cza-*

287

*równiku. Nie walcz z nim, lecz odpłyń od niego. Obróć się w parę i daj się porwać wiatrowi.*

Ludzie wybiegli z namiotów, usiłując odpędzić ich od obozowej palisady. Jenny magicznym wzrokiem ujrzała zwisającą między balami linę. Żołnierze jej nie widzieli. Mozolnie, jak gdyby zbierała nasiona prosa zgrabiętymi dłońmi, tknęła czary nieuwagi, zaklęcia gaszące ogień, które zduszały pochodnie między namiotami, czary niezdarności, roztargnienia,



rozplatanych sznurowadeł i upuszczonego oręża. Dym z wygaszonych ognisk mieszał się z nietypową o tej porze roku mgłą podnoszącą się z dna rzeki...

Wtedy poczuła zaklęcia Folcalora. Demoniczne zaklęcia rzucone przez odpychające, olbrzymie stworzenie ujeżdżające Cara-doca niczym zdychającego konia, stworzenie, którego przez ostatnie pięć dni nauczyła się nienawidzić prawie tak samo jak Amayona — które kochała dziwną, cielesną namiętnością Amayona. Zaklęcia rozpraszające mgłę i dym, zapalające wokół nich zimne flary bagiennych ogników.

— Zatrzymać ich! — Rocklys miotła się wśród swych ludzi z wielkim czarnym łukiem w dłoni, a Caradoc podążał tuż za nią. Żołnierze rzucili się na nich, ci sami, których Jenny przez minione cztery noce brała do swego łóżka. Szarowłosego nieznajomy uzbrojony był w łaskę; powalił ją najbliższego wojownika, a Jenny pochwyciła upuszczoną przez niego halabardę i sztylet. Zaklęcia oplatały ją żarzącą się nicią, podczas gdy odpierała ataki napastników: jednemu rozplatała twarz od czoła po brodę, obróciła halabardę i złamała drugiemu szczękę, oczyszczając drogę do wału.

W górze rozległ się miękki, złowieszczy szelest skrzydeł i zrozumiała, że nadlatywały smoki.

*Po linie*, powiedział głos w jej umyśle.

*Zabij go!*, wrzasnął Amayon, a mięśnie jej ramienia chwycił kurcz, tak wiele wysiłku wymagało od niej powstrzymanie się przed wbiciem nieznajomemu ostrza w plecy. Strzały załomotały

po wale. Głos Mellyn zawołał żałośnie: *Jenny!*, podczas gdy ona po omacku poszukiwała skazy w oliwinie, chwyciła linę, a jedwabny płaszcz owijał się wokół jej ciała podczas wspinaczki. Jej wybawca uderzał i machał laską, a ona pochyliła się, kierując swą zboloną uwagę na jego przeciwników. Dobrze wiedziała, że będzie musiał odwrócić się do nich plecami, by wspiąć się na wał.

Zatrzymała się spocona, roztrzęsiona, formułując w myślach wszystkie Ograniczenia, linie mocy, runy, zaklęcia ognia i błyskawicy. Czuła, jak demony chwytają i spijają jej magię, rozdzierając zaklęcia, gdy tylko zdążyła je ukończyć; ujrzała, jak Caradoc, stojący na skraju oświetlonego fosforyzującym blaskiem placu między namiotami, unosi rękę.

„Nie uzbrojeni ludzie”, pomyślała, „a jeśli nawet, to nie przygotowani na atak czarami...”

Niemniej jednak cisnęła mocą w krąg żołnierzy otaczających jej wybawcę, i chociaż moc Folcalora stawiała jej czoło, chociaż Amayon szarpał i rozdzierał jej umysł, z nieba spadł ogień. Ludzie rozbiegli się z krzykiem, porzucając broń, by zedrzeć z siebie płonąca odzież. Szarowłosa mężczyzna skoczył ku linie i Jenny ujrzała, jak wspina się w ślad za nią, kościsty i szczupły, jakby jego ciało nic nie ważyło. Czarnopióra strzała Rocklys uderzyła go w bark, rzucając ciężko na wał. Jenny pochyliła się, złapała go za rękę i wciągnęła za sobą na szczyt palisady. Wiatr targał i szarpał jej włosy, jej śliski płaszcz z czarnego jedwabiu, i ledwie zdążyła uskoczyć przed strumieniem zielonkawego kwasu, który zbryzgał wał. Drewno z sykiem zajęło się ogniem. Kolejna strzała zaryła się w pal kilka cali od jej kolana, a głos Mellyn krzyczał w jej głowie muzyką, która szarpała serce żalnością.

— Skacz! — powiedziała Jenny.

Lecz nieznajomy złapał ją w pasie i miał rzucić się w dół, skoczył w górę. W górę, rozpościerając skrzydła, odmieniając swoją postać. Przytrzymujące ją łonie zamieniły się w pazury. Nad sobą

289

Jenny ujrzała lśnienie czarnych łusek, wirującą, gwiaździstą ciemność, grzywę, grzebienie i zwieńczony żelazem ogon.

Obozowe ogniska zmalowały w oddali. Pięli się nieprzerwanie w górę, w ciężarne burzą chmury, kierując się prosto na wschód.

#### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jak gdyby była w ciąży, hodując w swym wnętrzu mięsożernego potwora, który przegryzał się przez macicę w poszukiwaniu drogi wyjścia.

Jak gdyby stała samotnie na straży wśród skał, smagana lodowatym deszczem, drugą bezsenną noc, wiedząc, że nie zostanie zluzowana.

Jak gdyby leżała w łóżku z kochankiem, palona żarem młodzieńczej namiętności, wiedząc, że wzięcie go w ramiona oznacza dla niej śmierć.

Amayon bardzo dobrze ją poznał. Miał dosyć czasu, by odkryć najdrobniejsze niedoskonałości w więżącym ją klejnocie, będącym sercem i ciałem Jenny, i wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim on zatriumfuje.

Władca Czasu był jej wrogiem tak samo jak wszystkich ludzi. Był przyjacielem demonów.

Grom zagrzmiał nad Cytadelą Halnath. Jenny wyczuwała w deszczu

zalewającym jej twarz Przywołania czarodziejów i cieszyła się z osłony oferowanej przez błyskawice i burzę. Gdy Mor-keleb osiadł na mokrych płytach najwyższego dziedzińca w oślepiającym blasku poranka, żołnierze na murach patrzyli na niego z ukosa, lecz kiedy ich mijała, unosili w salucie włócznie. Ktoś wręczył jej płaszcz, gdyż za całe ubranie miała strzępy jedwabnej nocnej koszuli.

290

Mistrz czekał na nią w swojej pracowni.

— Jenny. — Podał jej rękę. Nosił poobijaną kolczugę na czarnej szacie naukowca i wyglądał jak ktoś, kto poprzedniej nocy nie zmrużył oka.

Powstrzymała go gestem dłoni. Wilgotny wełniany płaszcz przykleił się do jej nagiego ciała, a przemoczone włosy do twarzy. Musiała teraz wyglądać na swoje czterdzieści pięć lat, a pewnie i więcej, wynędzniała, z wargami opuchniętymi od rozpusty, zmęczona i umorusana. Ciężko jej było wypowiedzieć te słowa.

- Demon wciąż jest we mnie — powiedziała. — Nie ufaj mi. Nie ufaj temu, co mówię.
- Swój pozna swego, kochanie.

Odwróciła się, zaskoczona tym głosem, z wysiłkiem utrzymując obojętny spokój smoka, który za nic w świecie nie wypuszczał ze szponów raz zdobytej mocy. „Odpędź od siebie wszystkie uczucia”, rozkazała sobie, lecz nic w całym życiu nie przyszło jej z większą trudnością. „Amayon czeka na ciebie...”

— Poznam, czy to twoje słowa czy jego — dokończył John. Usiadł ciężko w fotelu przy palenisku. Nigdy nie widziała go po

dobnie zmęczonego, nawet po powrocie ze Świetlistych Ostrowów był w lepszej formie. Na jego szyi widniała nabrzmiąta pręga, jak gdyby przyciśnięto mu do skóry rozgrzany metal, głębokie nacięcia i zadrapania znaczyły ręce i szyję. Lecz to w jego oczach, na wpół przesłoniętych rzadkimi pasemkami włosów, malowało się prawdziwe spustoszenie.

Napotkawszy jej wzrok, rozchmurzyły się wszakże i pojaśniały dawnym pogodnym szaleństwem i zaufaniem zrodzonym z miłości. Cieszył się na jej widok, co sprawiało, że chciało się jej płakać ze wstydu i radości.

- Powiedzieli mi, że zginąłeś... — Nie dodała, że usłyszała to od Iana. Myślała o tym, jak poradziła sobie z żalobą, oddając umysł we władanie demona, nie dbając o nic.
- Byłeś w ruinach. — Nie wiedziała, skąd to wie.

291

— Nic innego nie zdołałem wymyślić, kochanie. — Podniósł się i podszedł do niej, ostrożnie, nie ufając samemu sobie, nie chcąc zakłócić jej koncentracji. Drżącymi palcami dotknął jej dłoni. Wiedziała, że jej palce są lodowate po długim locie nad dzikimi górami, lecz jego były jeszcze zimniejsze.

Pomyślała o tym, co musiał ujrzeć, o rzeczach zgromadzonych w jej śnie po drugiej stronie zwierciadła. O tym, co wyczytała w jego książkach na temat demonów.

- Przez wiele godzin leżał nieprzytomny w komnacie zwierciadła. — Panna Mab powstała z niewielkiej sterty poduszek przy ogniu, a jej ciężka, elegancka biżuteria błysnęła niczym smocze łuski. — Czar,

jaki nań nałożyłam, ledwie zdołał przywieść go z powrotem. — Zerknęła na Polycarpa, który pospiesznie odwrócił głowę.

- Zawarłem najlepszy układ, jaki się dało. — John poprawił okulary. — Nigdy nie czułem się zbyt pewnie na zakupach... pamiętasz, jak kupiłem kamienną gałkę muszkatołową od tego gościa z małpą? Ale się starałem. Panna Mab wyjaśniła mi, w co się wpakowałem, i mogę tylko powiedzieć, że królowa demonów ma się czego wstydzić.

Odwrócił się od niej, gmerając w wytartym mieszku u pasa. Kiedy znów na nią spojrział, trzymał w dłoni coś na kształt pieczęci wykonanej z kryształu albo szkła. W tej samej chwili panna Mab podeszła z drugiej strony i złapała Jenny za nadgarstek.

Dobrze, że to zrobiła. W swym zamkniętym w klejnocie umyśle Jenny poczuła, jak Amayon rzuca się i szarpie jąza ramię. Ogarnęło ją przemożne pragnienie ucieczki z komnaty, ukrycia się, użycia swej mocy i magii, by nigdy jej nie znaleziono. Wiła się i miotła, lecz kolejne dłonie pochwyciły ją z drugiej strony. Przelotnie ujrzała twarz szarowłosego nieznanego, oczy pełne cienia i gwiazdnego blasku. Morkeleba w swym ludzkim przebraniu wchodzącego przez drzwi z tarasu.

292

Zrozumiała — Amayon zrozumiał — czym była trzymana przez Johna kryształowa pieczęć.

*Nienawiść, zdrada, trucizna, morderstwo, ból...*

Głos demona wrzeszczał w niej, a ona jak smok zamknęła swój umysł w diamencie i stali.

*Porzucę cię, porzucę cię, porzucę cię...*

Zalały ją fale nieznośnej rozkoszy, nieopisanego bólu. Chwyliła Johna za ramię, ścisnęła dłońmi krawędź stołu, zginając się wół, zlna potem, szarpana nudnościami.

— Wytrzymaj, kochanie. — Dotknął jej podbródka, zadzierając jej głowę; ujrzała białą nurszlę w jego dłoni, zwykłą muszlę z plaż Bel, a rozbrzmiewający w niej krzyk Amayona przeszedł w piskliwy wrzask.

*Nie pozwól mu...*

Dziecko w jej wnętrzu. Zrotpaczony, przerażony kochanek--dziecko...

Zamykając ściśle umysł, Jenny otworzyła usta, gdy przyłożono jej muszlę do warg. Zacisnęła powieki na widok Polycarpa, przytykającego świecę do oplecionego magią wałka purpurowego wosku. Posłusznie wyciągnęła przed siebie rękę, by Mab mogła rozciąć jej dłoń i posmarować kryształową pieczęć krwią. Niewysoka gnomka musiała wejść na krzesło, by przycisnąć okrwawioną pieczęć do jej czoła.

*Będą mnie torturować całą wieczność!*

Jenny pomyślała o nocach wypełnionych męczarniami i odpowiedziała spokojnie: *To dobrze.*

Amayon zniknął.

Ogarnęło ją uczucie porzucenia. Prawie nie zauważyła Mab wyjmującej muszlę z jej ust. Jenny odwróciła się ze złamanym sercem i zakryła twarz w dłoniach, zanosząc się płaczem.

— Demony zażądały od Aversina, by dostarczył im pewne przedmioty. — Panna Mab pochyliła się w wielkim fotelu mistrza,

a Polycarp, usadowiony na podłodze obok niej, kolejny raz podsunął jej podnózek.

Upłynęły niemal dwadzieścia cztery godziny. Gnomka miała na stopach jedwabne pantofle w niewiarygodnym odcieniu błękitu, wyszywane lazurowymi i złotymi rozetami, o czubkach ozdobionych złotymi dzwoneczkami. Kiedy krzyżowała nogi w kostkach, dźwięczały wesoło.

— Taką cenę zapłacił za to.

Na biurku spoczywała kryształowa pieczęć, chłodna i zielon-kawobiała, jak gdyby utoczono ją z lodu. I rzeczywiście, sądząc po warstwie szronu na jej powierzchni, w której każdy ludzki dotyk pozostawiał ślad, tak właśnie być mogło. Leżąca obok niej fiolka była śliska w dotyku; Jenny zauważyła, że zdążyła już wypalić niejedną krąg w blacie. Teraz położono ją na szklanym talerzyku. Leżąca pośrodku szkatułka z niebieskiego kamienia wyglądała znacznie bardziej prozaicznie, lecz robiła wrażenie ciemniejszej i cięższej niż jakikolwiek kamień znanego jej świata i trudno było patrzeć na nią dłużej niż przez chwilę. Pokrywały ją ciemne plamy. Zapewne krew.

„Biała muszla też powinna się tu znaleźć”, pomyślała Jenny. „Więzienie Amayona”. Wstydziała się swego pragnienia, by ją ujrzeć. Przekonać się, czy jest mu w niej wygodnie. „To absurdalne”, pomyślała, paląc się ze wstydu. „Absurdalne”. Jak gdyby John nie znajdował się w przerażającym niebezpieczeństwie, jak gdyby Ian nie był nadal więźniem demona...

Opuściwszy w nocy pracownię, zasnęła, by zbudzić się u boku Johna. Przykrył jej policzek dłonią i przytknął wargi do jej ust, a wtedy poczuła się tak, jakby cały brud, okrucieństwo i żądza, przez które przeciągnął ją Amayon, zostały splukane z jej ciała i umysłu. Nie była piękna — dobrze



o tym wiedziała, wiedziała od

294

zawsze — **ale** ujrzała swe piękno w jego spojrzeniu, i to jej wystarczyło.

Jej umysł wciąż wydawał się oddzielony od ciała, jak wtedy, gdy oglądała Cair Corflyn oczyma Morkeleba. Wiedziała, że nadal zamieszkuje zaczarowany oliwin, spoczywający w srebrnej buteleczce na szyi Caradoca. Więź łącząca ją z ciałem, nawet po wypędzeniu z niego Amayona, była bardzo krucha. Różnica polegała na tym, że w jej porzuconym ciele nie krył się teraz żaden demon, i mogła je obsługiwać, jak jedną z maszyn Johna, przez skazę w klejnocie. Nigdy dotąd nie zaznała równie wielkiej ulgi.

Później znowu zasnęli, lecz John robił wrażenie zmęczonego. Jego oczy miały znękany wyraz, jak gdyby ustawicznie oglądał się przez ramię w poszukiwaniu czegoś, czego się spodziewał, ale nigdy nie znajdował.

— Z pierwszym przedmiotem nie powinno być większych kłopotów. — John, siedzący na podłodze u stóp Jenny, ścisnął jej dłoń. — W skarbcach Głębi znajdzie się dosyć piorunowych kamieni, nieprawdaż, miła pani? — Zerknął w stronę panny Mab. — Słyszałem opowieści, jak to gnomy gromadzą ich zapasy. Założę się, że mam teraz u starego Balguba wystarczający kredyt, by sprzedał mi jeden za niewygórowaną cenę, powiedzmy parę funtów mojego ciała.

Powiedział to z uśmiechem, ale gnomka uciekła spojrzeniem w bok. Jenny, opierająca kolana o jego plecy, wyczuła, jak John znieruchomiał nagle.

- Nie masz piorunowych kamieni w Głębi Ylferdun — powiedziała panna Mab, unikając jego wzroku.
- Nie zwiedzisz mnie, pani — odparł John. — Twój kamrat Dromar opowiadał mi o nich cztery lata temu...
- Był w błędzie — przerwała mu gnomka. — Wszystkie zostały posłane do Wyldoom jako spłata pewnego długu. A są one znacznie rzadsze, niż chciałaby tego gminna wieść. A poza tym —

295

dodała, gdy John nabrał powietrza w płuca, by jej odpowiedzieć — żadnego nie powierzono by twej pieczy.

Spojrzenie jej starych, bladych oczu spoczęło na twarzy Johna. Zapadła cisza, rozprzestrzeniając się niczym we śnie pojedyncza kropla, rosnąca w staw, jezioro i wreszcie pochłaniający cały świat ocean.

- Pojmij, że z metalu piorunowych kamieni wykuwane są Bramy Demonów — powiedziała. — Gwiezdny metal dzierży magię tak, że żadna moc nie jest władna zagrozić bramie.
- Co się tyczy smoczycz łez — wtrącił Polycarp — myślę, że sajedynie owocem fantazji, gdyż smoki nie płaczą.

„Czy Mellyn płakała”, zamyśliła się Jenny, „kiedy uciekłam z obozu Rocklys?”

Potem jej myśli zwróciły się na powrót ku Amayonowi i szybko odwróciła głowę, wstydząc się, że pozostali mogliby dostrzec napływające do jej oczu łzy.

Milczenie zalegające w bibliotece przywodziło na myśl kryształową truciznę w pucharze. Ażurowe lampy pokrywały lisią, trójkątną twarz

mistrza i pomarszczone oblicze starej gnomki wzorami topazowych plamek.

John wziął głęboki oddech.

— Rozumiem — powiedział złowieszczo spokojnym głosem.

— Zamierzałem zapłacić trzecią część daniny moimi włosami i paznokciami, podarowanymi mi przez matkę, która, z wyjątkiem Rocklys, nienawidziła mnie chyba najbardziej ze wszystkich ludzi. Wszyscy mi powtarzają, że mam nos mojej matki, ale muszę na czymś opierać okulary. A może to też zamierzacie mi odebrać?

— Zmierzył Polycarpa ostrym spojrzeniem.

Mistrz wytrzymał je bez zmrużenia oka.

- Jeśli zajdzie taka konieczność.
- Twe włosy i paznokcie utwierdzą władzę, jaką ma nad tobą królowa demonów, Aversinie — powiedziała panna Mab, obracając pierścienie na swych serdelkowatych palcach. — Pokładała

296

nadzieję w takowym odczytaniu tej zagadki, wywodząc w otchłani swego umysłu, jak to zwykły czynić demony, nienawiść żywioną przez twą matkę do syna twego ojca. Z nich uczynić by mogła twego sobowtóra, któren zająłby twe miejsce w tym świecie. Być może zawładnęłaby także twym sercem i umysłem.

- Och. — Jenny wyczuwała napięcie kryjące się we wszystkich mięśniach Johna. Najpierw gniew, a zaraz potem lęk.
- Wiedziałaś o tym, przygotowując zaklęcia, które umożliwiły mi przejście do świata za zwierciadłem? — zapytał w końcu.

— Wiedziałaś, czego mogą ode mnie zażądać? Albo że nikt niema najmniejszego zamiaru pomóc mi w zapłaceniu tej daniny?

- Rzekłam ci, że cię zwioda, Aversinie — odparła spokojnym tonem panna Mab. — I że nie jest prawdopodobnym, byś uszedł z życiem z za zwierciadła.
- Ale nie zechciałaś wspomnieć, że jedynym komentarzem, jaki usłyszę, będzie: „Och, przykro nam, synu, nie możemy zapłacić twojej daniny, ale masz pecha”. — Podniósł się, przypominając teraz smoka w swym kolczastym, pordzewiałym kaftanie. — „Ale oczywiście chętnie skorzystamy z ochrony, wolności i uzdrowienia, piękne dzięki, zadbamy, by pamięć o tobie nigdy nie wygasła. Połóż się teraz wygodnie i poczekaj, tylko skoczę po topór”.

— Odwrócił się gniewnie do mistrza. — Powiedz mi jedno. Ci strażnicy, którzy pałętają się od samego rana w pobliżu, gdziekolwiek się udam, mają dopilnować, żebym się stąd nie wydostał, tak?

Polycarp odwrócił wzrok.

Ze zmartwiałą twarzą John spojrział na Jenny, która na wpół podniosła się z miejsca, zdjeta szokiem, przerażeniem i wściekłością. Pochylił się, by ująć jej dłonie lodowatymi palcami i pocałować w usta.

— Cóż, niestety mają rację, ukochana. — W jego głosie brzmiał zjadliwy, rozgoryczony ton. — Nie można wpuścić demonów do naszego świata, ale ktoś musiał pójść i zdobyć broń prze-

ciwko nim, przez wzgląd na króla, na Gara, na prawo i wszystkich naszych przyjaciół. Ale zrobiłem to dla ciebie, kochana. Wszystko

zrobiłem dla ciebie.

Wyszedł z komnaty zamaszystym krokiem, błękitne wełniane zasłony uniosły się i zafalowały, gdy obok nich przechodził. Polycarp podniósł się niezwłocznie i podszedł do drzwi, a Jenny, podążając za nim umysłem, usłyszała, jak mówi do czekających na zewnątrz ludzi:

— Idźcie za nim. Wiecie, co do was należy, ale nie róbcie wokół tego szumu.

Gdy chciała pójść w jego ślady, mistrz schwycił ją za nadgarstek. Przez moment patrzyli sobie w oczy, jasnoblękitne i niebieskie, rozumiejąc i nie chcąc zrozumieć.

— Nie zrobią mu krzywdy — powiedział Polycarp. — Tylko odprowadzą go do jego komnaty. Proszę, zrozum mnie, pani Jenny. Nie możemy pozwolić, by poruszał się bez nadzoru. Nikt, kto zadawał się z Piekielnym Pomiotem, kto winien jest im daninę, nie może pozostawać bez straży.

Szarpnęła się w jego uścisku, lecz nie udało się jej wyswobodzić. Rozwścieczona zapytała:

— Mnie to także dotyczy?

W jego niebieskich oczach odbijał się smutek.

— Ciebie to także dotyczy, pani Jenny. Zastanów się nad tym.

Wyrwała mu się i stanęła na środku jasno oświetlonej pracowni, cała rozdygotana.

— Według prawa opętani są bez winy — rzekł Polycarp — jako że i tak rzadko to przeżywają. Lecz ci, którzy dobrowolnie kontaktują się z Piekielnym Pomiotem i układają się z nimi, są nie godni zaufania i nie zasługują na to, by żyć. Nie słyszałem o rów

nie odważnym postępku, ale nie zmienia to faktu, że jest im dłużny daninę, której nie jest w stanie zapłacić, i w końcu trafi pod ich władzę. Do tego nie wolno nam dopuścić. Ani za jego życia, ani po jego śmierci.

298

Jenny obejrzała się bezradnie na pannę Mab, lecz w spojrzeniu gnomki znalazła jedynie ciche współczucie i smutek.

- Sama widzisz prawdę tych słów, pani. Pomogłam mu, by umniejszyć ich moc przynajmniej o jednego maga wyrwanego spod ich władzy, wiedząc, że jako mag sama to pojmiesz. Z nadejściem Królewskiego Księżyca należeć będzie do nich, każde jego tchnienie należeć będzie do nich. Znając owe demony, które cię porwały, które więżą twego syna, pojmujesz, że nie wolno mu zapłacić tego, czego od niego żądają. Oto są ścieżki demonich uczynków, dziecko. Przez trwogę, miłość i strach, by ziściło się najgorsze.
- Musi być jakiś sposób.

Ostatni młody księżyc lata zaszedł przed prawie trzema godzinami. Nawet na dalekim południu niebo wciąż jeszcze przechowywało ślad błękitnej światłości, w której każda gwiazda, niczym smok, wyśpiewywała swe imię muzyką nieprzeniknioną dla ludzkiego serca. Jenny spoglądała na nie z murów z przerażeniem, by zaraz zatopić wzrok w białych oczach szarowłosego mężczyzny, który stanął cicho u jej boku.

Jej głos brzmiał pewnie, obojętnie, nierzeczywiście dla niej samej.

—John powiada, że Królewski Księżyc to określenie pory, kiedy król Długiego Brzegu, gdzie teraz leży Greenhythe, jak

i królowie pomniejszych wyspiarskich państw Somanthus, Silver i Urrate, składani byli w ofierze bogom w zamian za pomyślne plony.

*Wiem.* Smok przechylił głowę charakterystycznym ruchem. Niemalże mogła dostrzec rozżarzone kulki jego czułeków. *Byłem tam.* Jego gestykulacja nie miała w sobie nic z ludzkiej, podobnie jak niczego ludzkiego nie można było się dopatrzeć w budowie jego trójkątnej, cudacznie kościstej twarzy. Dziwnie się czuła, oglądając go w ludzkiej skórze, choć zapewne nie dziwniej niż

299

w czasie spędzonym przez nią pod postacią smoka. Skoro potrafił zamienić się w smoka nie większego od sokoła, nie stanowiło to dla niego większego problemu.

A jednak spoglądanie w jego krystaliczne oczy, obce i pozbawione cienia współczucia, budziło w niej nieokreślone, niezwykle uczucie.

—Musi być jakiś sposób — powtórzyła.

*Zły to by był uczynek, kobieto czarowniku, gdybyśmy spróbowali oszukać demony, jakbyśmy byli drobnymi szulerami, wciskającymi naiwnym kupcom fałszywe klejnoty na targowisku.*

Morkeleb wsparł długie białe dłonie na kamiennym parapecie. Jedyne paznokcie nie przypominały ludzkich, czarne, zakrzywione szpony przywodzące na myśl pokrytą szklivem stal. Jego ramiona sprawiały wrażenie nienaturalnie wąskich, jak u kościanej lalki.

*Honor pozostaje honorem, niezależnie od tego, czy układa się z istotami znającymi to pojęcie czy też go pozbawionymi. Tak powiadały szare smoki. Kiedyś tak nie uważałem. Ale wziąć wolność i uzdrowienie, a zwrócić*

*jedynie zwęglone kości to kradzież. Ponadto nie sądzę, by demony dały się zwieść nawet najbardziej przebiegłym złudzeniom.*

*Niekiedy, Jenny, pozostaje tylko jedno wyjście.*

—Łatwo powiedzieć — wykrzyknęła, przypominając sobie, jak tracono ludzi przywołujących demony. A w jej umyśle uformował się kształt, choć nie słowa: *Ty nie znasz miłości.*

Białe oczy zwróciły się na nią, a ona uciekła przed nimi spojrzeniem.

*To prawda, że miłość nie jest sprawą smoków. Lecz niekiedy nie znamy jej tylko dlatego, że nie wiemy, jak ją znaleźć. Nie wszedłbym do piekła za zwierciadłem, Jenny, gdyż wiem, jak pozbawione nadziei jest to posunięcie. A jednak on również to wiedział, a przecież teraz stoisz tutaj, żywiąc nadzieję na odzyskanie wolności. Ja nigdy nie zdobyłbym się na coś takiego, gdyż nie wie-*

300

*działem, nie wiem, jak czynić równie szalone postęпки. A jednak jestem mu wdzięczny za to, że zrobił to, czego ja, Morkaleb Czarny, Pogromca Starszego Droona i najpotężniejszy z gwiazdnych smoków, nie byłem w stanie i nie zechciałbym uczynić, gdyż nie leży to w naturze smoków.*

Przeniósł spojrzenie na aksamitne zagłębienia Ściany Nast i słabe, czerwone migotanie komety Johna, płonącej nisko nad jej grzbietem, po czym ściągnął brwi nad swym wąskim, ptasim nosem.

*Teraz i ja obcy jestem naturze smoków, gdyż odrzuciłem swą wolę — odrzuciłem swą magię — by demony nie mogły użyć jej, aby mnie pojmać, i teraz nie wiem sam, czym jestem.*

*Morkaleb, przyjacielu...*

Dotknęła jego ramienia, a on zwrócił na nią swe oczy, które nie były już



kryształowym labiryntem, lecz prostą, nieskończenie daleką drogą, rozplywającą się w bezbarwnym powietrzu.

*Morkeleb, przyjacielu, jesteś, czym jesteś. Cenię cię takim, jakim jesteś, zawsze. Cokolwiek robisz, czymkolwiek jesteś, czymkolwiek się staniesz, pozostanę twoją przyjaciółką. Może nie tym, czego niegdyś pragnąłeś, lecz wszystkim, co pozostało we mnie najlepszego.*

*Nie niegdyś, odparł, / nie zawsze. I wtedy ujrzała na jego twarzy chłodny, kryształowy ścieg łez. Jako że ty umrzesz, kobieto czarowniku, człowieczą śmiercią, ja zaś stanę się tym, czym się stanę, a co wtedy pozostanie z tego, co istniało między nami?*

Odwrócił wzrok, nie chcąc, by ktokolwiek ujrzał jego łzy czy jego serce. Kiedyś kochał złoto głęboką i potworną chciwością, kochał też potęgę i wiedzę, jaką ta potęga przed nim odsłaniała. Wyczuła w nim smutek płynący ze świadomości, nieobcej i jej, że nie było już powrotu do tego, czym był w przeszłości.

Uniosła dłoń, by otrzeć jego łzy, lecz on zatrzymał ją chłodnym, szponiastym uściskiem.

*Nie dotykaj ich, kobieto czarowniku, sparzają ci rękę.*

301

Tak więc zdjęła z szyi kryształową łyżeczkę, zebrała w nią łzy i postawiła ją na parapecie.

*Co pozostało ze światów, które dawniej odwiedzałeś?, zapytała go, wskazując na ciemność i gwiazdy. Wciąż istnieją w twoim sercu.*

*Serca smoków nie są jak serca ludzi. Stworzone są z innego materiału, tak samo jak ich łzy. Mogę tam powrócić, kiedy tylko zapragnę. Lecz ty będziesz dla mnie na zawsze stracona w mrocznym oceanie czasu i nie*

*będę mógł przywołać cię z powrotem. To dlatego odszukałem Jałową Wyspę i dlatego na niej pozostałem.*

*Nic nie jest bezpowrotnie stracone, powiedziała Jenny. Ani bezpowrotnie zapomniane. A kto wie, co kryje się w sercach i snach smoczycy cieni? Gdy Dwunastu Bogów wyгнаło ze swego grona Władcę Czasu, uczyniło to tylko dlatego, że zapomnieli, iż są jedynie jego snem. A jednak pozwolił im się wypędzić i zrezygnował ze swej boskości. Wiedział, że w jego sercu istnieć będą wiecznie, tak długo, jak będzie to miało znaczenie dla niego albo dla nich.*

Przez jakiś czas nie odpowiadał, płacząc bezgłośnie, a ona stała w milczeniu obok niego, trzymając go za rękę i co jakiś czas zbierając jego łzy kryształową łyżeczką. Mówił prawdę, srebro rączki czerniało w zetknięciu z nimi, jak gdyby, choć przybrał postać człowieka, nie różniła się ona od jego smoczego ciała, stworzonego ze składników nie znanych na tej planecie oceanów i drzew.

Po pewnym czasie spojrział na nią z błyskiem dawnej pełnej rozbawienia ironii i powiedział:

*Lisico, nawet moją boleść umiałaś obrócić w prezent przeznaczony dla swego męża, a pod tą zgryźliwością Jenny usłyszała nowe zrozumienie tego, co oznacza bycie człowiekiem.*

Wzięła do ręki łyżeczkę, w której zebrała się maleńka kałuża łez.

*Wyleję je w takim razie za parapet, powiedziała, modląc się w duchu, by starczyło jej na to siły. Me chcę okradać cię z twojej boleści, przyjacielu.*

302

*Ani ja pozbawiać cię męża, odparł, przyjaciółko. Potem wyjął łyżeczkę z jej dłoni i ostrożnie odłożył z powrotem na parapet. Podobnie jak nie*

*chciałbym pozbawiać przyjaciela żony, dla której uczynił to, do czego mi zabrakło odwagi i szaleństwa — miłości, używając waszych słów — by wiedzieć, jak postąpić.* Dotknął jej policzka i włosów gestem Johna, po czym spojrzał w jej oczy oczami, które nie miały w sobie nic ludzkiego i nigdy takimi nie były. *Teraz pojmuję, dlaczego my, gwiazdni wędrowcy, tak rzadko przyjmujemy postać podobną ludzkiej.*

Potrząsnęła głową nie rozumiejąc jego słów, a on przyciągnął ją do siebie i pocałował.

*Bo podobieństwo nie kończy się na tym, wyjaśnił. A my nie jesteśmy głupcami. Proszę, co narobiłem.* Uniósł zakończoną długimi, czarnymi paznokciami dłoń i otarł łzy spływające jej po twarzy. *To dlatego Bóg Kobiet jest zarazem Królową Morza? Bo Izy są jak ocean, słone?*

Uśmiechnęła się słabo.

*Me wiem. Może dlatego, że są jak ocean, nieskończone.*

*Jak ludzka boleść, podlewająca korzenie miłości.* A jego słowa rozbrzmiewające w jej umyśle objęły olbrzymie połacie czasu, jakich był świadkiem, od chwili na długo przed jej narodzeniem, czy nawet przed narodzeniem jej matki, po moment długo po tym, jak ona, John i Ian będą już martwi. Skinął głową w stronę łyżeczki i jej znikomej, lśniącej zawartości.

— Jeśli pragniesz przesłać to królowej demonów, zadбай o to, by naczynie, jakie wybierzesz, wykonane było z kryształu, nie ze szkła — odezwał się po człowieczemu, choć Jenny w swej głowie nadal czuła poruszenia nurtów jego myśli. — Smocze łzy są niebezpieczne. Przepalają zwykle szkło. Po pewnym czasie rozpuszczą nawet i kryształ.

Sięgała już po łyżeczkę, lecz jej dłoń zawisała w powietrzu. W

gwiaździście mrocznych oczach Morkeleba ujrzała odbicie własnych myśli. A jako że przez wiele lat mieszkała pod jednym

303

dachem z badaczem natury, który dłuwał przy latających machinach, chemikaliach i nakręcanych zabawkach, zapytała: — Po jakim dokładnie czasie?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Mój ukochany, mój jedyny — wyszeptała królowa demonów, a jej krwiście rubinowe wargi musnęły usta Johna i przesunęły się po profilu jego nosa i owalnej bliźnie w zagłębieniu szyi. — Mój sługo i kochanku. — Jej dłoń prześlizgnęła się po jego ramieniu, boku. Pod pieszczotliwym dotykiem Johna jej skóra stała się bladoróżowa niczym wewnątrz lilii, nieskazitelna niczym u młodej dziewczyny, pachnącasłodkąoliwąi jaśminem. Jej włosy były jak zapleciony ocean sobolowego jedwabiu.

Jenny uświadomiła sobie, że przypomina Kahierę Krucze Skrzydło.

Całym ciałem przywierała do Johna w bursztynowej jaskini z czerwonego aksamitu i migotania świateł, gibka niczym wąż. Jenny spróbowała zamknąć oczy, uciec wzrokiem przed tą sceną. Gorące ramiona zamknęły ją w uścisku, głos Amayona wyszeptał jej do ucha: *Musiałem ci to pokazać, ukochana. Dla twojego dobra, musiałem. Porzucił cię, skoro tylko wkroczył do jej królestwa.*

*Kłamiesz.* Jenny próbowała przywołać z pamięci obraz konającego w deszczu Johna, przebitego włócznią lana. Nie potrafiła. To się nie

zdarzyło, kłamstwo nie zostało wypowiedziane.

*Kłamiesz.*

Lecz jej ciało przenikał ból tęsknoty za rozkosznym gorącym Amayona w jej wnętrzu, za oprawionym w złoto przepychem dominacji i władzy. Walczyła, by się obudzić, lecz zatonąła we

304

wspomnieniach innych objęć, słodkich i upokarzających, a przez nie usłyszała Amayona wołającego jej imię. Przyzywającego ją z białej muszli, w której był uwięziony, tak samo jak jej serce zamknięte było w uszkodzonym klejnocie spoczywającym w srebrnej butelce Caradoca.

*Wciąż jeszcze mogę do ciebie powrócić. Wciąż jeszcze mogę cię kochać, tak jak on nigdy cię nie kochał. Jak mógł cię kochać, skoro nigdy cię nie rozumiał?*

—Kochanie? — Głos Johna przebił się łagodnie przez mgłę snu. — Kochanie?

Zbudziła się zapłakana, targana rozpaczliwym pragnieniem, by dowiedzieć się, gdzie przechowywana jest biała muszla Amayona. John schylał się nad nią. I pierwszą jej myślą, pospiesznie odegnaną, był gniew, że obecność Johna powstrzymuje ją przed wyruszeniem na poszukiwanie.

—Płaczesz... — Musnął palcem jej twarz.

*Płaczę, bo spałeś z królową demonów!*

Ale to był jej sen, nie jego. A może nie jej. A może nie potrafiła dowieść, że jego.

Odetchnęła z wysiłkiem i otarła twarz, rzeczywiście mokrą od łez. John zapalił lampę stojącą przy ich wąskim łóżku, lecz przesłonięty grubymi żaluzjami kwadrat okna — na razie nie trzymano go jeszcze w

zakratowanej celi — szarzał już pierwszym blaskiem świtu.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego z kontaktów z demonami nigdy nie wynika nic dobrego — powiedziała. — Nigdy nie dają ci spokoju. We śnie, na jawie, po śmierci.

Zacisnął szczęki, ujrzała wyraźnie owalną bliznę, którą naznaczyła go królowa demonów. Ostatniej nocy, kiedy już zasnął, odsunęła pościel i zdało się jej, że jego ciało pokrywają na wpół widoczne, srebrzyste wzory, znikające, gdy chciała im się bliżej przyjrzeć. Znaki miłości królowej. Szlaki posiadania.

— Przetrzymamy to — przytulił dłoń do jej policzka.

305

W głębi serca jednak pomyślała — a może to Amayon szeptał do niej, niekiedy nie potrafiła dostrzec różnicy — „Tylko czekają, aż odjedziesz, żeby wyciągnąć kwas i topór”.

— Panna Mab jest za drzwiami — rzekł cicho John. — Przeprasza, że tak wcześnie, ale wzywają ją z powrotem do Głębi.

Jenny nałożyła przez głowę obszerną suknię i usiadła, a wtedy do komnaty weszła gnomka w towarzystwie sługi niosącego tacę z rogalami, miodem, kwaśną śmietaną i jabłkami.

- Niczego wam nie brakuje, chłopaki? — John wystawił głowę za drzwi, zwracając się do stojących w korytarzu strażników. — A niech to, Polycarp powinien przynajmniej posłać wam to samo co mnie — dodał, przyglądając się trzymanym przez mężczyzn miskom owsianki. Cofnął się do komnaty i wziął z tacy parę jabłek.
- Nie, dziękuję, panie — powiedział jeden z żołnierzy, przypatrując się nieufnie owocom.

John stał przez chwilę nieruchomo, z jabłkiem w dłoni. Jenny spostrzegła, jak zmienił się wyraz jego oczu.

Wywoływacz demonów. Knujący z Pomiotem. Piekielny wędrowiec.

- Niech wam będzie — powiedział i na odchodnym dorzucił jeszcze: — Póki co nie przystałem jeszcze do nich na służbę, wiecie?
- Tak, panie — odparł niewzruszenie żołnierz.

John powrócił bez słowa do komnaty i wgryzł się w jabłko.

Panna Mab otworzyła szkatułkę z niebieskiego kamienia. Zawierała biały proszek, gnomka dotknęła go poślinionym palcem i potarła nim nadgarstki, powieki i język Jenny.

— Nie jest mi wiadome, jak skuteczny to środek — powiedziała, odgarniając Jenny włosy z czoła, by spojrzeć jej w oczy. — Twe serce nadal jest więźniem kryształowego talizmanu, i może niczego nie da się uzdrowić, dopóki nie zostanie uwolnione.

Jenny skinęła głową. Nie sądziła, by wytrzymała jeszcze jedną noc snów wypełnionych szeptem Amayona. Krystalicznymi wi-

306

zjami, jakie ją nawiedzały, obrazami jej własnego pijaństwa, okrucieństwa, rui, lana, z każdym dniem ohydniejszego, bardziej sarkastycznego, zepsutego i pomysłowego w zadawaniu cierpienia ludziom i zwierzętom, lana tak jak ona uwięzionego w klejnocie, płaczącego z bólu i poniżenia, błagającego swego demona, by pozwolił mu umrzeć.

Johna w objęciach królowej demonów.

Zacisnęła z bólu zęby i zmusiła się do skinięcia głową.

- Mogłabyś to powtórzyć jutro — powiedziała. — Przekonałam się, że

niektóre czary wymagają kilku prób, kiedy pojedyncze zaklęcie nie ma wystarczającej mocy.

- W rzeczy samej ja także to odkryłam — odparła stara gnomka, starannie zamykając szkatułkę. — Ponowię próbę o zachodzie słońca, jeśli za dnia twe cierpienie się nie umniejszy. Win-nam już do tej pory powrócić z Głębi. A w moim rodzimym tunelu spróbuję upleść inne zaklęcia, by niosły ci ulgę. Podziemna Szemrząca Rzeka to strumień mocy, która wzbiera wraz z głębokością. Gdy ze śpiewem spływa z Pięciu Progów na dziewiątym poziomie, gdzie mieści się mój tunel, jej oddziaływanie da się zapleść w wieńce i sznury, takowe więc ci przyniosę, by pomóc ci zasnąć bez snów, i także Aversinowi.

Jenny spojrzała pospiesznie w jej mądre, stare, blade oczy, modląc się, by gnomka nie potrafiła odczytywać jej snów, lecz nie zdołała zinterpretować wyrazu pomarszczonej twarzy panny Mab.

Strażnik przyszedł po Johna, jako że na dziedziniec wjeżdżały na wpół dokończone jeżowce. Jenny, która zdążyła tymczasem ubrać się w służebną, prostą, żółtobrązową suknię, zgarnęła w siebie swą magię, żeby zaczarować zmysły strażników, tak by nie dostrzegli jej wyjścia. Lecz w tej samej chwili poczuła, jak umysł Amayona, siła jego woli, zdwaja swe wysiłki w jej wnętrzu, reagując na przywołanie przez nią mocy. Czowała także dziwne przemieszczenie, jak gdyby oglądała świat przez okrusz szkła— przez zielony kryształ więżącego ją klejnotu.

Morkeleb wspominał o szarych smokach wyrzekających się magii. To nie było łatwe. Po prostu wyszła w ślad za Johnem z komnaty, tak cicho, jak tylko potrafiła, a strażnicy, nie otrzymawszy rozkazów co do jej osoby,



przepuścili ją.

Na północy powiadano, że wszystko, co dało się sprzedać i kupić, można było sprzedać i kupić w Hali Targowej pod Cytadelą Halnath, gdzie Kresy królestwa stykały się z Głębią Ylferdun. Gigantyczna jaskinia, wrzynająca się w górski stok, na którym zbudowano cytadelę, stanowiła przedsionek gnomich włości. Legendy głosiły, że gnomy mogły zamknąć ten otwór kamiennym murem w przeciągu jednej nocy. Bramy we wnętrzu olbrzymiej komnaty niewątpliwie wyglądały solidnie, zamknięte dniem i nocą, strzeżone czterema basztami. Wchodząc na Halę Targową, Jenny ujrzała wpuszczone w kamienną podłogę metalowe tory, po których niewielkie wózki wwoziły i wywoziły towary.

Gnomy sprzedawały przede wszystkim srebro i złoto, klejnoty i przedmioty wykonane z rzadkich stopów, oraz wyszukane maszyny, będące owocem ich niezrównanych umiejętności. Kupcy rewanżowali się przyprawami i ziołami, rzadkimi chemikaliami i solami. Można tu było znaleźć jedwab z Siedmiu Wysp, pośledniejsze jedwabie z Gath i Nim, rzadkie ptaki i pióra ptaków nieznanymi na Północy; gagat, porcelanę i piżmo. W innej części targowiska znajdowały się zagrody dla wołów, świń i owiec. Gnomy płaciły za nie srebrem i miedzią, bo miały słabość do mięsa, a w swych jaskiniach mogły liczyć jedynie na blade ryby z podziemnych rzek i grzyby.

Kupcy rozstawili stoły długimi rzędami, wykładając towary na kocach i kolorowym płótnie. Niektórzy stawiali stragany, a nawet drewniane sklepy, o słupach obwiązanych kwiatami i pękami świeżych ziół. Inni rozbijali namioty, a u wylotu jaskini, gdzie wiatr rozwiewał dym, straganiarze smażyli parówki i rzeczne ryby, gotowali na parze słodkie

pierozki i grzyby. Tak więc cała ta

308

ogromna przestrzeń pachniała rozgrzanym tłuszczem i świeżymi kwiatami, roztartymi ziołami, przyprawami, potem, kamieniem, olejem do lamp, zwierzętami, nawozem i krwią. Zgiełk panujący pod wysokim sklepieniem był nie do opisanego.

Jenny przechadzała się między handlarzami oferującymi naczynia z kamienia i szkła i w końcu wybrała alabastrową buteleczkę, bardzo cienką i kruchą. „Jest tak delikatna, że poznasz, czy za\* wiera orzechowy brąz czy betel, pani”, zachwycił się kramiarz. Potem znalazła rzemieślnika pracującego w barwnym szkłe, który obrócił butelkę kilkakrotnie w zgrubiałych palcach i powiedział:

- Taak, dam radę zamknąć ją w szklanej ampułce, choć jest tak pięknie wykonana, że szkoda ją ukrywać.
- To łamigłówka — odparła Jenny — przeznaczona dla kogoś, kto jest na tyle sprytny, by pozbyć się szkła, nie uszkadzając alabastru w jego wnętrzu.

Zapłaciła srebrem otrzymanym od panny Mab — ani ona, ani John nie mieli grosza przy duszy — i obiecała powrócić następnego dnia, by odebrać ukończone dzieło. Potem wspięła się morderczymi schodami bez końca, zatrzymując się na odpoczynek na rozmieszczonych gęsto podestach, zaopatrzonych w ławki i rojących się od sprzedawców lemoniady i falafelu. Znalazłszy się na powrót w cytadeli, odszukała plac, na którym John i panna Tee, gnomia inżynierka, szkolili kilkudziesięciu żołnierzy mistrza w obsłudze przeznaczonych do zabijania smoków jeżowców.

— Poruszanie kabiną nie wymaga wielkiej siły — mówił John. Stał na osadzonej na kołach platformie napędowej, przykrytej jedynie kabiną sterowniczą, rozebrany do koszuli i spodni, podobnie jak jego widownia.

Panna Tee — Ordagazedgwyn w języku jej ludu — pracowała wśród rzemieślników na skraju placu, montując kolejne maszyny.

— Nie napinajcie rąk ani nóg — zarzniecie się, jeśli zaczniecie niepotrzebnie pchać ze wszystkich sił. Po prostu przemieszczajcie masę ciała i napierajcie, o tak... — Poruszył się w cha-

309

rakterystyczny sposób, niezbędny dla wprowadzenia kabiny w ruch, a potem dopilnował, by każdy żołnierz przybrał właściwą pozycję, upewnił się, że rozumieją konieczność utrzymywania równowagi, szczególne wykorzystanie siły bezwładności.

Obserwując go, Jenny czuła, jak jej dusza zwija się w ciasny węzeł pod mostkiem. Na szyi nosił piętno demonów, a w sercu świadomość tego, co ludzie uczynią z nim, zanim księżyc osiągnie pełnię. A jednak starał się, żeby te dzieciaki — ich młody wiek nie pozwalał myśleć o nich inaczej — zrozumiały choć tyle z zasad działania tych maszyn, by miały szansę w boju ze smokami i magią.

Jenny podeszła do niego, nie zważając na kurz i szczęk młotów. Była w połowie placu, gdy John odwrócił głowę, szukając jej wzrokiem. Jego twarz pojaśniała.

— Jen. — Zeskoczył z maszyny, chwycił ją za ręce i pocałował. — Panna Mab przyszła tu przed wschodem słońca, tak twierdzi panna Tee, znacząc nasze jeżowce magicznymi wzorami,

nakreślonymi tym, co trzymała w swojej czerwonej ampułce. — Wskazał na mielące kurz maszyny. — Zostawiła ją u mnie, żebyś dokończyła za nią. Mamy bardzo mało czasu.

Spojrzał w stronę dwóch strażników opartych obojętnie o mur. Sam Polycarp stał pod arkadami, jego błękitne oczy błyszczały, przepelnione zawiścią. Jenny poczuła ją, gdy spojrzenie Johna zetknęło się ze wzrokiem mistrza. Przez mgnienie oka wydało się jej, że w blasku wąskiego sierpa dziennego księżyca dostrzega ślady wzorów królowej demonów na jego ramionach i barkach. Runy układające się w słowa, które niemalże mogła przeczytać. Zaraz zbladły, lecz jego twarz wyglądała tak, jakby od wielu dni nie zaznał snu.

Ale zapytał tylko:

- Jak się trzymasz?
- Nie najgorzej — zmusiła się do uśmiechu.

Cień przykrył plac, bezdźwięczne, mroczne skrzydła. **Prakty-**

## 310

kanci zadarli głowy, wykrzykując i na próżno szukając odczepionych od pasów mieczy. Któryś ruszył w stronę ustawionych nieopodal katapult, a wtedy John powiedział:

— Nie strzelaj do swojego wodzireja, synu. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, z jakim wyprzedzeniem musiałem rezerwować u niego tę lekcję? — Wskoczył do nie osłoniętej kabiny, wkładając stopy w wiązania. — Ty, blondyna. Włóż na górę i trzymaj się mocno. Do pełni zdążymy zrobić z was wszystkich Zguby Smoków.

Morkeleb zatoczył pełen krąg, potem zanurkował, uderzając rozwartym pyskiem. John szarpnął i przekręcił kabinę, usuwając platformę poza zasięg jego ciosu.

— Musicie uważać na ogon — zawołał do zafascynowanych praktykantów, otaczających ich szerokim kołem. — Głowa i ogon, niczym prawa i lewa pięść. Nie marnujcie pocisków na strzelanie po bokach. — Morkeleb zanurkował, uderzając głową jak wąż, chlastając ogonem i sycząc, a Jenny poczuła, jak stojący przy niej Polycarp drży z podziwu i zachwyty.

Tak jak obiecał John, była to prawdziwa lekcja tańca, zabawa w kotka i myszkę, elegancka, śmiertelnie niebezpieczna, popis zdumiewającej zwinności i szybkości. Za którymś razem Morkeleb zdołał wsunąć pazury pod platformę i wywrócić ją; John uwolnił stopy, uwiesił się pod kabiną, zakolysał i mocnym szarpnięciem postawił platformę z powrotem na koła. „Musieli dodać przeciwwagę”, pomyślała Jenny, „po bitwie na Moście Córa”.

— Obserwujcie jego ruchy — sapnął John, gdy wysoka, ja snowłosa dziewczyna wgramoliła się z powrotem na platformę. — Jest nieważki, ale wykorzystuje skrzydła dla zachowania równowagi i zmian kierunku, widzicie? Kiedy skręca, wtedy trzeba próbować wpakować mu harpun pod skrzydło.

Jedna Jenny poczuła gotującą się, bezdźwięczną falę gniewu Morkeleba, usłyszała w umyśle jego nie wypowiedziane słowa, których nie posłał Johnowi.

demonów można złamać, ale zarazem uczę się od ciebie".

Przypomniała sobie jego ludzką twarz w blasku gwiazd, samotną żalność w nieodgadnionym spojrzeniu. I wydało się jej, że przelatujący nad nią w świetle popołudniowego słońca smok, kości, mięśnie i ścięgna, jest tylko ulotnym złudzeniem, grą światła. Wydawał się stworzony nie z czarnej stali i emalii, nie z mięśni i kości, lecz z na wpół przezroczystego dymu przetykanego gwiezdny lśnieniem.

Nie człowiek, ale teraz również nie smok. Jednak rozumie. „Niekiedy nie ma wyjścia...”

Pozostaje jedynie ufność, że szalony Władca Czasu znajdzie jakieś rozwiązanie.

„Och, mój przyjacielu", pomyślała. „Och, mój przyjacielu".

—Wskakuj na górę. — John klepnął jasnowłosą dziewczynę w bok. — Stopy w uprzęż. Chwytaj za dźwignie... chodź tu któryś, pokażę wam, jak się podkręca silnik. Trzeba się do tego przyłożyć. O, tak. Dobrze. Możemy ruszać.

Polycarp podszedł do miejsca, w którym stała Jenny, i zrzucił z ramion czarną szatę, zostając w koszuli i spodniach.

—Muszę się tego nauczyć — powiedział z zachwytem. — Muszę spróbować.

Młodzi żołnierze powitali go entuzjastycznymi wiwatami, śmiejąc się i przywołując go. Rozpięty w bezruchu w kabinie jeźowca, na tle bladego nieba, John zmierzył go milczącym spojrzeniem, a potem przechylił odrobinę głowę i powiedział:

—Tupetu ci nie brakuje.

Mistrz Halnath odwrócił oczy. Dwaj strażnicy popatrzyli po sobie,

otworzyli usta, ale nic nie powiedzieli. Wśród młodych wojowników również zapanowała cisza. Najwyraźniej żaden z nich nie wiedział, że na Johnie ciążył wyrok skazujący go na spalenie żywcem godzinę przed terminem uiszczenia daniny.

Polycarp ponownie podniósł głowę.

312

- Rozumiesz mnie?
- Ano, rozumiem.

John wyszedł z kabiny i wciągnął mistrza na platformę, przy wtórce ponownych wiwatów. Dopiero później, gdy Jenny sprawdzała zabezpieczenia nałożone przez pannę Mab na pozostałe jeżowce, John podszedł do niej i odciągnął ją na bok. Morkeleb cierpliwie pracował z kolejną parą praktykantów, spowalniając swe uderzenia i zwody. Jenny słyszała w swej głowie mruczenie jego myśli, niczym psa wilczarza narzekającego, że kazano mu pilnować szczeniąt. Płyn w fiołce królowej demonów, podobnie jak sama fiołka, był ciemnoczerwony, lśniący i gęsty. Panna Tee powiedziała jej, że rozcieńczono go i pomalowano nim szkielety maszyn za pomocą pędzelka do pisania z psiego włosia, lecz ciecz wcale się nie rozrzedziła. Raczej jakby przemieniała wodę na swoje podobieństwo. Wyglądało to tak, jak gdyby ochronne runy i an-tyzakłęcia, nałożone na wręgi i kolczaste płyty jeżowców, nakreślone zostały krwią.

—Dobrze się czujesz, kochanie? — John zdjął okulary i ramieniem otarł lepki kurz z twarzy. — Posłuchaj, nie złość się na mistrza za tych dwóch koleśków. — Skinął głową w stronę dwójki strażników. — I nie... — Zawahał się. — Z czarami czy bez, będą

potrzebowali każdej pomocy, by poradzić sobie z Rocklys i jej smokami. — Spojrzał jej w oczy, szeroko rozwierając powieki, nagi bez ochrony szkieł, przez moment jakby chciał się odsunąć, ale zaraz się opanował, wiedząc, że ona wie. — Dobrze by było, gdybyś z nimi pojechała.

*Nie walcz z nim! Zajrzała mu w oczy, pod maskę lęku przed tym, co musiało się stać po jej wyjeździe z cytadeli. Nie poszerzaj tej szpary, nie ułatwiaj demonom przejścia do tego świata. Nie wystawiaj się na ich ciosy, pragnąc potęgi czy zemsty.*

—Głupio postąpiłem, zawierając układ z królową demonów. Przecież czytałem w tysiącu ksiąg, zwojów i legend jeden i ten sam tekst: „To nie jest najlepszy pomysł”. Ja... — przełknął

313

głośno —jakoś **zapłacę tę daninę. Nie wrócę tam, nie zostanę jej sługą.**

—I chyba nawet wiem już, jakim sposobem — dodała Jenny.

Gdy jedli kolację w komnacie Johna, czekając na pannę Mab, Jenny powtórzyła Johnowi słowa Morkeleba z poprzedniej nocy i opowiedziała mu o swoich zakupach.

—Według Morkeleba smocze łzy są silnie żrące. Łączą się ze szkłem, obracając się w parę, tak że nie pozostaje nawet ślad ani po jednym, ani po drugim. Obliczyłam, że przepaląlabaster w jakieś trzynaście dni — czas dzielący nas od pełni. Możemy...

Rozległo się drapanie w okiennicę pojedynczego okna komnaty. Jenny podniosła się i otworzyła je, wpuszczając do środka Morkeleba. O dziwo, widok jego miniaturowej postaci niepokoił ją znacznie bardziej niż jego



prawdziwa postać, jak gdyby oglądała ożywione nagle dzieło utalentowanego jubilera. Smok rozłożył skrzydła i podleciał na oparcie jej pustego krzesła, owinał długi ogon wokół jednej z podpórek i przechylił lśniąca głowę.

*Uwieńczyłaś swoje poszukiwania sukcesem, kobieto czarowniku?*

—Tak. Szklarz będzie gotów na jutro. Czy istnieje coś, co w podobny sposób mogłoby zniszczyć piorunowy kamień, skoro tylko oddamy go w ich ręce? Zanim zdążą wykorzystać go do swoich celów? Co niszczy żelazo?

*Woda*, odparł Morkeleb w jej głowie. *Rdza. Czas.*

—Wszystko sprowadza się do kwestii czasu. — John wyłowił z gulaszu kawałek wieprzowiny i podał go Morkelebowi w dwóch palcach. — Gdyby Władca Czasu powrócił kiedyś z torbą pełną tego towaru na sprzedaż, zbiłby cholerną fortunę.

*Jedynie wśród ludzi*, odparł smok. *Powiadają, że szare smoki bawią się nim, dobywają z niego muzykę, tak jak my ze złota. Zatrzymaj dla siebie swoją spaloną i martwą papkę, Tkaczu Snów; jedzenie czegoś takiego nie leży w naturze smoków.*

314

— Kucharz Polycarpa przetnie sobie nadgarstki z rozpaczy, kiedy to usłyszy. — John wsunął sobie mięso do ust. — To prawda, że piorunowe kamienie to okruchy gwiazd?

*To fragmenty tego, co ludzie nazywają spadającymi gwiazdami*, odrzekł smok. *Mają nie więcej wspólnego z prawdziwymi gwiazdami niż kometa, której wypatrywałeś. W rzeczywistości to grudy i kawałki skał, unoszące się w mroku między światami. Tak więc ludzka magia nie jest w stanie*

*utkać czarów mogących zniszczyć je czy odmienić ich naturę, gdyż nie znacie świata, z którego pochodzą. Zwykle pokrywa je lód, gdyż między światami panuje zimno. Unoszą się olbrzymimi ławicami, niczym kra północnych mórz na wiosnę. Młodzi bawią się wśród nich.*

W umyśle Jenny pojawił się obraz wędrujących powoli lodowych brył, wież i fortec, migoczących w świetle gwiazd, i tęczowych smoczyc cieni płonących wśród nich, pozornie nie większych niż ważki. W pustce między światami smoki przybierały inną postać niż w świecie oceanu i drzew, co również odbierała z pewnym niepokojem.

*Same gwiazdy też nie są tym, czym się wydają. Składają się wyłącznie z ognia i żaru oraz promieniującego od nich światła. Nie istnieje nic takiego jak „okruch ” gwiazdy.*

—Ano, dobrze — powiedział cicho John. — Ale nie powiedziała „okruch”, nieprawdaż? Powiedziała „część”. Co można zinterpretować jako samo światło gwiazdy, zgadza się? Zebrane w hotwajsie, podobnie jak żar ognia, który utrzymywał w powietrzu starego „Dmuchańca”, czy powietrze, które gnomy zabierają ze sobą, schodząc na poziomy, gdzie nie da się normalnie odychać.

Popatrzyli na siebie z niepewnością i nadzieją.

— Panna Mab będzie wiedziała — stwierdziła Jenny. — By coś takiego przygotować, potrzebna będzie gnomia magia. Żadna linia ludzkiej sztuki czarodziejskiej nie poznała sekretu przemiany kamienia przy użyciu mocy. A dar od wroga?

— Cóż — odparł cicho John — trochę nad tym myślałem.

I obawiam się, że będziecie musieli pomóc mi w ucieczce stąd, tak bym mógł osobiście go odebrać.

Księżyc już dawno zaszedł za murami cytadeli, gdy Jenny wyłoniła się z komnaty Johna. Skinęła głową strażnikom i czuła na sobie ich wzrok, gdy szła wzdłuż blanków: „Kobieta pachółka demonów. Może sama kupczy z demonami. Jak ta kobieta na wyspie Haylbont, która pokroiła na kawałki własne dzieci”.

Jenny przyłapała się na tym, że modli się, by panna Mab powróciła z zaklęciem chroniącym przed snami. Perspektywa kolejnej nocy podobnej do ostatniej przyprawiła ją o paniczny atak mdłości.

Wąskie schody u wylotu galerii — ciemne łukowate drzwi pustego skryptorium, potem w dół, krętymi szlakami dla służby. Magazyny i skrzydło kuchenne. Gnomy nigdy nie lubiły być kwaterowane w domach. Na najniższym poziomie cytadeli znajdował się niewielki dziedziniec, nieopodal wrót z brązu prowadzących do schodów Głębi. Z brukowanego chodnika Jenny zeszła jeszcze kolejne kilka stopni w dół, w miejsce niewiele większe od szafy na ubrania, skąd drzwi prowadziły do podziemnych apartamentów. Nie dostrzegła światła w okrągłym oknie panny Mab, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Będąc gnomem i posiadając magiczne zdolności, panna Mab mogła czytać po ciemku, jeśli tylko miała taki kaprys. Lecz gdy Jenny zastukała do drzwi, wymawiając jej imię, nie otrzymała odpowiedzi, a drzwi otworzyły się pod jej dotykiem.

— Panno Mab? — Weszła do środka, rozglądając się po ciemnym pomieszczeniu. — Taseldwyn?

Szafa stała otwarta i pusta, z łóżka ściągnięto pościel. Na skraju stołu,

gdzie kiedyś stała olbrzymia kasetka na kosztowności panny Mab, teraz nie było niczego, żadnych grzebieni, szczotek, pantofli z błękitnej satyny. Jenny wyszła zdumiona na zewnątrz.

316

- Co to? Kto tu jest? — Światło zapłonęło topazowo za szkłem innych drzwi, które otwarły się szerzej, ukazując pomarszczoną twarz panny Tee. — Ach, czarodziejka! — Rozwarła drzwi. Gnomka ubrana była do snu, w plisowaną i haftowaną bieliznę. Sploty jej bladozielonych włosów spływały na bujne piersi, zdjęła też na noc swe liczne pierścienie. — Przybywasz do Ara-wan-Taseldwyn, moja droga? Ona odeszła.

- Odeszła?

Panna Tee pokiwała głową.

- O świtaniu przybył posłaniec od lorda Głębi, wzywający ją do powrotu do Ylferdun. Dotarły do niego wieści o konszachtach z demonami, jak tuszę. Zostanie poddana testom przez mędrców Głębi. — Cmoknęła z dezaprobatą i pokręciła głową. — Głupcy. Jakby komuś mogła powstać w głowie myśl, że Taseldwyn przyłożyłaby rękę do podobnej potworności albo że ja bym tego nie zauważyła, nie dostrzegła tego w jej źrenicach.
- Testom? — Chłód zmroził serce Jenny. — Czyli jest więźniem?
- To głupcy. — Panna Tee wzruszyła ramionami. — Takoz i przekonają się sami, ci mędrce, Utubarziphan i Rolmeodraches, i pozostali magowie, kiedy już zmarnują cały rok...
- Rok?

Zielone oczy zamrugały szybko. Miały kolor oliwinu, kamienia, który Jenny zdążyła już znienawidzić.

— Twierdzą, że tyle czasu trzeba, by objawił się wpływ demonów. — Odstawiła trzymaną do tej pory lampę, po czym pogładziła Jenny po ręce swą twardą, umięśnioną dłonią. — Nie troskaj się tym, dziecko. Przetrzymują ją w jej własnym tunelu na dziewiątym poziomie, niechybnie pod strażą, lecz traktować ją będą poprawnie. Bądź tego pewna. Pochodzi z Howteth-Arawanów, a ci potężni są we wszystkich Głębiach ludu kopaczy. Ich patriarcha nie pozwoli, by rada potępiła jedną z nich. Nawet dla ludzi rok to nie jest dużo. Sevacandrozardus, lord Głębi, jest głupcem,

317

nie potrafi zapanować nad własnymi nerwami, gdy słyszy słowo „demony”. Wieszli, że pragnął także zamknąć drzwi do cytadeli, a to z powodu onej fiołki, pieczęci i szkatułki? Gdyż ty, któraś opętana była przez demona, nadal chodzisz wolna. Doprawdy, wielkie zło przychodziło od demonów w przeszłości, lecz jeśli człowiek jakowyś dotknął przedmiotu skażonego przez Piekielny Pomiot, nie znaczy to przecież, że sam uległ zaraz zepsuciu.

Wspinając się po schodach na wyższe poziomy cytadeli, Jenny nie była tego taka pewna. Przez cały dzień wspomnienie Amayona powracało do niej nieubłaganie, niczym świąd, którego nie można ani podrapać, ani pokryć maścią. Znowje poczuła, szaleńcze pragnienie odkrycia, gdzie przechowywano jego muszlę.

Odpędziła je. To nic by nie dało, pomyślała. Przypomniała sobie swoją siostrę, gdy Sparrow podejrzewała męża o romans z Mol Bucket. Sparrow

śledziła Trema którejs nocy i ujrzała, jak wchodził do chaty pasterki o zuchwałym spojrzeniu. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

Panna Mab w więzieniu. Nawet we własnych komnatach ten rok będzie się jej niemiłosiernie dłużył. Czy lord Głębi albo gnomi magowie, których magia stanowiła prawdziwe jądro Głębi, pozwolą jej odwiedzić pannę Mab? Czy w ogóle wpuszczą ją do Głębi?

W mrocznym łuku wiodącym do skryptorium zatrzymała się na chwilę. Dostrzegła linię światła okalającą drzwi do pracowni Polycarpa. Powodowana impulsem przebiegła pospiesznie po chłodnych płytach. Piorunowy kamień, z którego można było wykonać wrota, to jedno, hotwajs zaś — który, mimo głębokiej wiedzy o naturze kamieni, jaka wymagana była do jego stworzenia, był w gruncie rzeczy czarem niskiego poziomu — to co innego. Nawet gdyby zamknąć w jego wnętrzu blask gwiazd, demony nie mogłyby użyć go do niczego.

Kiedy stanęła przed drzwiami, odkryła, że są lekko uchylone, żółte światło lampy kładło się wąską strugą na ośmiobocznych

318

płytach. Jenny dotknęła drzwi, popychając je lekko. Polycarp siedział przy bejcowanym dębowym stole, gdzie tyle razy widziała go w kryształach podczas narad z Johnem. Ogień przygasał w okrągłym palenisku, mieszając swój blask z światłem ażurowych lamp, by pokryć gęste kędzioły mistrza odcieniami bursztynu, wyczelować kościsty łuk jego nosa, umalować blaskiem jego rzęsy, przykrywające zacienione oczy.

Wyprostowane ramiona opierał o blat, a w złożonych dłoniach trzymał niewielką białą muszlę pokrytą blad różowym wzorem i zapieczętowaną purpurowym woskiem. Przechylał głowę, jak gdyby wsłuchiwał się w głos

szepeczący zbyt cicho, by go zrozumieć. Miał przymknięte oczy, koncentrując uwagę na tym, co było wypowiedane.

Jenny cofnęła się, odruchowo ukrywając się w mroku i magii. Przeżyty wstrząs o mały włos nie przyprawił ją o wymioty. „Nie”, pomyślała. „Nie, Polycarpie. Odłóż ją, schowaj. Nic dziwnego, że lord Głębi podejrzewa pannę Mab. Nic dziwnego, że rozważa zamknięcie Głębi. Nic dziwnego, że chcą zabić Johna.

Morkeleb powiedział prawdę. To zaraza, przenosząca truciznę na wszystko, z czym się zetknie”.

Szczupłe palce mistrza delikatnie gładziły powierzchnię muszli. Potem odraza wykrzywiła jego wargi, odłożył ją na stół i odepchnął od siebie. Podniósł się tak gwałtownie, że prawie wywrócił krzesło, i stał nieruchomo przez chwilę, oddychając ciężko i dygocząc na całym ciele. Pospiesznie chwycił muszlę i zaniósł ją do zawieszanej na ścianie szafki z czarnego żelaza. Wepchnął ją do środka i z hukiem zatrzasnął drzwiczki. Drżącymi palcami uniósł klucz, a brąz lśnił ognście w blasku lamp. Przekręcił go gwałtownie i dwoma krokami podszedł do biurka, otwierając szkatułkę z rzeźbionego czarnego dębu, jak gdyby chciał schować do niej klucz.

Ale nie zrobił tego. Wsunął go do kieszeni.

Jenny wtopiła się w cienie i umknęła do pokoju Johna, a lodowaty lęk tłukł się w jej sercu.

Głos lana.

Siedział wygodnie na polowym krześle w namiocie Caradoca, choć Jenny nie potrafiła dostrzec jego wnętrza, zupełnie jakby złowieszcze prastare światło oświetlało swym chorobliwym blaskiem wyłącznie bezpośrednie otoczenie stołu, przy którym siedzieli chłopak i Caradoc. Jego długie czarne włosy świeciły się od brudu, a twarz nie była twarzą dziecka.

- A skąd wtedy wezmę innego czarodzieja? — Koszula Caradoca była rozpięta na piersiach, a srebrna buteleczka, którą zawsze trzymał na szyi, stała teraz na stole. Osiem klejnotów leżało na blacie, a każdy z nich migotał w słabym świetle.
- Nie wolno nam ryzykować.
- Boisz się?

Łan zmrużył oczy. Obrócił głowę i spojrzał przez ścianę zielonego kryształu oddzielającą ich od Jenny. Klejnoty na stole miały w sobie więcej życia niż jego oczy.

- Raczej się niepokoję — odparł szybko, a z ukrytych warstw znaczeń brzmiających w jego głosie Jenny odczytała — poczuła — przypomniała sobie wydobyte z umysłu Amayona obrazy potworności i ciemności piekła, z którego przybyły, zimnego miejsca, w którym galaretowate istoty przekształcały się i mutowały, żerując jedne na drugich i żyjąc w lęku przed bezkształtnym okropieństwem w sercu piekła.
- Niepotrzebnie. — Caradoc uniósł jasnozielony klejnot i trzymając go w dłoni, podszedł do kryształowej ściany, za którą kulila się Jenny, naga i drżąca.



Uśmiechnął się, wykrzywił pogardliwie swą szeroką, gładko ogoloną twarz. Pod maską ludzkiej arogancji ponownie dostrzegła

320

demona Folcalora, inteligentniejszego od innych, chytrego, chciwego i czujnego.

— To dziecinnie proste. — Uniósł laskę z księżycowym kamieniem w główce.

*Nie!*, krzyknęła Jenny.

Uderzył w ścianę, w wielką, obwiedzioną ogniem szczelinę, wybiegającą z podłogi i ginącą w mroku nad jej głową, a wtedy Jenny zachwiała się osłabiona, jak gdyby wyciekała z niej krew.

*John!*, krzyknęła, ale John spał — widziała go w oddali, pogrążonego we śnie. Jej ciało leżało skulone u jego boku, ciało, którego nie mogła już dosięgnąć, nie mogła dotknąć. Choć księżyc zaszedł wcześniej, Jenny widziała, niczym w bladym świetle, wzory pokrywające jego ciało, nakreślone śluzem ślady jakiejś niewypowiedzianej potwornej istoty, szarawe znamię pozostawione na szyi. John odwrócił twarz, na której malowało się rozkoszne napięcie. *Aohila*, powiedział.

*Pomóż mi!*

Wyciągnął ramiona, a wtedy Jenny usłyszała śmiech królowej demonów.

— Mamo? — Przez ulotną sekundę widziała przez szczelinę jasną, letnią noc Zimowych Krain, przysadzistą postać Adrica na tle fortyfikacji i gwiazd. — Mamo, to ty?

Potem laska Caradoca uderzyła w rysę na ścianie niczym górniczy młot,

Jenny zatoczyła się do tyłu i upadła. Krew z setki bez-bolesnych rozcięć sklejała jej palce. Usiłowała odpełznąć od ściany, lecz w ciemności nadal majaczyła sylwetka demona bijącego raz za razem w szczelinę. Dookoła sypały się okruchy odłupywane od sękatej laski i z samej ściany, przypominające odłamki szkła. Wściekłość zniekształciła jego twarz, a kiedy otworzył usta, wydobyło się z nich zielone światło przetykane kłębamii dymu. Nie mogąc oddychać, Jenny chciała odczołgać się pod przeciwległą ścianę, lecz nie zdołała zapanować nad swoim ciałem. Osunęła się

321

na podłogę w kałuży własnej krwi, przykryła głowę rękami i czekała bezsilnie.

Obudziła się po jakimś czasie, kompletnie wyczerpana.

Caradoc zniknął. Kręgi, które wykreślił, wciąż żarzyły się słabo w ciemności. Coś podpowiedziało jej, że na zewnątrz, w świecie uważanym przez większość ludzi za rzeczywisty, było już dawno po wschodzie słońca.

Obolała i słaba powlekła się do skazy w klejnocie i przelała przez nią swoją świadomość z powrotem w swe odległe ciało.

Istniał pewien stary czar, którego Jenny nauczyła się od Kruczego Skrzydła — choć oczywiście sama Krucze Skrzydło nigdy nie zniżyłaby się do stosowania podobnie prymitywnego zaklęcia. Ale kobiety Lodowych Jeźdźców uciekały się do niego czasami, we wskazanych im przez magiczne pióra miejscach schadzek ich kochanków z młodszymi i hojniej obdarzonymi przez naturę dziewczynami. Nie było do niego

potrzeba zbyt wiele mocy.

Zmęczenie spoczywało kamieniem na jej ramionach, nawet w najgorszych chwilach podczas oblężenia Palmorginu nie czuła się równie źle. Na tacy czekało na nią jedzenie: John skleił dżemem chleb, jaja na twardo, owoce i soloną rybę w pulchną kobiecą postać, wokół której nagryzmolił miodem: „Kocham cię”. Rozbawiło ją, ale z trudem zdołała przełknąć parę kęsów, nękana gorzkim wspomnieniem Johna szepczącego imię królowej demonów, głuchego na jej wołanie o pomoc.

Umyła się, ubrała i zgromadziła rekwizyty potrzebne do przygotowania zaklęcia Kruczego Skrzydła: ciężarek od zasłony jako wrzeciono, koszyk łądyżek chwastów, kurz, strzępki płótna i wy-czesane grzebieniem własne włosy. Zniosła wszystko na Halę Targową. Rozłożyła płaszcz na tyłach straganu z tykwami — wypolerowanymi, pomalowanymi i przyciętymi w butelki i czarki — i zaczęła prząść nić, a z każdym obrotem wrzeciona, z każdym ruchem palców, posyłała w powietrze szczyptę magii.

322

Morkeleb przyłączył się do niej w przebraniu szarowłosego mężczyzny. Jenny nawet nie spostrzegła, kiedy się zjawił. Może okrywał go jakiś czar niewidzialności; sama nie wiedziała. Ale nikt ich nie zaczepiał, a gdy miejscy kupcy spakowali swoje towary i strażnicy obeszlili salę, przepędzając spóźnialskich, minęli ich, jakby byli powietrzem.

Gdy sala opustoszała, rozwarły się wrota z brązu w jej głębi. Z pomieszczenia za nimi wytoczone zostały wózki, które zaraz zaczęto pospiesznie ładować. Jenny oszczędnie używała swojej magii, po prostu siedziała, przędła i przyglądała się. A gdy stało się oczywiste, że nikt nie patrzy na ostatni z długiego ciągu wózków, zebrała przędzę do koszyka i

wślizgnęła się do tego wózka, przykrywając się płaszczem.

Nie miała pojęcia, gdzie ukrył się Morkeleb, ale gdy wózki zostały wtoczone do wewnętrznej sali, a wrota zamknięto i zablokowano na noc, smok zjawił się przy niej. Strażnicy siedzieli nieopodal wrót przy niewielkim stoliku, grając w domino. Kostki stukały niezwykle głośno, zapach popijanego przez nich kakao wypełniał mrok: mdły, słodki, aromatyczny. W sali paliło się zaledwie kilka lamp, zawieszonych na łańcuchach dziesiątki stóp pod wysokim kamiennym sklepieniem. Pod ziemią noc odciskała się przytłaczającym ciężarem we wnętrzu wielkiej komnaty, wśród majaczących cieni starannie zapakowanych wózków. Nie potrzebowała wiele magii, by zagęścić ją wokół siebie, kierując się do drzwi prowadzących do Głębi.

Morkeleb czekał tam na nią. Sprawiał wrażenie niespokojnego, zapatrzonego w siebie.

*To dla mnie niepokojące przeżycie, powiedział, przebywać w ludzkiej postaci. Ludzkie sprawy przemawiają donośnie w moim ciele, w moim umyśle, gniew i zazdrość, obżarstwo i strach — przede wszystkim strach. Zadają sobie pytania, których nigdy bym nie zadał: A jeśli nie zdołamy się stąd wydostać? Jeśli nie zapamiętamy kolejności korytarzy i schodów? A jeśli zostaniemy*

323

*złapani albo moja magia mnie zawiedzie, albo po powrocie odkryjemy, że mistrz Halnath naprawdę posłuchał demona i uwolnił go, by zapanował nad jego ciałem? Czy ludzie naprawdę żyją w ciągłym strachu?*

*Większość z nich, odparła. / stąd bierze się spora część bolączek i cierpień ludzkości. A u korzeni każdego lęku czyha świadomość, że*

*pewnego dnia wszystko się skończy.*

*Ach, powiedział Morkeleb i zamilkł na długą chwilę. U dołu schodów przeszli przez most, ażurową kamienną konstrukcję porośniętą tysiącem wieżyczek i kolumn. Daleko w dole huczała woda. A magia pozwala znieczulić ten lęk? Umożliwić zaplatanie i tkanie powietrza, przeznaczenia i czasu? Albo dać złudzenie, że to jest możliwe?*

*Myślę, że tak, odpowiedziała wstrząśnięta Jenny. Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej, ale chyba tak. Magia jest naszą bronią w walce z przypadkiem i czasem.*

*A pomaga?, zapytał smok.*

*Nie wiem, odparła.*

Świat u korzeni Ściany Nast był poprzecinany i poprzetykany rzekami, rozpadlinami, mostami, na których płonęły srebrne lampy. W miarę jak zapuszczali się głębiej, Jenny zaczęła dostrzegać kratowane okna wychodzące na te rozpadliny, wyglądające z niewielkich mieszkalnych grot na większe. Każdy korytarz, każda klatka schodowa, każde przejście oświetlone było żarzącymi się blado kulami i wąskimi, wysokimi kominami kolorowego szkła, a w ich blasku gnomy krzątały się, zajęte swoimi sprawami. Ich długie widmowe włosy ułożone były w ozdobione klejnotami wałki, grzebienie i ażurowe stroiki albo też przykrywały chmurami ich przygarbione ramiona. Nie odzywały się do Jenny i Morkeleba, właściwie wcale ich nie zauważały. Zimne pazurzaste palce smoka zaciskały się wokół jej dłoni, kiedy prowadził ją nieomylnie przejściami, które przemierzał myślą i snami, gdy przed czterema laty wylegiwał się w górnych rejonach

Głębi po drugiej stronie gór, szepcząc muzykę, której wtórowało echo gnomiego złota.

*Zbyt wiele tu złota, powiedział, zatrzymując się, by zorientować się w przebiegu szlaku przez jaskinię, w której same kamienie tryskały deszczem iskier. Szare smoki miały rację. Teraz widzę, że sama jego obecność budzi smak w moim sercu, zapamiętaną słodycz, i jest mi ciężko.*

*Czy w jakichś legendach jest wzmianka, dokąd odeszły Smocze Cienie?,* zapytała Jenny, by zająć czymś jego myśli. A może i własne, by zapomnieć o swym lęku i snach. *Mogły zupełnie porzucić ten świat?*

*Myślę...* Smok zaczął i zaraz przerwał. Jenny czuła, jak nurt jego myśli zatrzymuje się i zaczyna wirować, niczym woda wśród głazów. Ujrzała w swym umyśle to, o czym opowiadał jej John, Jałową Wyspę w kryształowym blasku nowego poranka, usłyszała powolny puls morza i oddech wiatru. Poczowała ich obecność niczym jądro spokoju ukryte wśród korzeni świata.

*Nie sądzę, by porzuciły ten świat, powiedział smok nową myślą, naga niczym ptasi pisk, nie uprzedziwszy nas o tym.*

Prowadził ją między migoczącymi górami żużlu i rozległymi szklistymi jeziorami. Po pewnym czasie dotarli w miejsce, gdzie niewielka rzeka spadała ze śpiewem z pięciu progów białego, falistego wapnia, nad którymi zwieszały się tarasy wykute i wywiercone w ścianie jaskini.

*Będą jej strzec, powiedział Morkeleb. Mędracy gnomów.*

*Wspominała kiedyś, że często wychodzi na taras, odparła Jenny. Zaczekamy.*

Smok znów spojrzał na nią z ukosa, jak gdyby wyczuwał jej zmęczenie i głód, ale nic nie powiedział. Podczas oczekiwania ku jej zaskoczeniu

opowiadał po smoczemu, przemawiając bezpośrednio do jej umysłu muzyką, obrazami i zapachami, jakby chciał ją tym zająć, tak jak wcześniej ona jego. Ujrzała zapierającą dech w piersi płataninę fioletowych słońc i szarych oceanów uderza-

325

jących bez końca o martwy brzeg, poczuła odmienne gatunki magii, czerpanej z tych nowych kamieni i słońc, nowych układów gwiazd. Opowiadał jej o światach, gdzie sine rośliny walczyły i pożerały się wzajemnie, o kroplach deszczu, mewach i pełzającym życiu basenów pływowych Ostatniej Wyspy. O Smoczych Cieniach, które znał dawno temu, o ich bezbrzeżnej mocy, mądrości, spokoju.

*Są jak wiatr i powietrze, powiedział. A jednak, gdy je teraz wspominam, widzę, że nas kochały, nas wszystkich, którzy myśleliśmy, że ivitybraliśmy tu naszą własną drogę.*

Jego palce, blade i szczupłe, o długich, zakrzywionych, czarnych pazurach, przykrywały jej dłoń. Spoglądając w jego twarz, nie wiedziała, czy widzi oblicze człowieka czy smoka.

Po pewnym czasie panna Mab wyszła na taras, owinięta w czerwoną szatę. Morkaleb i Jenny wspięli się do niej bezszelestnie przez szemrzącą cicho wodę i śliskie jak śnieg i rybia łuska gładzie skały.

- Hotwajs — powtórzyła z namysłem, podwijając otulone szatą krótkie nogi i przenosząc wzrok z kobiety na smoka i z powrotem.
- Tak byłoby bezpiecznie? — zapytała Jenny. — Czy demony mogłyby wykorzystać hotwajs do czynienia zła, gdyby im go przekazać?
- Demony potrafią nagiąć źdźbła traw do czynienia zła, dziecko. Pewności nie mam, że nie obrócą ku złu gwiazdowego blasku, jakowy

podarować im pragniesz w tym hotwajsie, choć nie potrafię imaginować sobie, jak by to mogły uczynić. I doprawdy, nic nie wyrządziłoby większej szkody niżli prawdziwy piorunowy kamień. Prawda to li — zapytała, zwracając swe mądre blade oczy na Morkeleba — że gwiazdy są takie, jakimi je przedstawiasz, burzą światła i ognia, bez stałej substancji? Dziw to nad dziwy.

- Nie można by nałożyć Ograniczenia na sam hotwajs — zapytał po chwili Morkeleb — tak by jego esencja, jego natura, wy-

326

gasła wraz ze zgaśnięciem gwiazdnego światła w jego wnętrzu? Tym sposobem królowej demonów zostałaby jedynie kamień, a można przypuszczać, że nawet w piekielnym królestwie mają ich pod dostatkiem.

Panna Mab milczała przez długi czas, obracając masywne, ciężkie pierścienie na swych serdelkowatych palcach. W dole wodospad bez końca wygrywał swą wiecznie zmienną melodię. Jak sama powiedziała, w jej nurcie płynęła wielka moc, którą Jenny wyczuwała nawet z tarasu. Gdzieś w pobliżu ktoś grał na harfie, niepodobnej do gnomiej cytry, kobiecy głos, niewątpliwie ludzki, zaintonował smutną, tęskną pieśń.

„Tutaj także trzymają ludzkich niewolników”, pomyślała Jenny.

- Tak powinno być — odparła powoli panna Mab. — W naturze hotwajsów leży trwałość, nie przemijalność, więc nie zwykliśmy tego czynić. Ale nie jest mi znany powód, dla którego nie mogłoby to być zrobione. Zobaczymy, co będę w stanie zdziałać. Poślę ci wieść, Jenny Waynest, do Halnath.
- Wątpię, by to było możliwe — odezwał się cicho Morkeleb. —



Nieobecność pani Waynest w cytadeli dzisiejszej nocy oznacza, że nie może już tam powrócić. Lęk przed Piekielnym Pomiotem jest zbyt wielki, a ona nosi jego znamię.

Jenny spojrzała wstrząśnięta na smoka, a on odpowiedział jej spojrzeniem swych obcych gwiazdzistych oczu.

- To prawda — stwierdziła panna Mab — że mój lud uwięził mnie na rok i jeden dzień za to tylko, że weszłam do komnaty zwierciadła w ruinach Emine.
- Więc poślij to do obozu przy Moście Córa — odparł Mor-keleb. — Bo tam będziemy musieli się schronić, pod opieką regenta.

Po tych słowach panna Mab wróciła na chwilę do swojej komnaty i przyniosła z niej miodowy chleb i kwaśną śmietanę, ostry biały ser i owoce, oraz cienkie wełniane koce, gdyż powietrze w grotach było wilgotne i zimne. Jenny spała niespokojnie, a kiedy

327

się zbudziła, czuła się jeszcze bardziej zmęczona niż przed zaśnięciem. Nie sądziła, by Morkeleb w ogóle spał.

Przepowiednia smoka dotycząca nocnej nieobecności Jenny okazała się niepokojąco trafna. Kiedy krótko przed świtem wyslizgnęła się z kupieckiego wózka na Hali Targowej, przekonała się, że żołnierze z załogi cytadeli przeszukują kąty wielkiej groty — co prawda pobieżnie, jak gdyby nie spodziewali się tu nikogo znaleźć.

— Czemu by wiedźma opętana przez demona miała spać akurat tutaj? — zapytał jeden żołnierz drugiego. — Na pewno jest już w Bel. A poza tym czy w ogóle potrafilibyśmy ją zobaczyć?

Zapewne tak, pomyślała Jenny, wciskając się w najciemniejszy kąt i

trzęsąc się z zimna. Mimo zaklęć panny Mab zapewniających odpoczynek bez snów, demon Folcalor powrócił do niej nocą, by kreślić kręgi naruszenia wokół klejnotu mieszczącego jej prawdziwe ja, i wysiłek, jakiego wymagało odpieranie jego ataków, poważnie ją osłabił. A jednak zdołała pozostać nie zauważona do chwili odejścia ostatnich strażników, a potem wymknęła się w ślad za nimi z groty targowej i powróciła na górę, do cytadeli.

Nie zauważyła, kiedy Morkeleb ją opuścił. Trzymaniu się na uboczu bardziej niż magii zawdzięczała bezpieczne przejście przez pomieszczenia dla służby, strzeżonym korytarzem („Mam ociupinkę jedzenia od jego miłości mistrza dla pana Johna”, powiedziała wartownikom, pokazując słój miodu i kilka rogalików na pożyczonej z kuchni tacy) do celi, gdzie, jak wiedziała nawet bez użycia swych magicznych zmysłów, przetrzymywali go w łańcuchach.

Miała rację. Morkeleb miał rację. Łańcuchy były na tyle długie, że pozwalały mu się położyć, sama cela zaś sucha i wyposażona w siennik, ale trzymano go pod strażą. Same łańcuchy opisane były czarami zabezpieczającymi je przed wszelkimi zaklęciami, z wyjątkiem jedynie tych najpotężniejszych. Zmęczona i wyczerpana, zużyła prawie trzy kwadransy na sklecenie prostego

328

czaru, który zmusił strażnika do pójścia w ustronne miejsce, gdzie zdołała odzepić mu klucze od pasa.

- Jen! — John usiadł zaskoczony, gdy weszła do jego celi. Siedział na sienniku, oparty plecami o ścianę, i czytał. Polycarp zostawił mu olbrzymią stertę książek, ale kajdany na nadgarstkach tak mu ciążyły,

że musiał podpierać ręce i książkę kolanami. — Bałem się, że jakiemuś strażnikowi strzeliło do głowy cię zabić. Podobno zniknąłeś w nocy.

- Byłam w Głębi. Uwięzili pannę Mab...
- Kurde!
- Boją się demonów, John, i mają do tego pełne prawo. — Mówiąc te słowa, rozpiła żelazną obręcz na jego szyi i pęta na nadgarstkach. Znak królowej demonów rzucał się w oczy niczym otwarta rana. Zmusiła się, by nie myśleć o swoim śnie, o wizjach Johna w jej węzowych objęciach. — Panna Mab przygotowuje dla nas hotwajs zawierający światło gwiazd. Nieszkodliwy dar dla królowej demonów. Ale co się tyczy trzeciej części daniny...
- Ja się tym zajmę. — John wstał i zawahał się, spoglądając na trzymaną w dłoni książkę, wyraźnie żał mu było ją zostawiać. Potem wzruszył ramionami i wsunął ją za połę kubraka, dla równowagi dokładając jeszcze jedną. — Ale dopiero po powrocie do Jotham.

Skąpany w bezlitosnej szarej ulewie ochronnych burz obóz na moście nosił ślady ciężkich przejść. Palisada nadal broniła dostępu do kamiennych przęsł, lecz była teraz czarna od ognia, z wyjątkiem miejsc, w których świeże drewno błyszczało żółtą wilgocią. A jednak flagi domu Uwane wciąż powiewały nad osmalonymi okopami. Kiedy Morkeieb spłynął w dół zapchanym chmurami kanionem, Jenny spostrzegła, że parę namiotów wciąż jeszcze stoi. Szerniała ziemia w obrębie umocnień zryta była okopami, a zabezpieczające je wały przydawały im wyglądu długich, krętych grobów.

John, zwisający z pazurów gada, zamachał białą koszulą wykradzioną z pralni w cytadeli ku ludziom, którzy wyroili się z okopów, pokrzykując i kierując groty strzał w niebo. Dopiero gdy Jenny ujrzała, jak jeden z nich — wyższy i szczuplejszy od pozostałych, w błyszczących w bladym świetle dnia okularach — wynurza się spod ziemi szybkim truchtem i macha energicznie w stronę żołnierzy, powiedziała cicho:

— To on. Możemy lądować.

*Ufna z ciebie kobieta czarownik.*

— Tak czy owak — odparła Jenny. Poczowała, jak zalewają ją fala cynizmu Morkeleba, jak gdyby zanurkował w ścianę mrocznej wody, lecz zaraz rozpostarł szeroko skrzydła dla utrzymania równowagi i powoli opadł w stronę ziemi. Ludzie w dole pozajmowali już dogodne stanowiska, ale Gareth ponownie wydał im rozkaz gwałtowną gestykulacją. Ukradkowy promień słońca przeczesał jego włosy. Burza niewątpliwie cichła. Jenny czuła to — chmury rzedyły, wiążąca je magia w końcu zaczynała słabnąć.

Morkeleb wyprostował zadnie łapy i usiadł na ziemi.

- Ależ mój panie! — wykrzyknął gniewnym tonem Ector z Sindestray, gdy Gareth postąpił ku nim z otwartymi ramionami.
- Jenny, Johnie.
- Polycarp się z tobą kontaktował? — zapytał bez troski John.
- Mój panie, na tym człowieku ciąży wyrok śmierci...
- Jeden z jego gołębi przyleciał dziś rano. — Gareth spojrzął na znamię demonów, potem pospiesznie odwrócił wzrok. Wyglądał nieszczęśliwie. — Napisał, że Jenny zniknęła. Napisał, że zatrzymał

cię pod strażą...

- Aha. Czyli jeszcze nie otrzymałeś listu z informacją o tym, że wykradliśmy fiolkę, pieczęć i szkatułkę? Na pewno przybędzie jutro.

Gdy mówił, Jenny dotknęła mieszka, który otrzymała od Morkeleba, zanim przybrał z powrotem smoczą postać. *Najlepiej bę-*

330

dzie, jeśli to my się tym zaopiekujemy, a nie mistrz Polycarp, powiedział. *W końcu należą do Aversina, zapłacił za nie w najkosztowniejszej walucie.*

— To skandal! — nie ustępował lord Ector. Nadal przyodzia ny był w dworski strój — Jenny nie miała pojęcia, jakim sposobem udawało mu się poprawnie go upiąć w tych warunkach. — Mój panie, zdajesz sobie przecież sprawę z tego, jak demony od działywać mogą na ludzki umysł! Jak przejmują władzę nad ludz kim ciałem! Nie możesz udawać, że ufasz tym... ludziom.

Gareth wyciągnął rękę, ale cofnął ją, nie dotykając mieszka.

- Polycarp pisał mi o tych przedmiotach — powiedział. — I o tym, co zrobiłeś, by je zdobyć. — Ector odchrząknął znacząco, ale Gareth nie śmiał spojrzeć mu w oczy. Wiatr tarosił różowe i niebieskie końcówki jego włosów. Na policzku miał świeżą ranę, grube okulary nosiły ślady uszkodzeń i napraw, na jego twarzy malowała się zawziętość, posępność w układzie ust.
- Czy to przypadkiem nie ty kazałeś mu zakuć mnie w łańcuchy?

Zapada długa, okropna cisza. Gareth przestąpił z nogi na nogę — Jenny pomyślała, że w żadnej starej balladzie o Zgubach Smoków nie znajdowały się wskazówki, jak należy postąpić w podobnej sytuacji — ale

w końcu powiedział:

— Nie. Ale sam dobrze znasz wszystkie te legendy i opowieści o demonach. Polycarp nie jest jedynym zwolennikiem radykalnych środków zapobiegawczych.

John zerknął na Ectora. Gareth zaczerwienił się.

— Powiedziałem Polycarpowi i innym członkom rady, że mają poczekać. Że ci ufam.

John skłonił głowę, ale na jego ustach dalej gościł krzywy grymas.

— Dziękuję. Ale naprawdę nie musiałeś. Gdyby nie ja, nie musiałbyś tego robić. A po zniknięciu Jen trudno mi go obwiniać za zamknięcie mnie pod kluczem. Jasne, że nie mam szczególnej

331

ochoty na oddanie się im w łapy, ale pracuję nad tym. — Poprawił okulary na nosie. — Kiedy przybędzie Poły?

- Jutro — odparł Gareth. — Dziś przeprowadzą jeźowce przez Głębię Ylferdun. Zwiadowcy nawiązali też kontakt wzrokowy z posiłkami z Bel — te same deszcze, które nas ochraniały, spowolniły ich przemarsz. — Kolejny promień słońca zamigotał na przesiąkniętej wodą ziemi obozu, a Gareth i wszyscy jego żołnierze z jednakowym niepokojem popatrzyli na niebo.
- Założę się też, że szlag trafił większą część plonów. — John odgarnął długie włosy z oczu. — Zaatakują dziś w nocy... mam na myśli Rocklys i jej bandę.
- Wiem. Muszą, jeśli chcą zdobyć most. Trzymam ludzi pod bronią...
- Nie. — John potrząsnął głową. — Każ im zjeść kolację i trochę się

zdrzemnąć. Nic się nie wydarzy aż do... ósmej, moim zdaniem. W samym środku nocy.

- Dlaczego wtedy?
- Bo wtedy ludzie stojący pod bronią od ósmej po południu zapominają o czujności i myślą, że do świtu będzie już spokój. Wtedy właśnie ucinają sobie drzemkę, wymykają się za potrzebą albo zaczynają szukać po obozie towarzystwa do pogawędki.

Lord Ector otworzył usta, by zaprotestować z oburzeniem, gdy Gareth i John przepchnęli się obok niego.

- Zbudowałeś stosy, są gotowe do podpalenia? Po ciemku widzą równie dobrze jak za dnia, więc im większe, tym lepsze.
- Chronimy drewno przed zawilgoceniem, jak tylko się da — pokiwał głową Gareth. — A wczorajszy konwój dostarczył nam oleju. Kiedy rozstąpią się chmury, przyda nam się każde źródło światła. Księżyc wzejdzie dopiero jutro rano, a i tak ma dopiero trzy dni.
- Synu — westchnął John — mogę ci powiedzieć z dokładnością do trzech czwartych cala, o ile przyrósł księżyc, odkąd pojechałem do Ernine. Pokaż mi teraz, gdzie stoją jeżowce z pierw-

332

szego ataku. Poskładaliście je jakoś? Świetnie. Jen, czujesz się na siłach trochę poczarować?

Zgodnie z przewidywaniami Johna smoki zaatakowały po północy. Jenny przysypiała w ramionach Johna w ziemiance Garetha i jego ojca, króla, ciesząc się spokojem, brakiem nacisku ze strony Caradoca i naporu jego natrętnych zaklęć. Zwinięta w kłębek w sercu swego klejnotu

wiedziała, że Folcalor jest zajęty czymś innym i zapewne myśli, że Jen wciąż jeszcze przebywa w Cytadeli Halnath.

Niewyraźnie, bardzo niewyraźnie zdawała się dostrzegać samego Caradoca, mężczyznę, który niegdyś szczerze kochał Rock-lys, który szukał wiedzy i władzy, który spacerował północno-zachodnią plażą Somanthus, złamanego starszego człowieka, śpiącego półprzytomnie w sercu dalekiego klejnotu.

Nie miała jednak dla niego współczucia. Co jakiś czas wychylała się przez skazę w kryształach ku swojemu ciału, by mocniej poczuć ciepło ciała Johna, powiew jego oddechu we włosach. Czas wydawał się wtedy zjawiskiem bardzo kruchym, bardzo cennym — później wspominała te chwile z bolesną tęsknotą, niczym zagubiony na lodowym pustkowiu podróżnik marzący o cieple. Ujrawszy Polycarpa siedzącego samotnie w mrocznej pracowni z więzającą Amayona muszlą w dłoni, zrozumiała, że wyrok śmierci to rozsądne rozwiązanie. Pojmowała też, że nawet zasądzony sposób kaźni jest konieczny, zważywszy na władzę, jaką demony potrafią sprawować nad umarłymi.

„Ale nie John”, pomyślała, zaciskając palce wokół jego dłoni. „Nie John”.

Wtedy głos Morkeleba w jej głowie powiedział:

*Jenny. Już czas.*

Przepłynęła przez skazę w klejnocie niczym woda. Wsączyła się w swe ciało, kości, umysł.

John zdążył już usiąść, teraz na oślepek szukał okularów, a splątane włosy przesłaniały mu oczy.



- Pora na nas, kochanie — powiedział, wieszając na szyi oszroniony kryształ pieczęci królowej demonów oraz kamienny nożyk do wytaczania krwi, niezbędnej w rytuale uwalniania. Przytulił ją, wziął jej twarz w dłonie, zgarniając noc jej włosów, i pocałował w usta. — Wiesz, co masz robić?
- Wiem. — W kącie komnaty stał rząd kusz ze wzmocnionego stałą rogu. Ich zatrute bełty były tak długie i ciężkie, że ledwie dała radę udźwignąć broń. John przerzucił trzy przez ramię, pomógł jej założyć kolejne dwie. Poczowała dotyk jego dłoni poprawiającej rzemienie, ich serca rozdzieliły się, już uzbrojone do boju.

„To nie jest pożegnanie”, pomyślała. „To nie jest pożegnanie”.

Na górze, na poziomie ziemi, ludzie krzyczeli, tupiąc ciężko u wylotu ziemianki. Pomarańczowy blask pochodni zapłonął i zatańczył ną wale. Król usiadł, wołając zdezorientowany jakieś kobiece imię; Gareth trzymał go za rękę i przemawiał do niego łagodnie, zapewniając go, że wszystko będzie dobrze.

—Patrz, w co mierzysz — powiedział do niej John. — Ale jeśli będziesz miała okazję do czystego strzału, nie wahaj się ani sekundy. Jasne?

Mówił o lanie. W myślach ujrzała pijanego chłopaka o delikatnych ustach, obmacującego związane obozowe dziwki, skrupowane dla jego rozrywki; ujrzała płaczące, nękanie mdłościami dziecko — więźnia podobnie jak ona sama — które niekiedy udawało się jej dostrzec w snach.

—Jasne.

— Dzielna dziewczyna. — Klepnął ją w bok i wspiął się w ślad za nią po drabinie ku wąskiej szparze pod obłożonym ziemią stropem. Gdy mieli

się rozstać, chwycił ją za rękę; na tle ciemności unosiła się już widmowa sylwetka Morkeleba. — Nie mogłabyś... Nie ma jakiegoś czaru, który mogłabyś na mnie rzucić, żebym nie... — zawahał się, po czym dodał z tym samym wyrazem twarzy: — Jeśli zginę w walce, zostanę ich niewolnikiem.

### 334

Jenny wahała się przez długą chwilę, porównując swe słabnące siły z miłością do tego mężczyzny. Wiedziała, że unicestwienie po fakcie jego ciała zapobiegłoby odrodzeniu się go jako upiora, lecz gdyby zginął podczas bitwy, żadnym sposobem nie można by było wyrwać jego nagiej duszy z pazurów królowej demonów.

- Nie mogę — odpowiedziała. — Nie mogłabym wówczas rzucać zaklęć, których będę potrzebowała podczas walki. — Nie wiedziała nawet, czy zdoła przywołać dosyć mocy, by osłonić siebie i Morkeleba przed magią wrogich smoków. Zaplatanie czarów ochronnych wyczerpałoby te resztki sił, jakie pozostały jej po zabezpieczeniu jeżowców i kusz minionego popołudnia.
- Ano, trudno — westchnął. — W takim razie będę musiał się postarać, żeby mnie nie zabito. — Pocałował ją jeszcze raz. — Ty też o tym pamiętaj, kochanie.

John zatrzymał przebiegającego obok ziemianki żołnierza i przekazał mu swoje trzy kusze, każąc mu iść za Jenny. Rozstali się w blasku ognia, John skierował się w stronę przysadzistej migoczącej kuli jeżowca, Jenny zaś ku mglistemu cieniowi czekającego na nią smoka.

Jenny rozpostarła wokół nich czary ochronne, nasłuchując uderzeń smoczycy skrzydeł w ciemności.

*Włóż w to całą swoją magię, wyszeptał w jej głowie głos Morkeleba. Nie zostawiaj ani krzty w sobie, w swym ciele, w swych kościach, w swym sercu. I tak na nic ci się nie przyda, a demony poj-mają cię przez nią na powrót. Oto sekret szarych smoków.*

*Nie mogę, odparła Jenny. Będziemy w niebezpieczeństwie...*

*Zaufaj mi, powiedział Morkeleb. Morscy magowie także*

335

*obłożyli nas czarami ochronnymi, równie skutecznymi jak twoje czy moje.*

Ręce Jenny zadrżały, a kręgi mocy, energii i Ograniczeń, jakimi ich otoczyła, zbladły w tańczącym świetle pochodni. Kusze wisiały w obejmach przymocowanych do smoczycy uprzęży, ich ostre, odrażające kształty stapiały się z jego kolcami. Spróbowała przywołać smoka swej duszy, lecz od chwili ucieczki z obozu Rocklys wydawało się jej, że gdzieś zagubiła tę część siebie. *Nie mogę.*

*Zaufaj mi.*

Miała wrażenie, że widzi flary i pochodnie przeświecające przez jego ciało, jak gdyby było niematerialne, utoczone z samego dymu. Jego oczy i czubki jego czułków były jak lśnienie gwiazd wśród mroku, blednące niczym okopcone szkło.

Lecz jego głos rozbrzmiewał zdecydowanie w jej umyśle. *Zaufaj mi.*

Odrzuciła resztkę swej magii, przelewając ją w zaklęcia, które miały ochraniać ich oboje przed złudzeniami i panicznym strachem. Bez niej

poczuła się pusta, zmarznięta i naga, gdy wspinała się na jego grzbiet.

Jego skrzydła rozwinęły się bezszelestnie. Wzbił się w powietrze, gdy ogień wydobył z ciemności pierwszego z napastników. Był to Yrsgendl, biały i szkarłatny, z Bliaudem na grzbiecie. W milczeniu wznosili się coraz wyżej, roztopiając się w mroku.

Jenny ujrzała smoki unoszące się znad obozu Rocklys: różowy i zielony, złoty i zielony, żółty, tęczyowy... niebieski. „Och, mój synu”, pomyślała, mocniej zahaczając stopy pod rzemieniami uprząży i oparła o ramię pierwszą ciężką kuszę. „Och, mój synu”. Jedynie dzięki samodyscyplinie nabytej podczas lat studiowania magii zdołała zamknąć swój umysł.

Yrsgendl zanurkował, miotając ogniem i kwasem na obóz. Ze wszystkich okopów i ziemianek otaczających redutę wzleciały strzały, by spaść z powrotem na ziemię... Pojedynczy czarny oszczep wystrzelił z impetem pionowo w górę, odpalony przez

336

toczącego się ociężałe jeżowca, który zbudził się nieoczekiwanie do życia, przebijając smokowi lewe skrzydło.

Strzał był dość szczęśliwy, trafił w najszersze miejsce jego odcinającej się od mroków nocy sylwetki. Morkeleb runął jak kamień w dół, a Jenny podniosła kuszę i strzeliła pod siebie. Bełt wbił się młodemu smokowi w grzbiet, między grzebieniami. Yrsgendl! okręcił się z wściekłym sykiem, a Jenny ujrzała i poczuła ciskane przez demona złudzenia, rozpryskujące się na osłonach roztaczanych przez fioletową królową demonów. Wystrzeliła ponownie, spychając czerwonego smoka w dół, a drugi harpun z jeżowca zagłębił się w jego piersi.

Yrsgendl zawrócił, kierując się w ciemność, ale Morkeleb znów

zepchnął go ku ziemi. Enismirdal i Nymr spadły z nieba ponad nim, lecz Morkeleb umknął nie zauważony przed ich atakiem i pochwycił Yrsgendla za skrzydło, ściągając go z powrotem. Yrsgendl zatrzepotał, szybko tracąc siły, a jeżowiec, prując przez spaloną redutę, potoczył się z zaskakującą szybkością ku miejscu, gdzie powinien był upaść ranny smok. Hagginarshildim, zielona i różowa, wraz z ocalałym tęczowym smokiem, zanurkowała ku pojazdowi, lecz John wymykał się i wykręcał, uciekając przed ciosami ogonów, a tęczowy smok rozpruł swe ciało na kolcach jeżowca. Gdy Hagginarshildim zaatakowała powtórnie, oberwała harpunem w przednią łapę. Morkeleb ją także przydusił do ziemi, nie pozwalając jej opuścić placu boju.

Yrsgendl leżał na ziemi, rażony działaniem specyfiku znajdującego się na czubku harpuna. Jenny wiedziała, że ten etap akcji był najtrudniejszy, gdyż harpuny były spreparowane nie trucizną, lecz mocnym wywarem z maku, i jego działanie na smoki nie mogło potrwać długo. Tęczowy smok splunął ogniem w stronę Johna, gdy ten wytoczył się z jeżowca i popędził ku czerwonej i alabastrowej sylwetce. Jenny dostrzegła ogień płonący w kryształowej pieczęci, którą John wyciągnął spod kubraka.

Potem Nymr przypuścił atak i Morkeleb wykręcił się w uniku,

337

tak że Jenny nie widziała, co działo się dalej. Lecz chwilę później, gdy zatruty bełt wbił się w mięśnie karku błękitnego smoka, ujrzała kątem oka iskrę ciemnoczerwonego płomienia i kiedy Nymr rzucił się na Morkeleba, błyskając kłami i ogonem, Yrs-gendl wystrzelił w niebo i zatopił zęby w ogonie niebieskiego smoka, rwąc i szarpiąc ciało.

Jenny usłyszała w umyśle przytłumione wrzaski, przekleństwa i skowyt

wyzutego z ciała demona, lecz nie miała czasu, by o tym myśleć. Nymr był dużym smokiem, zbyt dużym, by bez oporu dać się zagnać pod harpuny jeżowca. W trakcie walki Yrsgendl uwolnił go, lecz zaraz zatoczył koło i spadł na niego z góry, podczas gdy Morkeleb wiązał go w walce. W migotliwym blasku pochodni Jenny ujrzała, kto dosiadał białego i szkarłatnego smoka, a wtedy serce jej zamarło. Gdyby pozostało w niej choć trochę magii, rzuciłaby jaku...

„Nie rób tego!”, pomyślała dziko. „Nie rób tego!”

John wyciągnął stopy spod splecionego rzemienia owiniętego wokół ciała Yrsgendla, a gdy młodszy smok po raz trzeci przywarł do kolczastego grzebienia grzbietu Nymra, ześlizgnął się i wylądował pewnie wśród zjeżonych grotów.

„John...!”

łan obrócił się, wyczerpanie przydało ludzkich cech jego podłużnej, wychudłej twarzy. Puste, niebieskie oczy rozszerzyły się, gdy unosił rękę, lecz John był szybki i bardzo silny. Złapał chłopca za nadgarstek, a Jenny ujrzała bladą, zimną pieczęć królowej demonów przywiązaną rzemieniem do jego dłoni.

łan wrzasnął i zatchnął się, głowa poleciała mu do tyłu; Nymr zatrzepotał szaleńczo w powietrzu, a John złapał za rzemień i wsunął podeń ramię, ale nagle potknął się i upadł. W dole wirowały ciemność, flary oraz wykonujące skomplikowane piruety smocze kształty. Morkeleb powiedział: *Zostań tam, gdzie jesteś, kobieto czarownika. Złapie go, jeśli spadnie.*

Lecz John nie spadł. Zaplątany między dwoma napastnikami,

Nymr mógł jedynie trzepotać bezsilnie, a łan pochylił się, chwycił ojca za ramię i wciągnął go z powrotem na grzbiet niebieskiego smoka. Poruszał się ociężale, gdyż kierowanie ciałem z nie uszkodzonego kryształu wymagało znacznie większego wysiłku, ale udało mu się przynajmniej nie spaść. Jenny jakby z oddali usłyszała polecenia, jakie Morkeleb wydawał Yrsgendlowi, wykorzystując młodego smoka w charakterze dodatkowej kończyny, tak potężne były bezgłębokie bodźce wysyłane przez jego umysł. Szczęki Morkeleba zacisnęły się teraz nie na łapie, lecz na karku Nymra, unieruchamiając wielkiego smoka, podczas gdy John posuwał się cał po calu ku jego głowie. W swym umyśle Jenny słyszała wrzaski demonów, wściekłe, bezcielesne, gęste niczym tuman wirujących w powietrzu liści: Gothpysa i władającego Bliaudem demona Zimimara oraz innego, który zawładnął Yrsgendlem. Wśród potoków kobaltu i pawich barw Jenny dostrzegła błysk srebra, jakby szklanej kuli, którą John pochwycił i wyciągnął, ociekającą smoczą krwią.

Potem objął szyję Nymra, wcisnął twarz w falujące wstęgi jego grzywy, trzymając się mocno, podczas gdy Morkeleb i Yrsgendl zwolniły uchwyt i wycofały się, a niebieski smok powolnymi, ostrożnymi kręgami zaczął opadać na ziemię.

Jenny słyszała łana wołającego: *Ojcze! Ojcze!* Przerazonego, zrozpaczonego, ale mającego dosyć oleju w głowie, by po prostu trzymać się upręży i poczekać, aż Nymr sprowadzi ich obu na dół.

łan i John opletli się ramionami, chłopak płakał, John gładził czarne pasma jego włosów, gdy Morkeleb usiadł przy nich, a Jenny niemal spadła z jego grzbietu.

— Już dobrze — wyszeptał John w odpowiedzi na żalony

szloch chłopca. — Już dobrze, nic ci nie grozi.

Jenny objęła ich obu ramionami.

— Już dobrze — powtórzyła, wiedząc, że zabrzmiało to głupio, ale tylko to przychodziło jej do głowy. — Ian, tego demona już nie ma...

339

— Widziałaś — wyszeptał, zachłystując się łzami. — Manio, ty widziałaś... ja... ja...

A on widział ją.

*W górę!*, zawołał Morkeleb, a Nymr i Yrsgendl wzbiły się błyskawicznie w powietrze, gdy tęczowy smok z Lodowym Jeźdźcem na grzbiecie zatoczył koło w ich stronę, chlastając pazurami i miotając jadem.

Jenny wskoczyła z powrotem na Morkeleba, ledwie widocznego gwiazdnego upiora skrytego w dymie i ciemności, John zaś zaciągnął oszołomionego syna pod osłonę jeżowca, na wpół wpychając go przez właz. Potem Smoczy Cień skoczył w niebo, a Jenny sięgnęła po kolejną ciężką kuszę. Nymr i Yrsgendl zatoczyły szeroki łuk, wykonując polecenie Morkeleba, by zapędzić kolejnego smoka pod zatrute harpuny jeżowca.

Wspólnymi siłami zagnały ku ziemi Mellyn, otepiałą od makowego wywaru. Wrzaski demonów zadudniły echem w umyśle Jenny, gdy nagle usłyszała sykliwy skrzek. Kiedy się obróciła, ujrzała samego Caradoca na złotym smoku Centhwevirze płynącego ku nim niczym piorun. Pod nimi z każdego wąwozu na wzgórzach niosło się dudnienie bębnow i ryk trąb, gdy wojska Rocklys ruszyły do ataku.

Jenny domyśliła się, że zamierzali wstrzymać się z atakiem do świtu, by



dać smokom szansę na zrównanie z ziemią obozu Urien-sa. Lecz jako że Rocklys traciła kontrolę nad kolejnymi smokami, nie miała innego wyjścia, jak tylko rzucić swe oddziały ku wałowi fortecy. Podczas gdy pozostałe smoki zgromadziły się wokół niewyraźnego kształtu Morkeleba, Jenny usłyszała zew bojowy: „Uwane! Uwane!”, wiedząc, że Gareth był przygotowany na atak.

„John, zabierz stamtąd lana!” Przelotnie zastanowiła się, gdzie też Bliaud — operujący ze swego więzienia równie niewprawnie jak lan — mógł się ukryć i czy uda im się uciec na czas.

Potem smoki opadły Centhwevira, łapiąc i szarpiąc, starając się strącić go na ziemię. Tęczowy smok już upadł, dygocząc słabo

340

na trawie — Jenny ujrzała go w ułamku sekundy, zanim Haggi-narshildim, zielona i różowa, porzuciła szerzenie zniszczeń w obozie, a Enismirdal wyłonił się z górskich przełęczy, odpowiadając na wezwanie Caradoca. Jenny zmarnowała dwa z trzech pozostałych bełtów, próbując trafić Centhwevira, lecz trzeci zatopiła głęboko w pierwsnkokowym karku Enismirdaia. W kłębowisku trzepoczących skrzydeł i rwących ciało kłów, spostrzegła, że żółty smok z wysiłkiem usiłuje zawrócić, wyraźnie odczuwając działanie specyfiku. Niczym z oddali słyszała Folcalora zwołującego swe wojska, usiłującego zgromadzić wokół siebie pozostałe smoki i czarodziejów, podczas gdy w dole wzmógł się bitewny zgiełk.

W mroku wzburzone morze cieni tłukło się ślepo w dole. Krew na stali, tu i ówdzie wykrzywiona z bólu twarz. Flary dawały nieco światła, ale przez dłuższy czas panował tam pierwotny chaos, zamieszanie, jakie według legendy władało przestrzenią ponad wodami oceanu, zanim Stary

Bóg pieśnią rozdzielił morze od nieba. Na górującym nad szlakiem wzgórzu zapłonął pierścień ognia, w jego złocistej koronie ukazała się Rocklys na koniu, otoczona chorążymi, którzy przekazywali polecenia dowódcom. Potem tęczy smok wzbił się w powietrze, niosąc kolejne kusze, pokryte grubą warstwą wywaru bełty i dwa olbrzymie harpuny.

Nagły wrzask w dole ponownie przyciągnął uwagę Jenny. Pomiędzy grupkami zmagających się wojowników toczył się jeżowiec, tnąc kolcami wszystko po drodze, i Jenny zorientowała się, że zmierza wprost ku oświetlonemu wzgórzkowi, gdzie usadowiła się Rocklys. Komendant odwróciła głowę. Powiedziała coś do adiutanta, który podał jej łuk, a piechurzy zacieśnili najeżony dzidami krąg. Jeżowiec dalej parł naprzód, a za nim biegli żołnierze, prześlizgując się przez zwały trupów, gdyż nikt nie miał odwagi stanąć mu na drodze. Jenny czuła, jak Caradoc ciska w niego czarami, które odbijały się od zabezpieczeń królowej demonów.

Groty opuściły przednie strzelnice jeżowca, siejąc śmierć wśród straży Rocklys. Ona wszakże pozostała na swym miejscu, obser-

341

wując, jak się zbliża, mechaniczny i dziwaczny. Znajdowała się na skalistym wzniesieniu, zbyt stromym dla jeżowca, choć później Jenny odniosła wrażenie, że pojazd dałby radę się na nie wspiąć.

Ale się zatrzymał. Kłapa wjazdu uniosła się i z jego wnętrza wynurzył się John, trzymając łuk w dłoniach pokaleczonych kolcami Nymra. Założył strzałę na cięciwę, ale robił to bardzo powoli — Jenny pomyślała, że musi być wyczerpany.

A Rocklys nie była powolna. Nigdy taka nie była.

Jej strzała trafiła Johna w pierś, siła uderzenia zepchnęła go do tyłu,

zrzucając z włazu jeżowca. Zatoczył się, chwytając za stalowe kolce, próbując zejść na dół, nie poraniwszy się przy tym. Jenny dostrzegła krew, błysk ognia na jego okularach.

Potem upadł. Z rykiem wściekłości ludzie podążający za jeżowcem przetoczyli się strumieniem wokół niego, przerabując się przez straż Rocklys.

Centhwevir zawrócił i rzucił się do ucieczki.

*Łapcie go!,* zawołała Jenny. *Gońcie go! Zatrzymajcie go! Ma przy sobie klejnoty!*

Pozostałe smoki — Yrsgendl, Nymr i młody tęczowy smok — zakręciły, usiłując spędzić na ziemię Enismirdala i Hagginarshil-dim. Jenny wydało się, że ktoś w jej głowie mówi coś o czasie. *Czas. Gonitwa i czas.*

*Klejnoty, talizmany! Folcalor nadal może ich użyć!*

łan, Bliaud i pozostali magowie — także ona sama — wciąż byli więźniami.

Ale Morkeleb już mknął jego śladem, zostawiając za sobą niknące w mroku pole bitwy.

*Nie możemy pozwolić mu -wylądować!* Jak długo łan zdoła utrzymać połączenie między swym zniewolonym umysłem a ciałem? Czy demon da radę na powrót je opanować, zanim go dopadniemy tak jak Amayona? Czy inny demon może zająć jego miejsce?

Czy będzie miał dosyć mocy, by uratować życie swemu ojcu?

John padający ze strzałą w sercu...

Demony nie posiadają ciała Johna—już lord Ector dopilnuje, by zostało spalone, zanim zdążyłyby je wykorzystać — lecz jego umysł, jego świadomość na zawsze zostałyby uwięzione za zwierciadłem, wydane na pastwę mściwej królowej demonów.

Odniosła wrażenie, że słyszy Amayona mówiącego, iż oczywiście ona sama mogłaby go uratować, gdyby zaraz zawróciła.

Centhwevir rozcinał skrzydłami noc, ścigany nieustępliwie przez Morkeleba i Jenny. Minęli las Imperteng i hebanowe zakole Wildspae, przelecieli nad bezkształtnymi ziemiami Hythe i Ma-gloshaldonu, nad farmami Belmarie. „Morze”, pomyślała Jenny. „Lecą nad morze”. Do Wrót Piekieł pod wyspą Somanthus. Ogarnęła ją rozpacz i przerażenie, gdy poczuła obcą świadomość Zabójcy Ośmiornic i innych magów z głębin, wynurzających się z granatowoczarnej otchłani.

Srebrne obwódki na czarnych falach i skałach. Centhwevir wbijający się w wodę, przelotne lśnienie złota i błękitu. Potem nic, a chwilę później Morkeleb spadający z nieba niczym niewidzialna błyskawica i lodowate zetknięcie z żywiołem morza.

Czary morskich magów otoczyły ją powietrzem. Ujrzała Centhwevira ze złożonymi na płask skrzydłami i łapami, olbrzymiego węża morskiego zanurzającego się coraz głębiej falistym ruchem.

Nieprzytomna z przerażenia Jenny ujrzała Wrota, zielony żar pomiędzy skałami, ujrzała siebie samą, uwięzioną w klejnocie-ta-lizmanie. Ich wszystkich — lana, Bliauda, Yseult... A z głębi jej umysłu nadpłynęło wspomnienie dojrzanych niewyraźnie potworności tego bezświetnego, wodnistego piekła, istoty nazywanej przez pozostałe demony Adromelechem, milczącej, okropnej ciemności w jego jądrze...

Jenny czuła, że morscy magowie płyną za nimi, lecz boją się użyć swej magii, by nie wpaść w niewolę. Zielone kształty, ohydne i zdeformowane, unosiły się w wodzie, wysuwały się z otworów w skałach: bezkresne długie wstęgi wodorostów zakończone

343

rozczapierzonymi dłońmi, ryby o płonących pyskach i powykręcanych, szczątkowych skrzydłach. Otoczyły rojem Morkeleba, gryząc go, szarpiąc Jenny za barki i ramiona.

Wśród skał, sto jardów ponad bramą, Morkeleb zapędził Centh-wevira w ślepy zaułek, odcinając go od chorobliwego blasku w głębinach.

Błękitno-złoty smok bryzgnął ogniem — nie kwasem prawdziwych smoków, lecz demonicznym ogniem, który otoczył smoka i czarodziejkę palącą chmurą. Morkeleb odskoczył i zaraz zaatakował ponownie, tnąc i szarpiąc, szybszy od wielkiego smoka, z łatwością mieszcząc się w otworach i wąwozach. Zdeformowane ryby z głębszych rowów w pobliżu Wrót płynęły już ku górze, lecz morscy magowie i delfiny uformowali ochronny krąg wokół walczących smoków, odpędzając skażone monstra.

Jenny wystrzeliła dwa bełty, mierząc w pierś i kark Centhwevi-ra, lecz wzburzona woda utrudniała celowanie, a i same pociski leciały znacznie wolniej. W końcu uwolniła stopy z uprzęży, złapała harpun, drugi przewiesiła sobie przez plecy i popłynęła przez mroczną przestrzeń w kierunku smoka i maga opętanego przez demona.

Caradoc widział, że się zbliża. Poczucia na sobie palący ciężar zaklęć, które przez trzy noce wytaczały z niej siły. Miał rozdartą koszulę, gdzieś zgubił swoją czapkę, srebrna butelka unosiła się za nim w wodzie na wstążce, a jego siwe włosy falowały jak wodorosty w niespokojnej

wodzie. Otworzył szeroko oczy wypełnione zielonkawym światłem; rozwarł usta i niczym smok wyrzucił z nich strumień ognia, zamieniając wodę w gorącą parę.

Złudzenia, ból, śmierć niczym senne majaki. Demon Folcalor sięgnął ku niej, łapiąc za korzenie i kikuty jej magii, szukając uchwytu, lecz Jenny odrzuciła je, zarówno smocze, jak i ludzkie, pokładając ufność wyłącznie w zaklęciach morskich magów. Z podstępłą mądrością demona porwał jej marzenia, dawne pragnienia i obawy, a ona je także odrzuciła, pozwalając im odpłynąć

344

precz. W jej umyśle panowała kompletna pustka, w sercu zaś czysta biel, gdy ze wszystkich sił wbiła harpun w ciało Caradoca, przyszpilając go do skał, do których Morkeleb przycisnął Centh-wevira. Potem, gdy Caradoc rzucał się i szarpał za harpun, a krew wylewała się z jego poruszających się ust, obróciła się jak ryba w wodzie i zanurzyła dłonie w falującym, pstrym przepychu grzywy Centhwevira.

Kiedy wyciągnęła kryształowy kolec, demon za jej plecami uderzył błyskawicą mocy, szarpiąc jej ciało, rzucając nią o skały, wyciskając jej dech z piersi. Ogarnął ją chłód, gorąco i chłód zarazem, a potem przepastny mrok, który zdawał się sięgać otchłani pod korzeniami świata.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Odzyskała przytomność, mając w uszach szum oceanu. Leżała na łóżku wykonanym z czegoś miękkiego, wilgotnego i pachnącego rybaj poranne

słońce zaświeciło jej w oczy.

*Dobrze się czujesz, Jenny?*

*Dobrze?*, zapytał chór innych głosów w jej głowie. *Dobrze?*

Usiadła, a wtedy coś stoczyło się jej z piersi i pacnęło głośno na miękką substancję, na której leżała— wodorosty. Kiedy sięgnęła po nie, ujrzała, że jej dłoń jest pomarszczona i świecąca, czerwona od oparzelin. Choć ból tłumili lecznicze czary i wywar z dzba-niecznika, czuła jego obecność, jak gdyby jej kości kryły w swym wnętrzu rdzeń z rozżarzonego do białości metalowego pręta.

Tam, gdzie jej ciała nie przykrywało nadpalone ubranie, skórę miała pomarszczoną i sztywną od blizn.

Straciła włosy.

Podobnie jak magię.

345

*Dobrze się czujesz?*, ponowił pytanie Morkeleb.

Ledwie zdołała odetkać sztywnymi palcami srebrną butelkę, ściszaną przez cały czas w ręce. Wysypała z niej na dłoń siedem klejnotów: dwa rubiny, dwa ametysty, topaz najwyraźniej wydłubany z oprawy, szafir i nieczysty oliwin. Jak we śnie włożyła oliwin do ust i poczuła, jak przepływa przez skazę z powrotem w swoje ciało. Ból natychmiast przybrał na sile, tak że zgięła się wpół z jękiem. Ręce drżały jej, kiedy wypłuła klejnot i wyrzuciła go w morze.

*Tak*, odpowiedziała i rozplakała się.

Dookoła niej na skałach siedziały smoki, piękne niczym skrzydlate klejnoty, pełne przepychu w blasku porannego słońca. Powietrze wypełniała ich muzyka, muzyka, która milczała przez cały czas ich pobytu

w obozie Rocklys, przez całą bitwę. Szeptła w powietrzu niczym morska bryza lub słony smak oceanu. Siedem smoków, a nad morzem unosiło się szczególne migotanie, przydymione ściemnienie powietrza, które, jak Jenny dobrze wiedziała, było Morkelebem.

Nymr pochylił swą lazurową głowę. *Łzy/strapienie/ludzkie?* Jego głos przypominał wiatr wśród odległych drzew.

A Morkeleb sformułował myśl, srebrny kryształ straty, konieczności i nie kończącego się przepływu czasu, której, jak spostrzegła Jenny, Nymr nie zrozumiał. Wtedy Morkeleb wyjaśnił cierpliwie: *Człowiecza sprawa.*

*Ocal smoka, zniewól smoka,* odezwał się w jej głowie słodki głos Centhwevira. *Dług.*

*Moja magia,* powiedziała Jenny, unosząc pokrytą bliznami twarz znad okaleczonych dłoni.

*Smocza magia.*

*Będzie to możliwe tylko wtedy,* odparł Morkeleb, *kiedy staniesz się smokiem; gdyż w twojej ludzkiej duszy nie ma już niczego, z czym magia mogłaby się połączyć. Wszystko się wypaliło.*

346

A wraz z nią życie **Johna, pomyślała, jeśli magowie w obozie nie będą w stanie go ocalić?**

*W takim razie uwalniam was, uwalniam was wszystkich,* powiedziała. *Morkelebie, zawieź mnie z powrotem.*

Muzyka otoczyła ją i wtedy ujrzała, że wszystkie motywy i nuty tych jakże odmiennych melodii stanowią w rzeczywistości część jednego potężnego śpiewu. Nie wiedziała, dlaczego dotąd nie zdawała sobie z tego



sprawy.

*Przyjaciółka smoków*, powiedział Centhwevir, miękkimi uderzeniami uniwersum złotych dzwonków. *Przyjaciółka smoków*.

Potem rozpostarł skrzydła, pole łubinu i żonkili, i dał się unieść wiatrowi. Wszystkie wzbiły się w powietrze, różowy i zielony, biały i szkarłatny, błękitnie niebieski... wzbiły się i wyleciały niczym chmura liści nad ocean, gdzie wieloryby tańczyły i wyrzucały fontanny wody, po czym zawróciły na północ.

*Morscy magowie wysiali ryby, by rozszarpały ciało Caradoca na strzępy*, powiedział Morkeieb, *tak by morskie demony nie mogły go wykorzystać. Podobnie też spiętrzyły skały przed Wrotami demonów. Nic więcej nie mamy tu już do zrobienia, Jenny. Zabiorę cię z powrotem.*

— Też mi z niej był generał. — John uśmiechnął się blado, gdy Jenny weszła do szpitalnego namiotu. — Nie potrafiła trafić człowieka w serce z mniej niż pięćdziesięciu stóp? Dobrze, że się jej pozbyliśmy. — Potem wyciągnął do niej obie ręce. — Ech, kochanie, nie płacz.

Przyciągnął ją delikatnie do siebie i z wahaniem („Czy to za bardzo nie boli, kochanie?") położył na ramieniu jej pokrytą bliznami, bezwłosą głowę.

— Nie płacz.

Ale nie potrafiła się opanować. I ani on, ani Ian, który wynurzył się z cienia, by niezgrabnie poklepać ją po plecach—podczas

przenikał całe jej jestestwo. Rocklys nie żyła.

— Kiedy nadciągnęły posiłki, wezwaliśmy ją do poddania się — opowiadał Gareth, który zjawił się nieco później, poobijany i skrwawiony, w towarzystwie swego ojca. Uriens, szykowny w swej peruce, w zbroi i płaszczu godnym króla, chodził wśród rannych, którzy przelewali za niego krew. Od czasu do czasu pochylał się i rozmawiał z którymś z nich. Raz przytrzymał narzędzia, gdy chirurg czyścił i zszywał zabrudzoną ranę; kiedy wniesiono Pellanora z Palmorginu broczącego krwią z ran odniesionych podczas walki u boku Rocklys, wziął go za rękę i siedział przy nim, aż lord Palmorginu wyszeptał: „Wybacz mi” i skonał. Ludzie unosili się z łóżek, by dotknąć królewskiego płaszcza, a kroczący za nim Ector z Sindestay chrząkał nerwowo z aprobatą, usiłując nakłonić go do wyjścia.

Walcząc z nieśmiałością, Gareth przysunął sobie stołek i usiadł niepostrzeżenie przy pryczy Johna. Odszukał swoje pogięte i stłuczone okulary, po czym osadził je na nosie, uważając na ranę w miejscu, gdzie cios rozciął mu policzek.

- Zażądała miecza i wjechała w największą cizbę atakujących — ciągnął nieszczęśliwym tonem. — Oszczędziłbym ją, przecież wiecie.
- Ona kazałaby cię stracić. — Polycarp, który przyszedł razem z nim, ostrożnie poruszył lewą ręką na temblaku. Jego rude włosy były zlepione potem, przyduszone hełmem i przyklejone do czaszki, lecz gdy Jenny spojrzała w oczy mistrza, nie znalazła w nich żadnego śladu demona. Tak czy owak, wiedziałyby o tym, gdyby Amayon znalazł sobie nowego nosiciela. Wiedziałyby i umarłaby z zazdrości i

smutku.

- To nie znaczy, że ja miałbym...
- Nie — odparł mistrz. — Mam na myśli to, że wiedziała, co zrobiłaby z tobą, i spodziewała się podobnego potraktowania.

348

Cień przesłonił blask lampy.

—Dlaczego ten człowiek tu przebywa? — Król Uriens stanął przy nich, spoglądając na Johna.

Gareth poderwał się, zahaczając swym żołnierskim płaszczem o stołek i wywracając go.

- Ojczy, przypominasz sobie lorda Aversina. — Pochylił się, niezgrabnie usiłując podnieść taboret. — Pokonał smoka...
- Nie zabił go. — Uriens splótł dłonie na rubinowej klamrze swego pasa i zmarszczył czoło. — Zadaje się z demonami. Ector tak powiedział. Myślę, że demony pomogły mu wtedy przegnać smoka, a teraz wrócił.
- To prawda, Wasza Wysokość. — Lord Sindestay zjawił się u jego boku niczym biało-niebieski motyl z nadwagą. — Tak samo ta kobieta.

Oczy Johna rozjarzyły się niebezpiecznie.

- Chwileczkę, cholera jasna! Przed czterema laty nawet nie słyszałem o demonach, kiedy...
- Trzeba go zamknąć — powiedział Uriens z nieodpartą logiką dziecka. — Jeśli zawarł pakt z demonami, trzeba się będzie go pozbyć. Inaczej spróbuje zniszczyć królestwo. Zawsze tak jest.

- Ojciec... — Gareth wyprostował się.
  - Przykro mi, synu. Wiem, że lubisz się z nim bawić, ale on będzie próbował zniszczyć królestwo.
- I tę kobietę — przypomniał Ector.
- To Zguba Smoków! Walczył ze smokiem dla dobra królestwa...
  - Oczywiście dobrze wiemy, co księżę Gareth myśli o Zgubach Smoków — wtrącił gładko Ector. — Demon, który pragnąłby uzyskać nad nim kontrolę, musiałby jedynie...
  - Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo o tym, jak to zaprzedałem duszę demonom... — zaczął John, unosząc się na posłaniu, lecz zaraz opadł z powrotem na pościel, biorąc szybki oddech.

349

Strażnicy w białych i lazurkowych barwach lorda Sindestray wyłonili się z cienia. Jenny rozwścieczona uniosła rękę, przywołując w myślach słowo ognia i ślepoty...

Które pozostało jedynie słowem. Odrzucone, zeschnięte łuski w jej umyśle. Martwe liście osypujące się jej z ręki.

Strażnik chwycił ją pod ramię. Jenny okręciła się, oswobodzając się, lecz ze wszystkich stron zbliżali się następni strażnicy. John jakimś cudem miał już w dłoni sztylet Polycarpa i usiadł, a krew plamiła bandaż na jego piersi, gdy Gareth podszedł do niego i złapał go za nadgarstek.

— John... — Odwrócił głowę i przechwycił spojrzenie Polycarpa.

Mistrz umknął wzrokiem. Jenny nie umiała go za to obwiniać; teraz aż za dobrze znał moc demonich szeptów, potworną pokusę tych obietnic.

Gareth spojrział Johnowi w oczy. Rozpaczliwie, błagalnie... „Zaufaj mi”.  
„Zaufaj mi”.

John spojrział szybko na Jenny. Potem rozwarł dłoń i dał sobie odebrać sztylet.

Strażnicy przynieśli nosze.

- Zabierzcie go do ziemianki, w której nocowała wczoraj Jego Wysokość — rozkazał Ector, jako że król zdążył się już oddalić.
- Do tej, w której już nie musi nocować? — zapytał sarkastycznie John. — Bo smoki zostały przepędzone, a dosiadający ich czarodzieje uleczeni. — Głos drżał mu z gniewu.
- Nie będę się wdawał w dyskusje z demonem — odparł sztywno lord Ector. — Jest powszechnie wiadome, że potrafią obrócić każdy argument na swoją korzyść.

John spojrział na Garetha, który uciekł przed jego wzrokiem. Jenny patrzyła, jak strażnicy przekładają Johna na nosze; gdy uwaga Ectora była tym zaprzątnięta, cofnęła się w cień. Gareth

350

całkiem słusznie nie upierał się przy swoich racjach. Będzie bardziej przydatna na wolności, niż gdyby Ector przypomniał sobie o jej istnieniu i przekonał króla, by ją także uwięził. Ale twarz Johna, nieruchoma, jak gdyby była wyciosana z marmuru, raniła jej serce niczym oskarżycielski sztylet, a w blasku pochodni znak królowej demonów rysował się ciemną plamą na jego szyi.

Gdy zasłony skryły Ectora i strażników, Jenny ujrzała, jak Gareth powraca bezszelestnie i wsuwa dłoń pod poduszkę. Wyciągnął kawałek

żelaza, chyba grot strzały, i schował ukradkiem pod tunikę.

Tej samej nocy ocaleli magowie przybyli do namiotu regenta. Bliaud robił wrażenie najbardziej ożywionego, najbardziej pewnego siebie, ale nawet on zachowywał się niepewnie. Panna Enk i Summer, dziewczyna Lodowych Jeźdźców, przypominały lunatyków, dopóki klejnoty nie zostały umieszczone w ich ustach, przywracając im dusze. A potem, jako że Jenny wyraźnie wyczuwała Gothpysa, Zimimara i pozostałe demony snujące się i szepczące dookoła namiotu, magowie złączyli swe siły i użyli pieczęci królowej demonów, by przeciągnąć unieszkodliwione demony przez ciała, z którymi niegdyś były połączone, i uwięzili je w muszlach, kamykach i buteleczkach.

Potem w blasku magicznego światła przywołanego przez Yseult wyszli na dwór i wrzucili próżne talizmany do rzeki Wild-spae, której nurt huczał donośnie wśród skał. Ametyst więżący duszę Lodowego Jeźdźca Kotołaka został rozbity młotem przez jego siostrę Summer, która uczyniła to z kamienną twarzą. Polycarp uczynił to samo ze znalezionym wśród klejnotów topazem, który zapewne mieścił w swym wnętrzu duszę samego Caradoca. Jenny zmusiła się do nadziei, że dusza księcia kupców znajdzie pokój.

Magia nie powróciła do niej. Bliaud i Yseult potraktowali ją proszkiem królowej demonów, ale nie odniósł on żadnego skutku. Pamiętała, jak demon Folcalor gryzł i drapał jej umysł niczym

351

obląkany szczur, pamiętała, jak wyłała do oceanu wszystko, czego mógłby się chwycić, by zaciągnąć ją pod swe władanie.

W jej wnętrzu kryła się pustka.

Była tam jedynie krystalizująca się z wolna tęsknota za Ama-yonem. Za ogniem i kolorem, potęgą radością płynącymi znoszenia w sobie demona.

Wiedziała, że to szaleństwo, ale ta tęsknota nie opuszczała jej. W pustce lśniła niczym łagodne pocieszenie i wydawało się jej, że nawet miłość Johna blednie przy mądrości i wyrozumiałości demona, który tak dobrze ją znał.

Przez wszystkie te dni pielęgnowała Johna w pilnie strzeżonej ziemiance, pod czujnym okiem żołnierzy Uriensa i Ectora, i widok lana, Yseult i Bliauda stosujących leczniczą magię był dla niej torturą. Podobnie jak wyobrażanie sobie, że odwracają się od niej, gdy wykonywała pośledniejsze czynności, przynosiła wodę i ucierała zioła. Że jej współczują. Świat wokół niej zamieniał się w truciznę i zaczęła myśleć — wbrew rozsądkowi i doświadczeniu — że jeden Amayon by się tym przejął i ją zrozumiał.

Księżyc powiększał się nieubłaganie na popołudniowym niebie, niczym białe, flakowate stworzenie przysuwające się coraz bliżej, by posilić się ciałem umierających królów; ludzie Ectora przygotowali stos po drugiej stronie mostu. Pewnego gorącego popołudnia Jenny poczuła zapach oleju, którym go nasączyli. Ector patrzył posepnie na magów za każdym razem, gdy krzyżowały się ich drogi, gdyż według prawa Południa ci, którzy wbrew swej woli opętani zostali przez demony, nawet po odprawieniu egzorcyzmów nigdy nie odzyskiwali w pełni rozumu. Żadne sankcje prawne nie groziły magom opętanym wbrew swej woli, gdyż w całej historii Bel nie napotkano wystarczająco potężnego demona. Wszystko to Jenny postrzegała przez zasłonę obsesji, znużenia, bólu.

Tej samej nocy Jenny spotkała się przed więzienną ziemianką z Garethem i Ianem i zabrała śpiącym strażnikom klucze. Cisza magicznego snu otulała cały obóz, gdy Gareth zszedł po drabinie,

352

by wyłonić się po chwili w towarzystwie wspierającego się o jego ramię Johna.

- Przepraszam, że nie mogłem... nie mogłem stanąć w twojej obronie — powiedział młodzieniec. — Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, by nakłonić ojca do zmiany wyroku. To potworne, po tym wszystkim, co uczyniłeś dla królestwa!
- To całkiem rozsądne. — Rano John ogolił się pierwszy raz od dnia bitwy i teraz wyglądał nędznie i chudo. Oparzelina na jego szyi znaczyła się ciemną plamą pod rozpiętym kubrakiem i koszulą, ostry blask księżyca zdawał się odbijać w srebrnych liniach tam, gdzie inne znaki królowej demonów pokrywały jego obojczyk i szyję. — Sam za nic nie zaufałbym komuś, kto zawarł jakikolwiek układ z demonami. Gdybyś zrobił coś takiego, będąc regentem w imieniu swego ojca, wszyscy lordowie w kraju podnieśliby bunt, a ja razem z nimi. Masz to? — dodał, a Gareth podał mu kawałek żelaza, który wziął z pryczy w dniu, gdy aresztowano Johna. — Ian? — John wyciągnął rękę do syna. Ale Ian odwrócił się od niego bez słowa. Cicho, wytrwale pracował nad uleczeniem ran ojca i razem z Yseult pokrył leczniczymi zaklęciami spalone i okaleczone ręce Jenny. Yseult spróbowała nawet uśmierzyć migreny, fale gorąca, bóle i smutki, jakie powróciły do niej, skoro tylko zniknęła powstrzymująca je magia.



Ale przez cały ten czas Ian milczał i unikał matki, współczując jej, jak podejrzewała — albojeszcze gorzej, brzydząc się nią za to, co widział, kiedy oboje byli niewolnikami demonów.

Jenny nie mogła patrzeć, jak Gareth wręcza Johnowi mieszek z muszlami, butelkami i kamieniami, zamkniętymi i oznakowanymi woskiem, zawierającymi dusze demonów. Przez cały tydzień walczyła z pragnieniem, by przetrząsnąć cały obóz w ich poszukiwaniu. Pod płóciennymi rękawami blizny jej rąk pobrużdżone były szramami pozostawionymi przez jej własne paznokcie, gdy ból związany z tym pragnieniem stawał się nie do zniesienia. Od trzech nocy Amayon ukazywał jej we snach, co się będzie

353

z nim działać przez całą wieczność, kiedy zostanie zesłany za zwierciadło, i nie życzyłaby tego swemu najgorszemu wrogowi — nawet królowej demonów, której imię John szeptał tęsknie przez sen. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by niektóre z tych rzeczy jedna rozumna istota mogła robić drugiej.

*Uwolnij mnie. Uwolnij mnie, zanim mnie tam odeślą.*

Nie wolno jej było uwolnić demona w tym świecie. Zdawała sobie z tego sprawę — kolejny raz wbijając sobie paznokcie w ciało, zdawała sobie z tego sprawę — i wiedziała też, że nie było możliwe odesłanie go do jego własnego świata (*Ależ tak, to możliwe! Obiecuję, że tam wrócę!*). A poza tym wyczyniał z nią potworne rzeczy, poniżając ją w sposób, którego samo wspomnienie przychodziło jej z trudem (*Kiedy odejdę, przypomnisz sobie! Do najdrobniejszego szczegółu, w snach, bez końca! Chyba że mnie uwolnisz...*).

Ale jednak...

Najgorsze było to, że pustka, powstała po utracie magii, błagała, by czymś ją wypełnić. Obecność Amayona przynosiła jej pociechę. Kiedy w niej mieszkał, nigdy nie była sama.

*Jeśli przyjmiesz mnie z powrotem, piękna pani, moja cudowna, odzyskasz swoją magię.*

*Zamilcz. Zamilcz. Zamilcz.*

- Co takiego ci dał? — zapytała Johna, gdy przemykali się na skraj obozu, gdzie czekał na nich Morkeleb. — Ten pierwszy przedmiot, ten grot?
- To? — Wyciągnął go z kieszeni, gdzie trzymał także wypełniony gwiezdny blaskiem hotwajs oraz szklaną i alabastrową butelkę ze smoczymi łzami. Uniósł go do góry: okrutnie zębaty grot wraz z mniej więcej całem ułamanej brzechwy.
- Dar od Rocklys — odparł. — Być może ostatni, jaki podarowała w swym życiu — a na pewno najszczęśliwszy. Chyba że zdołasz w jakiś sposób wyekstrahować ze mnie część bólu, jaki

354

czuję, i zamknąć go w ampułce, tak bym mógł go dorzucić w charakterze premii. To również traktuję jako dar od niej.

— Nie. — Jenny odwróciła wzrok, nienawidząc go nagle za to, że przypomniał jej o stracie. Za mówienie tak lekkim tonem o jej cierpieniu. Amayon nigdy by jej tak nie skrzywdził. — Teraz nie potrafię tego uczynić.

Ostatniej nocy przed Królewskim Księżycem dwa cienie podążały ozdobionymi malowidłami korytarzami starej świątyni Syn w ruinach miasta Ernine. Latarnia rzucała kołyszące się blaski na malowane gazele, na przemian zapalając i gasząc przedstawione na suficie gwiazdy; kometa zdawała się mrugać i podążać w ślad za nimi korytarzem do okrągłej komnaty. Panna Mab przemyciła Jenny diagram, do którego miała się zastosować, i odpowiedni proszek ze srebra zmieszanego z krwią. *To nigdy nie zadziała*, wyszeptał Amayon w jej umyśle. *Nie bez mojej pomocy. Już nigdy nic, co spróbujesz zrobić, ci się nie powiedzie.*

*Czym będę, zapytał niegdyś Morkeleb, bez magii?*

To było coś innego. On był smokiem — cokolwiek to oznaczało. Ona była jedynie kobietą, i bez magii była niczym.

Zastanawiała się, jak da radę żyć bez magii. Jak da radę stawić czoło wyzwaniom życia, spojrzeć w oczy Johnowi, swoim dzieciom, ze świadomością tego, co robiła. I co utraciła.

Jakoś zmusiła się do narysowania pieczęci mocy na posadzce. Jej powyginane palce drżały, gdy stawiała we wnętrzu butelkę ze szkła i alabastru, kładła żarzący się blado hotwajs pełen gwiazdnego światła oraz grot. Za nimi półkolem ustawiła siedem demonich

cel oraz siedem kolców ze szkła i rtęci wydobytych ze smoczycz czaszek, uparcie zamykając umysł na odległy skowyt uwięzionych w ich wnętrzu duchów.

Wizje czekających ich męczarni były równie jaskrawe jak rozżarzone żelazo do piętnowania: cierpienie, nudności, wstyd. Jak mogła wydać Amayona na coś takiego?

Trochę czasu zabrało jej uświadomienie sobie faktu, że ratuje przed tym Johna.

A jednak nie potrafiła postawić na podłodze białej muszli. Był uciążliwy, owszem. Ale niejednokrotnie był dla niej taki dobry, taki wyrozumiały. Rozkosz, jaką jej dawał, była niepowtarzalna. Oczywiście nie zamierzała uciekać się do tego zbyt często, ale sama świadomość jego obecności, kiedy sprawy przybierały niepomyślny obrót...

Ciepła dłoń zacisnęła się na jej pokrytej bliznami ręce.

—Lepiej to zostaw, kochanie.

Miał rację, ale wyrwała się z jego uchwytu, wcisnęła mu muszlę w dłoń i powiedziała z nienawiścią w głosie:

- Ty to zrób. Na pewno sprawi ci to przyjemność, co? Przez długą chwilę patrzył jej w oczy.
- O, tak — odparł. — O, tak.

Odwróciła się do niego plecami, cała roztrzęsiona, nie chcąc na to patrzeć. John ukończył symbol i przemówił do pieczęci wciąż przyklejonej do płomiennej ciemności zwierciadła.

— Mamy Ofiarny Miesiąc, kochana — powiedział — więc oto jestem. Mam tutaj wszystkie rzadkie i cenne przedmioty, o które mnie prosiłaś: kawałek gwiazdy, prawdziwej gwiazdy, zamknięty w gnomim kamieniu, a także smocze łzy — uśmiechnął się. — A ten grot otrzymałem od kogoś, kto źle mi życzył, i mogę to udowodnić dziurą w moim ciele, jeśli chcesz. A żeby wykazać ci, że je

stem wobec ciebie uczciwy, możesz też sobie wziąć całą siódemkę, by potraktować ich tak, jak potraktowałaś mnie i jak oni potraktowaliby ciebie.

356

Jenny usłyszała głosy istot za zwierciadłem. Mlaskanie jezorów i powolne, ciężkie oddechy.

Potem królowa demonów zapytała:

— A ty, mój ukochany? — Jej głos utkany był z róż i dymu, bursztynu i szeptu letniego morza. — Nie porzucisz tej zdeformowanej karlicy, którą pokrywałeś przez tyle lat, i nie przyjdiesz do mnie? Ochroniła cię ostatni raz — teraz jest wyschnięta i zgorzkniała. Zastanów się dobrze, ukochany. Za rok zamieni się w roz-wrzeszczaną wiedźmę, o ile już się nią nie stała. Możesz odkryć, że mieszkanie pod jednym dachem z tym, co odrzuciły morskie demony, nie jest przyjemne.

Jenny odwróciła się i wyszła z komnaty, po omacku znalazła drogę przez przedsionek i malowany korytarz. Wypadła na gęste, płynne ciepło nocy i skuliła się na pierwszym stopniu schodów, przylegając do poplamionego marmuru, a dziwna słodycz bagien Kresów wypełniła jej płuca i umysł. Zgięła się wpół, przeszywana wewnętrznym bólem, wiedząc, że królowa demonów mówiła prawdę. Widząc, czym będzie, czym się stanie bez magii, bez muzyki... bez Amayona. Ukryła twarz w zniekształconych dłoniach.

*Jenny, nie! Wróć tam! Powstrzymaj go, umiłowana, czarowna!, wrzeszczał głos Amayona w jej głowie, wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Piękna pani! Serce mych serc! Czy ty wiesz, co oni ze mną zrobią? Czy ty wiesz, co demony robią z innym Piekielnym Pomiotem,*

*kiedy uda im się ich pojmać? Jestem nieśmiertelny, czarowna, nie mogę umrzeć, ale mogę czuć — mogę czuć...*

Zamknęła swój umysł, wbiła paznokcie w strupy na nadgarstkach, ale jego głos bełkotał dalej, rozpaczliwy, szalony, niczym łomocząca w drzwi pięść.

*Nie pozwól mu! Jest zazdrosny, bo nie może ci dać tego co ja! Myślisz, że zechce cię przyjąć do loża, wiedząc, ile dla mnie znaczyłaś?*

*Nie odpowiadaj, przykazał jej wcześniej Morkeleb — więc nie*

357

odpowiedziała. Ale wspomnienie tamtej rozkoszy torturowało jej ciało, wzbierając falą, która groziła zatopieniem.

*Jenny! Jenny!*

Poczuła, kiedy królowa demonów wychyliła się i porwała go — porwała ich wszystkich. Całą zapłatę Johnowej daniny. Wrzaski w jej umyśle osiągnęły apogeum, więc ścisnęła głowę śliskimi, pokrytymi bliznami dłońmi i zamknęła oczy, starając się tego nie słyszeć, starając się o tym nie myśleć. Starając się nie wypowiedzieć jego imienia.

*Amayon...*

Odszedł. Ta pustka była gorsza niż wtedy, gdy złamana została jego władza nad nią.

Oplotła się ramionami, trzęsąc się i próbując złapać oddech, i wciąż jeszcze dygotała, gdy usłyszała za plecami powolne skrzypienie laski Johna, przeciągły łomot, kiedy upadł. Wiedziała, że powinna wstać i iść mu pomóc, ale nie potrafiła. Czarna pustka w jej wnętrzu była zbyt głęboka.

Po jakimś czasie usłyszała, jak dźwiga się na nogi.

— Dlaczego wyszłaś? — zapytał bardzo cichym głosem.

Nie spojrzała na niego, pochyliła okaleczoną głowę, przyciskając zdeformowane dłonie do piersi.

—Bo nie mogłam tam zostać.

Słyszała jego oddech, ujrzała swój własny cień w świetle latarni, niewyraźny, wymięty kształt na wytartych schodach z piaskowca.

—Ano, skoro tak — powiedział po chwili. — Powinniśmy już iść.

Morkeleb zaniósł ich z powrotem w dolinę niedaleko obozu pod Jotham. Gareth i Ian czekali na nich w chłodnym blasku zachodzącego księżyca i jutrzeńki, pilnując koni i mułów obciążonych na podróż ku północy.

—Yseult się powiesiła — oznajmił Gareth, gdy John i Jenny zbliżyli się na odległość głosu. — Tak samo Summer, Lodowa Wiedźma. — Zerknął na Iana, siedzącego samotnie i w milczeniu

358

na obalonym drzewie, a chłopak nie spojrzał ani na niego, ani na rodziców. — Koło północy.

Jenny przypominała sobie krzyk Amayona, wciąż jeszcze krwawiący w jej sercu. Chyba tylko bogowie wiedzieli, co demon Iana mówił do niego, obiecywał mu, błagając go, by powstrzymał Johna przed pozbyciem się ich z tego świata. Przed posłaniem ich za zwierciadło. Tylko bogowie wiedzieli, przez co przeszedł Ian, gdy ona tęskniła i boleśnie odczuwała brak Amayona — czy równie rozpaczliwie pragnął powrotu swojego demona?

„To niemożliwe”, pomyślała. Może szukać pociechy w swojej magii.

Rozbolały ją szczęki, tak mocno je zaciskała, więc przyłożyła dłonie do ust.

John nic nie powiedział. Zbrojny w swe milczenie, podsadził Jenny na podarowaną przez Garetha klacz, wskoczył w siodło szarego ogiera i pochylił się, by uścisnąć dłoń młodego regenta.

- Dziękuję — powiedział.
- Postarałem się, by mistrz Bliaud wrócił bez rozgłosu do Greenhythe — rzekł Gareth. — Ma tam posiadłości, z dala od rodziny, gdzie lord Ector nie znajdzie go, gdyby zachciało mu się rozrabiać. Kiedy przekroczycie Wildspae, nie musicie się już obawiać... wyroku śmierci wydanego przez mojego ojca ani lorda Ectora i rady. Wojsko, które Rocklys pozostawiła w Cair Corflyn, nie będzie na tyle silne, by poczynić jakiegokolwiek ruchy przeciwko wam, a kiedy zacznę uzupełniać garnizony, osobiście pomówię z nowym dowódcą.
- A więc zamierzasz je uzupełnić, tak? — John przechylił lekko głowę, beznamiętnie, podejrzliwie.
- Oczywiście, że tak. — Gareth wyglądał na zaskoczonego. — Kiedy tylko armia będzie zdolna do wymarszu.

John skinął głową i pochylił się w siodle, by ucałować pierścień swego pana.

—W takim razie dziękuję ci po raz drugi. Za wszystko.

Ale Jenny widziała to wszystko z oddali, jakby przez tysiąc

warstw mrocznego szkła. Nieobecność Amayona oznaczała czerń i zmęczenie, ciężkie niczym ołów uczucie straty wszystkiego, co czyniło



świat czarodziejskim, kolorowym i szalonym. Bolała ją głowa, oparzenia pulsowały, a pustka w miejscu, z którego zniknęła magia, ziała otchłanią w jej duszy.

We wszystkich balladach zło było pokonywane, porządek przywrócony, a bohaterski książę w lśniącej zbroi poślubiał swą panią, równie piękną i młodą jak on. Żadne z nich nie miało potem koszmarów, nie śniło o tym, co utracili. Wszystkie rany goiły się bez śladu, dusz nie przepajała tęsknota, obsesja czy nieufność.

Jenny śniła o Zwierciadle Isychrosa. Znow widziała pieczęci nakreślone na kamiennej posadzce krwią i srebrem: butelkę smoczycich łez, i żarzący się słabo hotwajs z gwiazdnym blaskiem i grot splamiony krwią Johna. Głos Amayona znow krzychał w jej umyśle, lecz głębiej, w spokojnej części jej jaźni, pomyślała: „Coś pominęłam”.

Coś ważnego.

Raz jeszcze przyjrzała się tej scenie.

Biała muszla Amayona zdawała się przyciągać jej uwagę, nie pozwalając jej dostrzec niczego innego. Zmusiła się do przesunięcia wzroku gdzie indziej: ampułka z demonem Bliauda, Zimi-marem, kamyk więżący Gothpysa. Demon panny Enk pojmany został do buteleczki po perfumach, a demon Summer do kolejnej muszli. Demon Yseult tkwił w innej ampułce, tym razem alabastrowej.

Sześć demonów. Osiem zimnych, srebrnych kolców.

*Lepiej to zostaw, kochanie.*

*Na pewno sprawi ci to przyjemność.*

*O, tak.*

1 krzyk Amayona, gdy wpadał do **piekła tych, którzy go nienawidzili,**

którzy mieli torturować go na **sposoby niewyobrażalne dla** ludzkiego umysłu, przez wieczność.

360

Sześć demonów. Osiem srebrnych kolców.

Caradoc i łan przy stole, osiem klejnotów rozrzuconych na blacie. *Zniszcz klejnot*, powiedział łan, a Caradoc pokręcił przecząco głową.

*Mam swoje powody.*

*Jakie powody?*, zapytała Jenny.

*Piękna pani! Serce mych serc!* Ponownie usłyszała w umyśle głos Amayona zagłuszający wszystkie myśli. *Czy ty wiesz, co oni ze mną zrobią? Jest zazdrosny... zazdrosny...*

John odwracający od niej twarz, szepczący imię Aohili.

*To minie*, powiedział Morkeleb.

Jenny oparła głowę o jego bark, gdzie stalowe łuski były gładkie jak szkło.

*Skąd masz tę pewność?*

Jego ciepło przenikało przez okryte żelazem kościste wypukłości, przytulne w szarym, jesiennym chłodzie. Poranne mgły przesłaniały zarówno ciemność nocy, jak i blask ogniska, nad którym John machinalnie przypalał placki. Jenny podejrzewała, że powinno jato obejść, ze względu na łana, ale była pewna, że łan prawie nic nie jadł od trzech dni, a być może znacznie dłużej...

I tym także nie potrafiła się przejąć ani rozważyć.

Trudno jej było myśleć o czymkolwiek oprócz swej straty i bólu.

Śniła ostatniej nocy o czymś, czego nie zapamiętała, a kiedy się

obudziła, czuła jedynie gorycz i rozpacz. Wiedziała, że zachowuje się jak niespełna rozumu, że jej tęsknota za Amayonem, jej obsesja na punkcie demona, były potencjalnie nieobliczalne w skutkach, przesłaniając jej coś, co tylko ona mogła pamiętać... Coś, o czym śniła, być może jeszcze w Halnath, ale brakowało jej siły, by wyrwać się z tego kręgu, Ian milczał, z każdym mijającym dniem coraz bardziej zamknięty w sobie. A John...

Odkryła, że nie potrafi już jednoznacznie myśleć o Johnie.

361

*Wszystko mija, Jenny, powiedział smok. To jedno jest pewne.*

*Tak jak moja magia?* Cisnęła gorzko w niego te słowa, choć codziennie powtarzała sobie, że powinna się z tym pogodzić, dać sobie spokój z użalaniem się nad sobą. Ale kiedy John powiedział jej ostro, że ma to właśnie zrobić, zaledwie parę minut wcześniej, nie wytrzymała. *Przestanę się nad sobą użalać, kiedy ty przestaniesz śnić o królowej demonów!*

Dni bez magii stanowiły pasmo tortur, zdwajanych wstydem, jaki odczuwała, gdy ogarniała ją niechęć na widok lana rozpalającego ognisko jednym gestem albo leczącego rany ojca. Ostatniej nocy, szukając ulgi, spróbowała zagrać na harfie, którą Gareth podarował Ianowi, lecz jej okaleczone dłonie poruszały się zbyt wolno, mimo wysiłków lana, by je wyleczyć. A kiedy syn wyciągnął rękę, by jej dotknąć, zeszywniała, więc się wycofał.

Morkeleb nie odpowiedział. W ciemności nadal robił wrażenie istoty z krwi i kości, gagatu i kości słoniowej. Wiedziała, że wraz z pierwszym blaskiem dnia będzie mogła patrzeć przez niego na wylot, postrzegać go jako dziwną, piękną przezroczystość, mieszczącą w swym wnętrzu zarówno mrok, jak i światło.

Prowadził ich już od trzech dni, przepatrując labirynt wąwozów i gęste lasy, gdzie ludzie z Impertengu nadal toczyli swą wojnę z królestwem. Zaledwie przed godziną powrócił, by poinformować ich, że droga na północ jest bezpieczna i że on sam uda się na Świetliste Ostrowy.

Teraz odezwał się: *To tylko magia, Jenny. Jedna z tysiąca rzeczy związanych z życiem.*

Poderwała głowę, czując do niego nienawiść, taką samą jak do Johna i wszystkiego innego, a jej obolałe, sztywne dłonie na próżno usiłowały zacisnąć się w pięści, by go uderzyć. *Tak mówi ten, naskoczyła na niego, któiy nigdy jej nie posmakował, nigdy nie poznał! Łatwo ci to mówić, skoro zrezygnowałeś z niej, a w zamian otrzymałeś mądrość albo złudzenie mądrości! Stanowiła szpik mych kości, jądro mego umysłu, i nie wiem, czy potrafię bez niej żyć!*

362

*Bez niej?, zapytał. Czy bez demona?*

Spróbowała wycofać się do wewnątrz, gdzie ziały otwarte, krwawiące rany. Gdzie wszystko każdego dnia, o każdej godzinie powtarzało imię Amayona.

Teraz zrozumiała, że nie tylko Amayon dobrze ją poznał.

*Idź do niego!,* krzyczał za nią John, kiedy wybiegła z obozowiska. *Zamień się w smoczycę, skoro chcesz mnie porzucić, ale porzuć mnie albo zostań ze mną na dobre! Odchodzisz i wracasz, a ja nie wiem, czy następnym razem zostaniesz czy nie!*

Łzy spływały po twarzy rzeką niczym krew cierpienia w jej umyśle. Powiedziała: *Nic dla mnie nie pozostało, kiedy oddałam wszystko, by go ratować. By go ratować.*

*A on, odparł cicho smok, by ratować ciebie.*

Ale mogła jedynie zamknąć oczy i oprzeć głowę o jego kości. Wydało się jej, że coś dotyka jej głowy, choć nie umiała powiedzieć, czy był to smoczy pazur czy też złudzenie ludzkiej dłoni; wiedziała tylko, że przyniosło jej ulgę i spokój podobny temu, jaki John odczuwał na Jałowej Wyspie.

*Czego więc pragniesz?, zapytał.*

Słowa wpadły w rozgrzaną, obolałąciemność jej duszy niczym rozżarzone diamenty, uspokajając kotłowaną myśl. Wydało się jej, że o cokolwiek by poprosiła— by polecieć z nim na Świetliste Ostrowy, by znaleźć spokój i uzdrowienie, by zamienić się w kamień, aż tysiąc lat deszczu wypłucze z niej to wszystko — o cokolwiek by poprosiła, on to spełni.

Spokój wypełnił jej umysł. Wzięła oddech i usiadła, przesuwając dłońmi po swojej nagiej, poznaczonej bliznami czaszce. *Raz już mnie o to pytałeś, powiedziała. Dałeś mi możliwość wyboru: zostać smokiem i żyć wiecznie w świecie magii. Myślę, że teraz byłoby to łatwe.*

Siedział nieruchomo jak wielki kot, ze skrzyżowanymi przednimi łapami, jego diamentowe oczy błyszczały przezroczystym blaskiem świtania. Dym z ogniska na moment wydobył z niebytu

363

jego sylwetkę, zamieniając się na chwilę w krzywiznę rogów, falowanie wstęgowatej grzywy, by zaraz roztopić się w widmowy szkielet.

*Może zbyt długo przebywam z Johnem i cierpi na tym spokój mej duszy, powiedziała. Trudno mi będzie teraz powrócić, w moim obecnym stanie. Znosić współczucie tych, którzy znali mnie, kiedy jeszcze miałam moc.*

*Widzieć cierpienie lana i Johna... Przegnała te myśli szybkim ruchem głowy. A nie jestem... prawdziwie gotowa, by stawić czoło temu, co, jak myślę, mnie czeka.*

*Bo Folcalor nie zginął, Morkelebie. Folcalora nie było wśród demonów, które uwięziliśmy i posłaliśmy za Zwierciadło Isychro-sa. A Folcalor jest inteligentniejszy od pozostałych demonów, podstępniejszy i bardziej cierpliwy. Miał jakiś plan, jakiś zamysł, wykraczający poza magów i smoki, których ciała zniewolił, coś, co dotyczyło dusz magów. Gdybym teraz odleciała z tobą, gdybym teraz poszukała spokoju ducha, nie byłoby mnie w Zimowych Krainach, kiedy powróci.*

*Ach, powiedział Morkeleb.*

*Rozumiesz mnie?*

*To nie leży w naturze smoków, powiedział Morkeleb. Służyć, ryzykować, przelewać krew za innych. Być może jak także zbyt długo przebywałem w towarzystwie twojego Tkacza Pieśni, przyjaciółko. Ponieważ rozumiem cię. Dasz radę to znieść?*

Jenny utkwiała wzrok w swych poranionych dłoniach. Pomyślała o Yseult i Summer, których rozpacz po utracie słodkiej trucizny ich demonów kosztowała je życie.

Pomyślała o Johnie.

*Zniosę to, odpowiedziała. Zaufam Władcy Czasu, jak muszą to czynić ludzie, którzy nie są w stanie przegnać cierpienia magią, którzy nie mogą szukać ulgi w złudzeniach ani nieśmiertelności. Tym właśnie jestem.*

*Tak czy owak, powiedział smok, przeżyłem wiele lat i widziałem dary otrzymywane przez ludzi ufających Władcy Czasu.*

*I czy są gorzkie, czy słodkie, czy też są jedynie złudzeniem — tego nie potrafię powiedzieć. Chciałbym móc cię uleczyć, przyjaciółko, ale to nie jest możliwe. Ja, który zniszczyłem Starszego Droona i przyniosłem ruinę gnomom z Ylferdun, nie potrafię obudzić pojedynczego kwiatu, gdy spocznie na nim dotyk mrozu.*

Jego ciepło ogarnęło ją, jedwabście dotykając jej zniszczonego ciała, przepojone spokojem niczym zachód słońca na Ostrowach Północy.

*Dlatego mogę powiedzieć tylko tyle: Żyj najlepiej, jak potrafisz. Wypatruj tego zła i szukaj dla siebie lekarstwa nawet wtedy, gdy ciemność i cierpienie zdają się nie mieć końca. Powrócę do ciebie, przyjaciółko, by ci pomóc, by cię uratować albo by po prostu usiąść na zboczu wzgórza i gawędzić, jak mają w zwyczaju przyjaciele.*

Uśmiechnęła się, gdy rozpostarł swe widmowe skrzydła i uniósł się z ziemi niczym mgła, nieziemskie migotanie światła gwiazd i kości. *Będę tam, kiedy przybędziesz, Smoczy Cieniu.*

Rozpłynął się w srebrzystym blasku poranka i zniknął...

CIĄG DALSZY W

RYCERZU KRÓLOWEJ DEMONÓW